

P. 9. 786 Chw Arch

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ      Nr 1/316 - 2/317      1974**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

PELIKAN :

**SOMNIA VIGILANTIUM**

L. KOŁAKOWSKI :

**GEORGES SOREL - MARKSIZM JANSENISTYCZNY**

J. GIDYŃSKI : **POLSKIE PRZEDWOJENNE POŻYCZKI  
ZAGRANICZNE**

**WOJNA NA ŚR. WSCHODZIE I JEJ SKUTKI**



## SPIS RZECZY

|                            |  |    |
|----------------------------|--|----|
| Pelikan:                   | <i>Somnia vigilantium</i> .....                      | 3  |
| Leszek Kołakowski:         | <i>Georges Sorel — marksizm jansenistyczny</i> ..... | 19 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Dziennik pisany nocą</i> .....                    | 45 |
| Grażyna Nowak:             | <i>List z Londynu</i> .....                          | 54 |
| —                          | <i>Konkurs im. Józefa Wyrwy</i> .....                | 63 |
| Andrzej Cheiuk:            | <i>Fragment powieści</i> .....                       | 64 |
| Adam Czerniawski:          | <i>Coitus</i> .....                                  | 75 |

### ARCHIWUM POLITYCZNE

|                   |  |     |
|-------------------|--|-----|
| Londyńczyk:       | <i>Kronika angielska</i> .....                           | 79  |
| Dominik Morawski: | <i>Korespondencja z Rzymu</i> .....                      | 91  |
| Adam Bromke:      | <i>Studia stosunków międzynarodowych</i> ..              | 99  |
| Brukselczyk:      | <i>Widziane z Brukseli</i> .....                         | 110 |
| —                 | <i>Subskrypcja na „Listy z nieba” St. Vincenza</i> ..... | 118 |

### WOJNA NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE I JEJ SKUTKI

|                  |  |     |
|------------------|--|-----|
| Tadeusz Nowacki: | <i>Czwarta wojna</i> .....             | 119 |
| Antoni Gutowski: | <i>Cywilizacja karmiona ropą</i> ..... | 127 |

### SĄSIEDZI

|                   |   |     |
|-------------------|---|-----|
| Marta Sadowa:     | <i>Moskwa — dzisiaj</i> .....                       | 142 |
| Adam Kruczek:     | <i>W sowieckiej prasie</i> .....                    | 143 |
| Karol Szwedowicz: | <i>Ucrainica na VII Kongresie Słowiańskim</i> ..... | 156 |

### K R A J

|              |  |     |
|--------------|--|-----|
| Roman Karst: | <i>Encyklopedia Polski Ludowej</i> ..... | 158 |
|--------------|--|-----|

### SPRAWY I TROSKI

|                 |   |     |
|-----------------|---|-----|
| Adam Jaworski:  | <i>Wynaradawianie się Polonii Kanadyjskiej</i> .....                    | 179 |
| Józef Gidyński: | <i>Splątanie przedwojennych polskich polityczek zagranicznych</i> ..... | 192 |

### SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

|                |                                   |     |
|----------------|-----------------------------------|-----|
| Adam Bromberg: | <i>Komiksowy galimatias</i> ..... | 202 |
|----------------|-----------------------------------|-----|

### Z TEKI INFORMACYJNEJ

|                     |   |     |
|---------------------|---|-----|
| Jerzy P. Horzelski: | <i>Eschatologie we wszystkich (ponurych) kolorach widma</i> ..... | 208 |
|---------------------|---|-----|

### K S I Ą Ż K I

|                             |  |     |
|-----------------------------|--|-----|
| M. Broński:                 | <i>„Głos iz chora”</i> .....             | 216 |
| Maria Danilewicz Zielińska: | <i>Krajowe nowości wydawnicze</i> .....  | 221 |
| —                           | <i>Nadstane nowości wydawnicze</i> ..... | 225 |



|   |                                  |     |
|---|----------------------------------|-----|
| — | <i>Wydarzenia miesiąca</i> ..... | 226 |
|---|----------------------------------|-----|



|   |   |     |
|---|---|-----|
| Zb. Byrski, J. Kowalewski,<br>dr M. Krzyżaniak, K. Popiel,<br>K. Okulicz, W. Wahnout,<br>E. Puacz, dr R. K. Wilson: | <i>Listy do Redakcji</i> .....                                    | 231 |
| —   | <i>Subskrypcja na „Rozmowy z Tobą”<br/>Zb. Grabowskiego</i> ..... | 240 |

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1974

INSTYTUT



LITERACKI



Ś. † P.

**CZESŁAW KAZIMIERZ DOBEK**

Żołnierz i pisarz

urodzony w Ostrołęce 27. III. 1910  
zmarł nagle w Monachium 7. XI. 1973

W ANGLII I W POLSCE  
ŻONA I RODZINA

**NOTA BIOGRAFICZNA**

Adam BROMKE, ur. w 1928 r. harcerz, żołnierz A.K. i uczestnik Powstania Warszawskiego. Studia wyższe w Szkocji, doktorskie w Kanadzie. Praca badawcza w Russian Research Center, Harvard University (1960-62); Institut des Hautes Etudes Internationales, Genewa (1967-68). Wykładowca na uniwersytetach Carleton, McGill, Boston, Montréal, profesor i dyrektor Wydziału Nauk Politycznych na Uniwersytecie McMaster w Hamilton, Ontario. Redaktor „Canadian Slavonic Papers” (1963-66), prezes Kanadyjskiego Stowarzyszenia Sławistów (1968-69), członek Komitetu Europy Wschodniej Amerykańskiej Rady Stowarzyszeń Naukowych (1970-73), konsultant kanadyjskiego M.S.Z. Ważniejsze publikacje: „The Communist States at the Crossroads” (Praeger, 1965); „Eastern Europe in a Depolarized World” (Canadian Institute of International Affairs, 1965); „Poland's Politics, Idealism vs. Realism” (Harvard/Oxford, 1967); „The Communist States and the West” (Praeger, 1967); „The Communist States in Disarray” (Minneapolis, 1972); „Gierek's Poland” (Praeger, 1973).

**WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"**

|  |           |
|--|-----------|
| Maria Dobek, Monachium (NRF) .....                                   | F. 100,00 |
| T. Farbisz, Hagedalslider (Szwecja), po raz trzeci .....             | F. 65,00  |
| K. Jagodziński, Irvington, N.J. (USA), po raz piąty .....            | F. 25,00  |
| Janusz Laskowski, Paryż, po raz dwudziesty pierwszy .....            | F. 40,00  |
| St. Leszczyński, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty .....          | F. 22,00  |
| François Prause, Paryż, po raz dziewiąty .....                       | F. 100,00 |
| Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz czternasty ..... | F. 25,00  |
| K. Styś, Montreal (Kanada), po raz trzeci .....                      | F. 22,00  |
| Jan Uhmeyer, Portsmouth, Va. (USA), po raz drugi .....               | F. 13,00  |
| Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziesiąty ..        | F. 43,00  |
| Zbigniew W. Wołkowski, Paryż .....                                   | F. 100,00 |

DZIĘKUJEMY!

Imprimé en France.



1974 W 1207

**Somnia vigilantium**

1. Czyli sny na jawie ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na zamknięcie oczu, a równocześnie somnambulizm cechuje styl ich rozumowania: łacińskie słowa zaczerpnięte z pism Grzegorza z Sanoka.

... Więc jaki, pytamy, stosunek należałoby w sobie ułożyć do socjalizmu, jeżeli się już odrzuci z jednej strony werbalny schemat niby-socjalizmu partii tutejszych, i gdy się już uporządkuje z drugiej strony naiwności filozoficzne, narosłe w praktyce socjalizmu na Zachodzie (gdzie jednak bez porównania większy jest stopień prawdomówności i dobrej wiary w tej kwestii)? Ale czy światopogląd i system społeczny (socjalizm jest chyba jednym i drugim) zdolne są zachować choćby najskromniej rozumianą czystość i prawość filozoficzną, jeżeli wchodzi w skład polityki i życia partyjnego? — o tym wątpimy, mimo wielkiego duchowego zapotrzebowania w tej dziedzinie i mimo gwałtownej potrzeby antidotum — a nawet usiłujemy umocnić się w podejrzliwości, żeby jeszcze raz się nie wpakować w kabałę rozczarowania i czarnych myśli.

Raz po raz wymienialiśmy w naszych rozmowach — i w tych listach do *Kultury* — hasło socjalizm, zupełnie tak, jakby system ten rysował się konkretnie nie tylko poza związkami polskorosyjskimi, ale też niezależnie od taktyki i publicystyki partii zachodnich, po prostu jako wzorzec postawy intelektualnej z dużym miejscem przydzielonym kulturze — cóż mówię! — z kryteriami kultury jak przeciągnięta wewnątrz siatka włókien nerwowych: nie ma w życiu celu istotniejszego niż kultura, na to się wszyscy godzimy w gronie, które za chwilę przedstawię. Ale ten socjalizm: przypuszczamy, że to rodzaj nostalgii, która powinna zostać nostalgią, bo w wypadku jakiejś ewolucji praktycznej straci

P. 9.786 Cln. A



się swoją zapładniającą i magnetyczną. Krytyka aspiracji socjalistycznych mogłaby się okazać okrutną, na przykład wedle rozumowania następującego:

— Albowiem, gdy w dziedzinie ekonomicznej wszystko już będzie możliwie najlepiej uregulowane, to kwestia sensu istnienia i godnego sposobu życia pozostanie nadal otwarta, jak dziś: oczekamy się pewnego dnia, przypuśćmy, uniwersalnego ekonomicznego zarządu całej kuli ziemskiej, całkowitego zwycięstwa kolektywizmu — dobrze, w ten sposób zniknie w końcu względna niepewność człowieka, którą podtrzymuje katastroficzny charakter systemu kapitalistycznego, to znaczy: zaniknie ostatnie nawet wspomnienie o zagrożeniu życia ludzkiego, a wraz z nim w ogóle cała problematyka duchowa. Pytanie tylko, po co wówczas *jeszcze żyć*. Czy dążyć doń w tych warunkach, czy chcieć go — tego socjalizmu? Nie nadaje się to do debaty publicznej, zakrzyczano by nas z ław partyjnych różnych odcieni, politycy przejęli za nas wszelkie rodzaje odpowiedzialności, nawet odpowiedzialność filozoficzną.

2. Nie tylko ta sprawa była przedmiotem naszych rozmów, za to wracaliśmy do niej wciąż i ze wszystkich dostępnych stron, bo to się jakoś łączy, naciska na siebie i przemienia w masę, otóż tedy żaden wydzielony motyw nie potrafi między nami się utrzymać, bo tu nie seminarium, nasze kolokwialne wybuchy mają inny charakter, powiedzieć by można, że od czasu do czasu porywamy się na wielką rozmowę.

Co się zaczyna od przerzucania się dowcipami, które po pewnym czasie okazują się do niczego, to może wystarczać Antoniemu Słonimskiemu w gazecie, ale nie nam — parodia i ironia są rozpaczliwie niewystarczające w dyskusji bez donosicieli i przyzwoitek: opowiada się na początku dowcipy polityczne, czego już po chwili wszyscy mają powyżej uszu i wtedy jak gaz ziemny wybucha z naszego zebrania, z samego faktu że jesteśmy razem, ta rozmowa numer dwa, największego formatu. Zaraz się wyjaśni, czy mam prawo używać liczby mnogiej, tym bardziej że tyle przeciw temu zastrzeżeń — w nieznośnej atmosferze nadużywania liczby mnogich, zbiorowości socjalistycznych, ludowości, proletariatu — najmniej nawet pretensjonalne użycie słowa kolektywy wywołuje grymas obrzydzenia, a mimo to nie można zaprzeczyć, że w małym kolektywie, jaki mam na myśli, udają się rzeczy niemożliwe w samotności, dochodzi do płodnego wzburzenia, z czego wynika ów gaz, uniesienie, wymiana myśli. Może być, że z intelektem ma to znacznie mniej wspólnego, niżby się chciało, wygląda to czasem na wewnętrzny wysiłek duchowy bez odpowiedników myślowych i znaczeń, jakby w abstrakcji od towarzyszącego temu i toczącego się obok słowa, wygląda to

w końcu na wspinaczkę muzyczną, jakby muzyczne pasma oplatały żarliwie jakąś nie do zdobycia górę: tak, wygląda mi to na sprawę słuchową a nie rozumową, na coś w rodzaju wysłuchania koncertu z gruntownym współudziałem osobistym każdego z nas. Ale jeżeli tak, to dlaczego te zebrania przynosiły nam nie tylko ulgę moralną, lecz miały nawet w sobie coś z podsumowania wniosków — tego nie potrafiłbym wytłumaczyć. Mam na swoją obronę jedno wspomnienie z wiejskiego kościoła w stronę Gopła, z wczesnej młodości, gdzie wlałem, żeby zagadnąć proboszcza o starą tabulaturę, gdy mnie raptownie otoczyły śpiew powszechny i modły uderzające bardziej niż to, co się określa jako nastrój, mające niemal logiczną siłę przekonywania o prawdzie pewnego rodzaju. Wrosłem w ten tłum jak obce, za młode żeby się w sytuacji zorientować, drzewo, magicznie wsadzone między tutejsze drzewa całego lasu, i oniemiałe. Ludzie nie zawsze szukają utwierdzenia się w swoich stanowiskach przy pomocy dyskusji i wymiany poglądów, czasami się zbierają żeby śpiewać czy słuchać, i to służy dobrze celowi, choć umysłem nawykłym do postugiwania się dialektyką rzecz wydaje się zupełnie zagadkowa. Nawiasem mówiąc, to jest jedno z typowych dla naszych rozmów spostrzeżeń niepełnych, jedna z aluzji zostawionych w stanie nieforemnym, muzyka (o niej przecież mowa) jest sztuką wieloznacznych aluzji, których działanie tym potężniejsze im mniej są przejrzyste; muzyka i aluzyjność to jedno.

3. Obiecałem przedstawić swoje grono, ale... Nie potrafiłbym, oczywiście, odpowiedzieć na pytanie kto, jakie osoby biorą w konwentyklach udział, ani ile ich bywa — tyle wiadomo, że bywa coraz mniej — rozmowy są raczej wywołane dziwnym stanem wyobraźni, niż faktyczne, owszem, ściśle mówiąc, czasem się realizuje coś na podobieństwo tego faktu, zarys, ale nigdy się nie wypełnia w zamierzonych rozmiarach, z tego powodu że potencjalni uczestnicy rozmów są rozproszeni po kraju; gdy chwila przychodzi, rzadko na czas można do nich dotrzeć, więc odbywa się to telepatycznie, w rozsypce, każdy z własnej inicjatywy działa we własnym sumieniu, a potem niekiedy udaje się to zlepnić przy spotkaniu, odtworzyć — tylko że wiadomo, jak to bywa z rekonstrukcjami, sztuczne są, nie spełniają oczekiwań i wtedy wracamy do bezużytecznej ironii. Jednak rzeczy potencjalne, obstaraję przy tym, nie są zaprzeczeniem rzeczywistości i to co się nie zdarzyło zawsze się może zdarzyć, czy niekiedy może się zdarzyć — trzeba tylko lepszego uporządkowania okoliczności, a tymczasem te dysputy telepatyczne czy wyimaginowane są właściwie bardzo dobre, są lepsze i bardziej realne niż gdyby się wydarzyły w tak zwanej rzeczywistości, zależą po prostu od siły dedukcji i jeszcze od czegoś. Powiecie prawdopodobnie, że



tylko chroniczny stan samotności może doprowadzić do tego rodzaju lekceważenia różnicy między wewnętrznym monologiem a prawdziwym dialogiem i będziecie mieli rację, czy część racji, ale cóż z tego — gdyby nie te dysputy w gronie zaufanych, których właściwie nie ma, to co dzień kurczyłbym się całą swoją powierzchnią i kubaturą, jak jądro w starym orzechu lasowym, i wreszcie dopuściłbym, że życie moje osiągnęłoby stan zerowy, nie byłoby mnie, tak jak nie ma tych zaufanych dyskutantów, a tak przynajmniej ja zostaję i to jest przykład rzeczywistości subiektywnej, ważnej, cholernie ważnej nie tylko dla mnie.

Potencjalnych uczestników rozmowy coraz mniej, wytracają się, statystycznie od dawna znikomi — giną, zanikają i odchodzą — tam! Dokąd? Do pozytywistycznie urobionej plastycznej masy Edwarda Gierka. Na pierwszym miejscu jest ubytek biologiczny, zasmucające przesuwanie się granicy wieku ludzi, których mam na myśli, umierają nagle i prawie równocześnie. Grubo starszy ode mnie dobry przyjaciel opowiadał, że chcąc spisać swoje przeżycia z okresu śląskich plebiscytów starał się, według posiadanych adresów, dotrzeć do dawnych kolegów i świadków, ale umierali gdy wchodził na schody, aż trzech znalazł w chwili niemal wyprowadzenia zwłok, jak w pewnej żydowskiej anegdocie; raz się zetknął w drzwiach z lekarzem, który ucisnął mu z zawodowym współczuciem rękę. — Przestałem szukać moich świadków, bo im to wręcz groziło śmiercią! — wykrzykiwał z humorem, któremu należałaby się odmienna nazwa, bo był to humor w niezrównanym odcieniu, wcale nie wisielczy, choć fatalistyczny. — Przestałem szukać świadków mojej epoki — wołał cienkim głosem stary pan — bo miałem wrażenie, że ją dobijam!

Po drugie: to strachem napełniające przenoszenie się niektórych, łatwiejszych do adaptacji, do oportunistów, w stronę masy głównej, na starej fizycznej zasadzie przyciągania, czemu za bardzo dziwić się nie można — wszyscy jesteśmy, choć na szczęście w różnym stopniu, namagnesowani, czyż się nie czuje często od wewnątrz charakterystycznego drżenia, jak przy napięciu mięśni stawiających opór: są to właśnie chwile, gdy człowiek przeciwstawia się magnetyzmowi.

Po trzecie, młodzi — na tych już liczyć nie można, chyba że się zadowolimy aksjomatem o młodości jako stanie zagadkowym i pełnym niespodzianek — jeszcze w 1968 młodość sprawiła ową niespodziankę, co nie gwarantuje, że wciąż jest do tego zdolna — w tej chwili młodość wydaje się zmarnowanym kapitałem, od niej nie dojdą żadne posiłki zdatne do naprawienia ubytków. Nie, łykająca pigułki młódź nie ma oczu i uszu otwar-

tych na proces zanikania Polaka typu esencjonalnego (zdajemy sobie sprawę ze słabości tej definicji), tym bardziej, że to rodzaj procesu stosunkowo cichy, zwłaszcza dla ich uszu nadwzręczonych wraskiem magnetofonów, czym może chcą się instynktownie odgrodzić od hałasu frazesów. Hałas likwidują hałasem, cóż za tragedia dla słuchu! To stosunkowo cichy, jak powiedzieliśmy, proces, bo inni go słyszą aż za dobrze: te świsty, gwizdy kosi w rękę śmierci i huk zapadających się obszarów, krzyk porywanych w polu magnetycznym — dochodzą mimo swej nieujawnionej natury zdumiewająco mocno, ale do tego trzeba mieć inaczej ukształtowaną błonę.

4. Nonszalancja, przewaga młodzieży w różnych sektorach obyczajowych, i najzupełniejsza przewaga w dziedzinie rozrywek, i to ustępowanie starszych bez walki, czyż nie świadczy to o odmłodzeniu społeczeństwa, choćbyśmy nawet sobie życzyli innego sensu tego pojęcia? Odmłodzeni-głusi. A jeżeli traci się słuch we wczesnej młodości, jeżeli się go traci w dzieciństwie, to się zaprzepaszcza zdolność mowy: „Język mój jest granicami mojego świata” — powiedział Ludwig Wittgenstein — uwaga uderzająco słuszna, więc to społeczeństwo bez słuchu i używające żargonowego kodu zamiast języka skazane jest na bardzo ciasne granice. Nie mogę się posuwać dalej bez rozważenia dwóch głównych modeli Polaka w kraju, jednym jest pozytywistyczny Polak z puli Gierka, drugim esencjonalny Polak, który słyszy i w pełni włada swoim językiem, trzeba te dwa typy zdefiniować, co wypadnie najlepiej przez określenie wzajemne — jeden od drugiego w gruncie rzeczy zależy.

W pierwszym wypadku chodzi o tych, co mówią „poszłem” i „wziętem” i „po lewo”, są oni majstrami i żonami majstrów, albo technikami, po takich a takich kursach, wieloma przypadkami produktu wyrzucanego wciąż i wściekle przez centrifugę do robienia — jak w „Raporcie o stanie oświaty” stało — osobników z dojrzałą świadomością społeczną, co należy czytać: osobników fachowo podkształconych, umiejących się posługiwać sprzętem, ale za to celowo niedokształconych w innych dziedzinach, bez zaplecza kultury, bez spodu, bez reszty. Cała masa ludzi podciągniętych do pewnego stanu operatywności, statystów w kostiumowym filmie o kulturze, pousadzanych dziś w najrozmaitszych zawodach, aż do prokuratora i lekarza — czyż można zresztą wyliczyć rodzaje zawodów w społeczeństwie wyciągniętym z dołów, ze wsi, translokowanym, o pośpiesznie i nieodpowiedzialnie narzuconej rzeczywistości przemysłowej, znajdującym się w ustawicznym stadium mutacji, więc zdeorientowanym a nawet rozwydrzonym pod względem umysłowym? Inspektorzy wodociągów i ich żony. Urzędnicy i ich żony z córkami, ekspe-



dientki, kierowniczkę („pani kierowniczo, myślę, że mi się dziś uda wyrobić”), maszynistki, personel gastronomii, personel biurokracji, szpitale, Liga Kobiet, wojsko, aparat partyjny. Kusi mnie wyliczanie, a przecież nikt na tej drodze rady nie da, nawet egzemplifikacja nie daje obrazu. Wojsko, partia, urzędnicy stanowią wielką masę całkowicie gospodarczo, ale i myślowo, wyobraźnią, nawykami uzależnioną od państwa z jego centralami dydaktycznymi. Ci, co toną w rzeczywistości telewizyjnej. Odkładający na fiaciki, albo już w posiadaniu syrenek, pijący już, wielki Boże, nie czystą z czerwoną kartką, ale jarzębiaką, a na wyższym piętrze — rosyjski koniak.

Rzesza, *res publica* o mentalności śląskiej, to nie jest dowolne sprecyzowanie, już w różnych częściach Polski można się przekonać, że skutecznie a nawet samoczynnie dokonało się ściągnięcie wymagań i odruchów Polaka, całej jakości Polaka, do mało-mieszkańskiego wzorca robotnika czy technika śląskiego z jego twardością, materializmem, niedorozwojem kulturalnym, co na Śląsku jako brak nigdy nie było poczytywane i co kompleksów nie powoduje tylko odwrotnie: zadowolenie i jeszcze większą operatywność i jeszcze większą pewność siebie. Zdaje się, że Gierk na taki właśnie typ postawił, nie tylko dlatego, że sam jest korzeniami stamtąd, ale dlatego, że to model obywatelski najlepszy do manipulowania w warunkach polityki Gierka, model na którym się pewnie nie zawiedzie i który może mu pozwoli spełnić obietnicę wygrzebania się z przesadnie kompromitującego nierządu poprzedniego cyklu bierutowsko-gomułkowego. Wtedy był inny model i pożądanym i faktycznym: osobnik niedokonsumowany, bez telewizji i bez syrenki, znacznie poniżej granicy osobistej godności i poniżej możliwości jakiegokolwiek zadowolenia, na zewnątrz kompromitujący i, jak się okazało, niebezpieczny. Tego Gierk naprawdę nie chce i za to byliśmy mu wdzięczni, zanim nie okazały się wszystkie aspekty jego reformy, które w tamtym stadium upodlenia trudno było od razu przewidzieć. Śląski model obywatela, którego szkółki i kultury powstają na naszych oczach w różnych stronach kraju jest doskonale manipulacyjny, nie zgłasza protestów, nurza się w rzeczywistości telewizyjnej, bez nerwowych odruchów czyta doksztalcające slogany na poboczu szos, u wejść do miast, na gmachach, w całej opanowanej przestrzeni: „Socjalizm gwarancją sprawiedliwości”, „Wszyscy w czynie lipcowym budujemy Drugą Polskę”, „Partia chroni honor narodu” i tak dalej i tak dalej, wiele z nich już całkiem bez sensu, jak automatyczny bełkot. Polakowi który stał się z dnia na dzień tylko ślązakiem, czy też ślązakiem, który raptem się stał aż Polakiem, nawet do głowy nie przychodzi, gdy czyta o zasługach partii, o humanitaryzmie

partii, o gospodarności partii, o partii jako panaceum na wszystkie kłopoty, że to jest styl rodem nie z tej ziemi, tylko sąsiedniej, z kultury politruków i że to jest drapieżna, świadoma absolutnej beznadziejności walka reżymu o popularność. Nie przychodzi mu do zaradnej głowy (bo spekulacje nie należą do jej stron silnych) że tylko reżym kompletnie pozbawiony zaufania i głęboko przeświadczony o swojej niepopularności mógł sobie wypracować ten styl rozpaczliwego dopominania się o uznanie. Bo nawet ślązak (umówmy się, że to termin konwencjonalny i szerszy niż odpowiedni rejon kraju), choć to gładko łyka, tonami czy kilometrami konsumuje — hasła są umieszczane na czerwonych wstęgach parumetrowej szerokości — to i do niego dydaktyka ta w istotniejszy sposób nie dociera, nawykł do niej, nie traktuje jej na serio, ale też nie zawraca sobie głowy krytycyzmem-sceptycyzmem.

5. Masa główna manipulacyjna Gierka dźwiga ciężar nowej małej stabilizacji numer 2 o rzeczywistości znacznie wyższym i solidniejszym poziomie niż stabilizacja gomułkowska numer 1, która w roku 1968 tak haniebnie trzaśła. Polak z fiacikiem, małowitrazowy Polak Gierka, nie jest godny pogardy, charakterystyka powyższa nie ma na celu obrażania ludzi tego typu, to by było fatalne nieporozumienie podważające moralną wartość mego artykułu, chodzi o co innego, o to, że jako model narodowy jest to zjawisko całkowicie niewystarczające, tragiczny pomysł nie na czasie. Tak jest, nie na czasie, bo choć wydaje się, że Gierk wkroczył w ostatnim momencie i wybranie czasu było jego silnym atutem, to tak to oceniać można tylko z punktu widzenia samego Gierka i jego polityki uwarunkowanej poprzednimi kryzysami, skadrowanej partyjnie i geograficznie. Dla nas, tych drugich, nie pozbawionych głosu i słuchu, stanowiących antytezę ślązaka, trzymających się zasadniczej miary narodowej bez tych uwarunkowań — zmiana substancjonalna Polski, owo wprowadzenia ślązaka jako typu decydującego — jest właśnie aktem dla którego gorszej pory wybrać nie było można. Gdyby ład śląski Gierka był tylko fazą i etapem, to można by go przyjąć nawet z pewną gorliwością, ale tak nie jest, to już dziś wiadomo, Gierk nabrał rozpędu, działa z przyśpieszeniem kuli śniegu nabierającej objętości, za jego dzisiejszą polityką nie stoi żadna następna, korygująca. Za ślązakiem nie ma wizji Polaka pełnego, z odzyskanym słuchem i mową, wydartego z przymusowej koniunktury i repatriowanego w swoją głębszą formę. Dla Gierka to nie faza i nie etap, tylko ideał, na co zgody być nie może; ów mały czy średniolitrazowy Polak byłby w każdych warunkach niebezpieczeństwem dla narodu starającego się zachować swoją tożsamość — w tych warunkach agonii jest czymś nie do znie-



sienia, katastrofą. Toteż gdy jeden z naszych dawnych kolegów, który wypadł z grona, napisał w artykule, że „nareszcie błakająca się przez dwa wieki sprawa polska przestała istnieć, co się stało za sprawą sił lewicy kierowanych przez partię klasy robotniczej” — to powiedzieliśmy mu poufale (pewni w tym wypadku bezkarności): nie, Wojtek, tak pisać nie można nawet w ostatnim stadium pozytywistycznego delirium, a gdy Wojtek dorzucił jeszcze do swego artykułu w postaci, bo ja wiem, epitalamium chyba: „O jakże cudowna, błogosławiona zmiana losu! — chciałoby się powiedzieć czerpiąc z ducha Żeromskiego” — wtedy porzuciliśmy udawaną żartobliwość i manieri koleżeńskie i oświadczyliśmy Wojtkowi, że mieszać do tego Żeromskiego absolutnie nie trzeba.

Mój Boże, jakże ciężko pisać. Próżno zaślaniam się cytatem z Defoe, konceptem metodologicznym: „Jest rzeczą równie rozsądną ukazać jakiś rodzaj uwięzienia przez inny, jak ukazać coś, co istnieje rzeczywiście przez co innego, co nie istnieje”. Owszem, od początku trzymam się tej metody, ale oto w miarę pisania zaciera się różnica między istniejącym a nieistniejącym, przeraża mnie realizm, czy nawet dosłowność opisywanej sytuacji, jakiś rodzaj donosicielstwa, który z tej szatańskiej gry przeziernia, cóż z tego, że ten publicysta o duszy skurczonej jak jądro zeschniętego orzecha — a jednak z odrobiną żalu i wyrzutów sumienia w środku — cóż z tego, że nie nazywa się on Wojtek tylko inaczej — wydaje mi się, że przesyłam do druku telefotograficzny portret dobrze w pewnych środowiskach znanego człowieka, czego nie chciałbym robić nie tylko ze względu na bezpieczeństwo zainteresowanych, ale również z tego powodu, że mierzi mnie publicystyka odwetowa, plotkarska, ujadanie zza granicy w stylu Tyrmanda czy Brychta, którego Tadeusz Nowakowski nazwał mannekin-pissem.

6. Nim przejdę do syntentycznego portretu Wojtki, jeszcze raz o tym co w poprzednich paragrafach mogło zakrawać na pogardę do ślązaka-technika czy do proletariusza: gdyby tak to ktoś odczytał, wieża tu wznoszona, z liter i obsesji, na gruncie niepewnym, mogłaby runąć zostawiając po sobie jak najpodlejsze wrażenie. Jesteśmy wszyscy, zaangażowani w te rozmowy, osobnikami czującymi prawdziwą życzliwość w stosunku do każdego człowieka nie zajmującego się fabrykowaniem kłamstw i nie podającego się za kogoś innego, niż jest w istocie, a więc także w stosunku do inspektora urządzeń kanalizacyjnych i do proletariusza. Nie ma mowy o pogardzie klasowej, bo stało się to już od dawna zwykłą kwestią przyzwoitości, bez względu na tyrady marksistów, które się od dawna przestarzały, jak większość ich sensacyjnie podawanych tez-taranów, którymi łomoczą w drzwi

otwarte wystawiając się na śmieszność — ale, z drugiej strony, nie ma też powodów podtrzymywania mitologii proletariackiej: gdybyż była przynajmniej szczerą, gdyby ją zdobiło przywiązanie do bajeczności, które dzieci i dorośli tak chętnie manifestują słuchając opowieści nieprawdopodobnych i czerpiąc stamtąd odżywcze witaminy zawarte w nęcącym nieprawdopodobieństwie! Ale nie, tu mitologia została kiedyś wymyślona przez zakompleksionych inteligentów sterujących ruchem, którzy stworzyli absurdalne i rytualne pojęcie „człowieka pracy” i chowali za plecy swoje niedość czarne ręce, co zresztą w tej fazie względnie szczerzej trwało niedługo, zaraz potem zorientowano się, że „człowiekowi pracy” trzeba po staremu przydzielić najgorsze roboty, ale za to wykorzystywać propagandowo — w ówczesnym zbałamuconym i łatwowiernym świecie — grubo szyty mit proletariatu, jako najwyższego dobra i celu samego w sobie. Chytre to przedsięwzięcie też się przestarzało i łomocze się nim w drzwi otwarte wystawiając się na śmieszność, jednak ruch bolszewicki nigdy nie miał najmniejszego poczucia śmieszności, to go niesłychanie ogranicza w doborze środków i jego chytre swego czasu przedsięwzięcia są już teraz tylko głupimi i humorystycznymi przedsięwzięciami, o czym wiadomo wszystkim prócz bolszewików, oni — jak przysłowiowy rogacz — najpóźniej się dowiedzą o zdradzie żony, o zdradzie i obróceniu się przeciw nim ich zdeaktualizowanej dialektyki propagandowej. Dlaczego działacz bolszewicki (w różnych lokalnych wersjach) to jest zawsze ktoś podobny na ogół do człowieka minus inteligencja i minus poczucie śmieszności — tego się chyba nigdy nie dowiemy mimo niezłej znajomości genealogii ruchu.

Gdy więc odpadają nieszczerze argumenty mistyczne w imię proletariatu jako celu samego w sobie, odpadają również powody dla których mielibyśmy się kłaniać w pas ogromnej masie ludzi o nierozwiniętej substancji człowieczeństwa — tylko dlatego, że los ich skazał i za caratu i za sanacji, i za Breżniewa, i za Gierka, na najgorszą część pracy, od której twardnieje skóra na rękach i nieodwołalnie — na ogół — twardnieją głowy. Nikt się już nie poddaje towarzyszącym tej złej sprawie trąbom i kadzidłom, gniew porywa za włosy, że coś równie symplackiego można jeszcze proponować; ideał równania w dół, do poziomu czarnoroboczych, czy do poziomu ślązaków z syrenkami — to ideał oburzająco niedołączny, to „sugestie diabelskie” jak brzmi tytuł świetnego utworu Prokofiewa, jeżeli wbrew ludowej tradycji można sobie diabła wyobrazić jako półgłówek. Nie ma w urządzaniu życia celu istotniejszego i ważniejszego jak kultura, tym reflektorem pomagam sobie w najtrudniejszych przejściach i tego reflektora nie wypuszczę z dłoni, zdaje mi się,



nigdy, choć w miarę starzenia się nie można ręczyć za chwytność stawów i sprawność kroków. Współczujemy masie, którą karmiłem mitem proletariackim, działającym jak trucizna hamująca możliwość wzrostu; ten mit odebrał proletariatowi i tłumowi techników konieczną do rozwoju wzdargę dla własnego czarnoroboczego środowiska, do swego skarlłowacenia kulturalnego i dał im pewność siebie przy pomocy nieco dostatniejszej konsumpcji. Wyjaśniliśmy chyba nieporozumienie, ryzyko nieporozumienia — co powiedziawszy należy stwierdzić, że masa ślązaków działa dziś na Polskę jak pewien rodzaj zarazy czyniącej swoje w zwolnionym tempie, zapewnia ona powoli całe święte naczynie zwane Polską, całe polskie cyborium. Wypierają, z niewinną, w subiektywnym znaczeniu, ale fatalną pewnością siebie ten drugi model Polaka, jak go tam jeszcze raz nazwać — nie ma nazwy dokładnej — Polaka z troską w sercu i książką w ręku, uczestnika potencjalnego i faktycznego naszych wielkich rozmów. A tylko ten jeszcze czujny wewnętrznie Polak może czekać na odmianę losu: w końcu żal niewysłowiony tej Polski zredukowanej do istoty i wyglądu tłumu.

7. Portret Wojtka i monografia nieprawdy: to ostatnie zakrawa na manię, ileż razy o tym pisałem, ale cóż, jeśli przy każdej, w dowolnym kierunku prowadzonej, analizie natykam się na łgarstwo jako praprzyczynę i jako bezpośrednią przyczynę parszywych tutejszych stosunków. Nie odstępujemy, przedyskutowawszy to jeszcze raz między sobą, od przekonania, niech sobie będzie to twierdzenie maniakalne, że w otaczającej nas sytuacji i zawartego w niej niebezpieczeństwa najgorsze jest kłamstwo. Gdyby kiedykolwiek Instytut *Kultury* zdecydował się wydać w książce moje korespondencje od wiosny 1968 roku, to proszę żeby w tytule książki zostało uhonorowane specjalnie mi drogie — jako przedmiot analizy i niekończącego się mego zdumienia — słowo łgarstwo, w ten czy inny literacki sposób wyeksponowane. W różnych okolicach, może na pustyni, może na wydmach wysp Pacyfiku, nie mam pod ręką książek żeby to sprawdzić, tego rodzaju zdumiewająco stałym czynnikiem fizycznym jest piasek, bezgranicznie drobny, w postaci pyłu, ale o ziarnach dostatecznie gryzących, przedostających się w każdą fałdę nie tylko ubioru, lecz i skóry, do oczu, pod paznokcie, nie mówiąc o ustach — i udaremniający większość prac; nic na nim się nie ostoi, żadnej sensownej konstrukcji nie udaje się tam wznieść i utrzymać. A mimo to — i tu się zaczyna porównanie — mimo to ludzie tam żyją, jedzą, uprawiają stosunki seksualne, budują sobie jakąś pełną rezygnacji formę dnia i całego życia. Była u nas taka książka, bardzo udana, pisarza japońskiego, który się chyba nazywał Kobo, pt. „Kobieta z wydmi”, gdzie wszystko się dzieje

jak wyżej naszkicowałem — po lekturze tej książki zostało uczucie wymacania jakiejś nieznannej i chyba ostatecznej miary. Jak każda dobra książka nie narzucała ona, swojej metaforyczności, można ją było czytać jako niesamowitą opowieść z dzikiej plaży japońskiej, ale co się kryło w zawartej tam, choć nikomu nie narzucanej, przenośni? Zapewne porównanie do cywilizacji powszechnej, filozofia losu i mniejsza o to, jaka: dla nas ten piasek jako czynnik stały, przenikający do każdej fałdy, jest aż za dobrą metaforą.

8. Druk jest najwygodniejszym, nie stawiającym żadnego oporu miejscem do rozprowadzania kłamstwa; gdy swego czasu znajdowano druk w celu służenia informacją, w odruchu kultu informacji, który jest dziś czymś zamierzczłym i encyklopedycznym, to nikomu zapewne nie przyszło do głowy, że prawie od początku będzie to wspaniały wynalazek przeinaczania informacji — dla analogicznych, tylko odwrotnych, celów kształtowania opinii przez polityków. Są wielkie akcje ochrony zagrożonego środowiska, ale nikt się nie pokusił — mniejsza, czy miałoby to szanse — nikt w ONZ nie spróbował zaprojektować ochrony prawdy, która jest znacznie ważniejszym środowiskiem dla człowieka niż woda, roślinność i cisza. Druk jest jednym z tych wynalazków o podwójnej funkcji: pełni rolę wyswobodzenia i zamknięcia w więzieniu.

Nasz kolega, który w nieco innych okolicznościach byłby jednym z najczynniejszych uczestników wielkich rozmów, Wojciech Maculewicz, wydrukował w zeszłym roku elaborat na polecenie, z takim finałem: „Racje i sądy, szczególnie o dużym znaczeniu polityczno-społecznym, choćby raz ujawnione, opublikowane, przestają być wyłączną własnością jednostki i służą lub przeszkadzają, przede wszystkim, perspektywie widzenia rzeczywistości. Inną też wtedy miarę otrzymuje zakres odpowiedzialności osobistej. To jest prawda zobowiązująca, choć istnieje niezaprzeczalne prawo jednostki do własnych racji i sądów. Dokonując wyboru określa ona tym samym stopień własnej ze społeczeństwem integracji oraz własny prywatny stosunek do moralnych i etycznych nakazów społecznych...”

W pewnej fazie zncęania się nad Wojciechem, gdy już elaborat mieliśmy w ręku, a on stał jak na cenzurowanym mieniac się na twarzy, jeden z nas wykrzyknął:

— Niech mnie szlag trafi, jeżeli w tym się nie mieści pogrózka!

Na próżno udawał zdziwienie i oburzenie, wykazaliśmy mu jednak czarno na białym co znaczy to podejrzewanie kogoś o gwałt na „poczuciu integracji ze społeczeństwem i waga pew-



nych sądów, które przestają być prywatne (mimo niezaprzeczonego prawa do własnych racji) a stają się kwestią odpowiedzialności społecznej, i na koniec służą lub przeszkadzają perspektywie widzenia rzeczywistości”.

— A co znaczy, Wojtek, ta perspektywa widzenia rzeczywistości? Przecież to po polsku krzywe, dęte i chyba nic nie znaczy. Nie mogłeś tego po ludzku napisać: możliwości realistycznej oceny? Albo bez obwijania w bawełnę: masz tu, autorze, jedną kazonną lunetę do oglądania rzeczywistości i nie waz się używać swojej, bo dostaniesz po palcach! Maculewicz, bój się Boga, gdzie twoje poczucie prawdy nie mówiąc już o poczuciu językowym, nie wspominając o subtelnym traktowaniu wzajemnych możliwości słowa i wyczeniu na ich wdzięk, elastyczność, związek semantyki z formą dźwiękową? Wiesz ty, Wojtek, że granice języka są granicami twego świata, czym bardziej maltretujesz swój język, tym bardziej swój świat ścieśniasz i po kawałku odcinasz? Nie tak dawno, Maculewicz, w IBLu kolegowaliśmy pełni nadziei i nicowaliśmy zagadnienie nieograniczonych możliwości mowy. A tu — siejesz trawę.

Tak, Maculewicz łął jak najęty, kłamał jak zatrudniony etatowo redaktor jednego z większych pism. Półtora roku temu wysliznęła się z maszyn drukarskich — wypnęła! — książka o Wrześniu, której autor (asekurowawszy się kilkoma uświęconymi a nic w jego rozumieniu nieznaczącymi frazesami, które przy następnym wydaniu można by bez śladu wyciąć) zrobił rzecz niesłychaną: o przedwojennej polskiej polityce i politykach, a więc o Becku i jego otoczeniu, napisał w tonie normatywnym i przyzwoitym, po prostu jak o ludziach z dobrymi czy złymi pomysłami, którzy często się odznaczyli dużą inteligencją i z punktu widzenia ówczesnej polityki zachowywali się całkiem do rzeczy. Nie, tego nie można było puścić płazem! Ton zwykły, wartościowanie obiektywne, a do tego punkt widzenia — jakże to można było strawić, tym bardziej że dzieło momentalnie znikło z półek, Polacy czytający mają instynkt niezawodny — wprowadzono wniosek że całe to wydarzenie było jednym wielkim chochlikiem drukarskim na kilkuset stronach i nie wykluczone, że w Wydawnictwie Poznańskim jedna czy dwie osoby musiały ponieść konsekwencje. A Moczulski, autor, tak niewiele właściwie postąpił na utartym szlaku „perspektywy widzenia rzeczywistości” — względność rozmiarów odwagi dopiero w warunkach takich jak polskie uderza oczy — po prostu odmówił pewnych rzeczy, odmówił użycia sztancy, przy pomocy której wykrawało się dotąd wszystkie osoby przynależne do rządów przedwrześniowych i rzekomo skażone immanentną przywarą podłości i głupoty — w odróżnieniu od osób reżymu bolszewickiego i jemu

podległych, gdzie nikt, choćby chciał, nic brzydkiego ani bezsensownego nie mógłby uczynić. Podział na czarne i białe charaktery został przez autora odrzucony: nie, powiedział, Rzymianie ustalili raz na zawsze że nieznamość prawa nie tłumaczy żadnego przestępstwa, tak samo w pisanych dziś książkach nieznamość logiki nikogo od jej praw nie uwalnia. Beck był ministrem polskim w polskim rządzie i nie mógł postępować na korzyść rządu dajmy na to Stalina, czy Bieruta, czy Gomułki, czy nawet Gierka, których nadejścia miał prawo jeszcze się domyślać i które go nie obowiązywało: więc chwalmy, jeżeli w miarę swoich ograniczonych możliwości postępował logicznie, zgodnie z obowiązkami urzędu, który pełnił, nawet jeżeli mu się w końcu rachunki nie zgodziły.

Napuszczony Wojtek Maculewicz napisał wtedy: „Jestem przekonany, że nie w subiektywnych, lecz obiektywnych czynnikach, przede wszystkim w uwarunkowaniach klasowych ówczesnej władzy państwowej, w organicznej niezdolności ustroju burżuazyjnego II Rzeczypospolitej, tkwiły istotne przyczyny słabości, samotności i klęski”. Po czym dodał swoje sławne epitalamium: „O jakże cudowna, błogosławiona zmiana losu! — chciałoby się powiedzieć czerpiąc z ducha Żeromskiego”.

— Fe! — powiedzieliśmy chóralnie. Wstydziliś się!

9. Mocniejsze uwagi staraliśmy się pokrywać podejrzaną pianką dowcipu i śmiechów — mój Boże, co w tych strasznych czasach człowiek by robił bez dowcipu, ileż on spełnia ochronnych, rekompensujących zadań! — chodziło o to, żeby Maculewicz nie poczuł się dotknięty definitywnie i żeby w jakimś momencie nie zdecydował się na przerwanie dyskusji, co byłoby dla niego najgorsze — w ten sposób wyciągnąłby spod siebie ostatnią deskę, na której stał w tym błocie, a my tego nie zyczyliśmy Wojtkowi i sobie. U nas tu inaczej się ocenia oportunizm, grawituje się na jego granicy, broni się straconych pozycji, żyje się w strefie dwuznaczności. Przecież on jest gotów z nami rozmawiać, byle to nie dezorganizowało jego rutyny redaktorskiej, codziennej pracy, kontaktów, mechanizmu różnych zapewnień: jak chcecie, daję do zrozumienia, to się możemy stykać na polu nie to że neutralnym, ale gdzieś w pół drogi, między jednym stanowiskiem a drugim, tak nam mówi, a wszyscy kapujemy, że to on tego chce a nie my: dla niego to uzupełnienie stanowiska o utrzymaniu specyficznie pojętej równowagi moralnej, to go trochę ożywia, hamuje w nim procesy całkowitego odwilgotnienia, czuje się jeszcze w pewnej mierze człowiekiem z wszystkimi słuzowymi gruczołami w porządku. Byłoby zadaniem filozofów badać do jakiego stopnia człowiek jest w stanie wierzyć jeszcze w swoje człowieczeństwo, mimo całego fałszu, który żyruje, mimo



świństw, które w dostojności swego zawodu popełnia, mimo ugrzęźnięcia w sytuacji, z której nie ma siły się wydostać: chyba te granice są bardzo oddalone i bardzo rozciągliwe, inaczej żyć by nie można zgodnie ze swoją przyrodzoną płaską miarą, która jest wypadkiem najpospolitszym w człowieczeństwie.

Wojtek Maculewicz należy do niezwykle ważnej kategorii ludzi w Polsce, o których się mówi: „to porządny chłop” — bo wiadomo, że odda dług i pomoże, gdy będzie w stanie, i potrafi serdecznie na ciebie popatrzeć, a nawet zadziwiać na twoją koryść w pewnych granicach. Maculewicz należy do tzw. ludzi porządných, którzy w nieco bardziej sprzyjających warunkach byliby nawet niezwykle porządni, a teraz są, owszem, bardzo porządni minus ta jedna rzecz: oportunistyczny, z którego potrafili uczynić nawet podporę i funkcję swojej powszechnie znanej przyzwoitości, ale który wbrew ich zamiarom działa zasysająco, wciąga w kolejne koncesje jak lej w zlew, kiedy to czyn powoduje czyn, a słowo drugie jeszcze mniej wartościowe słowo, co najlepiej widać na kompromitującym upadku stylu Maculewicza, kiedyś, gdy był młody, wielkiego wrażliwca w sprawach językowych i traktującego mowę w relacjach ontologicznych. Cóż z tego zostało? Jak się ten człowiek trzyma? Jest mały i suchy, lekko pochylony, z drobną twarzą dziecka zawczasu postarzałego, mógłby uchodzić w redakcji za gońca, bo jest także abnegat, amator kraciastych koszul bez krawata i dziwnych cyklistówek, jakich nikt nie nosi. Tymczasem żona jego, Jadzia, to kawał kobiety ze wszystkimi wymaganiami towarzysko-kosmetycznymi, to kawał baby zdenerwowanej połowicznym w istocie karierowiczostwem swego męża, który mógłby wyciągać całe kasztany z ognia, a wyciąga tylko ich część, powiedzmy sobie znaczną część, małą resztę zostawiając w ofierze swemu niecałkiem uspokojonemu sumieniu i nie rokującej żadnych szans przyjaźni z nami. Jadzia pilnuje, żeby ta nieszczęsna równowaga, jeżeli już inaczej nie można, została zachowana i żeby wątpliwe alibi jej męża nie było podważone.

Kłopotliwa sprawa, Wojciechu, bo byłeś nam miły, jeździłiśmy długie lata razem na ryby, na raki, byliśmy razem w IBLu, sprawa kłopotliwa, bo przecież poza tym wydajesz się człowiekiem normalnym, syczysz gdy się sparzysz zapałką, gdy lekarz uderzy cię młoteczką pod kolano, to ci noga skacze jak u każdego normalnie reagującego człowieka, tylko ze swoją maszyną do pisania nie możesz sobie dać rady, słuchaj, Maculewicz, czy ty w redakcji nie siedzisz czasem za blisko kaloryferów?

— Co to znaczy? — spytał blady.

— Ha, ha, co to znaczy! (krzykiem pokrywaliśmy obawę, że niebezpieczeństwo jest tuż). To znaczy, że Centralne Ogrzewa-

wanie wypacza metal czcionki, potrafi odkształcić kulkę ruletki, a cóż dopiero myśli i twoje słowa, które w ruch puszczasz na na chybił trafił. A jeżeli tej metafory z Centralnym Ogrzewaniem nie kapujesz, to tym gorzej dla ciebie.

Wojciech nie jest w swoim środowisku najgorszy, tkwi w nim przymieszka sumienia, a obok takich Wojciechów ileż tu byków krasych ze znakomitą samopoczuciem, którym się patoka leje spod piór, słowa są oczywiście marne i wypatroszone, sformalizowane w najgorszym sensie tego pojęcia, ale mają swoją potoczystość pozbawioną wahań, a twórcy ich ładnie, nawet estetycznie tyją. Symbiozy z reżymem nic w tych wypadkach nie ma: są oni pysznym uzupełnieniem ślązaka, Polaka małolitrażowego, dostarczają mu życia telewizyjnego i innych pozorów z zakresu gazetowego, wypełniają tak zwaną dotkliwą lukę i jeżeli przemiana substancjonalna Polski przybiera takie tempo, to nie tylko z powodu psychicznych dyspozycji tłumu zapewniającego naczyń, ale także dzięki tym dostarcicielom pożądanej nieprawdy. Kłamstwo jako instytucja publiczna kształtuje i rozwija model Polaka śląskiego, a paraliżuje wyciekające postawy Polaka z troską w sercu i z książką w ręku. W jednej klasycznej zapomnianej powieści francuskiej wyrwało mi się spod oczu, jak stado kuropatw spod nóg, uderzające w tych warunkach zdanie: *La tribu mercenaire des écrivains à tout faire!* Proszę zauważyć, że to brzmi jak werbel. *La tribu mercenaire des écrivains à tout faire! La tribu mercenaire des écrivains à tout faire!...* Można z tym iść krokiem marszowym, ale jak daleko? Z granic Polski się nie wyjdzie, bo wtedy wszystko straciłoby znaczenie, nawet te analizy i rozmowy, których nie ma.

10. Czymże jest wolność? Jedyne to, co obojętne, jest wolne, zaś to, co związane uczuciem, to co charakterystyczne — nie jest wolne nigdy, jest napiętnowane, zdeterminowane, pałace. W tym dziale wód tkwi samotny Wojciech Maculewicz, z którego drwić, widzimy to po niewczasie, nie mieliśmy żadnego prawa. On nie jest obojętny, jego oportunistyczny jest straszliwym przykładem napiętnowania, cały jest napiętnowany, charakterystyczny i zdeterminowany. Trzyma się pojęcia Polska zdradzając je w czynie. Trzyma się pojęcia socjalizmu — zdradzając je i szkalując w praktyce ogólnie funkcjonującego kłamstwa. My też się trzymamy pojęcia Polska, odmiennego, czekając i wykluczając możliwości działania, w czym Maculewicz nad nami góruje, bo taka już ludzka natura, że każde działanie wydaje się lepsze, bardziej dla człowieka naturalne, niż oczekiwanie.

PELIKAN



## Zapowiedzi wydawnicze

Na początku bieżącego roku ukaza się w „Bibliotece Kultury” następujące książki:

**CZESŁAW MIŁOSZ**

**GDZIE WSCHODZI SŁOŃCE I KĘDY  
ZAPADA**



**MICHAŁ HELLER**

**ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH  
A LITERATURA SOWIECKA**



**DEKLARACJA P R A W CZŁOWIEKA**

w językach:

białoruskim, czeskim, litewskim, polskim,  
rosyjskim, słowackim i ukraińskim.



**DWIE KSIĄŻKI AUTORÓW KRAJOWYCH**



Na początku lutego  
**27-my ZESZYT HISTORYCZNY**

## Georges Sorel marksizm jansenistyczny\*

### 1. Miejsce Sorela

W jakim znaczeniu pisarstwo Sorela jest częścią historii marksizmu? Sorel nie był uczestnikiem żadnego ruchu politycznego, który rościł sobie pretensje do duchowego spadku po Marksie. Wtrącał się wprawdzie do wszystkich wielkich polemik teoretycznych swojej epoki, ale wtrącał się z zewnątrz niejako, a strażnicy ortodoksji nie poświęcali mu wiele polemicznej uwagi. Stał na uboczu od swarów politycznych i waśni partyjnych. Nie uważał się też za ortodoksa i nie szczędził uwag krytycznych — nie marksistom tylko, ale Marksowi samemu, jeśli uważał to za ważne. Nie pisał traktatów o materializmie historycznym. Pozostała po nim niejasna smuga więzi z włoskim faszyzmem, który przez czas jakiś — ustami Mussoliniego i innych ideologów ruchu — ogłaszał za swego proroka. W dziejach ewolucji doktryny mógłby uchodzić za przypadkową ekstrawagancję. Zaczął literacką karierę, gdy z marksizmem nie miał nic wspólnego. W późniejszych dziejach doktryny jego nazwisko jest ledwo obecne.

Jednak w latach, gdy powstały najważniejsze jego pisma, Sorel nie tylko uważał się za marksistę. Wierzył, że potrafi wydobyc z filozofii Marksa jej rzeczywisty rdzeń — ideę wojny klasowej i ideę niezależności proletariatu i próbował własnego Marksa przeciwstawić całej bez wyjątku ówczesnej ortodoksji, rewolucyjnej i reformistycznej. Chciał być — bez powodzenia — Lutrem marksistowskiego ruchu, oplątanego, jak ongi Rzym-nierządnicą Babilońska w oczach niemieckiego reformatora, ko-

\* Jest to rozdział z przygotowywanej historii marksizmu. Usiłowałem bezskutecznie ogłosić go w czasopiśmie wydawanym w Polsce.



rupcją, walką o władzę i przywileje. Marzył o marksizmie czystym — moralnie i teoretycznie. Stworzył własny wariant marksizmu, wzbogaconego uzupełnieniami ze źródeł najrozmaitszych, ale wariant nie eklektyczny bynajmniej, lecz nadzwyczaj spoiisty wewnętrznie. Wywarł niewątpliwy wpływ na pierwszych ideologów komunizmu włoskiego, jak Antonio Gramsci, a także Angelo Tosca i Palmiro Togliatti.

Jednakże Sorel od innych współczesnych sobie marksistów nie tym tylko się różnił, że Marksa inaczej interpretował; i nie tym tylko, że go krytykował niekiedy, skoro zdarzało się to nawet takim fanatykom ortodoksji, jak Róża Luxemburg. Różnił się tym nade wszystko, że wszyscy ortodoksi uważali doktrynę Marksa za prawdę naukową w tym samym sensie, w jakim prawdą jest lub może być teoria kwantów lub teoria ewolucji. Dla Sorela natomiast prawda marksizmu była prawdą w pragmatycznym słowa znaczeniu. Marksizm jest prawdą, znaczy to, że jest on ideologiczną artykulacją ruchu, który może wyzwolić rodzaj ludzki i przynieść mu odmłodzenie. Jest prawdą, to znaczy jest jedynym i niezastąpionym narzędziem, które historia dała w ręce proletariatu, aby się nim posłużył, jeśli potrafi — lecz czy potrafi, tego Historia nie gwarantuje. Marksizm jest prawdą swego czasu w takim samym sensie, w jakim wczesne chrześcijaństwo było prawdą swojego. Jest nadzieją nowej młodości człowieczeństwa, nie zaś „naukowym” wyjaśnieniem dziejów, instrumentem skutecznego przewidywania, zbiorem wiarygodnych informacji o świecie. Innymi słowy — Sorel traktował marksizm jako narzędzie, które w tej oto epoce historycznej może najsukteczniej przyczynić się do wcielenia w życie zwierzchnich wartości człowieczeństwa; lecz same te wartości są niezależne od marksizmu, genetycznie i treściowo. Dlatego Sorel mógł nie zmieniać się, jeśli chodzi o owe naczelnne wartości, a mimo to zmieniać swój stosunek do marksizmu. Mógł być marksistą lub nacjonalistą i przechować wierność przewodniej idei, dla której marksizm był tylko historycznie względny instrumentem. Pod tym względem z pewnością nie był — nawet w okresie najgorliwszego oddania Marksowskiej filozofii — marksistą w tym znaczeniu, w jakim marksistą był Kautsky i Labriola, nie dlatego, że treść doktryny inaczej pojmował, ale że inaczej pojmował jej sens historyczny i że nie lękał się Marksa interpretować w świetle zasad, które sam był zaczerpnął ze źródeł zgoła odmiennych — od Proudhona czy Tocqueville’a, od Bergsona czy Nietzschego. Był też jednym z nielicznych, którzy próbowali formować marksizm stosownie do filozoficznego stylu epoki neo-romantycznej, pojmować go więc pragmatycznie, aktywistycznie, z naciskiem na okoliczności psychologiczne, z uznaniem dla samodzielnej roli tra-

dycji, w duchu radykalnie anty-pozytywistycznym i anty-racjonalistycznym.

Idee wielkości, godności, heroizmu, autentyzmu, dominują w jego myśleniu o sprawach społecznych, a rewolucja, proletariat, wojna klasowa są niejako historycznymi wcieleniami owych zwierzchnich wartości. Duch radykalizmu i nieprzejednania jest dla niego ważniejszy, niż treść tego, do czego ów radykalizm i owo nieprzejednanie się odnoszą. Sorel zdaje się aprobować w historii ludzkiej wszystko, co wyrasta z autentycznych gwałtownych pragnień, z bezinteresownej żarliwości, z wielkich podniet i wielkich nadziei. Stąd również chyli czoło przed wiarą religijną, o ile jest ona namiętnością, a gardzi religią, o ile jest scholastyką lub polityką, o ile skażona jest wyrachowaniem, duchem koncyliatorstwa, próbami racjonalizacji. Jest entuzjastą ruchu robotniczego, o ile widzi w nim ruch rewolty w imię wielkiego mitu odnowicielskiego, ale gardzi parlamentarnymi zabiegami, skromnością reformistycznych wysiłków. Odrzuca tradycyjny anty-klerikalizm socjalistyczny, o ile jest on płaszczyzną współpracy socjalistów z mieszczańskimi radykałami, ale także, o ile wyrasta z tradycji racjonalizmu XVIII-wiecznego, z optymistycznej wiary w ciągłość i nieuchronność postępu. Zwalcza nacjonalizm, skoro jest on próbą odebrania proletariatu jego absolutnej odrębności w świecie; ale gdy, zniechęcony do syndykalizmu, zwraca wzrok ku nacjonalistycznemu radykalizmowi, kieruje się tymi samymi motywami, które go uczyniły marksistą — spodziewa się, że może tam wyłoni się nadzieja przywrócenia światu jego młodości. We wszystkich walkach bardziej go interesuje heroizm wojowników, niż sama „słuszność” sprawy i niż zwycięstwo. Bardziej obchodzi go duch konkwistadorski proletariatu, niż widoki tryumfu socjalizmu. Jego akces do ruchu proletariackiego nie jest sojuszem z uciskanymi w imię poprawy ich losu, ale akcesem do fali dziejowej, która obiecuje odrodzenie wielkości. Żąda totalnej separacji duchowej proletariatu od całej kultury burżuazyjnej.

Źródła, które ukształtowały sylwetkę duchową Sorela są zadziwiająco rozmaite, a jednak w pisarstwie jego układają się w całość spójną. Przypuszczalnie jansenistyczne wychowanie zaszczerpiło w nim niechęć do wszelkiej optymistycznej wiary w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej, w łatwość tryumfu nad złem, w możliwość osiągania wielkich wartości niewielkim wysiłkiem; stąd pochodzi również jego pogarda dla jezuickiego koncyliatorstwa, ogólna postawa nieprzejednania, dążenie do radykalnej separacji sekty wybranych od całej reszty świata, odmowa kompromisów, myślenie wedle zasady „wszystko lub nic”. Stąd także przywiązanie do tradycji chrześcijaństwa *radykalnego*, to znaczy



chrześcijaństwa męczenników, stąd niewiara w automatyzm postępu.

Wykształcenie techniczne i praca inżynierska zakorzeniły w nim z kolei kult fachowości, odrazę do dyletactwa i próżnej retoryki, przekonanie o fundamentalnej roli produkcji (w przeciwieństwie do wymiany) w życiu społecznym i podziw dla kapitalizmu w jego formach zdobywczych, pierwotnych, bezlitosnych, pełnych energii i ducha ekspansji, nie skażonych filantropią i ugodowością.

Marks ukazał Sorelowi miejsce społeczne, w którym dojdzie do skutku nowa, odnowicielska rewolucja. Odkrył mu proletariata — wyraźnie wyodrębnioną klasę bezpośrednich *producentów*, zmuszonych do sprzedaży swej siły roboczej a noszących w sobie nadzieję totalnej rewolucji, która ludzkość wyzwoli. Idea rewolucji totalnej, którą proletariata *sam*, własnymi siłami i z własnej inicjatywy przeprowadzi, w całkowitym zerwaniu z resztą społeczeństwa, idea *wojny* klasowej, dosłownie pojęta idea zniesienia państwa, pogarda dla myślenia utopijnego — oto fundamentalne motywy sorelowskiego marksizmu.

Giambattista Vico dostarczył Sorelowi pojęcia, które miało wypełnić treść przyszłej rewolucji: pojęcia *ricorso*, cyklicznych powrotów ludzkości do własnych zapomnianych źródeł. Rewolucja proletariacka to miał być ów powrót do kolebki, przywrócenie człowieczeństwu pierwotnych wartości, żywych w moralności plemiennej.

Wpłynął na Sorela również Proudhon. Dzięki niemu Sorel pojmował socjalizm nade wszystko jako sprawę moralną, tj. sprawę wychowania nowego typu człowieka (etyka wytwórców). Proudhonowskie jest ujęcie proletariatu jako rodzaju pierwotnego plemienia, które zmuszone jest dzielić świat na siebie samych i całą resztę. Od Proudhona wywodzi się także waga, jaką Sorel przypisuje moralności rodzinnej i seksualnej w życiu społecznym. Podobnie jak Proudhon, Sorel nigdy nie charakteryzował socjalizmu w kategoriach *dobrobytu*, ale tylko w kategoriach *godności* i *sprawiedliwości*.

Bergson był dla Sorela najdoskonalszym filozoficznym ekspozycją tego stylu myślenia, który dominował w jego piśmiectwie. Z filozofii Bergsona wywodzi się przeciwstawienie intuicyjnej percepcji „globalnej” i myślenia analitycznego, które u Sorela jest uszczegółowione m.in. w przeciwstawieniu „mitu” i „utopii”. Bergson również dostarczył mu narzędzi pojęciowych dla przeciwstawienia naukowego determinizmu, połączonego z wiarą w przewidywalność procesów społecznych — idei spontaniczności nieoczekiwanej. Od Bergsona przejął także przekonanie o *niewyra-*

*żalności konkretnego*, które pozwoliło mu chronić swoją ideę „mitu” przed racjonalną argumentacją.

Wyraźnie Nietzscheańską tradycją zatrąca wreszcie u Sorela kult wielkości, nienawiść do wszelkiej miernoty, nienawiść do życia politycznego zdominowanego przez partyjne przetargi.

Wielcy pisarze liberalnego konserwatyzmu — Tocqueville, Taine, Renan — wpłynęli na Sorela bardzo silnie w pierwszym okresie jego piśmiectwa i pod pewnymi względami wpływ ten przechował się również w jego marksistowskiej fazie. Oni uczyli go trzeźwości politycznej, szukania interesów poza retoryką humanistyczną, oni pierwsi odsłaniali mu korupcję instytucji demokratycznych, oni wreszcie dostarczyli mu wiedzy o chrześcijaństwie pierwotnym, o Rewolucji i Ancien Régime.

Dzięki tej różnorodności natchnień, Sorel ukształtował pewien osobliwy twór ideologiczny, który rozbił tradycyjne zbiórki wartości, łącząc całkiem inaczej idee, aniżeli ktokolwiek przed tym. Sorel broni — jako marksista — pewnych wartości, które tradycyjnie związane były z ideologiami konserwatywnymi i prawicowymi: godności rodziny i małżeństwa, instynktownej solidarności plemiennej, honoru, wielkości tradycji, wielkości doświadczenia religijnego, świętości prawa ukształtowanego spontanicznie jako obyczaj.

Jako pisarz, Sorel należał raczej do gatunku apostołów, niż rezonerów. Nie dbał o spójność i zalety konstrukcyjne swego piśmiectwa; jego myśl zdaje się rozwijać bez z góry nakreślonego planu, niejako po omacku, lecz przewodnie tendencje i naczelną wartość przechowują się w niej bez zmiany. Lektura jego pism bywa uciążliwa — nie przez niejasność, ale przez brak literackiej spójności. Czasem na początku jakiejś rozprawy stawia pytania, o które mu chodzi, po czym rozwija myśl w kilku różnych kierunkach i w toku licznych dygresji, rozwlekłych cytacji, agresywnych polemik i gwałtownych wezwań zapominać się zdaje o właściwym przedmiocie. Był z pewnością znakomitym pisarzem, jak nikt z marksistowskich ortodoksów, lecz nie panował nad swoim talentem; brak dyscypliny logicznej i pasja polemiczna sprawiają, że niezwykle trudno jego pisma „streścić”; można jednak wyłowić kilka uporczywie powracających idei głównych. Brzozowski uważał tę żywiołowość stylistyczną i brak określonej z góry konstrukcji za wybitną zaletę Sorelowskiego piśmiectwa; sam był pod tym względem do niego podobny. Jest to rodzaj stylu, który niejako imituje twórczą ewolucję w rozumieniu Bergsona: rozwija się, napędzany pewną kierunkową tendencją, ale bez z góry wypracowanego celu.

Jeśli jednak nie-schematyczna myśl wymaga schematyzacji, to



w przypadku Sorela najstosowniej można taką schematyzację przeprowadzić, zestawiając po prostu najczęściej spotykane pary opozycyjne, wedle których rozwijał on swoje wywody. Oto taki zestaw, który po jednej stronie umieszcza idee, słowa i wartości przez Sorela piętnowane lub krytykowane i po drugiej te, do których sam się przyznaje:

|                                   |  |
|-----------------------------------|--|
| myślenie utopijne                 | marksistowski realizm historyczny                  |
| racjonalizm epistemologiczny      | Bergsonowska idea intuicji i myślenie „całościami” |
| racjonalizm w myśleniu społecznym | myślenie, traktujące na serio tradycję             |
| determinizm                       | spontaniczność                                     |
| wartość szczęścia                 | wartość godności i wielkości                       |
| socjalizm polityczny              | syndykalizm  |
| dylentantyzm                      | fachowość  |
| kult Wielkiej Rewolucji           | kult wczesnego chrześcijaństwa                     |
| reformizm                         | rewolucja  |
| wiara w postęp                    | woluntaryzm, idea odpowiedzialności jednostkowej   |
| polityka sojuszków                | całkowita separacja proletariatu                   |
| polityka i władza                 | produkcja i organizacja produkcji                  |
| optymizm                          | pesymizm   |
| intelektualiści i politycy        | proletariat  |
| partie polityczne                 | syndykaty czysto robotnicze                        |
| rewolucja polityczna              | strajk generalny                                   |
| utopia                            | mit  |
| demokracja                        | wolność  |
| moralność konsumentów             | moralność wytwórców                                |
| religia scholastyków              | religia mistyków i męczenników                     |
| dekadencja                        | ricorso, powrót do źródeł                          |
| nauki społeczne                   | mit aktywistyczny                                  |
| państwo                           | zrzeszenie wytwórców.                              |

Zestaw taki może się wydać dziwaczny wszystkim, którzy mają w pamięci stereotypy i bloki pojęciowe ukształtowane przez „klasycznych” marksistów. Jednakże u Sorela samego jego „blok” ma ostrze polemiczne całkiem wyraźne. Skierowany jest nade wszystko przeciw socjalistycznym politykom ówczesnym, przeciw wodzom Międzynarodówki, przeciw tym, którzy w jego oczach są tylko zgrają karierowiczów, usiłujących usadowić się na uprzywilejowanych pozycjach państwowych po odebraniu ich burżuazji. Zwłaszcza Jaurès jest dla Sorela wrogiem, którego ściga bez-

litośnie we wszystkich niemal pismach; on jest symbolem mieszczańskiego socjalizmu, który usiłuje ugłaskać burżuazję po to, by ugłaskać dzięki temu proletariat, zniszczyć ideę walki klasowej i zaprowadzić nowy system przywilejów w imię ogólnego pojednania.

## 2. Wiadomości biograficzne

Georges Sorel urodził się w 1847 roku w Cherbourgu, w rodzinie mieszczańskiej. Studiował w École Polytechnique i do roku 1892 pracował jako inżynier w Departamencie Mostów i Dróg. Pierwsze swoje pisma ogłosił na krótko przedtem nim przeszedł na emeryturę (*Le Procès de Socrate*, 1889; *Contribution à l'étude profane de la Bible*, 1889; *La ruine du monde antique*, 1888). Jednak dopiero ok. 1893 roku zainteresował się dziełem Marksa, a następnie anty-politycznym ruchem syndykalnym, który wyrósł po części z tradycji Proudhonowskich i anarchistycznych, a którego Fernand Pelloutier był najczynniejszym organizatorem. Rozprawa *L'avenir socialiste des syndicats* z 1898 roku (włączona później do zbioru *Matériaux d'une théorie du proletariat* (3-ie wyd. 1919) była pierwszą próbą teoretycznego uogólnienia doświadczeń ruchu syndykalnego, rozwijającego się niezależnie, a nawet wbrew partiom socjalistycznym. W latach 90-tych Sorel współpracował z pismami *L'ère nouvelle* i *Devenir social* (gdzie m.in. ogłosił w 1895 i 1896 studia o Durkheimie i o Vico). Bronił aktywnie sprawy Dreyfusa, ale po jej zakończeniu odczuwał rodzaj niesmaku, widząc, że socjalistyczni „dreyfusardzi” wykorzystują całą aferę dla celów czysto partyjnych. Do pewnego stopnia dzieło Bernsteina pobudziło go do krytyki ortodoksji, lecz rychło własna jego krytyka poszła w całkiem innym kierunku (zachował jednak, mimo zasadniczej wrogości do reformizmu, szacunek i uznanie dla Bernsteina; uważał go za krytyka uczciwego, który chciał nade wszystko pokazać socjalistom niemiec- kim, że ich rewolucyjne programy nie mają nic wspólnego z ich rzeczywistą polityką — pod czym Sorel bez zastrzeżeń się podpisywał). Stopniowo jął atakować coraz gwałtowniej partyjny ruch socjalistyczny, demokrację parlamentarną i to, co nazywał socjalizmem politycznym w odróżnieniu od syndykalizmu. Najważniejsze marksistowskie pisma Sorela zawarte są w książkach: *Réflexions sur la violence* (1908, uzupełniane w następnych wydaniach), *Les illusions du progrès* (1908), *Matériaux d'une théorie du proletariat* (1908, zbiór rozpraw z różnych lat, poczynając od 1898), *La Décomposition du marxisme* (1908). Pierwsze dwa dzieła były uprzednio drukowane częściami w piśmie *Mouvement*



*socialiste* redagowanym przez Huberta Lagardelle. Czwarte wydanie *Réflexions sur la violence* z 1919 roku zawiera dodatek z entuzjastyczną apologią Lenina i przewrotu bolszewickiego w Rosji (sam Lenin nie interesował się Sorelem; wspomina o nim raz zdawkowo i z pogardą).

Z czasem jednak stracił Sorel nadzieje, które wiązał z syndykalizmem francuskim; liczył jednak na to, że podobny ruch może rozwinąć się i zwyciężyć we Włoszech. Z krajem tym od dawna łączyły go bliskie kontakty; pisywał do wielu socjalistycznych czasopism włoskich od 1898 roku, interesował się kulturą umysłową Włoch (artykuły o Vico, o Lombroso), książki jego ukazywały się we włoskich przekładach, a wybitni włoscy teoretycy (Croce, Pareto) komentowali je z sympatią lub atakowali (Labriola). W 1910 roku Sorel jednak doszedł do wniosku, że syndykalizm ponad miarę został skorumpowany przez wpływy reformistyczne; zwrócił wtedy nadzieje ku ruchom nacjonalistyczno-radykalnym francuskim i włoskim i przez czas jakiś współpracował z *Action Française*. Grupy włoskie narodowo-syndykalistyczne, z których wyrósł po części ruch faszystowski były pod jego wpływem. Zarówno w początkach ruchu faszystowskiego, w 1912, jak i później, po wojnie w 1919, Sorel manifestował swoje sympatie dla faszyzmu, który mógł, w jego przekonaniu, zwiastować odrodzenie społeczne, ujęte w formę mitologii narodowej; z tego samego punktu widzenia witał entuzjastycznie rewolucję bolszewicką w Rosji, w której widział także odwrót od „okcydentalizmu” i powrót do narodowych źródeł moskiewskich. Faszyści włoscy, już po zwycięstwie, niejednokrotnie czcili Sorela jako swego patrona duchowego, lecz były to czysto werbalne hołdy; rzeczywista ideologia faszystowska rozwijała się w innym kierunku i miała usprawiedliwić nade wszystko brutalny gwałt autorytatywnych rządów — a więc to właśnie, czego Sorel nienawidził szczególnie. Pierwsze pismo komunistyczne włoskie *Ordine Nuovo*, redagowane przez Gramsciego w Turynie od 1919 roku uważało jednak Sorela za ideologa proletariatu.

Sorel umarł w 1922 roku w Boulogne-sur-Seine, gdzie od lat mieszkał. Od końca lat 20-tych jego idee nie miały już faktycznie żadnego wpływu w żadnym z odłamów ruchu socjalistycznego ani w Międzynarodówce Komunistycznej.

### 3. Racjonalizm przeciw historii. Utopia i mit. Krytyka Oświecenia

To, co Sorel zwalcza pod mianem racjonalizmu, nie jest jedną

określoną tezą filozoficzną, ale postawą umysłową, która, jego zdaniem, rozpowszechniła się dzięki doktrynie Kartezjusza, rozkwitła w salonach oświeceniowych i wywarła także zgubny wpływ na interpretacje współczesne marksizmu. Racjonalizm polega na tworzeniu pewnych uproszczonych, wyspekulowanych modeli, które następnie zastępują w myśleniu zawiłe realności świata. Przykładem racjonalistycznych konstrukcji są wszystkie symplifyczne teorie natury ludzkiej, które ujmują człowieka jako zbiór pewnych stałych, ogólnych jakości i typów zachowań, pomijając całkowicie wszystkie okoliczności historyczne, wpływające na faktyczne zachowania ludzkie. Racjonałiści zwykli redukować społeczeństwo do wymyślonego powszechnika „człowieka”, co ułatwia im niesłychanie zadanie, kiedy snują dowolne rozważania na temat społeczeństwa doskonałego i budują utopijne fikcje przyszłości, wolnej od konfliktów, przypadkowości, sprzecznych dążeń. Nie ustrzegł się i Engels od tego myślenia, u niego bowiem także „świat sprowadza się do jednego człowieka”. Racjonałiści wyobrażają sobie także, że racjonalne motywacje rządzą wszystkimi zachowaniami, stąd niezdolni są dostrzec zawiłości psychologicznych, wielości konfliktowych motywów współdziałających w życiu, ogromnej wagi tradycji i obyczaju, biologicznych, a zwłaszcza seksualnych okoliczności w rozwoju społecznym. Tak, na przykład, Wielka Rewolucja jest dla racjonalistów tryumfem idei nad rzeczywistością historyczną, gdyż nie potrafią oni ujawnić wielości sił, w szczególności również plebejskich, które podmywały *Ancien Régime*. Racjonalizm jest formułą myślenia ułatwionego, redukcją świata do najprostszych schematów, zaczerpniętych z rozumowań prawniczych, które w naturalny sposób sprowadzają ludzi do jednostek jurysdycznych. Historia utopii komunistycznych jest pełna racjonalistycznych przesądów, toteż utopie te faktycznie nigdy nie zagrażały panującym systemom władzy. Racjonalizm przy tym nie jest bynajmniej tym samym, co myślenie naukowe — ta właśnie konfuzja, słusznie zwalczana przez Pascala, zrodziła się pod wpływem kartezjanizmu. Kartezjanizm był metodą, która czyniła naukę czymś dostępnym dla konwersacji salonowej i stąd jego powodzenie. Podobnie jak scholastycy, Kartezjusz ustawił między człowiekiem a rzeczywistością pomysłowe, upraszczające maszyny, które uniemożliwiają właściwy użytek inteligencji. Dał w ręce niedokształconych światowców łatwe środki, które pozwalały im, bez żadnego fachowego przygotowania, rozmawiać w salonach o nauce na tej zasadzie, iż „naturalne światło” uzdolnia każdego do wyrokowania o wszystkim. Oświeceniowi pisarze przejęli ten styl, gdyż dla Condorceta, podobnie jak dla Fontenelle’a celem nie było uczenie fachowców, przygotowanych do pracy w rolnictwie



lub przemyśle, ale salonowych dyletantów. Cała ideologia dominująca XVIII-go stulecia była ideologią ludzi, którzy byli na usługach monarchii; filozofowie odgrywali rolę błaznów na dworach królewskich („kozerzy, handlarze satyrami lub panegirykami a zwłaszcza błazny zdegenerowanej arystokracji” — oto generalna charakterystyka ideologii oświeceniowej u Sorela). Diderot tłumaczył, że w naturze nie ma nic więcej, jak popęd samozachowawczy i rozrodczy, aby w ten sposób usprawiedliwić związkowość obyczajową salonów; współcześnie darwinizm używany jest do tych samych celów. Encyklopedia nie przyczyniła się do rozwoju żadnej nauki, była niczym więcej jak zbiorem dyletanckich wiadomości przeznaczonych na użytek światowej konwersacji. Komunistyczne fantazje oświeceniowych pisarzy nikomu nie szkodziły, niebezpiecznie było krytykować nadużycia w kopalni, ale wychwalać komunizm, głosić teorie prawa naturalnego, sławić cnoty republikańskie czy zwalczać tradycje w imię rajskich utopii — wszystko to monarchia mogła strawić bez obaw.

W rzeczy samej literatura utopijna, od Platona poczynając, jest typowym, bezpłodnym produktem racjonalistycznych złudzeń. „... Poczynając od Renesansu, utopie stały się gatunkiem literackim, który, do skrajności uproszczając kwestie ekonomiczne, polityczne i psychologiczne, wywarł zgubny wpływ na formowanie się ducha rewolucjonistów” (*Materiaux*, 3 ed., 26). Jałowość utopii polega na tym, że zakładają one niezróżnicowane pojęcie abstrakcyjnego osobnika ludzkiego, wolnego od wpływu całej tradycji historycznej, od religii, od obyczajów dziedzicznych, od określoności narodowych, biologicznych i psychologicznych i budują imaginacyjne państwa z takich osobników złożone; szkodliwość utopii polega z kolei na tym, że zwracają się one z apelami do klas uprzywilejowanych, licząc na ich rozsądek, oświecenie czy filantropię i osłabiają w ten sposób rozumienie walki klasowej wśród proletariatu. Marksizm jest bliższy burżuazyjnej ekonomii manchesterskiej, aniżeli pisarstwu utopijnemu, jest bowiem realnym spojrzeniem na społeczeństwo rozdarte walką klasową, której złagodzić ani uniknąć nie można. Pewne naiwności utopijne, które u Marksa się zdarzają — np. w *Krytyce Programu Gótajskiego* — niezgodne są z duchem marksizmu, który nie odwołuje się do powszechnego uczucia sprawiedliwości, nie stara się układać społeczeństwa w logicznie uporządkowany schemat, ale wszystkie faktyczne siły działające w dziejach bierze pod uwagę w całej ich złożoności. Dzięki marksizmowi socjalizm zrywa z myśleniem utopijnym. Nie chce być więcej „naukowym” planem przyszłego społeczeństwa, nie chce zastępować burżuazji w myśleniu o organizacji produkcji gdyż burżuazja sama zajmuje się tym lepiej; chce być ideologią radykalnej wojny klas.

Zamiast więc budować abstrakcyjne projekty doskonałego ustroju, należy raczej rozważać, w jaki sposób formowały się żywiołowo w dziejach instytucje społeczne i objaśniać ich sens całością produkcyjnych i psychologicznych warunków. Tak właśnie czynił Savigny, który racjonalistycznej doktrynie umowy społecznej przeciwstawił historyczne badanie prawa powstającego zrazu jako lokalny obyczaj i nawarstwiającego się stopniowo w toku kolejnych adaptacji. Utopiści pisali z łatwością konstytucje dla wszystkich ludów świata, ponieważ historia rzeczywiście niewiele ich obchodziła; ale marksizm jest właśnie analizą rzeczywistych, nie zrjonalizowanych procesów dziejowych.

W *Rozważaniach o przemocy* Sorel poświęca specjalną uwagę tym stronom życia społecznego, które najbardziej opierają się racjonalizacji i tworzą niejako warstwę tajemnicy w całym rozwoju społecznym, a zarazem rozstrzygają o tym rozwoju bardziej niż inne, podlegające racjonalizacji. W *moralności* jasne i racjonalne warstwy odnoszą się do *stosunków wzajemności*, podobnych do wymiany handlowej, podczas gdy dziedziną ciemną jest *życie seksualne*, które bardzo trudno sprowadzić do prostych formuł. W *prawodawstwie* łatwo jest zrjonalizować wszystko to, co odnosi się do *umów i długów*, ale najtrudniej kwestie *rodziny*, które wywierają wpływ na całość życia społecznego. W *ekonomii* dziedziną jasną jest *wymiana handlowa*, ciemną zaś — *produkcja*, która ostatecznie jest decydująca, a w której działają różne lokalne, historycznie zakorzenione tradycje. Racjoniści ponoszą porażkę, ilekroć owe ciemne, jakościowo zróżnicowane, historycznymi przypadkami uformowane strony życia usiłują zredukować do prostych formuł prawnych. Rzeczywiste życie historii bardziej przypomina sztukę, aniżeli przejrzystą konstrukcję logiczną.

Przeciwstawienie umysłowości racjonalistycznych i historycznie zorientowanych jest niemal tym samym, co przeciwstawienie *optymizmu* i *pesymizmu*. Oba te słowa odbiegają od potocznego sensu. Optymistami są Sokrates, jezuita, oświeceniowi filozofowie, ideologowie rewolucji francuskiej, utopiści, wyznawcy wiary w postęp, politycy socjalistyczni, Jaurès; pesymistami są wcześni chrześcijanie, protestanci, janseniści, marksści. Pierwsi wierzą, że zło świata pochodzi z niedostatków prawodawstwa i oświecenia, z braku uczuć humanistycznych; są przeświadczeni, że reformy prawne z łatwością doprowadzą do raju na ziemi, a gdy przychodzi do działań, opartych na tych iluzjach, uciekają się do terroru, który ma zastąpić znajomość realnych zależności społecznych — jak to właśnie czynili przywódcy rewolucyjni. Pesymiści nie myślą o żadnej wszechwyjaśniającej teorii świata, która by doń wprowadziła racjonalny porządek; są świadomi wąskich gra-



nic, w jakich poruszają się nasze projekty społeczne, granic wyznaczonych ciężeniem tradycji, słabością ludzką, ułomnością wiedzy. Widzą też powszechną zależność wszystkich stron życia, stąd traktują społeczne warunki jako całości związane, których częstokroć nie podobna naprawić, a można tylko się starać jednorazowo znieść w katastroficznej eksplozji. W Grecji pesymizm był ideologią wojowniczych plemion górskich, ubogich, dumnych, nieustępliwych, przywiązanych do tradycji, optymizm natomiast — wiarą handlowych prosperujących miast. Pierwotne chrześcijaństwo było przeniknięte pesymizmem, nie wierzyło bowiem, by wysiłek ludzki mógł naprawić doczesny świat i w nieustępliwym zamknięciu oczekiwało katastrofy drugiego przyjścia. Protestantyzm był próbą odnowienia pesymizmu chrześcijańskiego, lecz upadł gdy ją naśladował humanizm renesansowy i w końcu pogodził się z jego wartościami. Pesymizm autentycznego marksizmu wyraża się w tym, że marksizm nie wierzy w żadne automatycznie działające prawo postępu, w łatwość narzucenia światu wymyślonych dowolnie konstrukcji szczęścia powszechnego, w naprawę świata przez stopniowe reformy. Marksizm jest katastroficznym wezwaniem, które świadomość proletariatu organizuje nie w utopijnych programach, ale w *micie*.

Mit nie jest rodzajem utopii, lecz jej dokładnym przeciwieństwem. Mit nie jest żadnym opisem przyszłej rzeczywistości doskonałej; jest tylko perspektywą ostatecznej walki. Jego wartość nie jest poznawcza w przyjętym rozumieniu słowa, gdyż mit nie jest przewidywaniem naukowym; jest siłą organizującą walczącą świadomość zamkniętej grupy. Mitem proletariatu jest *strajk generalny*. Mit jest jedynym narzędziem, które pozwala walczącej grupie zachować solidarność, heroizm, ducha poświęcenia. Jest stanem świadomości, która oczekuje i przygotowuje jednorazową, gwałtowną zagładę istniejącego świata, nie w ten sposób jednakże, by przeciwstawiła mu jakąś gotową konstrukcję przyszłego raj. W odróżnieniu od utopii, mit ma nade wszystko funkcje negatywne. W odróżnieniu od utopii również, mit pojmuje istniejący świat jako wewnętrznie związaną całość, która tylko jako całość może być zniszczona; jest więc duchem opozycji totalnej i właśnie dlatego nie może być krytykowany tak, jak mogą być krytykowane projekty reformatorskie czy plany przyszłego społeczeństwa. Wymaga akceptacji totalnej lub totalnego odrzucenia, a wyznawca mitu jest obojętny na argumenty, które by miały przemawiać przeciw jego wykonalności. Utopie są *projektami* przyszłości, tak zwane nauki społeczne usiłują — w złudzeniu — przyszłość *przewidywać*, ale mit jest aktem *tworzenia* bez przewidywania. W *micie* generalnego strajku zawiera się *cała* idea socjalistyczna, to znaczy całość samowiedzy proletariatu,

który radykalnie wykracza poza istniejące społeczeństwo, z nikim nie szuka sojuszu, od nikogo nie oczekuje pomocy, chce z maksymalną ostrością zaznaczyć swoją totalną obcość względem dzisiejszego świata. „Wyniki te nie dają się osiągnąć w sposób pewny przez użycie zwykłego języka; należy posłużyć się zbiorem obrazów, które, *wyłącznie przy pomocy intuicji* i zanim przeprowadzi się jakiegokolwiek analizy, zdolne są wywołać, jako niepodzielną całość, masę uczuć odpowiadającą różnym przejawom wojny, jaką wieździe socjalizm przeciw nowoczesnemu społeczeństwu. Syndykaliści rozwiązują ten problem doskonale, koncentrując całość socjalizmu w dramacie strajku powszechnego; nie ma już wtedy miejsca na godzenie przeciwieństw w profesorskich dwuznacznościach” (Refl. r. 4, str. 123). Mit nie jest „myśleniem” o przyszłości, ani jej planowaniem, żyje w teraźniejszości, ale formuje ją: „Mit należy osądzać jako środek oddziaływania na teraźniejszość; nie ma sensu żadna próba dyskusji nad tym, do jakiego stopnia można go pojmować dosłownie jako przysłą historię. *Tylko mit jako całość jest ważny*; części jego o tyle tylko mają znaczenie, o ile odsłaniają główną ideę” (*ib.* str. 126).

Jak widać Sorel, dopóki krytykuje racjonalizm kartezjańskiej czy oświeceniowej proveniencji, nie przeciwstawia mu wyraźnie irracjonalistycznego punktu widzenia, ściga bowiem racjonalistyczne złudzenia jako przejaw dyletantyzmu historycznego i próbę wymijania konkretów społecznych na rzecz wyspekulowanych i spójnych modeli. Z chwilą jednak, gdy społecznemu projektowaniu przeciwstawia akt mitotwórczy, jego krytyka nie jest już atakiem rozumu historycznego przeciw apriorycznym abstraktom, ale atakiem sentymentu przeciw rozumowi analitycznemu w ogóle. Mit jest całością nierozkładalną i nawet niewyraźną, może być ujęty tylko w jednorazowym akcie intuicyjnej percepcji, takiej, jak ją Bergson opisał. Akces do mitu nie jest aktem *rozumienia*, jest tylko wyrazem *gotowości do działania niszcycielskiego*. Jako taki, mit oporny jest na argumentację, dyskusję, próby kompromisu. Jest radykalnie *anty-intelektualny*. Zauważyć przy tym należy, że jest to anty-intelektualizm bardziej radykalny, aniżeli bergsonowski. Bergson bowiem rozumu analitycznego bynajmniej nie piętnował jako źródła dekadencji; wyznaczał mu tylko granice stosowalności jako instrumentowi technicznej manipulacji — równie dobrze w opisie rzeczywistości fizycznej, jak społecznej. Dlatego w perspektywie Bergsona racjonalne i analityczne myślenie o sprawach społecznych nie jest bynajmniej bezwartościowe, chociaż nie może objąć i zrozumieć nieciągłości historycznych, wynikających ze spontanicznej twórczości. W rozumieniu Sorela natomiast wiara mityczna ma *zastąpić* całkowicie wiedzę społeczną, a wszystkie działania praktyczne mają być podporząd-



kowe oczekiwaniu nieokreślonej i zasadniczo nieopisywalnej apokalipsy. Immunizując mitologię przeciw wszelkiej racjonalnej krytyce Sorel tedy usprawiedliwił niejako z góry ruch społeczny programowo odwołujące się do irracjonalnych „instynktów” i pod tym względem jego recepcja faszystowska nie jest oparta na pomylce, natomiast związek z marksizmem zdawać się musi przypadkowy.

#### 4. *Ricorsi. Separacja klas. Nieciągłość kultury*

Jakkolwiek mit Sorelowski jest organem negacji istniejącego świata w imię przyszłej katastrofy, ma on także pewne zakorzenie w przeszłości — ale nie podobne do mitów religijnych. Jest także *powtórzeniem* czegoś, co już było, mianowicie jest odmłodzeniem świata przez zerwanie więzi z całym osadem kultury panującej. Jest *ricorso* w sensie, w jakim Vico nadał temu słowu. *Ricorsi* zdarzają się, gdy dusza ludu powraca do stanu pierwotnego, gdzie wszystko jest instynktowne, twórcze i poetyckie w społeczeństwie, jak w epoce pierwotnego chrześcijaństwa lub u schyłku średniowiecza. Rewolucyjny syndykalizm przyniesie światu taki właśnie rodzaj uniwersalnego renesansu, biorąc za punkt wyjścia proletariata jako enklawę całkowicie odseparowaną od reszty społeczeństwa.

Na ten ostatni punkt Sorel kładzie szczególny nacisk. Jednakże sens owej separacji i niezależności proletariatu jest inny, aniżeli u ortodoksów. Ortodoksja rewolucyjna Drugiej Międzynarodówki zawsze podkreślała konieczność wyraźnej odrębności proletariatu. Chodziło wszelako o odrębność *polityczną*, o samodzielność *partii* robotniczych, o to, że ruch robotniczy ma rozwijać się stosownie do własnych interesów i wiedzy własnymi celami. Separacja taka ani w rozumieniu Kautsky'ego, ani Róży Luxemburg, ani nawet Lenina i Trockiego nie wykluczała bynajmniej taktycznych sojuszów z nie-proletariackimi partiami w określonych okolicznościach i nie oznaczała zerwania więzi z istniejącą kulturą, to znaczy zakładała *implicite*, że w zasobie kulturalnym istniejącego społeczeństwa istnieją dobra ogólnoludzkie, które socjalizm nie tylko jest w stanie sobie przyswoić, ale których on jeden będzie prawowitym dziedzicem.

Lecz w sensie Sorela separacja nie oznacza politycznej odrębności partii robotniczych, albowiem był on wrogiem partii jako takich i uważał je za swoisty wyraz społeczeństwa mieszczańskiego. Partia oznacza w sposób naturalny i nieuchronny podporządkowanie proletariatu zawodowym politykom i nie tylko nie może

przyczynić się do wyzwolenia proletariatu, ale może tylko wyzwolenie to skutecznie udaremnić, a najwyżej zastąpić jedną tyranię przez inną, sprawowaną przez funkcjonariuszy partyjnych, mówców parlamentarnych i kluby dziennikarskie. Nadzieją proletariatu nie są partie i nie są także związki zawodowe walczące o doraźną poprawę warunków proletariatu, ale *syndykaty rewolucyjne*, programowo apolityczne, obojętne na wszelkie rozgrywki parlamentarne, odmawiające udziału w burżuazyjnej grze, walczące nade wszystko o ugruntowanie świadomości i solidarności robotników *w imię totalnego przewrotu*. Ruch syndykalistyczny (lub: anarcho-syndykalistyczny, jak się zwykło mówić) rozwinął się w latach 90-tych we Francji, nieco później we Włoszech i w Hiszpanii i tylko w niewielkim stopniu w Niemczech. Jego charakterystyczną cechą — zgodnie z tradycją ideologii Proudhonowskiej — była całkowita negacja działalności politycznej, odmowa udziału w jakichkolwiek instytucjach burżuazyjnego społeczeństwa i podporządkowanie ekonomicznej walki proletariatu przyszłej rewolucji, która nie ma jednak istniejących instytucji politycznych i państwowych zastąpić innymi, ale znieść je całkowicie na rzecz zrzeszeń wytwórczych, rządzonych wyłącznie przez pracujących robotników i powiązanych w luźną federację. Marks uważał tego rodzaju pomysły za drobnomieszczańską utopię, tłumacząc, że samorząd robotniczy sam przez się nie jest w stanie znieść prawa konkurencji i anarchii produkcyjnej i że Proudhonowski ideał, gdyby mógł zostać zrealizowany, przywróciłby niezwłocznie wszystkie klęski kapitalizmu związane z akumulacją i anarchią. Jednak Sorel w ruchu syndykalnym widział jedyną nadzieję realnego zwycięstwa proletariatu. Nie był sam działaczem tego ruchu (zgodnie zresztą z własną zasadą, wedle której intelektualności z klas średnich mogą tylko zawadzać organizacjom robotniczym), ale jego z zewnątrz stojącym ideologiem.

Otóż ruch syndykalny ma dążyć do tego, by ugruntować w klasie robotniczej świadomość całkowitej obcości względem mieszczańskiego społeczeństwa, zerwać wszelką moralną i intelektualną więź z mieszczańską kulturą, nie brać udziału w partyjnych i parlamentarnych rozgrywkach, nie dopuszczać do zwierzchnictwa ideologów i mówców parlamentarnych, zachować czystość proletariacką. Proletariat nie wyzwoli się nigdy, jeśli będzie usiłował konstytuować się na wzór burżuazji; jego pierwsza reguła polega na tym, by „zachować wyłączność robotniczą, tj. wyłączyć intelektualistów, których kierownictwo przyniosłoby w wyniku odtworzenie hierarchii i rozbicie pracujących” (*Matériaux*, str. 132). Chodzi jednak nie tylko o organizacyjną czystość, ale bardziej jeszcze o czystość duchową. „Toteż przyjaciele moi i ja nie ustajemy w wysiłkach, by skłonić klasę robot-



niczą, iżby nie dała się wciągnąć w koleiny burżuazyjnej nauki lub filozofii. Wielka zmiana nastąpi w świecie z dniem, gdy proletariat — podobnie jak to uczyniła burżuazja po rewolucji — przyswoi sobie poczucie, że zdolny jest myśleć stosownie do swoich własnych warunków życia” (*Illusions*, str. 135). Podstawą nowej kultury proletariackiej będzie praca. „... praca może służyć za podstawę kultury, która sprawi, że nie trzeba będzie żałować kultury burżuazyjnej. Wojna, jaką musi proletariat prowadzić przeciw swym panom może, jak wiadomo, rozwinąć w nim uczucie wzniosłości, którego kompletnie brak dzisiaj burżuazji... Wszystkie nasze wysiłki muszą zmierzać ku temu, by nie dopuścić do zatrucenia klasy wstępującej ideami burżuazyjnymi; toteż nigdy nie dosyć będzie pracy nad złamaniem wszystkich więzi między ludem a literaturą XVIII wieku” (*ibid.*, str. 285-286). Filozofia nowej szkoły jest, jak Sorel pisał, „filozofią ramion”, nie zaś „filozofią głów” (*Décomposition*, str. 60), chce bowiem, by klasa robotnicza pojęła, że cała jej przyszłość leży w wojnie klasowej. Filozofia ta tworzy się żywiołowo, rewolucyjny ruch syndykalny powstaje dzięki wysiłkom ludzi, których znajomość marksizmu jest bardzo słaba. Wyraża ona jednak najprawdziwszą potrzebę klasy wytwórców, bez niej bowiem proletariatowi grozi ten sam los, co starożytnym Germanom, którzy podbiwszy cesarstwo powstydzili się swego barbarzyństwa i jęli sobie przyswajać dekadencją kulturę łacińskich retorów, lub też los Reformacji, która sama siebie uśmierciła, gdy zgodziła się pójść do szkoły humanistów i przejęła ich wartości. W wojnie klasowej proletariat musi być świadom, że *wszystkie bez wyjątku* pozostałe klasy społeczne są przeciwne jego wyzwoleniu. Przyszłe społeczeństwo odziedziczy po kapitalizmie jego technologię, lecz nie może przejąć niczego z jego kultury duchowej. Wszystkie ideologiczne lub polityczne batalie, które skądinąd mogłyby być usprawiedliwione, przynoszą zawsze więcej szkody, niż pożytku, jeśli klasa robotnicza współdziała w nich z radykałami mieszczańskimi (walka przeciw klerykalizmowi i kościołom — nie mówiąc o ideologiach patriotycznych), gdyż zakłócają poczucie absolutnej separacji klasowej i rodzą zgubne złudzenia, iż proletariat może współuczestniczyć w zmianach społecznych jako siła sojusznica liberałów. Przyszła rewolucja będzie „absolutną separacją między dwoma epokami historycznymi” (*Reflexions*, r. 4, str. 138), toteż proletariat, powołany do jej przeprowadzenia, nie może mieć żadnych względów moralnych w stosunku do klas obcych. „Ludzie, co życie swe poświęcili sprawie, którą utożsamiają z regeneracją świata, nie mogą się wahać z użyciem *dowolnej broni*, która może służyć rozwinięciu i podniesieniu ducha wojny klasowej...” (*ibid.*, r. 6, str. 187).

### 5. Rewolucja moralna. Konieczności dziejowe

Nie znaczy to jednak, że proletariat jest lub może być klasą moralnie obojętną. Przeciwnie, podstawowym zadaniem rewolucji i przygotowania do rewolucji jest *przeobrażenie moralne* klasy robotniczej w duchu, który przywróci jej pełnię godności, samowiedzę swej wyjątkowości w świecie, dumę i niezależność. I chociaż najbardziej znane dzieło Sorela jest w znacznej części apologią przemocy, to jednak przemoc jest moralnie doniosła o tyle, o ile moralnie wychowuje tych, którzy ją stosują. Inaczej: chodzi o przemoc typu wojennego, nie zaś policyjnego, przemoc bez okrucieństwa i przemoc, której motywem nigdy nie jest *zawiść* ubogich do bogaczy — uczucie rujnujące moralnie i degradujące proletariat. W odróżnieniu od siły, która zmierza do zastąpienia obecnych stosunków władzy innym rodzajem rządów autorytatywnych, przemoc proletariacka nie chce ustanawiać *władzy* nowego typu, lecz przeciwnie, znieść wszelką władzę. Wzorem przemocy moralnie godnej są akty spontanicznej sprawiedliwości ludowej, jak u norweskich góralskich, jak w korsykańskiej vendetta, jak w prawie lynchu. Przeciwnie, zwolennicy *rewolucji politycznej*, czyli współcześni socjaliści, którzy chcieliby zająć stanowiska obecnie uprzywilejowanej mniejszości, skłonni są do okrucieństw i inkwizycyjnych metod, jak to najdoskonalej ujawnił terror Wielkiej Rewolucji; terror ten, absurdalny w założeniu (przywódcy Rewolucji usiłowali załatać krwawymi represjami ekonomiczne trudności, skazując się, oczywiście, na upadek) był uzasadniany doktryną umowy społecznej Rousseau'a, jakobini bowiem z chwilą, gdy uznali siebie samych za wcielenie woli powszechnej, nie mieli już żadnych skrupułów. Nie byli jednak moralnie przygotowani do władzy i nie umieli nic innego, jak naśladować *Ancien Régime*. Ten sam despotyzm grozi społeczeństwu, gdyby oddało władzę w ręce ludzi w rodzaju Jaurès'a, którzy za pomocą humanistycznej frazeologii zatruwają proletariat burżuazyjnym pragnieniem władzy politycznej dla partii proletariatu, miast wychowywać go w duchu walki o rozbięcie instytucji autorytetu społecznego.

Oto dlaczego syndykalizm *zwalcza demokrację*, która jest *chęcią* dla proletariatu do uczestnictwa w instytucjach burżuazyjnych, nade wszystko parlamentarnych i jest źródłem demoralizacji, korupcji oraz solidaryzmu klasowego.

*Strajk generalny* jako cel właściwy walki proletariackiej trzeba przeto odróżnić od *rewolucji politycznej*. Strajk generalny w rozumieniu Sorela nie mieści się w stereotypowym przeciwstawieniu strajku „ekonomicznego” i „politycznego”. Nie jest on, oczywiście, strajkiem ekonomicznym, o ile ten ostatni oznacza



nacisk na poprawę warunków życia klasy robotniczej w społeczeństwie kapitalistycznym. Nie jest jednak także rewolucją polityczną, a nawet jest jej dokładnym przeciwieństwem. Rewolucja polityczna zmierza do zdobycia władzy, podlega przeto wszystkim prawom walki o władzę, zakłada taktyczne sojusze, nie zakłada natomiast podziału społeczeństwa na dwie i tylko dwie armie; zakłada, obok syndykatów, inne formy organizacji, komitety czy partie, zakłada gotowe już formy przyszłej organizacji, musi być zaplanowana, może być zatem krytykowana w szczegółach. Co więcej, rewolucja polityczna nie opiera się na marksowskiej doktrynie podziału klasowego, ale na anty-marksistowskim przeciwstawieniu ubogich i bogatych, odwołuje się do nędznych uczuć zawiści i żądy zemsty, nie zaś do wzniosłych uczuć bohaterstwa ożywiających ludowych wojowników. Strajk generalny jest zniszczeniem istniejącego społeczeństwa bez żadnej idei władzy, zmierza bowiem do tego, by oddać siły wytwórcze w ręce ludzi wolnych, którzy mogą kierować produkcją bez żadnej potrzeby panów. Strajk generalny jest jedną całościową ideą, która nie da się rozbić na stadia czy ująć w postaci strategicznego planu. Idea ta ukazuje, „że czas rewolucji politycznych się skończył i że proletariatus odmawia tworzenia sobie nowych hierarchii. Formuła ta nie zna żadnych praw człowieka, sprawiedliwości absolutnej, konstytucji politycznych i parlamentów; neguje nie tylko rządy burżuazji kapitalistycznej, ale wszelką hierarchię mniej lub więcej podobną do burżuazyjnej” (*Matériaux*, str. 58). Syndykalizm nie troszczy się o doktryny i „naukowe” przygotowanie. „... posuwa się stosownie do przypadków i okoliczności, nie troszcząc się o dogmaty, kierując nierzadko swoje siły na drogę, którą mędracy potępiają. Zniechęcające widowisko dla wzniosłych dusz, które wierzą w zwierzchnictwo nauki w nowoczesnym porządku, spodziewają się rewolucji od potężnego wysiłku myślowego i wyobrażają sobie, że idea rządzi światem, od kiedy wyzwolił się on z klerykalnego obskurantyzmu”. Ale „rewolucja nie ma sekretu przyszłości i posuwa się podobnie jak kapitalizm, rzucając się we wszystkie szczeliny, jakie się otwierają” (*ibid.*, 64).

Rewolucyjny syndykalizm walczy więc zarówno z duchem utopii, jak z duchem blankizmu, tj. z doktryną, wedle której spiskowa grupa, podająca się za mandatariuszy proletariatus, może, uchwyciwszy władzę w sprzyjających okolicznościach, przeobrazić następnie społeczeństwo drogą przemocy i represji. Blankizm czy jakobinizm to idea rewolucji ubogich przeciwko bogaczom, nie zaś marksowska idea rewolucji *wytwórców*, sprawionej wyłącznie ich własnymi rękami. Rewolucja taka nie zmierza bynajmniej do dyktatury partii; Bernstein ma rację, gdy powiada, że objęcie władzy przez Socjaldemokrację nie daje bynajmniej

suwerenności ludowi, lecz uzależnia go od zawodowych polityków i właścicieli gazet. Póki klasa robotnicza nie ma silnej organizacji ekonomicznej i bardzo wysokiego stanu niezawisłości moralnej, dyktatura proletariatus oznacza dyktaturę mówców klubowych i literatów (*Décomposition*, str. 33).

Rewolucja syndykalistyczna nie może również być wynikiem ekonomicznej dekadencji kapitalizmu. Rewolucje, które dokonują się w warunkach bezwładności i upadku dawnego reżymu nie poprawiają niczego, lecz petryfikują istniejący upadek. Rewolucja syndykalistyczna wymaga kapitalizmu ekspansywnego, duszącego się własną energią, nie zaś beznadziejnością. Dlatego też nie jest w interesie klasy robotniczej osłabiać kapitalizm zmuszając go do ustępstw legislacyjnych i reform; najlepiej, aby kapitaliści owładnięci byli bezlitosnym i drapieżnym duchem ekspansji, jak amerykańscy konwistadorzy kapitalizmu. W tych warunkach najlepiej kształtuje się nieustępliwa świadomość absolutnej separacji klas, heroizm walki, solidarność uciemżonych, poczucie wielkości i powagi zadania dziejowego — wszystko to, co uśmiercają socjalistyczni politycy gdy wyłudniają marne ustępstwa od wyzyskiwaczy kosztem demoralizacji robotników.

Nie należy się także łudzić co do domniemyanych konieczności dziejowych, które by miały gwarantować zwycięstwo, jak to obiecuje „tak zwany socjalizm naukowy”. Historia rozwija się tak, jak to Bergson opisał — przez tworzenie nieprzewidywalne. Złudzenia deterministów pochodzą z wyolbrzymionych nadziei, jakie obudził rozwój przyrodznawstwa w XIX stuleciu; utopiści jęli naiwnie wyobrażać sobie, że przyszłość społeczeństwa może być wykalkulowana na podobieństwo astronomicznych przewidywań. Lecz wolna twórczość bez przerwy *zaczyna* przyszłość stosownie do Bergsonowskiej teorii osobowości i ewolucji. Ruch rewolucyjny wprawdzie zwrócony jest ku przyszłości, ale przewiduje ją tylko w miarę swego spontanicznego działania, a wiedzie nim tylko jedna, nierozkładalna, nie podległa analizie wielka idea — mit totalnej transformacji świata w ostatecznym, apokaliptycznym starciu. Takim duchem ożywione było wczesne chrześcijaństwo, gdy odmawiało kompromisów ze światem, gdy programowo odrzucało swą przynależność do istniejącego społeczeństwa, a całość swojego życia skupiło w micie paruzji. Ale i późniejsza historia Kościoła świadczy o tym, do jakiego stopnia rozwój jego urągał wszystkim przewidywaniom: skazywany przez uczonych na rychły upadek, Kościół periodycznie odradzał się w gwałtownej ekspansji, jaką rodził nagle niespodziewany ruch spontanicznej inicjatywy wielkich reformatorów, twórców nowych zakonów. Ruch syndykalny jest takim spontanicznym dziełem wielkiej odnowy, który może odrodzić klasę robotniczą, skorumpowaną



przez polityków i prawodawstwo i z czasem przenieść zbawienie ludzkości.

Celem nowej rewolucji nie jest *dobrobyt* i obfitość, ani łatwe życie. Sorel szydzi z Destrée'go i Vandervelde'a, którzy wyobrażają sobie socjalizm jako krainę pieczonych gołąbków, na podobieństwo opactwa Thelème z Rabzelais'go. Podobnie jak impulsem ruchu rewolucyjnego nie jest nędza, ale przeciwieństwa klasowe a ruch robotniczy nie jest ruchem ubogich, którzy chcą pozbać bogaczy ich majątkości, ale ruchem bezpośrednich wytwórców, którzy jako tacy chcą być organizatorami produkcji, również wartości główne socjalizmu leżą w dziedzinie moralnej, nie zaś w dobrobycie. Widać zresztą, że najuboższe części proletariatu nie są wcale najbardziej ożywione duchem rewolucyjnym; przeciwnie. Społeczeństwo sprawiedliwe, wedle słów Proudhona, musi przyjąć „prawo ubóstwa”, a życie skromne jest życiem uczciwym i szczęśliwym. Proudhon również wyobrażał sobie przyszły ustrój jako luźną federację zrzeszeń rolniczo-przemysłowych, przy koncentracji życia publicznego w jednostkach komunalnych i prowincjonalnych, przy zachowaniu swobód zgromadzeń i prasy, bez armii stałej. Sorel, chociaż, zgodnie ze swym lekceważeniem dla wszelkiego planowania przyszłości, nie rozważał żadnych szczegółów „doskonałego ustroju”, wyobrażał go sobie zapewne podobnie, jak Proudhon, którego doktrynę wykłada. W *Socjalistycznej przyszłości syndykatów* powiada, że socjalizm będzie „społeczeństwem zorganizowanym stosownie do samego planu produkcji” i że ustrój ten „zmierza do przeniesienia na społeczeństwo reżymu warszatatatu produkcyjnego” (*Matériaux*, str. 70), a wszystkie sprawy społeczne przejdą w nim na płaszczyznę jednostek produkcyjnych.

Wydaje się, że zarówno pod względem moralnym, jak organizacyjnym, ideałem Sorela były izolowane szczepy górskie czy wsie dawnej Szwajcarii zorganizowane wedle zasad demokracji bezpośredniej, bliskie samowystarczalności produkcyjnej, a w każdym razie nieznacznie tylko poddane obyczajom i kulturalnym wpływom, jakie wywiera wymiana handlowa. Moralność proletariatu jest moralnością producentów — w przeciwstawieniu do moralności kupców; demokracja współczesna jest nader podobna do giełdy, podczas gdy demokracja przyszłości miałaby być czymś analogicznym do spółdzielczej manufaktury.

Zestawienia te nie są zresztą bezzasadne. Z pewnością historia idei i instytucji demokratycznych jest zależna od historii handlu, a cała kultura śródziemnomorska powstała i rozwijała się jako dzieło portów i miast handlowych; w wymianie handlowej rozwijała się w naturalny sposób obyczajowość, w której

wybitną rolę grała zdolność do kompromisu, do negocjacji i przetargów, a także zdolność do obłudy i oszustwa, umiejętności retoryczne i demagogia, duch konkurencji i przezorności, umiłowanie bogactwa i komfortu, lekceważenie tradycji, skłonności racjonalistyczne, sprawność w przewidywaniu, kalkulowaniu i rozumowaniu, dominacja ideału sukcesu. Osobliwość, w której, zdaniem Marksa, streszcza się niejako cały kapitalizm — mianowicie podporządkowanie produkcji wartości wymiennej — jest najdoskonalszym produktem tego prądu cywilizacyjnego. To właśnie społeczeństwo, w którym „wszystko jest na sprzedaż”, i w którym, wobec tego, rozpadają się wszystkie tradycyjne więzi solidarności — rodzinne, plemienne, lokalne — niesprowadzalne do stosunku wymiany, było przedmiotem krytyki całej filozofii romantycznej, włączając młodego Marksa. Sorel, obok Nietzschego, jest najbardziej namiętnym wrogiem tego społeczeństwa i pod tym względem jest dziedzicem filozofii romantycznej. Lecz ostateczne wyniki jego krytyki odbiegają od Marksa daleko. Pociągają go obrazy nieoswojonych cywilizacyjnie szczepów rozbójniczych, samotnych wspólnot walczących o przetrwanie raczej, niż o przyjemność i komfort, bezwzględnych w walce, lecz nie skażonych duchem okrucieństwa, przechowujących arystokratyczną dumę w swoim ubóstwie, wierzących w świętość plemiennej tradycji, przywiązanych do swojej wolności, gotowych walczyć do końca przeciw obcemu panowaniu. Odnowienie tej moralności, w opozycji wobec moralności kupców, jest dla niego najważniejszym sensem idei socjalistycznej. „*Socjalizm jest kwestią moralną*”, powiada w przedmowie do francuskiego przekładu książki Savario Merlino, w tym znaczeniu, że daje światu nowy sposób oceny wszystkich czynów ludzkich, czy też, wedle sławnego wyrażenia Nietzschego, przewartościowanie wszystkich wartości” (*ibid.*, str. 170). Nowa moralność rozwija się przy tym w klasie robotniczej w warunkach kapitalizmu i, co więcej, jej utrwalenie wśród robotników jest absolutnym *uprzednim* warunkiem rewolucji; w tym punkcie rację ma, wedle Sorela, Vandervelde, kiedy powiada, że zwycięstwo robotników bez radykalnego przeobrażenia moralnego pograżyłoby świat w cierpienia, okrucieństwa i niesprawiedliwości niemniejsze, niż obecne. Przemiany ekonomiczne zakładają uprzednie zwycięstwo nowej moralności. Źródłem i miejscem zastosowania tej moralności jest *rodzina, wojna i produkcja*. We wszystkich tych dziedzinach rośnie godność, wielkoduszność, heroizm, solidarność, odpowiedzialność jednostkowa. Sorel m.in. przywiązuje znaczną wagę do dyscypliny seksualnej i cnót rodzinnych, uważając rozwiązłość seksualną i osłabienie więzi rodzinnych jako podstawowego źródła moralności, za naturalnych sprzymierzeńców burżuazyjnego społeczeństwa („świat będzie sprawie-



dłuższy o tyle tylko, o ile będzie czystszy; nie znam bardziej bezspornej prawdy" — *ibid.*, str. 189). Zapatrzony jest w Home-ryckich herojów widzianych oczyma Nietzschego.

### 6. Marksizm, anarchizm, faszyzm

W pisarstwie Sorela uderza, jak była o tym mowa, zestawienie wartości i idei w całkiem inny sposób, aniżeli u któregośkolwiek z ortodoksalnych marksistów lub któregośkolwiek z krytyków marksizmu. Pod tym względem jest on niepowtarzalny. Jego krytyki reformizmu nieraz są bardzo podobne do tych, które można spotkać wśród ortodoksalnej lewicy socjaldemokratycznej. Ale jego krytyka ortodoksów bliska jest w wielu punktach argumentacji anarchistycznej. Z kolei Sorel atakuje anarchizm powołując się na Marksa, Marksa zaś krytykuje w pewnych punktach podobnie jak Bakunin lub ze stanowiska Proudhona. Nie obejmują go klasyfikacje stosowane pospolicie do tej epoki myśli socjalistycznej.

Z pewnością, podobnie jak Marks, Sorel pojmuje socjalizm nie po prostu jako „naprawę organizacji społecznej”, ale jako przeobrażenie całkowite, współobejmujące wszystkie dziedziny życia, łącznie z moralnością, myśleniem i filozofią. Socjalizm nie jest dającym się wyliczyć zbiorem reform, ale sposobem reinterpretacji całego życia ludzkiego. Zarzuca socjalistom, że nie zajmowali się na serio celami ostatecznymi człowieka i naturą ludzką, że przejęli płytką metafizykę XVIII-wiecznych wolnomyślicieli, że nie zwrócili uwagi na ogromną rolę, jaką *złó* odgrywa w historiozofii Marksa, że ich racjonalistyczny optymizm nie pozwolił im dorównać Kościołowi w zrozumieniu człowieczeństwa; twierdzi, że socjalizm, jeśli ma wygrać, musi dać ludziom wszystkie wartości, jakie im dawała napka Kościoła. Nie obawia się — za Gustavem Le Bon — uznać religijnego i charyzmatycznego charakteru socjalizmu, w czym z pewnością od Marksa się różni, przynajmniej od Marksa *Kapitału*.

Dla Sorela marksizm był nade wszystko poezją Wielkiej Apokalipsy, którą utożsamiał z rewolucją społeczną. Zwalczał reformizm nie dlatego, że był nieskuteczny — wiedział bowiem, że był skuteczny — ale dlatego, że był pozbawiony wielkości, prozaiczny, nie bohaterski. Wierzył w klasowość ruchu socjalistycznego i z naciskiem podkreślał absolutną odrębność klasy wytwórców jako nosiciela rewolucji. Ale pojmował proletariatu jako walczącą sektę, która musi nade wszystko strzec swojej nie-przynależności do istniejącego społeczeństwa. Marzył o społeczeństwie wolnym, to znaczy o zrzeszeniu wytwórców, którzy nie mają panów nad

sobą. Ale podstawowe wartości tego społeczeństwa upatrywał w jego wyłącznym zaabsorbowaniu produkcją materialną, podczas gdy Marks wierzył, że największą zdobyczą socjalizmu będzie *czas wolny*, który ludzie będą mogli poświęcać na tworzenie kulturalne przy czym udział czasu poświęcanego na wytwarzanie dóbr materialnych będzie nieograniczenie się zmniejszał. Marks spodziewał się, że rozwój technologiczny uwolni ludzi od nieustannego zaprzątnięcia sprawami materialnego bytu, lecz Sorel myślał, przeciwnie, że cała godność człowieka zawiera się w jego stosunku do czynności wytwórczych, a potrzebę swobody od produkcji uważał za symptom burżuazyjnego hedonizmu. Marks był racjonalistą w tym przynajmniej znaczeniu, iż wierzył w socjalizm naukowy, to znaczy w to, że racjonalna analiza gospodarki kapitalistycznej może wykazać jej konieczny upadek na rzecz społecznych form gospodarowania; zarazem wierzył w ciągłość kultury duchowej ludzkiej. Sorel uważał ideę konieczności historycznej socjalizmu za relikw Heglowskiej doktryny *Weltgeist*'u, podpisywał się pod Bergsonowską teorią spontaniczności, a zarazem wzywał do totalnego zniszczenia ciągłości kulturalnej i jednocześnie głosił świętość tradycji — lecz tej tylko, która oplata się wokół wartości rodziny i solidarności plemiennych. Jak dowolnie Sorel obchodził się z Marksowskim dziedzictwem, łatwo się przekonać, czytając jego definicję klasy, którą podaje jako myśl Marksa: klasa jest to „wspólnota rodzin zjednoczonych tradycjami, interesami, poglądami politycznymi, rodzin, które doszły do takiego stopnia solidarności iż można ich całości przypisywać osobowość i traktować je jako byt rozumujący oraz działający stosownie do swoich racji” (*Matériaux*, str. 184).

Sorel nie przyznawał się do anarchizmu, ponieważ współczesny mu anarchizm nie miał określonego oblicza pod względem klasowym, a tradycyjnie werbował do swych szeregów lumpenproletariat i zdeklasowaną inteligencję; ruch, którego wodzirejami byli studenci, dziennikarze i adwokaci, nie miał, oczywiście, nic wspólnego z syndykalizmem rewolucyjnym w jego rozumieniu; odpychały go także te grupy anarchistyczne, Bakuninowskiej proveniencji, które uprawiały konspirację opartą na zasadach autorytatywnych. Jednakże nacisk na całkowite zniesienie instytucji państwowych, odmowa uczestnictwa w grze parlamentarnej i związane z tym ataki na „socjalizm polityczny”, a więc podstawowe wyróżniki anarchistycznych ideologii, są u Sorela niezmiernie silne. Że „polityczny” czy też „partyjny” socjalizm jest tylko zapowiedzią nowej tyranii i że idea dyktatury proletariatu jako formy *państwowej* wyda klasę robotniczą na łup despotyzmu zawodowych polityków — myśl ta od czasów Bakunina była niezmiennym składnikiem anarchistycznej propagandy (Machajski był



szczególnie namiętnym jej orędownikiem). Również podzielał Sorel poglądy tej części anarchistów, która podkreślała konieczność „rewolucji moralnej” jako integralnego składnika rewolucji socjalnej („Socjaldemokracja okrutnie jest dziś pokarana za to, że z takim uporem zwalczała anarchistów, którzy chcieli wywołać rewolucję w umysłach i sercach”, pisał, komentując list Proudhona do Micheleta — *Matériaux*, str. 380). Samo upaństwowienie środków produkcji nie ma, jego zdaniem, żadnej wartości z punktu widzenia wyzwolenia klasy robotniczej, skoro większa tylko środki panowania władzy politycznej nad producentami.

Na pierwszy rzut oka dziwne może się zdawać, że pisarz, który z tak nieprzejednaną wrogością atakuje wszelkie instytucje państwowe i partie, a także wszelkie idee partiotyczne, mógł zostać uznany za ideologa kielkującego faszyzmu i dostarczać argumentów przyszłym funkcjonariuszom i apologetom brutalnej nacjonalistycznej tyranii, tym bardziej, że, w odróżnieniu od Nietzschego, Sorel przyswoił sobie istotne składniki marksistowskiej wiary. Jednakże więź jego z faszyzmem nie polega po prostu na nieporozumieniu, nawet gdy weźmie się pod uwagę okoliczność, że trudno było w 1912 roku spoglądać na załążki włoskiego faszyzmu oczyma ludzi, którzy przeżyli drugą wojnę światową. Wszystko, co w pisarstwie Sorela odnosi się do rewolucji i do wolnego społeczeństwa po-rewolucyjnego leży wszakże w sferze „mitu”, który zasadniczo nie nadaje się do dyskusji i nie wymaga wyjaśnień, a nawet nie może być wyjaśniony. Faszyzm czerpał siły z poczucia desperacji i z pragnienia wielkiej „totalnej” przemiany, z rozczarowania do demokracji, z braku perspektyw w ramach reform istniejącego społeczeństwa, z potrzeby nieokreślonego bliżej, ale radykalnego zerwania z zastanym porządkiem. Apele Sorela były dobrze dostosowane do tej sytuacji duchowej, która faszyzmowi dała poparcie. Nie był bowiem i nie chciał być projektodawcą nowego ładu, ale wieszczem Wielkiej Katastrofy. Wzywał do zerwania ciągłości kulturalnej — w imię doskonalszej kultury, powracającej do ludowych źródeł prawodawstwa i moralności; udowodnił przeto bezwiednie, że atak na całość istniejącej kultury duchowej, jeśli nie jest wsparty już istniejącymi wartościami nowej kultury, jeśli więc nie wiadomo dokładnie, co mianowicie przeciwstawia kulturze zastanej, jest, co do sensu, wsparciem dla barbarzyństwa. Można znaleźć niemało trafnych uwag w Sorelowskiej krytyce racjonalistycznych naiwności. Ale atak na racjonalizm, jeśli nie jest wyraźnie odróżniony od ataku na rozum, jeśli głosi „filozofię ramion” (a trudno wyznaczyć granice między „filozofią ramion”, a „filozofią pięści”) przeobraża się w wezwanie do zniszczenia myśli na rzecz gwałtu. Apologia przemocy w rozumieniu Sorela miała odnosić się do przemocy

typu wojennego, nie zaś policyjnego. Lecz odróżnienie to bynajmniej jasne nie jest, a u Sorela samego wspiera się tylko na literackich stereotypach, na wyidealizowanych obrazach bohaterów Iliady czy skandynawskich Wikingów. Moralność, w której przymoc jako taka uchodzi za wartość, za okazję do heroizmu i wielkości, jest moralnością, która bez trudu nadaje się na narzędzie despotyzmu. To samo dotyczy Sorelowskiej krytyki demokracji parlamentarnej. Krytyka ta miała za sobą wiele racji. Ale to samo można powiedzieć o krytyce demokracji zawartej w pismach Hitlera. Krytyka korupcji, która przeżera systemy demokratyczne, krytyka nadużyć, obłudy, małostkowych swarów i walki o posady przedstawianej jako walka o idee — wszystko to są motywy tradycyjne, spotykane u anarchistów, u komunistów i faszystów w nader podobnych formach. Ale trafna krytyka demokracji, jeśli nie potrafi zartykułować niczego, co owej demokracji przeciwstawia, jeśli odsuwa własne idee w ciemny obszar „mitu” nie może być czym innym, aniżeli apologią tego, co jest po prostu demokracji przeciwieństwem lub demokracji nieobecnością, to znaczy musi być apologią tyranii, przynajmniej z chwilą gdy z dziedziny literackich dywagacji przechodzi w dziedzinę działania politycznego. Jako pisarz, który przyznawał się do marksizmu i stał się zarazem jednym ze źródeł filozofii faszystowskiej, Sorel jest postacią pod tym względem szczególnie doniosłą, że losy jego idei ujawniają *zbieżność skrajnych form prawicowego i lewicowego radykalizmu*. Frazelogia lewicowo-radykalna, jeśli jest tylko krytyką demokracji mieszczańskiej, nie zaś pomysłem demokracji doskonalszej, jeśli jest tylko atakiem na racjonalizm, nie zaś pozytywną próbą konstytuowania nowych wartości kulturalnych, jeśli jest apologią przemocy i nie zawiera żadnych przeciw przemocy restrykcji moralnych, jest niczym więcej, jak programem nowego despotyzmu i jako taka różni się istotnie od radykalizmu prawicowego. Jeśli, jak w przypadku Sorela, Wielka Katastrofa uchodzi za wartość samoistną, a nawet zwierchnią, miast czerpać swą wartość z oczekiwanych skutków, wówczas proletariats występuje głównie jako możliwy nosiciel katastroficznych przeobrażeń; straciwszy nadzieję na to, że proletariats podejmie się roli, którą mu wyznaczył, Sorel tedy mógł, nie rezygnując ze swej idei głównej, zwrócić się ku nacjonalizmowi, jeśli doszedł do wniosku, że idee narodowe są bardziej obiecujące jako nasienniki wielkiego mitu; lecz i w tym przypadku mniej o naród chodziło, a bardziej o „totalną rewolucję”. Dlatego również jego namiętna obrona Lenina i bolszewików jest nader dwuznaczna. Sorel wyznaje swą miłość do rewolucji rosyjskiej ponieważ jest ona w jego oczach wcieleniem dramatycznej Apokalipsy, ponieważ zwiastuje zagładę intelektualistom, ponieważ jest tryumfem woli nad rzekomymi



koniecznościami ekonomicznymi i ponieważ jest protestem przeciwko tradycji rosyjskiego „okcydentalizmu” w imię narodowych tradycji moskiewskich. „Krwawa lekcja wydarzeń które zaszły w Rosji — pisał w 1918 roku — uświadomi wszystkim robotnikom, że zachodzi sprzeczność między demokracją a posłannictwem proletariatu; idea utworzenia rządu wytwórców nie zginie; krzyk 'śmierć intelektualistom', który tak często zarzuca się bolszewikom ogarnie może w końcu pracujących całego świata. Trzeba być ślepym, by nie widzieć w rewolucji rosyjskiej jutrzenki nowej epoki” (Przedmowa do *Matériaux*, posłowie z 1918). A w dodatku do *Rozważań nad przemocą* z 1919 roku czytamy: „Bolszewizm zawdzięcza znaczną część swojej siły temu, iż masy uważają go za protest przeciwko oligarchii, której największą troską było, by nie wydawała się rosyjska; w końcu 1917 roku były rzecznik Czarnych Sotni powiedział, że Bolszewicy 'dowiedli, że są bardziej rosyjscy, niż buntownicy Kaledin, Russkij itd., którzy zdradzili cara i kraj’”. „Można ze stanowiska historycznego rozważać proces rewolucyjnej represji w Rosji tylko, gdy się pamięta o moskiewskim charakterze Bolszewizmu... narodowe tradycje dały Gwardii Czerwonej niezliczone precedensy, które, jak uważali, mają oni prawo naśladować dla obrony Rewolucji”. „Jeśli jesteśmy wdzięczni żołnierzom Rzymskim za to, iż zastąpili poronne, zbłąkane lub bezsilne cywilizacje przez cywilizację, której wychowankami jesteśmy do dziś w prawie, literaturze i pomnikach, to jakże wdzięczna będzie przyszłość Rosyjskim żołnierzom socjalizmu”.

Sorel miał nader słabe wyobrażenie o leninowskiej doktrynie; wielbił Lenina jako zwiastuna Wielkiego Zniszczenia i wielbił Mussoliniego z tego samego stanowiska. Był gotów popierać wszystko co wydawało mu się heroiczne i co zarazem groziło zagładą światu, którego nienawidził — światu demokracji, walk partyjnych, kompromisów, rokowań i kalkulacji. Nie obchodziło go w ogóle małopostkowe pytanie, w jakich warunkach ludziom lepiej się żyje, lecz tylko — jakie warunki wyzwalają z nich więcej wybuchowej energii. Przenikliwy krytyk racjonalizmu stał się w końcu czcicielem Wielkiego Smoka, któremu fanatyczny i ślepy motłoch rzuca się dobrowolnie na pożarcie w zgiełku wojennego tańca.

Leszek KOŁAKOWSKI

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 3 listopada 1973

Zezwoliwszy Szatanowi na doprowadzenie Hioba do stanu wdeptanego w ziemię robaka, na pozbawienie go wszystkiego prócz życia, Bóg wygłasza dwie mowy. W pierwszej sławi własną mądrość, której dowodem jest Dzieło Stworzenia. W drugiej wskazuje własną wszechmoc, o której świadczy panowanie nad siłami zła. Celem obu mów jest wdeptać robaka jeszcze głębiej w ziemię, zanim w nagrodę za pokorę i zgodę na swój los zostanie przywrócony ludzkiemu kształtowi. Sprawiedliwego męża z Us jątrzy szereg pytań. Czyż Stwórca musiał przemówić głosem chłosty niezasłużonej, udręk winnego bez winy? Trzebaż aż takich plag dla uprzytomnienia człowiekowi jego miejsca w obliczu Wszechmocnego? Nie zaciemnia się tej wszechmocy przez jej nadużywanie? Nie zamąca się obrazu dobra, karząc je, pastwiąc się nad nim, jakby było złem? Moc nie staje się wtedy przemocą, siła gwałtem, wyrok kaprysem, wieczyste prawo wieczną podejrzliwością? Na nic pytania! Hiob po pierwszej mowie Boga wyznaje „jam mały” i „rękę przykładam do ust”. Po drugiej „we łzach się rozplywa, pokutuje w prochu, popiele”. Z pochyloną nisko głową akceptuje religię strachu. Odtąd jego kondycję ludzką wyznaczać będzie jedno uczucie: bojaźni niezależnej od sumienia, lęku zagnieżdżonego nawet w czystości i prawości. Oto kogo ogląda na wysokościach: Władcę którego zaślepiła wszechmoc, który żąda by również w jego amoralności doszukiwano się sprawiedliwości, gdyż w swej wszechwiedzy Boga nie wie czym jest cierpienie człowieka. Może tak należy odczytywać aluzję Hioba: „Dotąd Cię znałem ze słuchu, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem”. Czyli: rozumiem teraz kim jesteś, ofia-



rowujesz nam jedyną zdolność drżenia przed Twoim obliczem o samo tylko życie.

*Księga Hioba* jest przypowieścią wiary totalnej, w której *horror religiosus* powoduje teologiczne zawieszenie moralności. W epilogu odbywa się — żeby użyć określenia współczesnego — „rehabilitacja” Hioba. Bóg potraktował Hioba jak winnego; uwalniając go od winy, i w dwójnasób obsypując darami za przebycie ciężkiej próby bez buntu, proklamuje zasadę niewinności zawsze problematycznej i zawsze warunkowej.

Istotne jest to: w swej wszechwiedzy Bóg nie wie czym jest cierpienie człowieka. Chrześcijaństwo powstało z tęsknoty ludzi do Boga cierpiącego. I z tęsknoty Boga do uczestnictwa w ludzkim cierpieniu. Hiob nie otrzymał zadowalającej odpowiedzi na samotność w mękach i obojętne milczenie Nieba. Jego następcy, dzięki Synowi Bożemu przybitemu do krzyża, wyszli z samotności na przekór obojętnemu milczeniu świata.

25 listopada

„Interpretacja” snów, uchwycenie i skodyfikowanie ich „języka symbolicznego”, naiwna szarlataneria; w gruncie rzeczy, podejściem do snów jako swoistego „szyfru”, naukowa procedura freudystów niewiele się różni od kabalarskiej procedury senników ludowych, chociaż stawiają sobie odmienne cele. Miał rację Jung: „Wątpię czy można przyjąć, że sen jest czymś innym niż się wydaje. Zgadzam się z Talmudem, dla którego sen jest swym własnym wytłumaczeniem. Krótko mówiąc, uznaję sen za to czym jest”. Śni się po swojemu jak po swojemu się umiera, bez udziału innych. Z materii snów zbudował w dużej mierze swoje dzieło Kafka, stąd w *Procesie* i w *Zamku* wymyka się wciąż jakaś tajemnicza reszta: śniony przez Kafkę sen, który jest swym własnym wytłumaczeniem. Proces i Zamek nie są symbolami, dla Kafki istnieją naprawdę.

26 listopada

Doktor Alfred Freedman, prezes Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego, poinformował przedstawicieli prasy o wynikach narady z sowieckimi kolegami na temat dysydentów zamykanych w domach wariatów. Narada trwała jeden zaledwie dzień, urządzono ją w Instytucie Serbskim w Moskwie. Doktor Freedman, po wysłuchaniu kolegów z Instytutu, doszedł do

wniosku że trzeba sprawą zainteresować bezpośrednio sowieckie Ministerstwo Zdrowia. Cóż prostszego jak zwyczajem amerykańskim powołać komisję specjalną, oczywiście międzynarodową, złożoną z prawników, profesorów medycyny sądowej i (zważywszy trudności językowe) psychiatrów sowieckich, która kolejno zbada wszystkich internowanych dysydentów? Koledzy z Instytutu Serbskiego, znając lepiej od doktora Freedmana sowieckie Ministerstwo Zdrowia i sowieckich dysydentów, wyrazili o projekcie sąd pesymistyczny, *a dim view*. Postanowiono jednak tytułem eksperymentu zbadać natychmiast generała Grigorienko. Wybrała się do niego czteroosobowa grupa, dwóch psychiatrów zachodnich i dwóch sowieckich. Niestety nic z eksperymentu nie wyszło, bo zwariowany generał kategorycznie odmówił poddania się badaniom z użyciem psychiatrów sowieckich jako tłumaczy, żądając by tłumaczenie powierzono jego żonie. Jeden z obecnych psychiatrów sowieckich wykrzyknął: „Typowa reakcja paranoiaka!”. Więc nie bardzo wiadomo co będzie z tą proponowaną przez doktora Freedmana komisją. Nawet jeśli chcąc nie chcąc zgodzi się na nią sowieckie Ministerstwo Zdrowia, trudno mieć pewność czy w podobnie paranoiczny sposób nie zachowają się wobec sowieckich psychiatrów-tłumaczy inni sowieccy dysydenci.

Doktor Henry Kissinger, amerykański Sekretarz Stanu, sformułował historyczne pytanie: „Czy odprężenie wywołało represje wobec dysydentów, czy też właśnie ono pobudziło ferment i domaganie się większej swobody?”. Zarówno doktor Freedman jak doktor Kissinger nadawali się do zbadania przez komisję psychiatryczną, gdyby nie okoliczność łagodząca że udają tylko wariatów i aż za dobrze wiedzą jakimi bredniami wypada karmić amerykańską opinię publiczną w imię polityki odprężenia. Ale czytam w kanadyjskim *Związkowcu*, że pewien polski doktor „diasporozofii” uważa pytanie doktora Kissingera za rzeczywiście historyczne i „słuszne”. Co jest już wypadkiem psychiatrycznym bezspornym.

28 listopada

Więcej, odrobinę więcej, szczegółów o powrocie i samobójstwie Maryny Cwietajewoj. Jej mąż, Sergiej Jefron, wrócił w roku 1937 przez Hiszpanię; w tym samym roku repatriowała się córka. Wydany pięć lat temu francuski tom wierszy Cwietajewoj zawiera krótką notę autobiograficzną, a w niej zdanie: „Wiosną 1937 odnowiłam moje obywatelstwo sowieckie”. Prawdopodobnie po tym kroku odsunęła się od kolonii rosyjskiej, mimo



że nie przestała drukować w pismach emigracyjnych. Jesienią 1938 z *banlieue* przeniosła się z synem do Paryża, do obskurnego hoteliku w okolicach dworca Montparnasse. Żyli w biedzie, jeśli nie w nędzy. Odkładała sama powrót, oczekując wiadomości z Rosji, czy robiono jej wstręty? Wreszcie w roku 1939 statkiem z Havru wyruszyli oboje do Polski; do Moskwy przyjechali pociągiem z Warszawy 12 czerwca. Jefron i córka byli jeszcze na wolności, aresztowano ich w sierpniu. Cwietajewa znalazła się w pustce, unikano jej, o drukowaniu wierszy nie było mowy, zarabiała na życie swoje i chłopca przekładając poetów gruzińskich i białorusko-żydowskich. Jak strasznie była samotna, wyklęta! Pisała do przyjaciela: „Zenia, najmilszy, dziękuję. Twój list jest pierwszy, jaki otrzymuję od czterech miesięcy; i od czterech miesięcy sama po raz pierwszy siadam do pisania listu”. Równocześnie bała się, bez przerwy się bała. Zapis w „zeszytku”, wrzesień 1940: „Uważają mnie za dzielną. Nie znam człowieka bardziej bojaźliwego niż ja. Boję się wszystkiego... Nikt nie widzi, nie wie, że od roku (w przybliżeniu) szukam oczami haków, ale nie ma ich, wszędzie elektryczność”. Opisano ją w dniu ewakuacji z Moskwy do Jełabugi: „Na dworcu Cwietajewa oglądała się cały czas trwożliwie, szukała syna, chociaż nie odstępowała jej na krok; w jej wzroku malowało się zagubienie”. Do Jełabugi dotarła 21 sierpnia 1941. Starczyło zastąpienia progę by spodobał jej się domek dwojga emerytów, może dlatego że spostrzegła w nim nareszcie upragniony hak. W dziesięć dni później, w niedzielę, domek wyludnił się od wczesnego rana: gospodyni i syn Cwietajewej poszli na *woskresnik*, gospodarz i wnuczek na ryby. Powiesiła się przypuszczalnie zaraz po ich odejściu. Syn zaciągnął się do wojska, zginął wkrótce potem. Sergiej Jefron umarł w więzieniu, albo został rozstrzelany. Ocalała jedynie córka. Po latach nie można było w Jełabudze ustalić gdzie dokładnie znajduje się grób poetki, pod jedną z sosen wkompano więc mały metalowy krzyż z napisem: „W tej części cmentarza pochowana jest Maryna Iwanowna Cwietajewa 1892-1941”.

W roku 1940 zorganizował ktoś potajemne spotkanie Cwietajewej z Achmatową, w moskiewskim mieszkaniu ich wspólnego znajomego. Po długiej rozmowie w cztery oczy wyszły z pokoju wzburzone; nigdy chyba nie będzie wiadome co sobie nawzajem opowiedziały. Cwietajewa postanowiła opuścić mieszkanie pierwsza, Achmatowa przeżegnała ją gdy się rozstawały. Spotkały się jeszcze raz przypadkowo na ulicy w Moskwie. Przed śmiercią Achmatowa wspominała w Paryżu: „Szli za nami krok w krok dwaj mężczyźni i ciągle myślałam kogo śledzą, mnie czy ją”.

Drobne przypiski do wielkich książek Nadzieży Mandelsztam.

29 listopada

Zasmucający jest *Dworzec w Monachium* Dygata, bardziej zasmucający szmerek admiracji jakim powitano go w kraju. Czy to polska „specyfika”, że po pięćdziesiątce ludzie dowcipni i bystry staczają się w błazeństwo i wulgarność? Ten „sardoniczny” chichocik „ha-ha hi-hi”, to stylistyczne pomlaskiwanie i wodzenie mętym wzrokiem po każdym „głębszym” umysłowej tanioczy, ta czkawka pomieszana z głupawymi zachłystami, to chwytnie się za brzuch od „kupy śmichu” w której nie ma nic śmiesznego... Obrzęd zwany w Polsce „śmiałym demaskatorstwem”.

1 grudnia

Cały wieczór kartkowałem dzienniki Gide'a. Rok 1931. Młody włoski pisarz i antyfaszysta Lauro de Bosis zdobył we Francji samolot, poleciał nad Rzym i w paru okrążeniach zrzucił na miasto furę ulotek z apelem do króla i do ludności, oraz z własnym testamentem. Ścigany przez samoloty wojskowe, przepadł bez śladu; sądzi się, że z braku paliwa roztrzaskał się w okolicach Korsyki. (Według L. lot zrobił we Włoszech ogromne wrażenie, zgalwanizował wśród antyfaszystów słabnący „opór duchowy”). W Paryżu Salvemini pędzi do Gide'a, błaga go by coś napisał o „nowym Ikarze”. Gide notuje w dzienniku: „Muszę wyjaśnić Salveminiemu, że jakkolwiek podziwiam młodego bohatera, nie dostaje mi jednej rzeczy: wiary w wolność. Jest mi niezmiernie trudno sprecyzować jasno moją myśl. Pojęcie wolności, w tej formie w jakiej nam jest wpajane, wydaje mi się szczególnie fałszywe i szkodliwe. I jeśli apróbuję przymus sowiecki, muszę tak samo apróbować faszystowską dyscyplinę. Skłaniam się coraz bardziej do przekonania, że idea wolności jest pułapką. Chciałbym być pewien że myślałbym tak samo gdybym sam nie był wolny, ja który ponad wszystko cenię moją własną wolność myśli; lecz wierzę także, i z każdym dniem głębiej, że człowiek nie jest zdolny do niczego wartościowego bez przymusu i że bardzo nieliczni są ci, którzy przymus znajdują w samych sobie. Wierzę również że autentyczna barwa myśli indywidualnej przemawia z pełną siłą tylko wówczas, gdy odcina się od tła które samo w sobie nie jest wielobarwne. To szara jednostajność mas pozwala, prawem kontrastu, wzbić się wysoko rzadkim wybitnym jednostkom”.

Zapewne, jest to Gide przed *Retour de l'U.R.S.S.* (zresztą potem rozmyślił się znowu, w 1943 jego „rozczarowanie” stępiła



nieceo „dalekowzroczność” Stalina), ale klasyczny w swojej szczerości, trwalszej niż okresowe fluktuacje zachwyków i dąsów politycznych. Dla dziewięćdziesięciu procent literatów współczesnych Gide był i nadal jest, jeśli chodzi o „pułapkę fałszywego i szkolidowego pojęcia wolności”, prawdziwym *maitre à penser*. Wolność jako coś w rodzaju przywileju szlacheckiego, pawiego ogona w kurniku. „Chciałbym być pewien że myślałbym tak samo o wolności, gdybym sam nie był wolny”. Po czasie myślałby tak samo, nie ma obawy. Z tą jedynie różnicą że w niewoli zabiegałby o mizerny bodaj okrucz wolności „ponadprzydłałowej” dla siebie, aby jakoś przecież „odciąć” swą „barwną indywidualność” od „bezbarnego tła”. No pięknie. Gide jednak zachował się godnie pod okupacją niemiecką i ani przez chwilę (o ile wiem) nie zerkał w stronę Vichy. Nie można porównywać okupacji z niewolą domowego wypieku. Rzecz w tym jak ze swoim poglądem na wolność poczynałby sobie Gide w skórze pisarza sowieckiego, niemieckiego czy włoskiego (za panowania hitlerizmu i faszyzmu).

### 3 grudnia

Russell był zakochany w Conradzie, widać to ze szkicu w *Portraits from Memory*. Kiedy się poznali, ogarnęło go uczucie podobne do „namiętnej bezgranicznej miłości”: Russell nie często w swoim piarstwie uderzał w takie tony. Albo zakończenie: „Jego intensywna i pełna pasji szlachetność świeci w mojej pamięci jak gwiazda z dna studni; chciałbym aby wraz ze mną i inni zobaczyli to światło”.

Pamiętam wizytę u Russella w Richmond latem 1951 roku, wybrałem się do niego z podziękowaniem za przedmowę do *Innego Świata*. W rozmowie raczej kostyczny i obojętnie uważny — skrzeczający głos, sztywność wypchanego ptaka — zmienił się całkowicie na dźwięk słowa „Conrad”. Jak gdyby ożyły i nastroszyły się wysuszone pióra, jak gdyby zmiękły i złagodniały struny głosowe! „Był wielkim pisarzem i wielkim człowiekiem, miał szlachetną duszę”. Pochylił głowę i kilkakrotnie, bardziej do siebie niż do mnie, powtórzył *a noble soul*. Wtrąciłem, że Conrad jest stopniowo zapomniany. „To dlatego, że żyjemy w bezdusznym świecie. I może nie potrafimy już z niego wyjść”. Był wtedy przejęty *Rokiem 1984*, od Conrada przeszedł do Orwella. „Zarzuca mu się przesadę, mówi się szeptem o majaczeniach człowieka śmiertelnie chorego; miał również szlachetną duszę, wcześniej i lepiej od innych zobaczył grozę naszego *soulless world*”. I po namyśle: „Niekórtzy szukają ratunku w religii.

Religia jest owocem strachu, strach zabija duszę. Conrad, Orwell, to odwaga, przede wszystkim odwaga, nawet w rozpaczy”.

Dzisiaj zdumiewałoby takie natarczywe odwoływanie się do „duszy” w ustach filozofa-racjonalisty, przed dwudziestu laty uważano rzeczy za zwykłą pozostałość konwencji, która nie brońta posługiwać się na przemian określeniami *soul* i *mind*. W jakimś stopniu był to rzeczywiście przypadek Russella: mógł być z powodzeniem podziwiać „szlachetny umysł” Conrada i załamywać ręce „naszym bezmyślnym światem”. Ale inaczej z racjonalistą Orwellem. W jego pismach zebranych znajduję uderzający artykuł z roku 1940. Zaczyna się od wspomnienia „okrutnej psoty”. Kiedyś przy śniadaniu przekroił nożykiem osę, ssącą na talerzyku kroplę dżemu. Ssała dalej na nic nie zważając, zbyt pochłonięta swoją uczcią. Dopiero gdy próbowała odrfrnąć, uprzytomniła sobie że stało się coś okropnego. Tak jest ze współczesnym człowiekiem: nie zauważył, że odkrojono mu duszę. Musiało do tego dojść, skoro upadła wiara religijna w tradycyjnej postaci. Co zajęło jej miejsce? Orwell protestuje przeciw wyrwaniu z kontekstu słynnego powiedzenia Marksa o „religii jako opium dla ludu”. I przywraca pełny tekst: „Religia jest westchnieniem duszy w bezdusznym świecie. Religia jest opium dla ludu”. Po czym dołącza swój komentarz: „Cóż innego mówi Marks jak nie to, że człowiek nie żyje samym tylko chlebem, że nie wystarcza nienawiść, że świat wart tego by w nim żyć nie może być oparty na „realizmie” i karabinach maszynowych? Gdyby był przewidział jak wielki będzie jego wpływ intelektualny, być może mówił, by to częściej i głośniej”.

Winston Smith z 1984, kres pielgrzymki współczesnego człowieka z amputowaną duszą. Artykuł z roku 1940 nazywa się *Notes on the Way*. W połowie lat siedemdziesiątych sytuacja wygląda tak: z jednej strony człowiek zastąpił utraconą wiarę w nieśmiertelność duszy podskórną wiarą w nieśmiertelność ciała (dzięki nieprzerwanym postępom wiedzy), z drugiej odczuwa ostro kruchość świata racjonalnego i naukowego, w którym strach i gwałt królują bez współnictwa religii.

### 4 grudnia

W telewizji *Wizyta starszej pani* Dürrenmatta. Güllen jest małym miasteczkiem w pełnej dekadencji, na skraju bankructwa. Niegdyś kwitło, było oazą dobrobytu i szczęścia, gromadziło bogactwo, szczyliło się zamięłowaniem kulturalnymi, gościło w swoich murach Brahmsa i Goethego. Teraz jest śmierzdzącą dziurą prowincjonalną, zapomnianą przez Boga i ludzi. Mieszkańcy snują



się po ulicach, nie wiedząc jak związać koniec z końcem. Żyją jedną tylko nadzieją: bliską wizytą Klary Zachanassian, bezdzietnej miliarderki rodem z Güllen, która może na starość podarować część swojej astronomicznej fortuny ledwie zipięcemu miasteczku. W młodości Klara miała w Güllen romans z Alfredem, zaszła w ciążę, kochanek ją rzucił i ożenił się z inną, w sądzie postawił fałszywych świadków którzy zeznali że nie on jest ojcem, dziecko umarło, dziewczyna uciekła do Hamburga, wylądowała w burdelu, po czym miała kilku mężów krezusów. Starsza pani zjawia się w miasteczku rodzinnym, gotowa jest otworzyć szeroko kiesę, lecz pod warunkiem że miliardami zapłaci za akt spóźnionej sprawiedliwości: domaga się, by został zamordowany Alfred. Miasteczko z oburzeniem odmawia: szantaż poniżej godności świętego Güllen, żadnych takich, obowiązki wobec naszego dobrego imienia i dziedzictwa humanizmu, honor ponad życie. Miliarderka spokojnie oznajmia, że uzbroi się w cierpliwość i poczeka. Mieszkańcy też czekają w cichym przeświadczeniu że starsza pani nie dziś to jutro da spokój miliarderskiej zachciance i mimo ich odmowy sypanie hojnie złotem, tymczasem zaś folgują sobie po latach przymusowej powściągliwości — żrą, chleją, kupują co popadnie na kredyt, na rachunek przyszłej donatorki. Starsza pani nie ustępuje, szkoda się ludzi że to przelotny kaprys. Obywatele Güllen, im bezwstydniej popuszczają pasa na kredyt, tym uporczywiej pomrukują: trudna rada, trzeba się pogodzić z twardą rzeczywistością. Najpierw mieliby ochotę załatwić sprawę według recepty „cnotę zachować i pieniądze zagarnąć”, czyli usiłują popchnąć Alfreda do samobójstwa. Alfred jednak nie zamierza im ułatwić zadania; nie pozostaje zatem nic innego jak uroczyście i kolektywnie go zamordować. Spełnienie warunku starszej pani przypieczętowuje na ryneczku, przy biciu w dzwony kościelne, wesoły festyn ludowy w stylu dawnego Güllen.

Dürrenmatt napisał, zdaje się, *Wizytę starszej pani* w latach pięćdziesiątych. W włoskiej inscenizacji telewizyjnej Klara Zachanassian występuje w dziwnym stroju, przypominającym strój szejków arabskich. I nadanie sztuki w telewizji zbiegło się z wizytą „starszych panów” ze Środkowego Wschodu w Europie.

5 grudnia

Zimą 1940 roku, ostrzeżony w Grodnie że grozi mi aresztowanie, ukrywałem się tydzień w Sokółce. M. ulokowała mnie na stryżku. Była nauczycielką szkoły powszechnej. O świcie przynosiła mi na górę kubek gorącego mleka, potem budziła i ubierała swego pięcioletniego synka. Do powrotu matki objął się

sam w pokoju i kuchni na dole, niekiedy wybiegał z domu i brodził w zaspach śnieżnych. Nie wiedział o mnie, bo istniała obawa że zdradzi się przed sąsiadką, która go na prośbę M. doglądała; lub co gorsza przed bojami sowieckimi, którzy czasem przystawali obok płotu i obserwowali zabawy malca w śniegu. Nocą, po zaśnięciu chłopca, schodziłem na dół i do świtu drzemałem na siedząco przy piecu. Za dnia leżałem pod kożuchami na stryżku koło oblodzonego okienka, spałem, trochę czytałem, przez wychuchany w szybce krążek gapiłem się na uliczkę. Często malec, w trakcie zabawy, podnosił naraz główkę ku okienku na stryżku i wpatrywał się w nie długo przejmująco żalonym wzrokiem. Było w tych oczach dziecka coś strasznego, to one skłoniły mnie do poszukania kryjówki gdzie indziej, u znajomych na peryferiach Grodna, chociaż nie nadszedł jeszcze dzień uplanowanej przeprawy z Grodna na Litwę. M. i jej synek zginęli po wkroczeniu Niemców do Sokółki.

Proust twierdzi że w przedmiotach uwiecznione, zakłętę są bardzo odległe wspomnienia i uwalniamy je, gdy się nieoczekiwanie na te przedmioty natykamy. Są i inne formy ożywiania umarłych wspomnień, bardziej zagadkowe. Dziś spróbowałem otrząsnąć się spacerem (pierwszym od przeszło miesiąca) z depresji, całe popołudnie krążyłem po starym mieście, wieczorem zaszedłem zmęczony do *Santa Chiara*. Kościół był pusty i ciemny, tylko przed jednym z bocznych ołtarzy jarzył się las cienkich podłużnych świeczek. Mgnienie oka, nagłe drżenie płomyków, nad wysepką światła twarz dziecka z Sokółki.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



## List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Moje listy wywołały szerokie echa na całym (tak!) globie, zarówno w naszej prasie, jak i wśród poszczególnych Czytelników *Kultury*. Odezwały się obie Ameryki, Australia i Południowa Afryka, nie mówiąc już o macierzy-Europie na czele ze sponiewieranym Londynem, gdzie — o dziwo! — oddźwięk był dość anemiczny, choć nieraz o mniejsze rzeczy urząda się wielomiesięczne nagonki. Co zdaje się potwierdzać me stare credo: że tutejszemu Emigrantusowi najmniej jest do szczęścia potrzebne ojczyście słowo drukowane, zwłaszcza jeśli — jak *Kultura* — wymaga nieco umysłowego wysiłku, którego nade wszystko należy unikać. I teraz od kilku miesięcy chodzę oszołomiona, nie potrafię się oswoić ze swą światową (może nie?) sławą. Ach, Panie Redaktorze — czy mogłam o tym marzyć?! Obawiam się, żeby mi woda sodowa nie uderzyła do łepetyny, co byłoby już nazbyt tragiczne, skoro tak chętnie wyszydzam to zboczenie u bliźnich.

Jak było do przewidzenia, „Listy” wywołały sporo Rejtanowych gestów: że hańbią Sprawę Polską („ja i Ojczyzna — to jedno”!), Nasze Piękne Tradycje (czytaj: akademie — lubiane, bo uspokajają wyrzuty patriotycznych sumień), Przepiękne Tańce Narodowe (te natrętnie wszędobylskie baleciki, do których by się nie przyznała ludność przypisywanych im regionów), Okryte Chwałą Sztandary (nowiutkie prosto z igły), Martyrologię Narodową (poczynając od pierwszego rozbioru), oraz łączące nasze dusze w ojczystą wspólnotę Zabawy Taneczne Przy Dźwiękach Orkiestry (koniecznie w strojach wieczorowych lub wizytowych).

Ponadto kilka osób wystąpiło w obronie wykpionych przeze

mnie naszych Najlepiej Ubranych Kobiet — np. pani A.K. z USA uważa, że „skoro nie krytykujemy Elisabeth Taylor za jej brylanty we włosach, jej stroje, dlaczego by mię (*sic*) miała razić tzw. niedobrana (według norm p. Nowak) biżuteria starszych Pań-Polek?”. Rzeczywiście nie potrafię na to odpowiedzieć, nigdy się nie interesowałam tą znaną gwiazdą ani jej brylantami, gdziekolwiek by je wetknęła. Szkoda tylko, że żadna z polemizujących ze mną osób nie wspomniała o rzeczy dość istotnej: czy jej dzieci mówią po polsku — tak zwyczajnie, nie jak Kali. Może od ustalenia tego szczegółu warto by zacząć patriotyczne obrachunki?

Dla jednym zionę „jadem wrogię złośliwości” (ależ skąd, to tylko żarty — jad mam dla rzeczy poważniejszych!), inni znów mają za złe mą nieśmiałość, łagodność i białe rękawiczki. Tak jest, Panie Redaktorze — czy zgadł Pan, jakie rzeczy kryły się w tych listach, które *Kultura* tak mi cierpliwie przekazywała? Otrzymałam nawet parę ofert od byłych działaczy, którzy zbrzydzili sobie swe organizacje i proponują mi bogactwo swych doświadczeń, bym tym lepiej mogła broić. Np. pan S. K., eks-lotnik z Midlandów, dziękuje za moje felietony, które „nareszcie upewniły mnie, że nie jestem ani wariatem, ani innym obłąkańcem. Tragedią moją było, że przez długi okres (20 lat!) osobiście byłem związany z tzw. pracą społeczną”. Bardzo to z Waszej strony miłe, Drodzy Państwo, lecz niestety: czyż nie byłabym śmieszna wywlekając na forum publiczne rzeczy, do których nie mam dostępu, jak osobiste rozgrywki w jakiejś odległej parafii czy wewnętrzne sprawy Stowarzyszenia Lotników, do którego nie należę, choć przeszkód nie widzę, skoro Poczytne Łamy<sup>1</sup> znów doniosły, że „pomimo ubytku naturalnego, liczba członków w kołach [SPK] powoli wzrasta”. A skądże to wypływają te stare wiarusy w roku Pańskim 1973?

Temu Wiele Hałasu o Nic zawtórowały głosy aprobujące me bluźnierstwa, żądające więcej, wyrażające satysfakcję, że „wreszcie ktoś poruszył to nasze bagno” i nawołujące żebym się nie przejmowała napaściami i dalej robiła swoje, że uważnie śledzą me popisy i popierają moralnie. Tak np. pan A. S. z Płd. Afryki pisze: „Sądzę, że pani Nowak nie przejmuje się tym wcale i nadal będzie pilnie obserwować emigracyjne podwórko londyńskie i opisywać w swoich listach wszystkie zauważone słabostki i ułomności, będące świadectwem kołtuństwa, choćby zarzucano jej „kalanie” polskiego gniazda londyńskiego. Oby nadal szła w ślady Ignacego Krasickiego”. (To już zbytek pochlebstwa — gdzie mi nadążać za Królem Polskiej Satyry!) Otrzymałam nawet

1. *Dziennik Polski*, 30. X. 1973.



ofercie doraźnej pomocy: sympatyczny pan H. P., zamieszkały pod Londynem i od lat znający jego „polskie” oblicze jak zły szeląg, obiecał na pierwsze SOS przybyć osobiście na odsiecz, gdyby ziry-towany lud urządził zajazd (hajże na Grażynę!) na mój skromny domek z ogródkiem. Co dziwniejsze, odezwał się (bardzo dla mnie pochlebnie) pewien nieznan mi osobiście Anglik, wieść niesie, że polonista z wykształcenia i jak widać czytelnik *Kultury*, czego niestety nie można powiedzieć o wielu Rodakach z cenzu-sem. Bardzo jestem wszystkim Miłym Czytelnikom wdzięczna za słowa otuchy, zapewniam że skórę mam grubą i wytrzymałą, oraz że bardzo wysoko sobie cenię Ich uznanie. Nie piszę tego wszyst-kiego żeby się chwalić, tylko dla naświetlenia całości oddźwięku wywołanego mymi — jeśli wolno pożyczyć określenia od Króla Polskiego Felietonu — walkami nad Bzdurą. Statystyk nie pro-wadzę, ale z grubsza szacuję, że aprobata i wołania o pomstę mają się do siebie jak 1 : 1 — wynik piękny i bardzo pokrze-piający, o jakim nie marzyłam wyruszając na harce. Zmusza on mnie do zmodyfikowania mych żółciowych poglądów na Emi-grację: że mianowicie nie jest jeszcze z nią tak źle, skoro tyle ma ludzi krytycznych i z poczuciem humoru, które najskuteczniej zapobiega błazeństwu ideologicznym, politycznym i wszelakim innym.

Jak się rzekło, moje figle znalazły mieszany oddźwięk w pra-sie. Z wieku i urzędu wypada tu dać pierwszeństwo zelżonemu Londynowi, gdzie na Poczytnych Łamach „figlarną Grażynkę” (takiego swawolnego Dyzia, którego nie warto brać na serio) zgromił aż dwukrotnie p. Orion<sup>2</sup>. (Żeby było pikantniej, warto dodać, że pod tym pseudonimem — jak głosi *vox populi* — kryje się najpoważniejszy ze współczesnych znawców twórczości Alicji Lisieckiej. Ma nas teraz dwie — dobrana parka!) Zgromił zresztą dziwnie pobłażliwie. Z jednej strony przyznaje mi trochę racji: „że chodzą na akademie, że nadają sobie nieistniejące stop-nie wojskowe, że siakają nosem i że są snobami. Prawda, wszyst-ko prawda”. Ale zapędziwszy się tak daleko, Orion zaraz nieład-nie apeluje do litości. Że mianowicie „kiedy Grażynka dożyje sędziwego wieku piszącego te słowa, przekona się biedactwo, że lepiej być bogatym, młodym i pięknym, niż starym, biednym i chorym”. A fe — cóż za tani chwyt! Swawolna Grażynka nie musi dożyć sędziwych lat, by się o tym przekonać. Ma trochę wrodzonej wyobraźni, a poza tym nie jest bogata (i przez wiele lat była nawet uboższa od emeryta bez dodatkowych środków, więc wie jak to smakuje), ani piękna, ani też zbyt młoda, choć w porównaniu do różnych łysków, co po Kensingtonie buszują

2. *Tydzien Polski*, 25. VIII i 15. IX. 1973.

za Młodzież, nieomal dziecina. Co zaś do głoszenia, że te różne błazeństwa są szczególnym atrybutem starszego wieku, to jest credo Oriona i nieładnie je przylepiać Grażynce. Ona nigdy by tego nie powiedziała, bo dość zna starszych osób, którym mło-dzież oraz Młodzi mogą pozazdrościć szerokich horyzontów i po-czucia humoru — zresztą sam Orion też ma dowcip niewąski. Nie, Panie Redaktorze — wyjaśnienie, jak zwykle, jest o wiele prostsze. Wstyd się przyznać, ale Grażynka jest dotąd niepopraw-ną romantyczką i lubi sobie pomarzyć: jakby to było ślicznie, gdyby co polskie nie było gorsze niż u obcych. Nie żeby od razu było lepsze i żeby być dumnym, że się jest Polakiem (do czego nawo-łują nasi szowiniści jakby to było osobistą zasługą), ale żeby przynajmniej na każdym kroku nie budziło zażenowania. Bo — trzeba wreszcie jasno powiedzieć — najlepszym źródłem *Polish jokes* jesteśmy my sami, nasze nadobne (jak powiada stary cynik z Nagłowic) sprawki i postawki. Wystarczy je poobserwować, a dostarczą takiego materiału, jakiego najgorszy polakożerca nie spółdzi w swej paskudnej wyobraźni. Sami ośmieszamy się naj-skuteczniej, i to jest źródło mych natchnień.

Reakcja na pierwszy felieton Oriona była dość typowa. Jak sam ją podsumowuje w drugim: „Zezwano mnie telefonicznie, że: a) stosuję do potwora taryfę ulgową: kala gniazdo, proszę Oriona, b) jestem cymbał, bo daję się nabrać na 'wtyczkę' [a nie mówiłam! — G.N.], c) znieważam kobietę-pisarkę i Pol-kę: 'w tym wolnym (jakim) kraju ma ona prawo do swobod-nego wypowiedzenia własnego zdania'”.

Pierwszy felieton spowodował list do redakcji mej imienniczki, p. Ewy Nowak, w którym odsądza mnie od czci i wiary i, raczej nie na temat, żąda: „może ktoś odkryje nam prawdziwe nazwisko i płeć Grażynki”. A cóż to ma do rzeczy, Szanowna Pani? Po-wiedzmy, że jestem starszym panem i nazywam się Apfelbaum — no to co? List ten (z 8 września), mocno spóźniony w sto-sunku do mych felietonów, ilustruje natomiast dość pospolite zjawisko: że Rodacy biorą poważniejsze pisma do ręki dopiero gdy usłyszą, że „coś tam nasmarowali”. Jeśli to czynią w ogóle, bo wielu wystarcza, że po prostu słyszeli, że coś gdzieś dzwoni, i ruszają na Soplęcę nie bardzo wiedząc, o co właściwie chodzi. Nieraz tu na Poczytnych Łamach robi się larum, bo ktoś gdzieś coś napisał i ktoś inny o tym zakomunikował. Sypią się miesi-ącami grzmiące listy do redakcji i zabawa trwa bez końca, choć jej uczestnicy przeważnie sami nie oglądali *corpus delicti* i, przy-ciśnięci do muru, nie potrafiliby rozsądnie wyjaśnić o co właści-wie chodzi. Z czego wynika, że na londyńskim podwórku Grażyn-ka wywołała echa bardzo mizerne.



W dyskusji zabrał również głos *Polak z Belgii*<sup>3</sup>, który opisuje rzecz całą jako „burzę w szklance wody”, a reakcje na nią jako przesadne, i dodaje, że: „najgorsze artykuły to te, które nie budzą żadnej reakcji”. Co powiedziawszy, Autorka określa moje obserwacje jako powierzchowne, a to, co zarzucam Emigracji, jako wady ogólnoludzkie. Może być, czy jednak przez to stają się narodowymi cnotami? Tak już jest, że gdy wady ludzi obojętnych są nam obojętne, to we własnej rodzinie stają się nieznośne. Autorka uważa również za nieuzasadnione me pretensje, że pieniądze społecznych nie wydaje się na mądrzejsze cele, ponieważ „muszą być wydane na ten cel, na jaki zostały ofiarowane”. Otóż właśnie w tym cała bieda: wiecznie urządza się składki, z tych większość na cele błahe, jeśli nie w ogóle poronione, jak pomniki, sztandary, gwoździe do wbijania i lichy wie co. Dlatego jak trzeba trząchnąć kieszenia na coś rozsądnego, odzew jest taki mizerny: bo wszyscy już mają tej wiecznej zebrani wyżej uszu. Co zaś do sztandaromanii, to czy Pan zauważył Panie Redaktorze, nowy trend? Ponieważ już wszyscy mają te totemy: wiarusy, Sokoly, sportowcy, parafie, sodalicje, Młodzi i co tylko, to teraz zaczyna je sobie fundować — ach, jak najbardziej spontanicznie! — działwa. Tak jest, ostatnio jedna tutejsza parafia zapowiedziała poświęcenie „sztandaru dzieci” oraz składkę na takowy. *Nota bene*, zapotrzebowanie jest tak duże, że pewien londyński jubiler reklamuje na Pocztych Łamach „głowice do sztandarów z orłem”. Szkoda, że nie mówi z jakim — czy aby nie łysym? I kto uruchomił fabryczkę tych głowic?

Więcej uwagi poświęciły mi kalifornijskie *Listy do Polaków*, bo aż osobny artykuł p. Janusza Muchawca „O emigracji gorzej i lepiej”<sup>4</sup>. Autor wytyka mi, że jak ta ciotka siedzę na kanapie i mam za złe, choć nie biorę udziału w życiu „polskim”. Otóż dlatego wolę siedzieć na kanapie, że jest jakie jest, co jednak nie musi oznaczać, że nie wiem co w trawie piszczy. Wiem, aż do młodości. I stąd żądanie „by wypowiedzi o polonijnych [kto to słówko lansuje, kto? — G.N.] małostkowościach nacechowane były odrobiną ciepłego podejścia i mądrego zrozumienia” skierowane jest pod złym adresem. Nie każdy ma to złote serce, co cały świat przytuła do łona. A wołania o taryfę ulgową chwały nam nie przynoszą.

Główną tezę p. Muchawca jest, że emigracja wcale nie jest zła, skoro: 1) „pourządzaliśmy się za granicą, pracujemy 'bezszermerowo', nie narzekając na swój ciężki [ejże!] los i pracę, nie zawsze przecież taką, do jakiej mieliśmy przygotowanie”;

3. Październik 1973.

4. Lipiec 1973.

2) w krajach osiedlenia „podciągamy się, i to dość powszechnie, na coraz wyższe szczeble społecznej drabinki”, autochtoni nas podziwiają i „zarówno przeciętne wykształcenie Polaków w Stanach, jak i liczba ich w zawodach inteligenckich jest dziś nieco wyższa od ogólnoamerykańskiej. A ich zarobki wynoszą prawie 20 % więcej, niż przeciętne krajowe”; 3) działamy z zwarem — *exemplum* POSK; 4) na emigracji wychodzi mnóstwo polskich książek, w dowód czego Autor ma ich „szereg pótek”.

No cóż: jeśli z dorabiania się i konsumpcji zrobimy ideologię, to na tym polu rzeczywiście mamy piękne osiągnięcia. Co do wykształcenia, to nie od dziś wiadomo, że wcale nie musi chodzić w parze z inteligencją i wrażliwością na sprawy kultury, w tym również ojczystej. Z upowszechnieniem wyższego wykształcenia świat zaroził się od dyplomowanych ciemniaków i do czego to prowadzi? I jeśli jest tak dobrze, to czemu jest tak źle? Czy dużo jest takich jak p. Muchawiec, właścicieli polskich księgozbiorów? Czemu nakłady książek emigracyjnych są tak żenująco małe w stosunku do liczebności emigracji? Czemu wydawnictwa i redakcje czasopism ledwo robią bokami? Czemu się słyszy o likwidacji zasłużonych periodyków? Czy z nadmiaru prenumeratorów? Mogę wymienić nazwiska naszych działaczy *kulturalno-oświatowych* w samym Londynie, którzy nie prenumerują czolowych czasopism emigracyjnych, i to niekonieczne z ubóstwa. A czemu to, pomimo POSK'u, Biblioteka Polska jest w bardzo ciężkich warunkach, nie ma ani miejsca, ani dość ludzi do najkonieczniejszej pracy? Czy aby nie dlatego, że najliczniej na nią łożą ci, co sami mają najmniej — emeryci z przedwojennej inteligencji? Czy nie dlatego, że (pomijając wyjątki) zamożna emigracja nie odczuwa potrzeby książki polskiej? I że ma za nic swój centralny księgozbiór, to archiwum i pamięć o sobie? I poprawy nie wróżę widząc, że w hierarchii POSK'u Biblioteka stoi o wiele niżej niż kawiarnie, sale tańcówkowe, zaciszne buduariki do kartografstwa oraz kluby, w których „polska” młodzież będzie mogła swobodnie konwersować po angielsku i gdzie Młodzieżowy Klub Millennium będzie kulturował ojczyste tradycje przez zarządzanie „wspaniałego Guy'a” — z radości, że w roku 1605 Guy Fawkes nie zdołał wysadzić w powietrze Matki Parlamentów wraz z tępym monarchą Jakubem I. Czyż nie dlatego w nowym gmachu POSK'u dla Biblioteki szykuje się miejsce najmniej odpowiednie, aby zbyć? Kto nie wierzy, niech uważnie przeczyta, obejrzy plany i skojarzy rozproszone cyfry w *Wiadomościach* POSK, nr 20, z maja 1973. No cóż, nie każdy jest wrażliwy na sprawy książki. Żeby ją odpowiednio cenić, trzeba jej samemu używać jako coś więcej niż „kryminał do poduszki”. I niech mi nikt nie mówi, że zwalczam POSK. Jestem jego człon-



kiem od bardzo dawna i co roku wygarnia mi to trochę funtów z kieszeni. Przystąpiłam doń nie dla kawek, bridżów i tańcówek, których mi do szczęścia nie trzeba, tylko w przekonaniu, że zapewni godziwą przyszłość Bibliotece. I rozczarowuję się coraz bardziej.

Patrząc na ten nasz stosunek do polskiej książki i prasy, chciałoby się zapłakać — ze wstydu i obrzydzenia. Cóż to za hańba w porównaniu z emigracją ukraińską, z o wiele od nas starszą emigracją rosyjską! A znów, jeśli społeczeństwa, wśród których żyjemy, darzą nas — jak zapewnia p. Muchawiec — takim szacunkiem, że aż „polskie nazwiska, osiągnięcia i fakty naszej historii widnieją coraz liczniej jako nazwy ulic lub innych obiektów municypalnych, pomniki i patronaty instytucji”, to skąd ten urodzaj na *Polish jokes*, po co te ośmieszające próby samoobrony? Po co było terroryzować Amerykanów, by wbrew anglosaskim obyczajom pisali „Kopernik” — jak on sam nigdy nie pisał? Po co to żałosne chowanie się za tegoż Kopernika i Conrada, Kościuszkę z Pułaskim, Sobieskiego pod Wiedniem i Polę Negri? Pozazdrościć samozadowolenia — bardzo to wzmacnia nerwy, daje zdrowy apetyt i dobry sen.

W Stanach Zjednoczonych zabrał również głos w dyskusji *Dziennik Związkowy*<sup>5</sup> z Chicago piórem red. Jana Krawca. Przekształcił on kilka wyjątków z mych „Listów” obrazujących nasz snobizm i bufonadę, i dodał garść obserwacji ze swego terenu, które świadczą, że jesteśmy identyczni na całym globie. Red. Krawiec stwierdza: „Takich artystów autoreklamy, jakich mamy w Chicagowie — nie ma nigdzie na świecie. Niech nam p. Grażyna Nowak nie próbuje imponować”. Ejże, Drogi Panie, czy aby nie zbytek zarozumiałstwa tak się wynosić nad nasze Soplicowo nad Tamizą? Sam Pan przyzna, że Chicagowo (które bardzo szanuję), to jednak nie Londyn. Czy mam Pana publicznie wyzwać na pojedynkę, z zachowaniem wszelkich reguł Bożewicza dotyczących osób niezdolnych honorowo (jak kobiety)?

Z Paryża odezwało się pismo *Polska w Europie*<sup>6</sup>, w artykule „Prezesi, czytajcie listy Grażyny Nowak”, który zapewnia „dowcipną Autorkę 'Listów', że przyjechawszy do Francji spotkałaby mlecznych braci swych londyńskich bohaterów... Polacy we Francji nie dadzą się pobić”, na poparcie czego przytoczone są sprawy i postawki tamtejszych Rodaków. Autor dodaje: „Jesteśmy przekonani, że *Kultura* wyda refleksje Grażyny Nowak w formie książki... Wówczas książeczka ta będzie wręczana naszym prezesom natychmiast po wyborze, a poszczególne stronic

5. Lipiec 1973.

6. Lipiec/wrzesień 1973.

odczytywane na zebraniach zarządów przed rozpoczęciem porządku dziennego”. Jestem bardzo wdzięczna *Polsce w Europie* za uznanie i wzywam do równania szeregu w imię hasła: Silni — Zwarcu — Gotowi. A co do osobnego wydania „Listów”, to już nie ode mnie zależy — czyż nie, Panie Redaktorze?

Najbardziej zaskakujące jest jednak, że „Listy” znalazły odźwięk w prasie PRL, co oczywiście potwierdzi domysły co bystrzejszych Rodaków, że jestem „wtyczką”. W *Gazecie Olsztyńskiej*<sup>7</sup> p. Tadeusz Willan ogłosił artykuł „Wychowani na obczyźnie” — o młodzieży z Anglii spędzającej wakacje na Obozie Polonii Brytyjskiej w Olsztynie. Jego obserwacje o lichym stanie jej „polskości” pokrywają się niestety z moimi: „Ich nic nie interesuje — mówi wychowawczyni. — Nie chcą chodzić po muzeach, poznawać pamiątek narodowych. Chcą tylko tańczyć. Mówią, że dlatego organizujemy wycieczki, aby oni nie mogli tańczyć... Wychowawcy upierają się, że młodzież z Anglii wyraźnie różni się od kanadyjskiej, że mają inny, gorszy stosunek do tradycji narodowej, że są bardziej obojętni wobec kraju ojców”. Nie o tym jednak chciałam tu mówić. Otóż ci roztańczeni przywieźli do Olsztyna „broszurkę zatytułowaną List z Londynu”. (Nic mi o takiej broszurce nie wiadomo — upraszam *Gazetę Olsztyńską* o dane bibliograficzne). Broszurka ta wskazuje, że „niektóre kręgi Polonii podjęły walkę ze wszystkim, co mogłoby tę społeczność ośmieszyć, co ciągnie ją wstecz, nie pozwala żyć pełnią współczesnego życia... Autorka, Grażyna Nowak, ukazuje właśnie to zjawisko”. Nigdy się nie spodziewałam, że zostanę Niektórym Kręgiem, i to na dodatek „Polonii”. Na Krąg mogę się jeszcze zgodzić, ale tę Polonię stanowczo sobie wypraszam. A, swoją drogą, jak to jednak źle, gdy świat dzieli się na białe i czarne — że kto pokpiwa ze zbroczeń emigracji, ten musi być Kręgiem Polonii miłującym PRL. Szkoda, że p. Willan nie zastanowił się, czemu te Kręgi tak uparcie tkwią za granicą, zamiast wracać do kraju ojców.

Wiele lat temu rozmawiałam z pewną naukową figurą z Polski. Chciała wiedzieć, czy nie myślę o powrocie — że przecież w Polsce dostanę dobrą posadę i że wcale tam nie taka bieda, da się żyć. Odpowiedziałam, że bieda mnie nie przestrasza, mam za sobą lata ciężkiego ubóstwa, i to nie tylko podczas gościny w Związku Sowieckim. Ze powody materialne mnie tu nie trzymają. Moja kamienica nie ma lokatorów i dochodów nie daje, a za to wymaga ciągłych nakładów. Nie trzyma mnie tu możliwość posiadania pełnych szaf ciuchów, bo nie przywiązuję do nich większego znaczenia. Ani swoboda wojażowania po świecie, bo

7. 25/26 lipca 1973.



niewiele z niej korzystam, wolę siedzieć w domu. — Więc czemu pani nie wraca? — Wrócę natychmiast, jak tylko w Polsce będzie można otrzymywać, tak zwyczajnie pocztą jak tu, na co tylko przyjdzie chęć: wszelkie wydawnictwa zagraniczne, w tym również emigracyjne, włącznie z paryską *Kulturą* i londyńskimi *Wiadomościami*. I jak o odpowiednim zatrudnieniu mnie będzie decydować wyłącznie użyteczność mej pracy. Jak mój paszport zagraniczny nie będzie zależał od niczych fanaberii. Jak każdy będzie sam decydował, co przeczyta, zobaczy, usłyszy i poda dalej, i czy pojedzie w świat. Wtedy już nie będzie powodu siedzieć w Londynie.

Ta odpowiedź jest ciągle aktualna, mimo że przecież nie jestem w stanie przeczytać nawet setnej części literatury w dostępnych mi językach, objechać świata i wykorzystać wszystkich dóbr kultury. Wystarcza mi jednak, że o wyborze decyduje ja sama, a nie jakieś gdzieś ciemiaki, i ta świadomość jest mi niezbędna do znośnego samopoczucia. Opowiadał mi jeden profesor z Polski, że gdy w Październiku biblioteki naukowe otworzyły zbiory prohibitów, publiczność rzuciła się na *Kulturę*, *Wiadomości* i inne wydawnictwa emigracyjne, żądano *wszystkiego*. Gdy przyniesiono im grube roczniki, peszyli się ich rozmiarem i mówili bezradnie, że nie wiedzieli jak tego dużo, że wrócą czytać jak będą mieli czas. Większość nigdy nie wróciła — wystarczyła im świadomość, że *można* jak się zechce. To właśnie tak jak ze mną, o czym chętnie poinformowałabym *Gazetę Olsztyńską* w osobnej broszurce.

Mieszana reakcja prasy emigracyjnej na „Listy” jest taka sama, jak głosy poszczególnych Czytelników, toteż nie będę z kolei streszczać otrzymanej korespondencji za którą bardzo wszystkim dziękuję. Między innymi padły w niej zarzuty, że burzę nic w zamian nie proponując, do czego nie mam prawa, skoro sama nie czynię lepiej, niż krytykowany działacze. I żeby podać lepszy plan działania. Mój Boże — czy ja mąż stanu albo prorok, by wykreślać programy („więc cierp i módl się człowieku”), dawać genialne rozwiązania i rzucać hasło do czynu à la złoty róg? I od kiedy to do krytyki ma prawo tylko ten, co sam potrafi lepiej? Czy karcące mnie osoby krytykują źle uszyte buty, tandetne ubrania i liche książki? Jeśli tak, to jakim prawem, jeśli same nie umieją uszyć i napisać lepiej? A taki program działania, jaki w naszych warunkach uważam za wykonalny, wynika chyba dostatecznie jasno z dotychczasowych „Listów”, więc nie widzę potrzeby się powtarzać.

Wydaje mi się, że istotę wzburzenia, wywołanego mymi felietonami najdosadniej podsumował pewien starszy jegomość, znajomy mojej przyjaciółki, nie wiedzący, że coś nas łączy. Ten to

zdenierwowany Sarmata zapytał Danusię, czy czytała „Listy” i cóż to za okropne babsko ta Nowak. Danka zauważyła nieśmiało, że jednak ta Nowak ma trochę racji, na co rozmówca odpowiedział: — No tak, rację to ona ma, ale teraz goście z Polski czytają i śmieją się z nas. Po co to było wszystko pisać? — Nie podejmuję się orzec, czy ten rodzaj reakcji jest wynikiem naszych starych ciągotek do zakłamania, czy też wiary człowieka pierwotnego: że rzeczy nienazwane nie istnieją, a stają się rzeczywistością dopiero wtedy, gdy się je nazwie po imieniu. Że ktoś może mieć troszeczkę racji, że coś jest prawdą — a cóż to ma do rzeczy? Grunt, że NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ.

Grażyna NOWAK

Listopad 1973.

## KONKURS

Dla uczczenia zbliżającej się 30-letniej rocznicy zakończenia działań oddziałów partyzanckich w Polsce, zostaje ogłoszony

### KONKURS IMIENIA JÓZEFA WYRWY

(pseudonimy Furgalski, Stary)

na prace o tematyce partyzanckiej.

Warunki Konkursu są następujące:

1. Prace nigdzie nie drukowane, osnute na tle życia i walk oddziałów partyzanckich, ze szczególnym uwzględnieniem oddziałów A.K.

2. Praca oznaczona godłem ma być nadesłana do dnia 30. XII. 1974 roku na adres: INSTYTUT LITERACKI, 91, AVENUE DE POISSY,

MESNIL-LE-ROI, par 78600-MAISONS-LAFFITTE, FRANCJA.

W osobnej zaklejonej kopercie należy podać nazwisko i adres autora.

Przeznaczona na Konkurs kwota 500 funtów (stanowiąca wysokość partycyjacji Zarządu Głównego Żołnierzy A.K. w Londynie przy wydaniu książki Józefa Wyrwy pt. „Chłopcy z lasu”) podzielona zostaje na 3 części:

|                     |        |
|---------------------|--------|
| 1-sza nagroda ..... | £ 250  |
| 2-ga nagroda .....  | £ 150  |
| 3-cia nagroda ..... | £ 100. |

Nagrodzone prace stanowią własność *Kultury* i mogą być drukowane w tym piśmie bez oddzielnego honorarium.

W skład jury wchodzi:

Jan M. CIECHANOWSKI  
Zbigniew S. SIEMASZKO  
Tadeusz WYRWA.



## Fragment powieści

— O, jageście się tak panowla, braty w Emigracji, rozgadali o swoich pierwszych początkach, to i ja, choć nie taki stary emigrant, a niedawny import ze stateczku Polskiej Marynarki Handlującej, coś nie coś od siebie dorzucę. O sobie, co kaźden jeden czynić lubi. Zanimieśmy z Guściem Kaliną wyjechali z tem Wacusiem nieboszczykiem do owego prospektora Johny Polaka, co o złocie latamy marzył, ino że mu się sprawdziło ciut inaczej niż myślał, bo tak to już jest, zauważcie rodacy w tem zasranem, przepraszam za dwuznacznik, życiu, iż właściwie wszystko nam się sprawdza, ino aliści odrobinkę inaczej i troszkie później, choć też prawda, iż w życiu kaźdy dostaje to na czym mu mniej zależy, dwa punkty widzenia na tę pacatychę zwaną życiem, dwie szkoły filozoficzne można powiedzieć, tylko że i jedno i drugie już wtedy tak nas nie cieszy jak miało cieszyć. Ale o czym to ja mówiłem? Dolej zasię Guściu proszę ja ciebie, bo mi na gorący piasek zaschło w tak zwanem przewodzie głosowym. Zanimieśmy więc wyjechali, to tu obecny Franiu Smoła, niedoceniony filar emigracji, naraił nam robotę u Standarda, bo u Holdena GMH jak raz nie było i zaczynało się, możesz wiedzieć wisz, legutkie bezrobocie, a żyć trza, nie? Naprzód egzystencja, a potem różne dyrdymałki jak moralność, idiosynkrazje, kompleksy i nagniotki, jak to powiadał jeden z „Cejnowy”, ten, co w Dżakarcie złapał siedmiopiętrowego syfa w technikolorze. Prawdopodobnież wy, starzy emigranci, więcej żeście tu przeszli niż my, bo jak nas tu cholera przyniosła, to już znakiem tego byli tu Domy Polskie, gazety, organizacje i mieszkanie się znalazło w polskiem *boarding-house'ie*, a i pracę nam zorganizował Franuś Smoła, nie powiem, życzliwy i swój chłop, choć w tej całej Francji skataniał do szpuntu, ale tu, żeby było śmieszniej, w Kangurlandzie na łono

polskości jako takiej powrócił. A nawet jak trza było co załatwić w *Imigraczen* albo możesz wiedzieć wisz u adwokata, to i pan Zabrzeziński poszedł ze mną i Tobruk jem wypominając wyklócał się, po czym do baru zapraszał, co mu we wdzięcznej pamięci zakonotowałem, jako że nic tak mnie nie boli jak suche gardło. Aliści to wszystko nie znaczy, że my nowsi emigranci teżeśmy tu nie kiblowali w pierwszych początkach i że nieraz se człek nie zapłakał nad swym gorzkim losem, bo niemało spraw układało się nam głowami na dół!

Smoła zaśmiał się i znowu wszystkim dolał whisky. Siedzieli w kilku w kawiarence Domu Polskiego i czekali na zebranie. Przy innych stolikach jedzono flaczki i zrazy, pito kawę i gawędzono: twarze znajome, ale ciut już przyprószone siwizną czupryny, wzmagające się łysiny i więcej zmarszczek. W pokoju brydżowym obok głośno się kłócono. Franek Smoła zwrócił się do Kozickiego:

— Panie majorze, pan tu z nas najstarszy emigrant, myślę stażem, nie wiekiem, to może nam pan opowie jak tu było w 1948. A ty, marynarz, się wyłącz, inni też mogą mówić, *quoi?*

— No, cóż, panie dzieju, tu była prowincja, dziewiętnasty wiek, mordobijski powiat, kiedyśmy tu zjechali. Posyłałi nas na pustynię do Południowej Australii na podsypywanie torów kolejowych, aby tam odrobić dwuletni kontrakt z rządem, nie tak jak dzisiaj, że kaźdy jedzje gdzie chce. Mus i szlus. Kaźdemu mężczyźnie jak wysiadł, do dowodu osobistego wpisali: *labourer*, a kobiecie, jak się znalazła, bo wtedy ich było mało, to zapisali *domestic*, nie patyczkowali się kangury z nami. Dopiero po odwaleniu kontraktu zaczynało się to nasze pchanie do góry. Więc trzeba było przejść badania lekarskie, czyśmy zdrowi i czy rozróżniamy kolory. To mnie coś tknęło, bo co z takiego kolejarza, który nie rozróżnia czerwonego od zielonego śwjatała na semaforze? I jak mi podstawili kartki, gdzie na tle różnokolorowych kółek była cyfra 8, ja czytałem 23. Na innej kartce innymi kółkami była liczba 27, a ja czytałem 91. Lekarze prawidłno zdurnieli, zawołałi jeszcze jednego, ja myślałem, że się pojszczam ze śmichu — Smoła się uśmiechnął, zauważył, że major używa tego języka, aby się dostroić do reszty, sam widocznie w ten sposób przeżywał swą morowość i krzepę, jaką jeszcze posiadał dwadzieścia pięć lat temu — ale musiałem, znaczy się, udawać seriozność. Wkrótce odesłałi mnie do Melbourne na leczenie, gdyż orzekli że to najcięższy przypadek daltonizmu jaki spotkali w swej praktyce. To samo doradziłem potem Piwarskiemu. — Major był z Kresów, to zmiękczał spółgłoski, odmłodził przy opowiadaniu swych dawnych przygód.



— Piwarskiemu? Temu, co tu był taki endek? I krzykacz i psioczył na komunę, a niedawno temu spakował manatki i wrócił do Polski? — zaśmiał się Kmiecik.

— Tak, jemu, grywaliśmy w brydża starym zapisem, jak tylko daliśmy z żoną depozyt na nasz pierwszy dom.

— Cholera, że też endeki najprędzej idą na współpracę z Gierkiem.

— Ano, ciekawe, co?

— Mnie zaś — zaczął Kmiecik, skarbnik Związku Polaków — posłali na dwa lata do lasu, żonę z dziećmi zostawili w obozie w Greta. W tym buszu, było gorąco, kurzu do nagłej śmierci, nawet w lesie, skorpiony i węże i miliardy komarów i much, zebrania jeszcze nie ma, bo coraz trudniej o quorum, to i ja panom opowieć jak ze mną było. W lesie więc sporo było zmij i much, a tych wysokich eukaliptusów, łuszczących się niby skóra po porażeniu słonecznym — rozruszał się, i on odmłodził w tej opowieści — po prostu baliśmy się, że nas przywała jakieśmy je ścinali, takie kolosy! W tym kraju wszystko przeciw emigrantom, psiakrew, choć przyroda jeszcze najmniej. Ludzie i zwyczaj, to było najgorsze, choć klimat też nam się dawał we znaki. Aleśmy się powoli przyzwyczaili, oni do nas też. No i raz w niedzielę poszliśmy na polowanie, gdzieś ktoś pożyczył dwie strzelby i żeby nie ten sukinsyn Łotysz, co po polsku śpiewał i Getto w Warszawie wspominał jak Eldorado, to by mnie taki duży czerwony kangur na dwa i pół metra wysokości dopadł i ogonem rozłupał. Ale Łotysz w sam czas puknął, a mnie ze strachu coś zaczęło strzykać w plecach w czasie tego biegu, że i Łoik, co tu był na olimpiadzie, by lepiej nie potrafił. Potem orzekli: *slipt dysk*.

— Patrz pan, patrz pan, to kangury takie niebezpieczne i ogonem tak bez obciachu załatwiają? — zdziwił się Irek, marynarz. — No, ale co dalej z panem było? Pani szanowna — zawołał do pani Pleszczyńskiej w bufecie — a można by jeszcze dostać repetę z tego placka ze śliwkami, jest w cycuś. Cpanko tu u pani na medal!

— Ano, posłali mnie do szpitala w Brisbane. Pojechałem ze słownikiem w ręce i co mnie lekarze pytają coś po angielsku, krzyżąc, bo oni tak zawsze, jak widzą, że nie rozumiesz, to głośniej i głośniej, to ja kartkowałem Stanisławskiego i coś im tam pokazuję; leżałem tam dwa tygodnie, trochę się poduczyłem King's Dago Oxford English i powiedziałem, że się już lepiej czuję, to mnie wysłali do *Employment Office*, gdzie jako kalekę zwolnili z kontraktu. A jeden Słowak wciągnął mnie do *unionu*, zalał, że mnie zna, i że ze mną pracował, wyrobił *ticket* na *carpentera*, czyli cieślę i pojechałem na robotę na Snowy River

do tych zapór wodnych na Snieżnej Rzece w tutejszych Alpach, gdzie były fantastyczne pstrągi. Ciesła to ja taki byłem, że jak w Niemczech w obozie w Osnabrück zrobiłem dipisowską skrzyżnię na ciuchy rodzinne, to była krzywa, nie chciała stać i więcej gwoździ wylażyło niż wchodziło. Ale się podciągnął i tak poszło. Ciężko było na początku, człowiek nie znał języka, zwyczajów, urzędzeń, nie wiedział nawet że przy zeznaniach podatkowych pracownik może *klajmować dedakszens*, ale powoli poszło i dziś widzę, że bym tego kraju nie zamienił na żaden inny. Dom się ma spleacony, samochód jest nowy, dzieci wykształcone, ogonków ani strachu nie zaznałem, tyle że mi się te ostatnie strajki pocztowe nie podobają i pyskowania na bombę francuską, gdy o chińskiej się nie wspomina.

Zamilkli, tak, to samo myśleli wszyscy.

— Więc poszedłem do Standarda i w ankiecie przez tłumacza, jednego Żyda od Andersa, podałem, że pracowałem na Żeraniu i że byłem mechanik — Irek szybko wyzyskał przerwę, że nikt nie bierał głosu. — Pod wozem leżąc miałem wkręcać śruby, ale te śruby, możesz wiedzieć wisz, mi się płątali, albo byli za duże, albo byli za małe, rozumiesz pan, więcem się pocit niczym mysz w połogu, i różne makaroniarze ze mnie się śmiali, a ja ich po polsku obsobaczałem aż po tygodniu mnie inżynier Anglik zawołał i przez tłumacza zagaił: jeżeli znakiem tego ty byłeś mechanik, to ja jestem Moniusz Przepiórka, albo ksiądz Pączek, a te wasze polskie samochody musowo wyglądali na młóćarki, a nie na samochody. No, to ja jemu, udając szczerłość zalałem: ja ci szczerze wyjawię jak na świętej spowiedzi, że ja żaden mechanik nigdy w życiu nie byłem, ale mam żonę i dwoje dzieci — których, między nami, jeszcze po dziś dzień nie mam — przyjechałem tu niedawno, to co miałem zrobić? Zdychać z głodu? On był fajny chłop, choć struś, i puścił mi *spicz*, że on sam emigrant i że go *pommy* wołają, że on *apreszajts* iż byłem szczerzy i on mnie rozumie, to mi pomoże i da letką robotę. No i dał, podłazałem dwa druty przy światełkach z tyłu, chodziłem se w koszulce i w krawaciku i te teczkie-aktówki się nosiło pod pachą jak dyrektor departamentu u Bieruta. Ale pieniądze byli marne, a że jak raz z tem Wacusiem się spiknąłem, to pojechaliśmy, bażanty głupie na tę wyprawę po złote runo, romantyzm, rozumiesz pan, egzotyka, Conrad, sztorm jest sztormem i trza mu stawić czoła, rozumiesz pan, tego śmego, w każdym z nas ciągle siedzi trochę harcerzyka, wielkiej przygody nadchodzi dzień, kozakiśmy! Ale był klops i jak niepyszni wróciliśwa, Kuba Wekselman i Joe Żabuski parę groszy dopożyczyli, trochę dzieńgów wszakże też się na tej wyprawie zrobiło i z Guściem poszliśmy na *frut szop*. Oj, myślałem nieraz że zdechnę, wszystko szło jak



po grudzie, dawaliśmy się nacinać, frajery i ćwoki, niemowłeta w tej branży, nie tylko trza było rano wstawać i ciężaróweczką jechać na *markiet* i tachać skrzynie z jarzynami i owocami, ale jeszcze raz przyszli takie dwa, pooglądali sklep i powiedzieli, że sklep musi mieć światło na wysoki połysk, rozumiesz pan, i że pięć lamp musowo zainstalować... I od razu papier do podpisania pchają, a my frajerzy z demoludów i wolnego zachodu niegramotne, podpisaliśmy. I co? Na drugi dzień — Guściu, proszę cię doleć, jak pragnę zakwitnąć, tej whisky — przyszło ich pięciu, pooglądali tak zwane *premises*, rozstawili drabiny i w trzy minuty założyli jedne światło. A potem mówią: pożałujsta, bulić 214 dolarów australijskich, które są mocniejsze od tych zielonych z Jurkiem Waszyngtonem. Dwieście czternaście *bucks*, jęknęliśmy ze zgrozą, za jedne lampuchne? A dyc, mówiom, podpisaliście kontrakt, kmiotki niegramotne, należy się i cześć! Na drugi raz *blade forejnery* czytają bumagie dokładnie zanim zamaszyste podpisy złożycie. My w te pędy do adwokata, że granda i rozbój na jasnej drodze, a on zasię, rozumiesz pan, kazanie nam puszcza: *sorry gentlemen*, podpisane, nie wygracie w żadnym sądzie! I co odpowiecie na sądu pytanie? Są dupy tanie. I co? Myślicie, rodacy, żeśmy nie zabulili te dwieście czternaście dolarzat? Zapłaciliśmy, jeszcze jak, plus piętnaście za poradę u adwokata. Aleśmy się nauczyli nic w tem kraju nie podpisywać bez zgody adwokata. A tera naszym *solisytozem* jest mecenas Okno, co se do pomocy wziął swego koleżkę szkolnego Małynicza, którem był za oficera u Prugara-Kettlinga w artylerii w Szwajcarii na internowaniu, a teraz on szpakowaty i musiał tu studia nostryfikować, zaś w Anglii po demobilizacji mył baniaki i kucharzował u Lyonsa. Oba fajne ludzie. Okno nam opowiadał, że jak był w wojsku polskim, to Małynicz był jedynym Polakiem co się z jego antysemickich owijaczy nie śmiał, które mu się furt i wciąż na złość same rozwiązywali. No i parę lat temu go wziął za współnika do dużej firmy adwokackiej w City, tyle że nam podpadł, bo za każdym razem jak do niego idziemy, to chce byśmy mu kawąły z Polski opowiadali, rozumie pan. Okno tęskni i te Polskie, co była, to sobie niemnożko idealizuje, fakt, ino że mu, mozesz wiedzieć wiesz, te ciągoty letko wychłódły ostatnio, jako że nawet resztki syjonistów tam są tępione, a on ma nie tylko babkie Żydówkie ale i dwie wnuczki. A ten sklep badylarski wzięliśmy po takim jednym Kostańskim Jasiu, co tu u Żydów za gieroja biega, bo on — Janek Blondyn go zwali w Getcie — taaaaki szmukiel żywności do getta zorganizował i z mamą i z młodszymi siostrami pięcioro Żydów przechowali. Hazena, mówię wam, jak on to wszystko opowiada, jak to wachmanów przekupywali a różnych granatowych i szaulisów czy Ukraińców, których prawdo-

podobnież w getcie nie było, ani w Warszawie, ale ta opinia do nich przyschła, przstała jak banni liść, jak to oni paczki przez mur przerzucali i mleko rynwą zaprowadzoną do drugiej piwnicy lali, jak go na wachę wzięli i lali, mamuńciu moja, o każdym z nas można by dzisiaj książkę napisać. Bo był w Powstaniu i potem w bunkrze ze swymi Żydami na Pańskiej ulicy przesiedział aż do czasu jak do stolicy przyszli Ruskie w styczniu. Czasami wychodził na wierzch, tylko na ślady śniegu trza było uważać, bo szkopy palili dom po domu, rozumiesz pan, a tu nic, tylko gruzy i swąd i niesamowita cisza, w nocy to robił, aż raz psa żandarmom z jednym takim Saszą podiwaniłi i Jadźka, jego dzisiejsza żona, z którą już ma dwóch dorastających synów, jeden zegarnistrz i jubiler, a drugi na elektronika się uczy, w bunkrze ugotowała potrawkie z pieszka, że jeszcze po dziś dzień potrafią dokładnie oboje i z ojczymem, bo i mamusia się ochajtęła z jednym przechowywanym, opowiedzieć jaki smak miała ta delicja i mlaskają jak cholera. Zaś w czasie powstania to byli w jednej piwnicy, gdzie trochę ludzi się schroniło i była tam taka jedna co miała dziecko przy piersi i do mężusia z pyskiem, by zorganizował, rozumiesz pan, mleka dla latorośli. A to był czas, że na górze krowy i szafy fruwały i po tych krowach w ich kamienicy było dwadzieścia dziewięć niewypałów na podwórzu koło poręczy na trzepanie dywanów, jedna tylko kopana wybuchła i pół kamienicy siadło, mozesz wiedzieć wiesz, jak suflot co na przeciągu oklapł. I z tem właśnie Jasiem ów nowoupieczony papa raz poszli na wyprawę na plebanię na placu Grzybowskiem, czy jakoś tam, bom dawnej Warszawy, rozumiesz pan nie znał, i w piwniczce u duszpasterza odkryli wyborne naleweczki, toteż pokirzyli regularnie, bo co mądrzejszego można było zrobić? I ówdzie tato, kiedy wrócili na bańce, to z podwórza wziął jeden niewypałek dla fasonu i przyniósł żonie do piwnicy mówiąc: Chciałaś, małżonko, mleczka dla Zbysia, to masz całe krówkie! Raban się zrobił wprost niemożebny! Tak, byli czasy, ino że się dziś o tamtych sprawach opowiada z humorem, ale wtedy, zaiste, jak mniemam, mało komu było do śmichu. Sam w stolicy nie byłem, bom osiemnaste urodziny w koncentracu zmarzłym kartoflem celebrował, ale już po wojnie sam widziałem jak Ruskie całe pociągi wywozili nocami na wschód, pełne dobra wszelakiego, rozumiesz pan, psiekruwie się obłowili, a potem na pewno to czego nie rozkradli na rampie leżało i rdzewiało. Bardak, przepraszam za dwuznacznik, był kosmiczny, a towarowe wagony byli przykryte plandekami, to jest ta jeich słynna pieprzona solidarność socjalistyczna i bezinteresowna pomoc w walce z kapitalizmem, kij mi w oko jak końska noga, jeśli łgam, czy łżę, jak to się po polsku mówi, się zapomina, nie? niech mi się przeto moje



słowa jeszcze w ustach w gówno, przepraszam za dwuznacznik, obróć, jeśli to nieprawda. Aż mnie raz blomby rozboleli pod Sochaczewem jak na taki pociąg-widmo patrzyłem. Ech, Polsko kochana, coś ty się nacierpiała i dzieci twoje? Jeżeli Bóg istnieje, to On chyba ma kamienne serce! Ile w wyniku tego luna parku dziś się w Polsce narodu poniewiera, a także samo za granicamy, to i komputerem nie zliczy, tfu.

Siedzieli w kilku przy stole w knajpce Domu Polskiego i czekali na walne zebranie Związku Polaków, jakie wkrótce miało się zacząć w dużej sali. Ludzie schodzili się powoli i nie było ich dużo, wiadomo: emigracyjna apatia, już nawet ci zawodowi społecznicy mniej krzyczą niż dawniej, już się zmęczyli. Apatia, oraz dobrobyt, oraz wolność. Bo gdyby tu w Australii ktoś Polaków prześladował, to by się bractwo bardziej kupy trzymało, to by zwarciej stało przy polskości i rodzice by zmuszali dzieci do mówienia po polsku, a tak co? Apatia i wrzody na żołądku. Tępicki i Gruszczyński biegali po Domu Polskim zaferowani, liczyli ilu już jest członków, a także sędzia Biliński, którego brat spalił się w pożarze jaki powstał kiedy w nocy obudził się z bólem głowy z czadu, było to po pierwszym wieczorze autorskim Zenka Kotlarka, i zamroczony czadem przypadkowo przewrócił naftowy piecyk, bo w lipcu były akurat przymrozki. Dziś modele piecyków ulepszono, są bezpieczne, ale to było wtedy, pierwszy pogrzeb emigrancki, młody człowiek, w sile wieku, mógł wiele dobrego zrobić, bo był inteligentny i chętny, a już go tyle lat nie ma. Potem przyszyły inne pogrzeby, coraz ich więcej. Coraz więcej pogrzebów, coraz więcej wspomnień, a nas coraz mniej — myśli Smoła.

Za chwilę do Bilińskiego, a obecnie to już starszy pan, na emeryturze, to ma więcej czasu na pracę społeczną, podszedł Jurek Jabłoński, wychowanek polskiego technikum w amerykańskiej zonie w Niemczech, ten tu dużo pracy włożył i jedyną zapłatę ma w przeświadczeniu że robił co mógł, no i w plotkach od bliskich i dalszych znajomych, w pretensjach i żalach, jak to na emigracji. Za chwilę ogłosili obaj, że ciągle nie ma *quorum*, to zgodnie ze statutem należy poczekać jeszcze pół godziny, ale potem zaczną bez względu na ilość obecnych.

— No jak *quorum*, to *quorum* — powiedział Kalina do kolegi marynarza. — Wobec powyższego opowiedz panom jak miałeś ten wypadek.

— Owszem, opowiem, bom gaduła. Ino możebyście jeszcze gdzie rodacy kropelkę *potato juice*, czyli siwuchy zorganizowali, bo mi w krtani zasycha do szpuntu. Dziękuję, panie majorze, ta wódeczność będzie z wdzięcznością wypita, luby mi jest, rozu-

miesz pan, ten dźwięk gul-gul z nalewanej butelczyny, acha, o czym mówiliśmy? O wypadku. Wracalem jak raz rano z *Victoria Market* z kalafioramy, seleramy, owocamy i nawet takiemy dziwnościami jak *avocado*, *custard apples*, *mango*, *paw-paw*, czyli papaje, *Kiwi fruit* czyli chiński agrest, z *passion fruit*, o którym nikt detalicznie nie wie jak to będzie po naszymu, możesz wiedzieć wiesz, z *figoa*, z *persimonem*, z *guava* i *honey-melon*, cały *trak* tego towaru. Uważasz pan, zapycham naszą *second hand utility* kupioną od Bolcia Gajewskiego, żonatego z siostrą Jasia, oni teraz mają *milk-bar* i *espresso* na Flinders Lane, prima sorta kawusia, pod chajrem, z wykopem, „Diana” się nazywa lokal, to ciężaróweczki już nie potrzebowali, a tu, patrzeć, pod mostem kolejowym na mnie wypadł oślepiiony porannym słońcem z Zatokii jakiś *cop*, czyli po naszymu glina i jak mnie rymnął z lewej strony, znakiem tego on jechał nieprzepisowo i co widziem, a ja tu leżę na środku asfaltu wśród kalafiorów i pomarańcz, tudzież rzodkiewek, a cytryny to się katurlały aż pod Technical College. Siekło mnie okropnie, otwieram oczy, a nade mną druty tramwajowe, śliczne niebo, ruszam nogami, nie bołą, ruszam rękami, jakoteż, ruszam główką, to znaczy chcę ruszać, a tu znajomy Moryc Rozenpflanc akurat się napatoczył, wracał z nielegalnego macedońskiego nocnego kurwidołka „Blue Cellar” za katolicką katedrą, przegrał w manillę parę złotych, czyli ze dwie stowy dolarów, więc, zrozumiałe, był wściekły na kangurów, że tu do nich zjechał na emigrację, jak by to jeich wina była, ale on wołałby żyć w Radomiu, a ponadto Bułgary brzydko mu nawymyślały od Serbów i szpetnie się wyrażali o jego domu czyli kuczy, a najgorzej już to o jego numerze domu. Co jemu ganz pomada, bo kamienicę bomba szkopska już we wrześniu jebła, przepraszam za dwuznacznik, czyli jednym słowem Moryc stoi nade mną i zaznacza syczącym szepem:

— Te, marynarz, leż kurwa twoja mać, jesteś uszkodzony i odszkodowanie ci kurzaż pałasz poleci, *kompensajszen* i *insiu-rans*, leż bzdylu, zgręzo zezowata! Co poleci, Moryc? szepcę z jedynym okiem zamkniętym. Odszkodowanie, najduchu, nie ruszaj się nic, rób co ci będą po polsku doradza, sza, szojn już, co za pytanie. I na głos się rozdarł, rozumiesz pan, że nada ambulansik, doktora, *hi is indžerd*, *gewalt*, *Dżizys Krajst*, Santa Madonna poratuj wczoraj z Casablanki miał przybyć mój mąż, *hełp*, *hełp*, *ju polismen end ju drajw lajk lunatik?* *Aj em de titnes*, *kastabl*, *hi is indžerd*. Co wam będę wszystko wyszczególniał, wzięli mnie do szpitala do Prince Henry Hospital, doktorzy zbadali, kiwali głowamy i po dwóch dniach diety, jak te ichnie kleiki i kastardy mnie znudzili niemożebnie i stęskniłem się za polską kiełbasą od Rusinka i Hausbrot od Monarcha, no i za wódką z ojczyzny



ludowej, a także samo zrobiło mi się żal Guścia, co się sam jak palec na sklepie pozostał, rozumiesz pan, tom prysnął do domu, *aj em otrajt, ju noł*, rzekłem, kazali coś podpisać że ja na własne żądanie, ale ja pamiętny nauczki szczebiotałem: *no ser, tit maj solisytor*, bez adwokata nic nie podpiszę! Moryc co dzień przylatywał z kwiatami i podszczypywał nersy, rozumiesz pan, wreszcie mecenas Goldstein com go poznał w Café de Paris u Strożka, wytoczył był sprawę o odszkodowanie. Wstydzilem się z taką dętą pretensją iść do Okny, bo to ucziwy facet i z nim nawet przyjemnie przegrać, aliści Szłoma czyli po tutejszemu Sol Goldstein, to nie Olek, Olek Goldstein jest *real estate agent* i handluje domami, czyli reasumując, przepraszam za dwuznacznik, Sol rzekł, że się należy dwa tysiące patyków, *two grands* i że tyle zamiaruje wydusić od strony przeciwnej, ament. Te z *insuransu* owej gliny przyszli i gadu gadu, picu picu, że to była moja wina, że ja byłem pijany, *ander influens*, uważasz pan że *jutility* odkupiona od Bolcia była w złem stanie i temuż podobne surrealistyczne strachy na jednego Lacha. Że dadzą setkie. Sto *baks*? pytałem, *Ju mast bi dzoking*, wy chyba kpicie znajduchy w koale szarpane, obrażał się Moryc, dwa tysiące, bo jak się zdenerwujem to jeszcze podwyższem całe pretensje. Moryc zebrał wszystkie potrzebne zaświadczenia i zaznacza: nie lękaj się pan, panie admirał, przyuważem tych durniów w paragraf chesanych, bo i tak te kompanie ubezpieczeniowe całe *city* wykupują, że coraz trudniej w mieście o piwo, wszystkie *paby* wykupują i stawiają biurowce jak Pałac Kultury, ino mniej brzydkie, a z czego to to oni mają tyle mamony jak nie z nacinania naiwnych i ubezpieczonych? Nasza sprawa jest czysta i dobra Bozia nie pozwoli wydymać bidaka co był zmuszonym napażać ze stateczku Polski Ludowej, albo Lodowatej, cichnij zołzo, cicho, sza, szoyn, już, co za pytanie, ty komandorze nic nie masz do gadania. Wzięli mnie te z tego towarzystwa ubezpieczeniowego do ichniego lekarza, a Moryc poszedł za tłumacza i mnie pouczył, że ze mną wszystko jest w porządku, ino on nie pojmuje czemu od czasu do czasu ja mam zawroty głowy. I się wywracaj co jakiś czas, bo — mówił — lekarz będzie ci się kazał kręcić. Więc poszlim, rozumiesz pan, badał, mierzył, pukał, słuchał, potem kazał się zginać i ruszać rękami i nogami, to ruszałem. A on wyrokuje że ja *okiej*, że on nic nie widzi *wrong* ze mną i kazał się trzy razy obrócić, no to ja się kręciłem dwa razy, a przy trzecim na ziemię pac i zostaję leżeć. Czemu on upadł? pyta doktor. To ja nie wiem czemu. On znowu gadu gadu, możesz wiedzieć wiesz, tego śmego i apiać obróć się pacjent kilka razy. To ja dwa razy jak ta lala, aliści przy trzecim: ryms, łubudu, placek! Dlaczegoś upadł? on słodko. A ja znowu, że nie wiem, że czuję się dobrze,

lecz że mi szumi w łepetynie, takie *nojzys*. A Moryc jeszcze słodziej: *Dokter, mor konsiderajszen for maj pajsjent, ju ar ej sedist*. Doktor napisał raport, że znalazł mnie w porządeczku, wsio *okiej*, ino że z bliżej nieznanym powódów padam przy trzecim razie w charakterze świętego Wita i towarzystwo ubezpieczeniowe owej gliny już mi dawało pięćset talarów, bo po co do sądu, koszta, kłopot, nerwy, strata i jeszcze nie wiadomo co sędzia orzeknie, prawniczka jego mamusia była, może kopany akurat nie lubi emigrantów, tak brali nas pod pic. A mecenas nic, za mało mówi, *not enaf*, wy sobie chichy śmichy robicie z *aksydentu* a mój klient może, nie daj Boże, wylądować w Sunbury albo w Mont Parku, czyli tutejszych Tworkach, za mało, po mojej zimnej trupie. Już przyszedł dzień, kiedy rozprawa miała się znaleźć, rozumiesz pan na tak zwanej wokandzie, a oni znowu możesz wiedzieć wiesz hikiel puszczają iż dają sześćset dolarów i ani centa więcej, a my nic, nie, choć miałem mojrę, że cały bajc spali na panewce, atoli oni w korytarzu są skłonne dać siedemset, mecenas kiwa głową *not enaf* i za klamkie, osiemset, *ju mast bi dzoking* ja szepcę z boleściwą miną, osiemset pięćdziesiąt, ty wiesz durny emigrancie ile to jest osiemset dolarów w gotówce? ile na to trza robić? wreszcie ja nie wytrzymałem nerwowo, przymkłem rozumiesz pan te drzwi, co już mecenas Goldstein już już chciał otworzyć jak Napoleon, albo Hannibal ante portas i wyrzekłem swe kwestie z mocą w głosie: *Najn handret i get lost*, dziewięć setek i cześć! Jeden z nich na wszelki wypadek nogą trzymał drzwi i się zgodził. Moryc potem kretykował że ja kiepski pokierzysta i słabizna nerwowa, witaminy zalecał, że można jeszcze było z nich wydusić choć ze trzy stowy więcej, ale ja mu rzekłem: Moryc kochany, korytarz był za krótki i te dźwi za szybko się napatoczyli...

Nadpił ze szklanki i ogarnął słuchaczy zadowolonym spojrzeniem: podobało się im jego opowiadanie. Polacy lubią koloryzować swe przygody i wychodzić w nich na cwaniaków, w ten sposób biorą jedyny możliwy rewanż na losie i przynajmniej w opowiadaniu odcinają się od swoich zagrań, które w rzeczywistości były mniej zgrabne niż w późniejszej relacji. Ale wszystkim im było miło i przyjemnie, czas szybko schodził, a tu Tępickiego i Bilińskiego nie widać, kłóca się z księdzem w bibliotece.

— Po zapłaceniu adwokata i po prezencie dla Moryca zostało mi się siedemdziesiąt niebieskich dych z tem poetą Lawsonem na obrazku, siedemset dolarów, ale to tyż piechotą nie chodzi. Kupiliśmy nowe *fittings* do naszego zieleniarskiego sklepu i oporządziliśmy nasze mieszkanie z tyłu, bo jak raz poznaliśmy dwie



Polki, jedna z Kraju tu przyjechała do narzeczonego, a patrzy toż to starzec, nabrał ją na fotkie kuzyna, więc mu prysła, a druga tutejsza z Bendigo i coś mi się widzi, że się ochajtniemy, czyli pójdziemy do magistrackiego księdza. Fajne babki, wystrzałowe, w cycuś, z wykopem, będziemy wobec powyższego rodzinkie zakładać, wprowadzie ja już troszeńkę starszy niż Guściu i oba my troszkę, przepraszam za dwuznacznik, przechodzone, ale jak się jeszcze rozpędzę, to bliźniaki za pierwszą razą skutecznie na medal! I za parę lat, oczyma duszy to widzę, jak na emigracji i po raz pierwszy ślubnie spółdzone progeniturę prowadząc za rączkie przychodze do nauczycieli sobotnich szkółek pana Tępiczego i do pana Grzebyty i zagajam w te oto słowa: Królewicze kochane młody las wam tu prowadzę, niech się emigracja rozwija i trwa, by miał kto świata przypominać o naszej ojczyźnie, a co była dla was, o Anglosasach teraz mowa, rozumiesz pan, zdekadenciate kapitalisty, natchnieniem świata, ino że wy o tym teraz *konwinientli* zapominacie, szlag by was trafił, daltoniści moralni i polityczni, oraz naiwne minicwoczki względem Rosji, która, zaiste wam rzekę, na Chiny w niedługim czasie naskoczy, a Zachód palcem nie ruszy, chyba do podarcia swych pełnych spodni, przepraszam za dwuznacznik i Rosja dalej będzie rozrabiać jak oprych na zebraniu sodalicyj mariańskiej i nikt jej manta nie spuści, a szkoda, tfu. Chociaż kto wie, Chińczyki także samo jej dosuną...

— Panowie, zaczynamy zebranie! — zawołał od drzwi dużej sali sędzieja Biliński. — Jest trzydziestu dwóch członków obecnych, a ci z brydza też przyjdą, temu docentowi z Polski karta siknęła i szlemikiem kończy, więc zaczynamy zebranie!

Poszli na zebranie. Po różnych sprawozdaniach i po dwóch godzinach kłótni i dyskusji najczęściej nie na temat, przystąpiono wreszcie do wyboru nowego zarządu.

Andrzej CHCIUK

## Coitus

Kiedy wracałem ze spaceru, w powietrzu wirowały już pierwsze płatki śniegu. W przedpokoju zdjąłem futro, postawiłem w kącie odziedziczoną po ojcu laskę z mosiężną gałką, ściągnąłem ciężkie buty i nałożyłem miękkie pantofle.

W kuchni otworzyłem puszkę wołowiny przyprawioną po chińsku, zapiliśmy to świństwo cierpkim winem, które stało odkorkowane od środy i poszedłem do pracowni. W kominku żarzyły się węgle, było zacisznie i ciepło.

Na biurku leżał otwarty kajet i kilka książek. Ze ściany obserwowała mnie szpetna twarz mojej matki. Usiadłem wygodnie w fotelu i zapaliłem papierosa. Byliśmy umówieni na ósmą. Śnieg tłumiał teraz kroki przechodniów.

Umiął sobie życie ułożyć. Tak powiedzieliby o nim dzisiaj. Zaledwie kilka wieków temu, a już obserwowany poprzez diariusze, kroniki, miedzioryty, wspomnienia, listy, świat tamten wydaje nam się prosty, bez obaw. Zapewne za kilka stuleci ludzie z podobną zazdrością będą przyglądać się tym dawno przezwyciążonym problemom, które drążą nasze sumienia, popychają nas do mordu, samobójstwa, strajków i rewolucji.

K wydaje nam się charakterystycznym przedstawicielem epoki, w której rozum dawał odpowiedzi na najbardziej sceptyczne, targające ludzkim jestestwem pytania. Wszystkie zagadnienia udało mu się rozwikłać wzorowo, matematycznie. Tropiąc ideę, w której prawdę wątpić nie sposób, natrafił wreszcie na pojęcie własnego istnienia.

Zapewne jest w tym odkryciu wielki dramat. Dramat, który dziś jeszcze odczuwamy. K bowiem, pisząc w pierwszej osobie — a jakżeż inaczej mógł ująć autopsję własnej myśli aż po granice zakreślone przez rozum? — każe czytelnikowi identyfiko-



wać się z następującymi po sobie nieodzownie wywodami właśnie dlatego, że ich fundamentem jest osobowość autora refleksji, osobowość *K* w wypadku samego *K*, osobowość *L* w wypadku *L*. Ale każdy z nas wie — i tu właśnie rozgrywa się ów dramat, tu jest źródło podniecenia, które odczuwamy przy lekturze pism *K* — że odtwarza na sobie ten dramat na nowo. Nie wyciągamy wniosków na podstawie założeń ogólnych. *K* każe nam wnioskować na podstawie niezastąpionego niczym doznania własnej osobowości.

Lecz tu właśnie drogi nasze rozchodzą się. To, co dla niego jest jasne i wyraźne, dla mnie jest niepewne, wątpliwe, mgławicowe. Szukając siebie w pamięci, odtwarzam doświadczenia z różnych lat i różnych okresów. Przyglądam się im z zewnątrz, z daleka, obiektywnie. Świadomość moja obejmuje oczywiście pamięć tych doświadczeń bezpośrednio, ale są one tak różne, odległe od tego, co dziś czuję, co wiem teraz, że nie potrafię nawiązać łączności, nie potrafię, dla własnej satysfakcji nawet, przekonać się o ciągłości psychofizycznej organizmu, który przez lata rósł, zmieniał się, podlegał różnym presjom, pożądaniom i załamaniom.

Ten organizm przenosił się z miejsca na miejsce, asystował wypadkom o doniosłości historycznej, przetrwał najróżniejsze awantury i ponadto przeżywa dogłębnie zdarzenia, których świadkiem nie był i być nie mógł. Świadomość bowiem, podbudowana wiedzą i wyobraźnią, cofa się daleko w czasie i przestrzeni, wybiega w przyszłość, nie jest osamotnioną jednostką w wszechświecie. A do takiego właśnie odosobnienia doprowadził *K* swoją substancję myślącą.

*K* przyznaje przecież wręcz, że badając skrupulatnie swą świadomość, której istnienia jest tak pewny, nagle zreflektował się, że nie potrafi w zasadzie określić, czym ta świadomość jest, że prześlizguje mu się szparami w sylogizmach. Jest to chyba najbardziej wstrząsający epizod pielgrzymki *K*. Lecz ten moment niepokoju i dezorientacji wnet przemija. Wiara w rozum — ha! *wiara w rozum*: czyż śpięcie tych dwóch przeciwstawnych pojęć nie jest świetnym podsumowaniem niemożliwego, ukrytego, paradoksu myśli *K*? — a więc, wiara w rozum ostatecznie tryumfuje. Wielki dramat autopsji kończy się w mniemaniu *K* zwycięstwem. Kurtyna zapada.

Widząc tedy niewiasta, że dobre było drzewo ku jedzeniu, a iż było wdzięczne na wejrzeniu a pożądliwe drzewo dla nabywania umiejętności, wzięła z owego owocu i jadła. Dała też i mężowi swemu, który z nią był i on też jadł. Zatem otworzyły się oczy obojga i poznali że byli nagimi.

Tak zeszliliśmy się tutaj przypadkiem. Spotykaliśmy się potem od czasu do czasu.

A gdy się najadł Booz i napoił i rozweseliło się serce jego, poszedł a układał się przy stogu. Przyszła też i ona po cichu a odkrywszy płaszcz, u nóg jego układała się.

Teraz widywaliśmy się częściej, chodziliśmy do kina i na spacer. Układaliśmy plany. Obawialiśmy się kryzysów międzynarodowych, wojen, utraty poczucia własnej osobowości. Bywały też momenty ekstatyczne, kiedy identyfikowaliśmy się, ty i ja, z całą przyrodą, z całą ziemią, z całym wszechświatem. Ten świat ogromny, obcy, wydawał się nam nagle malutki, podlegający ściśle naszej kontroli. Wszystko działało się zgodnie z naszą wolą. Ludzie poruszali się w parku, w autobusie, na ulicy, tylko dlatego, że byli w polu naszego widzenia. Cały wszechświat tracił nagle wszelkie tajemnice. Prawa fizyki i chemii stawały się kaprysem naszej nieograniczonej świętej wyobraźni, ale właśnie w takim stanie najtrudniej tobie i mnie było doszukać się tej jaźni, sprecyzować ją, ustalić, stworzyć z niej fundament, na którym zbudowalibyśmy pałac, dom towarowy, wieżowiec, więzienie, koszary, ministerstwo obrony narodowej, świątynię.

I wjechała do Jeruzalemu z wielkim bardzo poczem, z wielbłądami niosącymi rzeczy wonne i złota bardzo wiele i kamienia drogiego, a przyszedłszy do Salomona mówiła do niego o wszystkim co miała na sercu swoim. I dała królowi sto i dwadzieścia talentów złota i rzeczy wonnych bardzo wiele i kamienia drogiego. Nadto okręty Hiram, które przyniosły złoto z Ofir, przyniosły z Ofir drzewa almugimowego bardzo wiele i kamienia drogiego. Król także Salomon dał królowej Saabie wszystko czego chciała i czego żądała, a oprócz tego co jej dał z dobrej woli ręką królewską.

Niemalże nieświadomie („nieświadomie”) *K* ukazał nam na mgnienie oka wewnętrzny dramat, w którym człowiek poszukuje siebie. Ale dlaczego kurtyna opadła tak szybko? Dlatego, że *K* widział tu wyłącznie problem dla rozumu. Klarowność dedukcji uspiła wszelką twórczą niepewność. Jednakże *K* stanął przez chwilę nad otchłanią i chyba zdał sobie w pełni sprawę z chaosu, który tam ujrzał. Później, wiele lat później, miał powiedzieć, że gdyby tej zasadniczej pewności był pozbawiony, wszystko zawaliłoby mu się na głowę.

Ale właśnie tu leży sedno tej strasznej tajemnicy, na którą *K* wolał zamknąć oczy. Musiał przeczuwać, że to „ja” jest nieuchwytnie, być może powątpiewał zgoła w jego istnienie. Dlatego też to, co w rzeczywistości uchwycił, na papierze zdefiniował, jest tak puste i wyzute z uczuć, pamięci, pożądania, wiary, nadziei, przerażenia, bólu. Ta jaźń, czysta myśl raczej, która istnieje przez minutę może, jest fikcją, stanowi pozór gwarancji a nie gwarantującą samą.



Ty i ja możemy poszczycić się majestatyczną wspólnotą przeżyć, możemy wspominać dalekie podróże, romantyczne schadzki, kłótnie, koncerty, kolacje w wytwornych restauracjach i śniadania w przydrożnych kafejkach. Matka Ewa dała nam nie tylko idylliczną miłość Ruty, lecz również żądzę, która trawi ciało, zaciemnia oczy i wiedzie poprzez moment ekstazy do błogosławionego upadku, odrazy, zniechęcenia.

I stało się przed wieczorem gdy wstał Dawid z łoża swego a przechadzał się po dachu domu królewskiego, że ujrzał z dachu niewiastę myjącą się. A ta niewiasta była bardzo piękna na wejściu. Wtedy posłał Dawid pytając się o onej niewieście i rzekł azaż to nie Betsabe córka Eliamowa, córka Uriasza, Hettejczyka?

Nie wiemy jednakże *K*, nie zنعajmy się nad nim. Żył przecież życiem pełnym. Za młodu pisał wiersze, kochał się, dziecko, które z tej miłości się urodziło, wnet zmarło. Długie lata spędził w siodle, na wygnaniu, ukrywał się, mawiał: *larvatus prodeo*. A mimo to powodował skandale, sprowokował potępienie swych dzieł w Utrechcie i w Lejdzie; drobniawo cierpliwie odpisywał na listy tępych księży i władczych księżniczek. Wreszcie spakował kufry i popłynął na północ na żądanie majestatu i zmarł przedwcześnie na zapalenie płuc. Nie naśmiewajmy się więc z niego za to, że próbował dowieść rzeczy, których dowieść nie można, które na zawsze pozostaną dla nas jądrem niewiedzy.

Gdy jesteśmy nadzy, ty i ja, cóż o sobie wiemy? Wiemy, że jesteśmy nadzy. Przyglądamy się sobie, jak ta mądra para w sadzie, gdy zdecydowała się odrzucić opiekę autokratycznego, gwałtownego („genitalia za genitalia”) mściwego boga ojca, boga stworzenia. On, podobnie jak *K*, zaplanował świat pozbawiony namiętności i niepewności. Myśmy natomiast wybrali świadomie brutalną magmę życia w swej chronicznej przypadkowości, której momenty zniechęcenia, obrzydzenia, oburzenia, obawy, świadczą o kruchości, zwiewności, nieograniczoności naszej jaźni, co jest najlepszym świadectwem jej wielostronnej piękna.

Odrzucając dedukcję *K* dotyczącą trwałej, stałej, wiecznie czujnej jaźni, siłą rzeczy upada dla nas argument za nieśmiertelnością duszy. I czyż nie wypada się nam radować z tego tryumfu cielesnej doczesności nad rajem racjonalistów?

Za chwilę wstanę, by zobaczyć, czy śnieg przestał padać.

Adam CZERNIAWSKI

## Archiwum polityczne

### Kronika angielska

Wartość każdego kryzysu polega na tym, że przyspiesza kryształizację pewnych problemów. Pewne zagadnienia, które powoli dojrzywały — ukazują się nagle w pełnym świetle. Owym kryształizacyjnym właściwością kryzysu chciałbym poświęcić niniejsze rozważania.

Prez. Nixon zarządzając swój alarm atomowy — nie uprzedził nikogo. Innymi słowy postąpił tak, jak postępuje hegemon w stosunku do swoich klientów. Europejczycy pragną by Ameryka była hegemonem połowicznym — to znaczy by utrzymywała swoim kosztem wojska, bazy i „parasol atomowy” dla naszego bezpieczeństwa. Natomiast ilekroć Ameryka uwikła się w konflikt w Wietnamie, na Korei czy w jakiegokolwiek innej części świata — Europejczycy przestają uważać Amerykę za swojego hegemonu i dają do zrozumienia Waszyngtonowi, że te dalekie konflikty Europę nic nie obchodzą.

Prasa i politycy amerykańscy zareagowali bardzo gwałtownie oskarżając EWG, że w sprawie konfliktu na Bliskim Wschodzie, Europa przybrała postawę neutralną. W rzeczywistości, ministrowie zagraniczni dziewiątki przyjęli deklarację idącą znacznie dalej niż znana uchwała Rady Bezpieczeństwa Nr 242 — i zajęli wyraźnie stanowisko pro-arabskie. Jak Czytelnicy pamiętają, chodziło o ropę nftową. Broń naftowa — ściślej mówiąc szantaż naftowy — okazała się w stosunku do Europy i Japonii niezmiernie skuteczna.

Nie ma powodu podkreślać, że ropa naftowa posiada dla Europy wręcz podstawowe znaczenie. Lecz NATO i powiązania z Ameryką są ważniejsze. Nie ulega wątpliwości, że dyskretnymi inspiratorami sankcji naftowej byli Rosjanie, którzy bronią naftową chcieli ustrzelić dwa ptaki. Po pierwsze, pragnęli spowodować kryzys w NATO wykazując dobitnie, że cele gospodarcze i polityczne Europy Zachodniej i Ameryki nie pokrywają się wzajemnie. Po drugie, pragnęli odizolować Izrael od Europy,



zwłaszcza od Anglii i Niemiec Zachodnich. Finalnym celem całej operacji byłoby narzucenie Bliskiemu Wschodowi *Pax Sovietica*. Inaczej mówiąc, Sowiety dominowałyby na Bliskim Wschodzie a Europa korzystałaby w pełni z nafty arabskiej — z tym zastrzeżeniem, że nafta byłaby tylko dla europejskich krajów pro-arabskich. O tym, kto jest istotnie pro-arabski decydowałby Kreml. Wówczas benzyna dla czołgów i samolotów NATO byłaby niejako w dyspozycji Moskwy. Cóż za wymarzona sytuacja!

Oczywiście europejscy mężowie stanu nie rozmyślają o takich subtelnościach — wiedzą natomiast, że gdyby w czasie bieżącej zimy doszło, na skutek kryzysu naftowego, do drastycznej redukcji potencjału elektrycznego — nastąpiłaby katastrofa.

Elektryczność ogrzewa i oświetla mieszkania, uruchamia kuchnie elektryczne, radioodbiorniki, telewizory, gramofony, maszynki do golenia, skomplikowaną aparaturę w salonach fryzjerskich dla pań i panów i uaktywnia nawet gitary elektryczne, bez których nie ma pop-songów. Do tego apokaliptycznego obrazu dorzucić można jeszcze przemysł tak ciężki jak i lekki, który bez prądu elektrycznego nie może się obejść.

Rząd, który na społeczeństwo sprowadza apokalipsę — przegrywa następne wybory. To jest pewnik, którego nie należy poddawać w wątpliwość. W sumie wypada stwierdzić, że politykę zagraniczną uprawiają tylko Ameryka i Sowiety — natomiast Europejczycy zachodni mają regionalne interesy i na tym kropka.

8 listopada ub. roku prasa podała wiadomość, że prezydent odstawił na półkę tzw. „Trade Bill” który dla Europy miał olbrzymie znaczenie. Prawdopodobnie Kissinger uważał, że pierwszeństwo należało przyznać Bliskiemu Wschodowi a nie Europie.

Podkreślam ów fakt, ponieważ stanowi on doskonałą ilustrację typu polityki uprawianej przez zespół Nixon-Kissinger.

W dniu 6 listopada ub. roku Kissinger wylądował w Kairze. Celem jego polityki było odebranie inicjatywy Rosjanom i restaurowanie wpływów amerykańskich na Bliskim Wschodzie. Dosłownie w kilka godzin po wylądowaniu Sekretarza Stanu w Kairze — ogłoszono oficjalny komunikat o natychmiastowym wznowieniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Ameryką a Egiptem. Podano nawet nazwiska ambasadorów.

Świat arabski ogarnęło zdumienie. Dosłownie kilkanaście dni przed wizytą Kissingera prez. Sadat oświadczył publicznie, że „Ameryka prowadzi wojnę przeciw Egiptowi — co stanowi wielki zaszczyt dla Egiptu — lecz oczywiście Egipt takiej wojny wygrać nie może”.

Propaganda arabska od czasów wojny sześciodniowej głośiła, że Ameryka, jako protektorka Izraela, jest głównym wrogiem Arabów. Wystarczyło 6 godzin rozmów Kissinger-Sadat by największe państwo arabskie wznowiło pełne stosunki dyplomatyczne z USA. Tego samego dnia na ekranach telewizyjnych oglądaliśmy Kissingera i prezydenta Sadata ściskających sobie z wyłaniem prawice.

Lecz polityka Kissingera — co Polakom przychodzi trudno zrozumieć — nigdy nie jest biało-czarna. Dalekofalowym celem Kissingera jest nie dopuścić do *Pax Sovietica* na Bliskim Wschodzie. Lecz nie za cenę zerwania *detente* z Sowiecami. I dlatego „Trade Bill” odstawiono *ad acta*. Zarówno bowiem Nixon jak i Kissinger wiedzieli, że gdyby doszło do głosowania nad tą ustawą — Kongres uzależniłby przyznanie klauzuli największego uprzywilejowania Sowiecom od oficjalnego przyrzeczenia przez Kreml, że zwolni Żydów pragnących emigrować do Izraela od wszelkich restrykcji i ograniczeń. Nixon i Kissinger nie chcieli ryzykować w Kongresie debaty o charakterze antysowieckim, która wyraziłaby się w trudnych do strawienia dla Moskwy warunkach. Jak wiadomo — według oficjalnej wykładni sowieckiej — tego typu warunki stanowiłyby niedopuszczalną ingerencję w wewnętrzne sprawy Związku Sowieckiego.

Zgodnie z metternichowską filozofią — w całej tej sprawie poświęcono partnera najsłabszego, to jest Europę. Odłożenie „Trade Bill” z jednej strony wzmocni izolacjonistów, których nie brak w Ameryce — z drugiej strony, opóźni odbudowanie „mostów” gospodarczych pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi.

Nawet w systemach totalnych jest rzeczą niełatwą uzgodnić interesy globalne hegemonu z interesami regionalnymi satelitów. Moskwa powołuje się zawsze na wspólną sprawę komunizmu ale — choć Polska jest również państwem komunistycznym — o tym co leży a co nie leży w interesie rewolucji komunistycznej decyduje wyłącznie Moskwa.

Gdyby — powiedzmy dla przykładu — doszło do wojny sowiecko-chińskiej — państwa satelickie zmobilizowałyby przeciwko Chinom cały aparat propagandowy, lecz nie spieszyłyby się z wysyłaniem jednostek wojskowych na front chiński. Walczyłyby prawdopodobnie reprezentacyjne eskadry lotnicze polskie, czechosłowackie i może węgierskie — lecz nawet Sowiety nie potrafiłyby wymusić na swych satelitach pełnego zaangażowania w konflikcie z Chinami. Społeczeństwa państw satelickich — a w szczególności Polacy — życzyliby po cichu powodzenia Chinom i satelickie partie komunistyczne — a w szczególności polscy komuniści — zdawaliby sobie z tego sprawę. Gdyby polski rząd podjął masową wysyłkę polskich jednostek wojskowych na front chiński doszłoby prawdopodobnie do poważnych rozruchów, a może nawet do otwartego buntu.

Anglicy jeszcze dziś mówią czasami o *special relationship* z Ameryką — lecz w czasie gdy Amerykanie walczyli w Wietnamie żaden polityk brytyjski nie wysunął propozycji wysłania do Wietnamu choćby czysto reprezentacyjnego batalionu brytyjskiego. W mojej opinii Anglicy mieli rację, ponieważ Amerykanie w czasie wojny wietnamskiej głosili konieczność uszczuplenia swych oddziałów w bazach europejskich. Czy bezpieczeństwo Sajgonu ważniejsze jest od bezpieczeństwa Paryża czy Brukseli?



Faktem jest, że Amerykanie nie walczą z komunizmem jako takim, ani nie walczą o wolność wszędzie tam, gdzie jest zagrożona. Amerykanie walczą orężem i dyplomacją o utrwalenie globalnej równowagi sił, ponieważ w rozumieniu Kissingera i Nixona pokój świata tylko na tej drodze może być zabezpieczony.

Dopóki Nixon i Kissinger są przy sterze — bez względu na to co Europa Zachodnia robi czy nie robi — nic nam nie zagraża. Nic nam nie zagraża, ponieważ w globalnym równaniu Kissingera — utrata Europy Zachodniej godziłaby bezpośrednio w interesy amerykańskie.

*Détente* jest potrzebna do zachowania uprzywilejowanej pozycji, która polega na tym, że tylko Waszyngton może rozmawiać ze wszystkimi — tak z Rosją jak z Chinami, tak z Arabami jak i z Izraelem, itd.

Polityka globalna Sowietów w porównaniu z analogiczną polityką amerykańską jest kulawa. W teorii Sowiety prowadzą politykę antyimperialistyczną i ideologicznie antykapitalistyczną. Lecz ponieważ Sowiety są również mocarstwem imperialistycznym — ich polityka globalna jest dziwolągami. Moskwa rozmawia z Egiptem lecz nie z Izraelem — rozmawia z Anglią czy Francją lecz nie z Afryką Południową czy z Portugalią, rozmawia z Waszyngtonem lecz nie z Pekinem.

Stosunkowo niedawno japoński premier Tanaka odwiedził Moskwę. Nadano tej imprezie szeroki rozgłos jako pierwszej wizycie japońskiego szefa rządu w Moskwie od czasu wojny. Wizyta zakończyła się całkowitym fiaskiem. Tanaka był nieustępliwy w swych żądaniach, a Breżniew podobno kilkakrotnie uniósł i bił pięścią w stół. Tanaka był nieustępliwy — ponieważ Japonia mając dobre stosunki z Ameryką i z Chinami może być w Moskwie nieustępliwa. W tej rozgrywce Sowietom brakło karty chińskiej. Gdyby Sowiety miały wyrównane stosunki z Pekinem — Tanaka byłby znacznie bardziej ustępliwy.

Doktryna Kissinger-Nixon jest daleko lepiej dostosowana do potrzeb polityki globalnej niż polityka Moskwy. To jest polityka, która Europie Wschodniej nie daje nawet promyka nadziei, ponieważ jej fundamentalną zasadą jest obrona *status quo*. Ta zasada gra na korzyść Anglii i Francji lecz na niekorzyść Polski czy Czechosłowacji. Gra na korzyść Izraela w tym sensie, że zmierza do pokrzyżowania sowieckich planów opanowania Bliskiego Wschodu.

Bezpośrednio po ogłoszeniu alarmu atomowego Kissinger w czasie konferencji prasowej powiedział, że Stany Zjednoczone nie dążą do konfrontacji z Sowietami, lecz nie mogłyby przypatrywać się beczynnie jednostronnej interwencji wojskowej Sowietów na Bliskim Wschodzie. Inaczej mówiąc, Kissinger dał jasno do zrozumienia Moskwie, że zbrojna interwencja sowiecka na Bliskim Wschodzie jest niedopuszczalna nie tyle z uwagi na Żydów czy Arabów — ile z uwagi na to, że godziłaby w amerykańsko-sowiecką *détente*, której kardynalną zasadą jest zachowanie *status quo*.

Jak zaznaczyłem uprzednio, krótkotrwały kryzys wydobywa na wierzch pewne dyspozycje — co umożliwi odpowiedź na pytanie jak dany naród czy narody zachowałyby się w chwili wielkiego kryzysu. Gdy prezydent USA ogłosił alarm atomowy, w Europie na powierzchnię wypłynął neutralizm. A przecież wystarczy rzucić okiem na mapę, by sobie uświadomić, że walka idzie nie tylko o granice Izraela czy o arabską naftę. Sowiety dążą do ustanowienia się po drugiej stronie Morza Śródziemnego — co, jeżeli im się powiedzie, będzie równoznaczne z ujęciem Europy w kleszcze.

W wywiadzie BBC pewien Amerykanin, powołujący się gęsto na swoje kontakty z CIA, oświadczył że zainteresowanie Sowietów Arabami jest tylko reakcją na sojusz amerykańsko-izraelski. Jeżeli Amerykanie rozluźnią swe stosunki z Izraelem — Sowiety automatycznie przestaną interesować się Arabami. Ów Amerykanin — którego nazwiska nie zdołałem zanotować — dodał jeszcze, że syjoniści stanowią dziś w Ameryce jedyną grupę społeczną, która udziela stu-procentowego poparcia Nixonowi. Z tej przyczyny w okresie kryzysu wojennego prezydent musiał być jeszcze bardziej pro-izraelski niż dawniej.

Powyższa opinia jest charakterystyczna, ponieważ wielu Amerykanów sądzi, że polityka zagraniczna stanowi niejako reakcję na politykę wewnętrzną. Kissinger jedzie do Kairu, do Moskwy, czy do Pekinu, by podnieść prestiż prezydenta i jego administracji nie wśród Chińczyków czy Egipcjan ale wśród Amerykanów. Tak oto zaciera się różnica pomiędzy polityką wewnętrzną a zagraniczną, ponieważ sceną działalności prezydenta i jego administracji jest polityka globalna.

Globalizm w pewnym sensie zaskoczył Europę — pojawił się bowiem w chwili kiedy mocarstwa europejskie przestały być potęgami światowymi. Francja czy Anglia posiadają przeszłość i tradycję mocarstwowo-kolonialną. Ameryka natomiast wyrosła z tradycji antykolonialnej i premier Chin miał rację kiedy zauważył, że wojna wietnamska wykazała do jakiego stopnia społeczeństwo amerykańskie jest antykolonialne.

Bronie atomowe umożliwiły Amerykanom stworzenie nowego typu polityki imperialnej, która obchodzi się bez kolonializmu. Natomiast przywódcy sowieccy nie mogą sobie wyobrazić, że można uprawiać globalizm bez kolonializmu. Dla Moskwy globalizm jest tylko środkiem do celu, którym jest zwyczajny kolonializm.

Amerykański globalizm jest elastyczny i daleko bardziej nowoczesny niż polityka Kremla. Dzięki temu — w przeciwieństwie do Sowietów — Amerykanie mają wpływy zarówno w Moskwie jak i w Pekinie, zarówno w Izraelu jak i w Egipcie. Lecz różnice sięgają głębiej. Przez „rządzenie światem” Amerykanie rozumieją wpływ oparty o siłę gospodarczą i wojskową. Rosjanie — choć nawet sami przed sobą do tego się nie przyznają — przez „rządzenie światem” rozumieją zabór. Rząd komunistyczny tylko wówczas jest legalny jeżeli stanowi delegaturę władzy sowiec-



kiej. Dlatego w rozumieniu sowieckim legalny jest rząd Polski Ludowej — natomiast rząd chiński z definicji jest nielegalny, ponieważ jest anty-sowiecki, a tym samym kontrrewolucyjny.

Rodowód owego legalizmu wywodzi się z początków rewolucji. Według klasyków marksizmu „własność jest złodziejstwem” — a wszelki system oparty na własności prywatnej jest uzurpatorstwem. Jedyną władzą legalną jest władza ludowa, której jedynym organem jest władza sowiecka. Światem rządzą legalnie rządy, stanowiące przedłużenie władzy sowieckiej — oraz rządy uzurpatorskie. Te ostatnie należy oczywiście obalić przy pomocy miejscowych komunistów, którzy wówczas ustanowią rząd ludowy zalegalizowany przez najstarszą w świecie władzę ludową — to jest Sowiety.



Pisma amerykańskie nazywają Anglię „chorym człowiekiem Europy”. Osobiście sędzę, że nie tylko Anglia lecz Europa Zachodnia jest chorą częścią świata. Nawet Arabowie zdołali uzgodnić swoją politykę w sprawie ropy naftowej. EWG nie zdołała wypracować nawet arabskiego modelu jedności.

Wydaje mi się, że Europa Zachodnia ma przed sobą trzy możliwości. Może uznać hegemonię amerykańską i przekształcić się w amerykański obszar satelicki. Obecne trudności i tarcia pomiędzy Ameryką i Europą wypływają z faktu, że pragniemy by Waszyngton bronił nas i popierał jako swój własny obszar satelicki i równocześnie przyznał nam na kredyt status równorzędnego partnera.

W okresie październikowej wojny izraelsko-arabskiej Nixon rozmawiał telefonicznie z Breżniewem i bywały dni, że ambasador sowiecki odwiedzał Kissingera siedmiokrotnie w obrębie 24 godzin i raz ściągnął go z łóżka o drugiej w nocy. Ministrowie państw EWG nie byli konsultowani ani w dzień ani w nocy i od początku przyjęli postawę neutralną o zabarwieniu pro-arabskim. Niemniej, gorzkim wyrzutom i krytykom pod adresem Amerykanów w prasie europejskiej nie było końca.

Nie można mieć pretensji suwerennych, jeżeli się nie jest suwerennym. EWG mogłaby mieć wspólną politykę zagraniczną, wspólne dowództwo sił zbrojnych, własny arsenał atomowy. Lecz europejskie konferencje „na szczycie” nie produkują niczego poza szumnymi deklaracjami. Mamy wprawdzie Traktat Rzymski lecz ten chwalebny dokument jest tylko papierem.

Alternatywy: satelictwo albo partnerstwo — wydają się mało prawdopodobne. EWG nie chce być satelitą a nie potrafi być partnerem.

W pewnym sensie wielkość Europy polega na jej różnorodności. Kultura angielska jest różna od kultury francuskiej a obie te kultury różnią się znacznie od kultury niemieckiej. Jeszcze inne są kultury hiszpańska i włoska. To bogactwo i różnorodność, skupione na niewielkim obszarze terytorialnym, tworzyły i tworzą nadal z Europy wręcz „unikalny” rejon naszego globu.

Owa różnorodność stanowi zarówno o wielkości jak i o słabości Europy. Stare, historyczne narody łączą się ze sobą na krótko i tylko w chwilach śmiertelnego zagrożenia. Na drugi dzień po wojnie jedność się kończy.

„Wspólny Rynek”, unia celna, wspólny system monetarny (choć nie wspólna waluta) wspólna polityka technologiczna, rolna itp. itd. — to wszystko leży w granicach możliwości. Lecz nie widzę europejskiego federalnego parlamentu, federalnego rządu, federalnej armii — jednym słowem, nie widzę Stanów Zjednoczonych Europy. A nic poniżej tego maksymalnego zjednoczenia nie da Europie statusu supermocarstwa i statusu równorzędnego partnera wielkich potęg. Są sytuacje gdzie tylko maksimum jest koniecznym minimum. Do tej kategorii sytuacji należy problem zjednoczenia Europy.

W ostatnich czasach było wiele nawoływań — w tym i przemówienie Kanclerza Brandta — by przyspieszyć powołanie do życia federalnych instytucji EWG. Lecz wysuwa się zawsze odległe daty — lata 80-te i 90-te bieżącego stulecia. Falę apelów zjednoczeniowych wywołało upokorzenie EWG przez Amerykę w okresie „alarmu atomowego”, oraz naftowy szantaż arabski.

Jeżeli nie sążone jest mojemu pokoleniu doczekać wyzwolenia Polski — chciałbym przynajmniej doczekać zjednoczenia Europy. Lecz nie jestem optymistą w tej sprawie. Wyzwolenie Polski — choć może przyjdzie długo na nie czekać — z całą pewnością nastąpi. Natomiast nie jestem pewien czy prawdziwe zjednoczenie Europy w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

Konsekwencją *Ostpolitik* nie jest zjednoczona Europa tylko uwiad NATO i neutralizm. Nie wiem co myśli młode pokolenie Niemców. Lecz Niemcy średniego i starszego pokolenia z całą pewnością myślą o zjednoczeniu obu państw niemieckich. Byłoby dziwne gdyby było inaczej.

Adenauer wierzył, że Ameryka i zjednoczona Europa wymuszają na Sowietach wycofanie się z NRD. *Ostpolitik* stanowi odwrotną metodę. Zwolennicy tej polityki sądzą, że poprzez „odprężenie” z Sowietami i poprzez rozwinięcie współpracy z NRD — powoli, ewoluacyjnie, z pokolenia na pokolenie granica pomiędzy obu państwami niemieckimi choć może nie zniknie to przecież stopniowo zacznie się zacierać.

Z punktu widzenia niemieckiego to jest może realistyczna polityka, zakładając, że Bonn dokładnie rozumie i akceptuje warunki sowieckie. W zneutralizowanej, semi-zdemilitaryzowanej Europie — Sowiety mogą patrzeć bez obawy na powolny proces wzajemnego zbliżenia obu państw niemieckich. Natomiast zjednoczone Niemcy jako filar sfederalizowanej Europy są propozycją nie do przyjęcia dla Rosji — sowieckiej czy nie sowieckiej.

Na terenie Europy Zachodniej, a w szczególności w Niemieckiej Republice Federalnej, wybieramy pomiędzy *Ostpolitik* a federalizacją Europy. Silna, zjednoczona, sfederalizowana Europa Zachodnia nie leży w interesie Sowietów i dlatego nie można być równocześnie zwolennikiem *Ostpolitik* i zjednoczonej Euro-



py. Oczywiście nikt tego nie przyzna, bo już dawno zatraciliśmy odwagę trzeźwego myślenia. Produkujejmy oceany drętwej mowy w nadziei, że w latach 80-tych i 90-tych wszystko obróci się na lepsze.

W ostatecznej analizie wszystkiemu „winna” jest Ameryka. Waszyngton może nas lekceważyć, może nas nie konsultować — lecz Europa Zachodnia — zjednoczona czy nie zjednoczona — stanowi w sensie globalnym sferę wpływów Stanów Zjednoczonych. Utrata Europy Zachodniej zrujnowałaby doszczętnie metternichowską „równowagę sił” — tak drogą sercu Kissingera. Może nam grozić neutralizacja czy finlandyzacja — lecz nie zagraża nam okupacja sowiecka. Nie mamy noża na gardle i to stanowi naszą... tragedię. W przeszłości łączył nas zawsze nóż na gardle. Bez niego trudno nam przychodzi uszczuplić nasze suwerenności i wyimaginowane pretensje mocarstwowe.

Poświęćmy jeszcze parę słów charakterystyce budowniczego obecnej polityki amerykańskiej. Kissinger jest świetnym negocjatorem i wie, że świetnym negocjatorem może być tylko ten, kto negocjuje z pozycji siły. Kissinger jest niewątpliwie za siłą i żaden rzecznik wydatnego umniejszenia amerykańskiego potencjału zbrojeniowego nie może liczyć na jego życzliwe poparcie.

Kissinger jest przeciwnikiem koncepcji „fortecy amerykańskiej” i wierzy, że skuteczna obrona Stanów Zjednoczonych możliwa jest tylko w ramach polityki i strategii globalnej. Mimo *défente* Kissinger nie ma żadnych złudzeń w odniesieniu do Sowietów. Jest na to zbyt dobrze wykształcony i zbyt konserwatywny.

Z punktu widzenia Europy Zachodniej, Henry Kissinger ma jedną wielką wadę: nie będzie trwał wiecznie. Gdy jego zabraknie dojdą do steru ludzie, którzy uważają, że Ameryka nie jest w stanie podołać zobowiązaniom światowym, które stanowią uciążliwy i kosztowny legat drugiej wojny światowej. Nastąpią znaczne redukcje, których pierwszą ofiarą będzie Europa.

### WALKA O MÓZGI

Autor interesującej książki pt. „The Mind Possessed”, dr William Sargant — pisze, że nie bronie nuklearne tylko walka o mózgi ludzkie zadecyduje o losach naszej cywilizacji.

Dr Sargant, który jest lekarzem i psychiatrą podróżował po całym świecie zbierając materiały do swojej pracy. Zniwolić mózg można magią czarną lub białą, przemówieniami, tańcem, *pop music*, *drugs*'ami, okultyzmem w rozmaitych formach itd., itp.

Zniwolenie umysłu czy to poprzez hipnotyczny wpływ przemówień Hitlera, czy to poprzez doświadczenie mistyczne — polega na ucieczce ze sfery racjonalnej świadomości w sferę niekontrolowanych, antyracjonalnych emocji. Autor pisze, że brał

udział w praktykach tak potężnie oddziaływujących że tylko najwyższym wysiłkiem woli zdołał utrzymać racjonalną przytomność umysłu. Praktyki o których mowa nie miały nic wspólnego z narkotykami chemicznymi. Lecz z wszystkich ssaków — człowiek jest najbardziej podatny sugestii (Anglicy określają ów stan jednym słowem *suggestibility*). Arabowi można zasugerować, że jeżeli polegnie w walce z Żydami czeka go raj z hurysami. Słoniowi nie można zasugerować żadnego nonsensu, można go natomiast nauczyć pewnych czynności.

Trzeba zachować całkowitą przytomność umysłu, by móc działać rozsądnie i myśleć krytycznie. Autor brał udział w nabożeństwach sekt religijnych w Ameryce, w czasie których skandowano hymny przy werblu małych bębnow. Gdy zgromadzeni osiągnęli dostateczny stopień hysterii — „pastor” podawał im jadowite węże. Owe węże zgromadzeni podawali sobie z rąk do rąk bez cienia lęku. Niezmiernie rzadko trafiały się wypadki, że wąż kogoś pokąsał, wówczas pastor i zgromadzeni piętnowali pokąsanego jako człowieka małej wiary.

Jeżeli ktoś godzinami siedzi na skrzyżowanych nogach, z pochyloną na piersi głową — oddycha nosem, redukując dopływ utlenionej krwi do mózgu do minimum — jest rzeczą możliwą — że po pewnym czasie dozna sensacji „nie z tego świata”. W złe utlenionym mózgu powstaje pustka myślowa, zdolność krytycznego myślenia zanika i dana osoba staje się podatna autosugestii.

Kościół katolicki odnosił się zawsze z wielką nieufnością i krytycyzmem do wszelkich „cudowności” które w znakomitej większości wypadków wytłumaczyć można ściśle naukową analizą. W tym miejscu warto może podkreślić następujący fakt, o którym dr Sargant nie wspomina. Ludzie, którzy po latach postów i medytacji otrzymują tzw. stygmaty męki Pańskiej — posiadają rany na wewnętrznej stronie obu dłoni, ponieważ na wszystkich obrazach i figurach Chrystus przybity jest do krzyża w ten sposób, że gwoździe przechodzą przez środek jego dłoni.

Badania całuna (który komisja lekarzy i naukowców uznała za autentyk) wykazały, że Chrystusa przybito do krzyża wbijając gwoździe w przeguby ręki tak by ominąć stawy dłoni.

Inaczej mówiąc, stygmaty o których wspomniałem nie odpowiadają prawdzie, ponieważ Chrystusa nie przybito do krzyża poprzez dłonie. Ludzie jednak rozmyślając o męce Chrystusa wyobrażają ją sobie tak, jak podaje tradycja uwieczniona na setkach obrazów.

W moim przekonaniu stygmaty — choć nie pokrywają się z ranami Chrystusa — w niczym nie umniejszają świętości ludzi, którzy w najlepszej wierze rozmyślali nad męką Pańską. Tej świętości nie umniejsza również fakt, że owe stygmaty wytłumaczyć można w sposób naturalny, bez uciekania się do metafizyki.

Nie zgadzam się z główną tezą autora cytowanej książki, że



człowiek i jego zachowanie są w całości wytłumaczalne naukowo, choć nie wszystko jest jeszcze zbadane i wytłumaczone. Jeżeli odrzuca się istnienie Boga — instynkt religijny jest fenomenem niewytłumaczalnym. Freud nazwał religię neurozą ludzkości. Pomijając fakt, że każda neuroza ma swoją konkretną przyczynę — nie wydaje mi się przekonujące przypisywać tę samą neurozę ludom pierwotnym, izolowanym szczepom nad Amazonką, cywilizacjom starożytnym i współczesnej cywilizacji zachodniej. W rzeczywistości Freud wynalazł nową formę „grzechu pierwotnego” — stwierdzając, że ludzie wszystkich epok, niezależnie od naturalnego otoczenia i masy genetycznej, rodzili się z niezawinioną i z nie wiadomo czym spowodowaną „neurozą” zwaną instynktem religijnym.

Wydaje mi się, że daleko bardziej zgodne z rozumem i doświadczeniem będzie stwierdzenie, że instynkt religijny podobnie jak instynkt seksualny nie jest żadną neurozą tylko jest w nas, ponieważ służy konkretnemu celowi i zaspakaja konkretne potrzeby.

Każdy instynkt w okresach dekadencji ulec może wynaturzeniu i wówczas zmienia swój znak z dodatniego na ujemny.

W mojej opinii gdyby nie istniał w nas instynkt religijny nie byłoby wiar świeckich, nie byłoby ideologii. Walka pomiędzy religią a komunizmem w Europie Wschodniej jest starciem dwóch całościowych poglądów na świat i człowieka, które są ze sobą sprzeczne.

Komunizm — jak to wielokrotnie i wyczerpująco wykazano — nie wytrzymuje krytyki rozumowej. W komunizm można tylko wierzyć. Gdyby droga do komunizmu wiodła poprzez logikę nie byłoby bezbłędna, rzeczową argumentację — komunizm nie musiałby być ideologią totalną, która broni się przed krytyką rozumową cenzurą i całym aparatem policyjnego państwa.

Gdy Weissberg-Cybulski, który przeżył koszmar czystek stalinowskich, zjawił się na Zachodzie — odwiedził w Londynie swojego przyjaciela komunistę. Gdy ów stary komunista wysłuchał relacji Cybulskiego — chwycił się za głowę i jęknął: „jeżeli nie komunizm to co?”.

Ileż razy słyszałem identyczne wyznanie od ludzi łamiących się z wątpliwościami religijnymi: „jeżeli nie katolicyzm to co?”.

Przyjaciel Cybulskiego z rozpaczą w sercu pozostał jednak komunistą. Wielu ludzi, którzy zmagają się z wątpliwościami religijnymi pozostają jednak katolikami. Oba wypadki dają świadectwo potęgę instynktu religijnego.

Dr Sargent wylicza 50 bogów wyznawanych na różnych szerokościach geograficznych naszego globu. Wszystkie owe bóstwa, zdaniem autora — są tworem ludzkiej wyobraźni. Innymi słowy choć autor omawianej książki nie formułuje tego w ten sposób — instynkt religijny jest oszukaństwem natury, ponieważ nie istnieje adresat tego instynktu.

W mojej opinii nieporozumienie polega na tym, że ateści są

również produktami instynktu religijnego. Gdyby nie istniał w nas ów instynkt, nie byłoby ani ludzi wierzących ani ateistów. Ateizm jest po prostu wiarą w niewiarę.

Choć nie podzielam ateizmu dr. Sargent'a podpisuję się w pełni pod postaniem jego książki a mianowicie, że walka o umysły ludzkie jest walką o zachowanie racjonalizmu.

Coraz więcej ludzi, zwłaszcza młodych, szuka rozwiązań poza instytucjonalną religią i poza instytucjonalną nauką. Zarówno nauka jak i kościoły w pewnym sensie zawiodły, ponieważ nie dają odpowiedzi na podstawowe pytania z którymi szamoce się tak jednostka ludzka jak i społeczeństwo.

Niemniej fakt, że człowiek nie jest w pełni wytłumaczalny poprzez naukę — nie może być użyty jako argument przeciwko racjonalizmowi. Tylko bowiem poprzez rozum i w ramach rozumu człowiek może dojść do części prawdy nam dostępnej i odrzucić mistyfikacje poza-rozumowe, które prawdą nie są. Halucynacje wywołane dawką LSD, takim czy innym magicznym rytuałem, czy hermetyczną ideologią odciętą od racjonalnej krytyki — paraliżują mózg, który stanowi nasz najwyższy i niczym nie zastępowalny organ poznawczy. Rezygnując z mózgu, a więc podając nasz rozum komukolwiek czy czemukolwiek — przestajemy być ludźmi nawet w sensie zoologicznym.

Fakt, że przeżywamy jeden z najpoważniejszych kryzysów, fakt, że odnosi się często wrażenie, że nasza cywilizacja ulega postępującemu rozkładowi — wszystko to spowodowane jest nie nadmiarem racjonalizmu tylko jego brakiem. Racjonalizm nie jest jednym z „izmów”, które podlegają modzie, jak prądy w marlarstwie czy w literaturze. Racjonalizm stanowi fundament zachodniej cywilizacji i upadek racjonalizmu oznaczałby nawrót do barbarzyństwa.

Szczególnie niebezpieczną wydaje się koncepcja — podzielana przez wielu — że zbawienie, tak w sensie ziemskim jak i religijnym, możliwe jest tylko poprzez powrót do prostszych, bardziej surowych form życia — poprzez powrót do bardziej ortodoksyjnej religijności.

Ponieważ nasz racjonalizm nie nadąża za rozwojem technologicznym cywilizacji na wielu polach obserwujemy chaos. Weźmy prosty przykład. Współczesna nauka wykazała, że otyłość skraca życie i powoduje różne schorzenia. Nauka wyprodukowała wiele preparatów odchudzających. Jest rzeczą powszechnie znaną, że nadużywanie tych preparatów prowadzi do depresji. Gabinety psychiatrów pełne są kobiet, które pozbawiły się tuszy, lecz równocześnie wpędziły się w stan poważnej depresji.

Winę za powyższy stan rzeczy ponosi nie skomplikowane bogactwo naszej technologicznej chwilizacji — tylko brak racjonalnej postawy pewnego procentu osób, które korzystają z jej produktów.

Dramat nasz polega na tym, że daleko łatwiej jest być racjonalnym wieśniakowi na wsi zabitej deskami — niż mieszkańcowi



Paryża, Londynu czy Nowego Jorku. Racjonalnie może się zachować człowiek, który posiada minimum ogólnej wiedzy i oświecenia. To niezbędne minimum na wsi zabitej deskami jest niskie i łatwe do osiągnięcia, dla ludzi żyjących w centrach cywilizacyjnych minimum to jest wysokie i wymaga ustawicznego trudu, by utrzymywać je na niezbędnym poziomie.

Sto czy sto pięćdziesiąt lat temu — mimo szeroko rozpowszechnionego analfabetyzmu — daleko większy procent ludzi niż dziś rozumiał „tkaninę” zachodniej cywilizacji. Współczesny człowiek żyje w zaczarowanym świecie stworzonym przez radio, telewizję, stereo, samoloty odrzutowe, statki kosmiczne, miliony *drugsów* i ponieważ w 90 wypadkach na 100, nic z tego nie rozumie — wini racjonalizm, który wydaje mu się nieprzydatny w rozwiązaniu szarady, w pośrodku której wypadło mu żyć.

Proces ewolucyjny może iść naprzód lub upaść — lecz nie może się cofać. Powrót do tzw. „dobrych czasów” jest najbardziej utopijną utopią. (Zabawne pomyśleć, że dla naszych wnuków, którzy dziś chodzą do przedszkola — za lat 50 współczesna epoka wydawać się będzie „dawnymi, dobrymi czasami”).

Mówiliśmy o walce o mózgi i umysły ludzkie. Wszystkie cywilizacje były elitarne — lecz nasza cywilizacja staje się bardziej elitarna niż wszystkie jej poprzedniczki. Nie tylko olbrzymia władza polityczno-militarna skupiona jest w rękach dosłownie kilku ludzi, lecz również technologia i przemysł rządzone są przez niewielką grupę wielonarodowych koncernów.

Coraz trudniej jest zdobyć to — co za czasów mojej młodości określało się „ogólnym wykształceniem”. Nie słyszy się ani nie czyta terminów, które mojemu pokoleniu wbijano do głowy z wiarą i przekonaniem. Gdyby dziś na Zachodzie jakaś grupa czy partia wystąpiła z hasłem „Bóg, Honor i Ojczyzna” stałaby się pośmiewiskiem. Można czytać latami prasę zachodnią i nie natknąć się na słowo „honor”. Zarówno termin jak i jego treść znaczeniowa wychodzą z użycia. Zanikają również słowa „obowiązek” i „patriotyzm”. Choć nie wyszły jeszcze całkowicie z użycia strącono je z piedestału i w rezultacie oba te terminy tracą dziś naftaliną i starzyzną.

Całość opisywanych przemian manifestuje się wśród ludzi wyobcowaniem i poszukiwaniem. Stan wyobcowania i poszukiwania w połączeniu z poczuciem, że należy zrobić coś szybko i zaraz, czyni ludzi podatniejszymi na sugestie apelujące do emocji. Droga rozumowej analizy wydaje się długa i żmudna. Racjonalizm w XX wieku nie ochronił nas przed rewolucjami, kryzysami czy wojnami. Gdzie jest gwarancja, że tym razem wprowadzi nas z matni?

Jednak racjonalizm i tylko racjonalizm stanowi całą naszą nadzieję. Racjonalizm jest równoznaczny z psychicznym i duchowym zdrowiem. Jest coraz trudniej zachować psychiczne i duchowe zdrowie, niemniej, od wysokości procentu ludzi, którzy

zachowają racjonalizm — zależy przewyciężenie kryzysu i przetrwanie naszej cywilizacji.

Odrodzenie religii w moim przeświadczeniu dokonać się może tylko poprzez racjonalizm. Kościołów chrześcijańskich nie pobudzą do życia bezkrytyczni wyznawcy z elektrycznymi gitarami czy bez. Prawdziwe odrodzenie przynieść mogą tylko racjonalni myśliciele i reformatorzy. Pomiędzy Bogiem, pojętym jako najwyższa inteligencja, a ludzkim rozumem nie ma i nie może być żadnej sprzeczności. Z powyższego wynika jasno, że pomiędzy religią a racjonalizmem nie ma również żadnej sprzeczności. Istnieje tylko sprzeczność pomiędzy racjonalizmem a pewnymi kościelnymi doktrynami, które narosły w ciągu wieków. Trzeba zachować wierność Bogu i rozumowi — bo choć rozum ludzki jest ułomny — wszystko inne jest niepomierne bardziej ułomne.

LONDYŃCZYK

## Korespondencja z Rzymu

Mobilizacja społeczeństwa przez episkopat wokół sprawy planowanej reformy oświaty spowodowała cofnięcie się kierownictwa partii na z góry upatrzone pozycje. W rozmowach z przedstawicielami hierarchii kościelnej władze podjęły w ciągu września i października starania o rozładowanie napiętej atmosfery, zapewniając m.in. że po wprowadzeniu modyfikacji do projektu reformy, nauczanie religii nie napotka na przeszkody. Udzielono równocześnie zezwoleń na budowę kilku kościołów na Śląsku w ośrodkach wielkomiejskich, na co do niedawna jeszcze nie chciano się zgodzić. Episkopat uważa, że chodzi o taktyczny, częściowy odwrót przy zachowaniu niezmienionej strategii. Nic nie wskazuje na razie na to, by odprężenie miało charakter bardziej trwały, zwłaszcza że na „dole” nie ustają praktyki dyskryminacyjne. Komunikat episkopatu z 25 października stwierdza, że władze państwowe nie zareagowały pozytywnie na memoriał biskupów ze stycznia 1975 roku, w którym wymieniono konkretne przykłady szykan stosowanych przez niższe ogniwa administracji publicznej w stosunku do działalności punktów katechetycznych. Episkopat domaga się „przeprowadzenia dochodzeń w sprawie stosowanych w dalszym ciągu przez władze lokalne ograniczeń swobody nauczania religii”. Episkopat podkreśla, że nie będzie możliwa normalizacja stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem dopóki wolność kultu religijnego nie będzie zagwarantowana. Biskupi nadal odrzucają hasło Gierka budowania tzw. „drugiej” Polski i stoją na stanowisku że „Uchwała o socjalistycznym wychowaniu młodzieży” jest po-



mysłem importowanym z zewnątrz, sprzecznym z „wzorcami wychowawczymi, które kształtowały naszą postawę chrześcijańską” i że gdyby podjęta uchwała miała stać się ustawą „mogłaby przynieść narodowi nieobliczalne szkody”. Ostateczny projekt, przedłożony sejmowi w październiku, jest nadal „uchwałą”. Episkopat nie potępia tej uchwały *en bloc*, przyznaje, że zawiera elementy pozytywne; stwierdza jednak, że wyklucza pluralizm wychowania, postulowany przez Kartę Praw Człowieka Narodów Zjednoczonych i paryską deklarację o wychowaniu — „uchwałą” przewiduje bowiem jednokierunkowy program „wychowania socjalistycznego”, to znaczy ateistycznego, dobrze bowiem wiadomo jakie treści mieści w sobie „socjalizm” w wersji sowieckiej. „Uchwałą” — zdaniem episkopatu — gwałci podstawowe prawa człowieka ponieważ neguje prawo rodziców do wyboru kierunku wychowawczego, zgodnego z przekonaniami światopoglądowymi. To jest główne zastrzeżenie natury ideowej i moralnej. Co zaś do nauczania religii, to rząd wprawdzie poszedł na ustępstwa, ale — zdaniem biskupów — techniczno-organizacyjny aspekt tych ustępstw wywołuje zasadniczy sprzeciw. Uchwałą przewiduje mianowicie, że dzieci mogą być zwalniane z zajęć popołudniowych dwa razy w tygodniu na podstawie pisemnej deklaracji rodziców. Episkopat nie zgadza się na tę procedurę ponieważ umożliwia naciski na rodziców, którzy są zmuszeni zwracać się o pozwolenie do władz oświatowych. Biskupi nie zapomnieli „manipulacji” stosowanych przy analogicznej procedurze w okresie popaździernikowym. „Uchwałą”, nawet po dokonanej modyfikacji, stanowi zresztą jedynie ogólne ramy planowanej reformy — wszystko zależy od tego, jak będą ujęte rozporządzenia wykonawcze, które je wypełnią. Stąd sceptyczny stosunek episkopatu do tej sprawy wydaje się nader uzasadniony. Optymistyczna ocena posła Stommy z koła poselskiego *Znak* nie znajduje więc pokrycia, kiedy w wywiadzie udzielonym B. Margueritte (*Le Monde* z 23 października) stwierdza: „Zanotowaliśmy z zadowoleniem umiarkowanie rządu w tej sprawie. W ostatecznym projekcie reformy, przedłożonym Sejmowi, nie ma właściwie niczego, co mogłoby nas niepokoić”. Jak wiadomo w kwietniu koło *Znak* powstrzymało się od głosowania nad „uchwałą o socjalistycznym wychowaniu młodzieży”, w październiku zaś głosowało za tzw. Uchwałą o Edukacji Narodowej, stanowiącej ostateczny kształt legislacyjny reformy oświaty.

Modyfikacja uchwalonego projektu oraz pewne złagodzenie kursu polityki wobec Kościoła stanowiły niewątpliwie przygrzywkę do wizyty ministra spraw zagranicznych S. Olszowskiego w Watykanie. Przybył on do Rzymu na czele delegacji, w której kluczową rolę odgrywała Józefa Siemuskiewicz, doradca ministra (tytuł oficjalny — faktycznie kierująca sprawami wyznaniowymi w K.C.). Olszowski przyjechał na zaproszenie włoskiego kolegi, Aldo Moro. Rozmowy włosko-polskie nie przyniosły nic nowego — skończyły się na ogólnikowych terminach dobrych intencji odprężeniowych i na podpisaniu układu o... regulacji wza-

ajemnych należności w transporcie morskim. Głównym celem przyjazdu Olszowskiego była audiencja u Papieża, mająca na celu przełamanie impasu trwającego od wiosny 1972, kiedy, po drugiej turze rozmów, negocjacje z Watykanem uległy przerwaniu. Olszowski został przyjęty przez Papieża w dniu 12 listopada, po czym konferował z abp. Casarolim. Tego samego dnia ogłoszono „informację sali prasowej” Watykanu (a nie „wspólne oświadczenie” jak podała prasa krajowa — różnica jest dość istotna: w nomenklaturze watykańskiej komunikat prasowy jest mniej zobowiązujący niż dwustronna deklaracja). Oto najważniejsze fragmenty tej „informacji”:

„Podczas rozmowy zostały poruszone niektóre zasadnicze problemy sytuacji międzynarodowej. Minister Olszowski przedstawił Jego Świątobliwości polski punkt widzenia w ważnych sprawach polityki europejskiej, witając z uznaniem wkład Stolicy Apostolskiej w dzieło odprężenia i pokoju światowego. Paweł VI wyraził słowa szczególnej życzliwości pod adresem Narodu Polskiego i, wspominając okres swego pobytu w Polsce w 1923 roku, okazał zainteresowanie z jakim śledzi życie, postęp i rozwój Polski. Papież okazał troskliwość o społeczność katolicką w Polsce. Poruszył również sprawy, które aktualnie leżą na sercu Kościoła w Polsce, wyrażając nadzieję że sprawy te będą mogły znaleźć zadawalające rozwiązanie... Minister ocenił z uznaniem wkład katolików polskich w dzieło budownictwa ojczyzny. Co się tyczy dalszej normalizacji stosunków między Państwem a Kościołem, minister podkreślił dobrą wolę rządu PRL w tej sprawie. Papież przyjął z zadowoleniem to oświadczenie do wiadomości. Minister Olszowski zaprosił J. E. A. Casaroli do złożenia wizyty w Polsce. Zaproszenie zostało przyjęte”.

Na konferencji prasowej dla dziennikarzy włoskich i zagranicznych Olszowski określił swą wizytę w Watykanie jako „wydarzenie historyczne”, stwierdzając, że rysuje się możliwość „zynstytucjonalizowania wzajemnych stosunków”. Na pytanie odnośnie podróży Papieża do Polski odpowiedział: „Jestem przekonany, że stworzenie *modus vivendi* (pomiędzy Watykanem i PRL) i normalizacja stosunków między Państwem a Kościołem stanowią konieczne przesłanki dla wizyty Papieża w Warszawie”. Zwróciło powszechną uwagę, że Olszowski ustawił Kościół polski obok Watykanu jako „trzeciego partnera” w procesie normalizacji. Uznano ten fakt za sprawdzian realizmu i odstąpienie (przynajmniej formalne) od rachub na wbijanie klina pomiędzy: „dobry” Watykan i „zły” Prymas.

Prasa włoska podkreśliła, że natychmiast po wizycie Olszowskiego Papież przyjął sekretarza episkopatu bp. Dąbrowskiego, który zjawił się w Rzymie tydzień przedtem, dla złożenia szczegółowego raportu o aktualnej sytuacji. „Papieżowi chodziło — jak pisze wytrawny włoski komentator polityki watykańskiej — o uniknięcie jakiegokolwiek podejrzenia o intencję 'przeskoczenia' (*scavalramento*) episkopatu, tzn. wyobcowanie go ze skomplikowanych rokowań z rządem warszawskim. Stolica Apostolska wydaje się bardzo zatroskana także o to, by w Polsce nie zaszły trudności związane z desygnacją biskupów ordynariuszy. Papież nadał też specjalną wagę audiencjom dla polskich bisku-



pów przybyłych z wizytą *ad limina apostolorum*, co ma oznaczać konieczność ich udziału w zaangażowaniu na rzecz normalizacji ogólnych stosunków pomiędzy Warszawą a Watykanem. Zachodzi również obawa, by nie powtórzyła się w Polsce „sytuacja czechosłowacka”: trzech biskupów, na czterech mianowanych w lutym, należy do organizacji politycznej, popierającej reżym Husaka. Również i na Węgrzech panują duże trudności. Właśnie w tych dniach odbywają się rozmowy pomiędzy Imre Miklos'em, szefem urzędu dla spraw wyznań Republiki Węgierskiej a mons. Casarolim (w których bierze udział mons. Poggi 'ambasador do specjalnych poruczeń') w celu rozwiązania tak zwanej „sprawy Mindszientego”, który nadal uważa się za 'głową hierarchii węgierskiej' (wbrew zobowiązaniom przyjętym — zdaniem rządu w Budapeszcie — w chwili opuszczenia kraju). Władze węgierskie domagają się od Papieża nominacji nowego kardynała. Dyskusja trwa”.

Jak ocenia Watykan *les avances* ministra Olszowskiego i otwartą perspektywę „zinstytucjonalizowania stosunków”? Wszelkie reakcje, jakie mogłem zarejestrować, odbiegają dość wyraźnie od optymistycznych akcentów, których nie ukrywała strona polska (przynajmniej „na eksport”). Reakcje te można zreasumować w następujący sposób: Warszawa zmierzała do tego, aby nadać wizycie charakter państwowy, akcentując jej aspekt międzynarodowy. Papież mówił natomiast przede wszystkim o „wspólnocie katolickiej w Polsce” i o sprawach „które leżą najbardziej na sercu Kościoła”, to znaczy o zamachu na swobodę nauczania religii i o innych przeszkodach, na jakie napotyka duchowieństwo w akcji duszpasterskiej. Dał do zrozumienia swemu rozmówcy, że Stolicy Apostolskiej nie należy traktować jako Państwo na równi z każdym innym. Minister polski wyszedł z audyencji wyraźnie zmieszany. Jak należy wnosić z konferencji prasowej, wyciągnął stosowne wnioski, oceniając rozmowy watykańskie jako „pozytywną przesłankę, dla kontaktów ze Stolicą Apostolską i z Kościołem polskim”. Abp Casaroli uda się do Warszawy pod koniec stycznia, lub w pierwszej dekadzie lutego, dla kontynuowania rozmów, które w ścisłej harmonii z postęпами normalizacji stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem powinny przyspieszyć ustanowienie *modus vivendi* pomiędzy Warszawą a Watykanem. Nie wykluczone, że to *modus vivendi* przybierze postać formalną, to znaczy podpisanie protokołu o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Nastąpi to nie od razu, prawdopodobnie będą potrzebne dalsze kontakty. Wszelkie pogłoski na temat konkordatu są bezzasadne i świadczą jedynie o kompletnej nieznajomości norm i zwyczajów regulujących stosunki Watykanu z rządami państw obcych. Negocjacje z Warszawą będą prowadzone w ścisłej synchronizacji z episkopatem polskim, a ich przygotowanie będzie kolegialne, przy udziale mons. L. Poggi, nuncjusza do specjalnych misji i innych funkcjonariuszy Sekretariatu Stanu. Co do podróży Ojca św. do Polski to wiadomo że Papież „pragnie gorąco odbyć pielgrzymkę

do Sanktuarium Madonny w Częstochowie” — uda się jednak tylko w warunkach wykluczających wykorzystanie tej wizyty dla celów politycznych. Czy wyjazd ten dojdzie do skutku w przyszłym roku? Za wcześniej o tym mówić — zależy to od „oczyszczenia pola” z istniejących dotąd przeszkód i od tego czy *modus vivendi* zostanie parafowane.

Tyle miarodajne źródło watykańskie. Należy sprecyzować jeden moment: mimo podkreślania religijnego charakteru przewidywanej podróży Papieża do Polski („pielgrzymka na Jasną Górę”) trudno praktycznie wykluczyć jej polityczny wydźwięk (Olszowski na konferencji prasowej mówił zresztą o wizycie Papieża w Warszawie — chodzi właśnie o możliwość zdyskontowania politycznego tej „pielgrzymki”). Na decyzję Biura Politycznego, aprobującą przyjazd Papieża (w roku 1966 decyzja była negatywna choć „moczarowcy” przekonywali o jej korzyściach niewspółmiernych do stron ujemnych), rzucają światło dwie okoliczności. Pierwsza o charakterze wewnętrznym, druga zaś międzynarodowym. Na Krajowej Konferencji Partyjnej w październiku Gierek apelował o zacieśnienie współpracy pomiędzy „wierzącymi i ateistami” (Gomułka używał terminu „niewierzący”) w imię wspólnych patriotycznych celów. Budowa tzw. „drugiej” Polski wymaga unikania napięć społecznych, a w szczególności sytuacji otwartego konfliktu pomiędzy Kościołem a Państwem oraz nieantagonizowania katolickiej społeczności. Po zneutralizowaniu, w dużym stopniu, nastrojów niezadowolenia dzięki pewnym sukcesom gospodarczym (zwłaszcza jeśli chodzi o zaopatrzenie rynku spożywczego), Gierkowi chodzi teraz o „wkupienie się” w opinię publiczną, o uzyskanie dalszego kredytu społecznego zaufania. Po brzuchu kolej na zaspokojenie umysłów. Akt tolerancji ideowo-politycznej, o tak szczególnej wadze dla krajowej opinii katolickiej (i zachodniej) jak wizyta Papieża, mógłby posłużyć lepiej niż cokolwiek umocnieniu autorytetu nowego kierownictwa partyjnego, uwalniając je od konieczności wprowadzenia reform strukturalnych i liberalizacji politycznej, na co Moskwa rzekomo nie pozwala (na normalizację zaś stosunków z Watykanem dała, jak wiadomo, „zielone światło”). Druga natomiast okoliczność, to chęć ubiegnięcia tejże Moskwy. Od pewnego czasu kursują pogłoski na Zachodzie o planowanej podróży Pawła VI do Zagorska na zaproszenie patriarchy Pimena, nad czym pracuje również — zdaniem dobrze poinformowanych kół — sekretarz generalny włoskiej partii komunistycznej, Enrico Berlinguer. Rzecznik prasowy Watykanu dementuje co pewien czas powtarzające się pogłoski na ten temat. Ostatnio zdarzyło się to dwukrotnie. 27 października zdementował nową wersję przytoczoną przez niemiecki tygodnik *Quick*, a powtórzoną przez prasę włoską. Rzecznik watykański określił te pogłoski jako „owoc czystej fantazji”. Oto fragment rewelacji zachodnio-niemieckiego czasopisma:

„Także i Watykan stara się usilnie o poprawę stosunków z ZSSR: na wiosnę przyszłego roku planuje mianowicie podróż Pawła VI do Moskwy.



Wizyta Papieża w ZSSR będzie stanowić rezultat, według oświadczeń przedstawicieli kościelnych w Rzymie, tajnych rozmów pomiędzy rządem sowieckim a abp. Casaroli. Według tych informacji Paweł VI uda się do Moskwy na oficjalne zaproszenie Patriarchy Pimena, ale spotka się również z prezydentem Podgornym i premierem Kossyginem”.

Na większe zaufanie zasługuje wiadomość opublikowana przez tygodnik wiedeński *Wochenpresse*, powołujący się na kościelne źródła rzymskie i na austriacką agencję katolicką Kathpress. Według tego pisma wizyta Papieża w Moskwie i Warszawie jest „prawie pewna” na wiosnę bież. roku. Oto co donosi tygodnik wiedeński:

„Rozmowy przygotowawcze toczyły się na ten temat w czasie pierwszej fazy konferencji europejskiej w Helsinkach pomiędzy abp. Casaroli a grupą dyplomatów sowieckich. Kontakty podjęte w stolicy fińskiej kontynuowane były za pośrednictwem ambasady sowieckiej w Rzymie... Z okazji swych podróży do Moskwy przywódca włoskiej partii komunistycznej Berlinguer nalegał na to, by przywódcy sowieccy dali zgodę na wizytę papieską. Po podróży do ZSSR papież udałby się także do Warszawy; jego obecność na terytorium polskim musiałaby jednak trwać bardzo krótko ponieważ rząd warszawski jest jakoby przeciwny dłuższemu pobytowi w Polsce”.

Oficjalna agencja austriacka APA podała natomiast w dniu 21 listopada, że istnieje ewentualność wizyty Pawła VI w Salzburgu we wrześniu przyszłego roku, nie wykluczając że podróż do Salzburgu „może ulec następnie przedłużeniu do Polski”. Rewelacje austriackiego czasopisma rzecznik prasowy Watykanu zdemontował jako „spekulację pozbawioną podstaw”, nie zaprzeczył jednak doniesieniu depeszy urzędowej agencji austriackiej. Tymczasem 30 listopada cytowany wyżej Berlinguer znalazł się w Warszawie na zaproszenie KC PZPR i tego samego dnia konferował z Gierkiem. Zdaniem pewnego dobrze zorientowanego dziennikarza włoskiej prasy komunistycznej, Berlinguer nie od dziś zabiega o zbliżenie partii włoskiej do Watykanu i oferował już kilkakrotnie swe „dobre usługi” na rzecz rozwiązania „sporu” polsko-watykańskiego.

Berlinguer więc „pracuje” wytrwale na odcinku sowieckim i polskim, mając na uwadze oczywiście polityczne i wyborcze kalkulacje swej partii, najsilniejszej partii komunistycznej w wolnym świecie i drugiej najwplywowszej partii we Włoszech. Pomiędzy Moskwą i Warszawą trwa osobliwe współzawodnictwo: kto pierwszy doprowadzi do realizacji podróży Papieża? Zapytany o to pewien dygnitarz watykański taką mi dał odpowiedź: „Hipotezy podróży do Moskwy nie należy tymczasem brać poważnie pod uwagę. Międzynarodowa sytuacja nie sprzyja tego rodzaju projektowi, tym bardziej że stosunki pomiędzy Watykanem a ZSSR — pomimo podróży Casaroli do Moskwy w roku 1971, kontaktów w Helsinkach i wspólnej deklaracji z Zagorska z czerwca br. reprezentantów Kościoła rzymsko-katolickiego i rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej — nie dojrzały jeszcze do tego

aby dyplomacja watykańska mogła konkretnie planować wyjazd Papieża do stolicy ZSSR. Gradualizm z jakim Watykan postępuje w dziedzinie ekumenicznej i politycznej, sugeruje raczej hipotezę że zanim uda się do Moskwy, Paweł VI wybierze się najpierw do Polski, jako do kraju, który, mimo reżymu komunistycznego, pozostaje nadal głęboko katolicki”. Jak wynika z tej wypowiedzi, wizyta Pawła VI w Polsce rozważana jest w Watykanie w kategoriach realistycznej „hipotezy”, a kto wie czy nie już jako projekt znajdujący się na warsztacie.

Wróćmy jednak jeszcze do Berlinguera i stanowiska PCI (włoskiej partii komunistycznej), czyli do zagadnienia, które w optyce dyplomacji watykańskiej zajmuje już od dłuższego czasu poważną rolę. W październiku Berlinguer rzucił propozycję „kompromisu historycznego” pomiędzy komunistami i katolikami, pomiędzy PCI a Democrazia Cristiana. Sekretarz generalny chadecji, senator Fanfani, odrzucił ją, stwierdzając że „racje historyczne, ideologiczne i polityczne dzielą obie partie w sposób zasadniczy, nie pozostawiając innej alternatywy jak zdecydowane przeciwstawienie”. Nie brak jednak innych działaczy Chrześcijańskiej Demokracji, którzy licząc na „przeciągnięcie komunistów na platformę demokratyczną”, odrzucają komunistyczną ofertę w sposób wyniuansowany, pozostawiając drzwi otwarte do „pogłębionej debaty” nad jej treścią. Wywołała ona zresztą we włoskim życiu politycznym prawdziwą lawinę interpretacji (głównie „bizantyjskich”), komentarzy, polemik, ostrzeżeń, a rzadziej poważnych analiz. Augusto Del Noce, ortodoksyjny uczonec i pisarz katolicki, zbliżony do miarodajnych kół watykańskich, w artykule opublikowanym w dzienniku rzymskim *Il Giornale d'Italia* wskazuje na motywy jakie „odradzają” przyjęcie tej propozycji, precyzując jednak:

„Sprawy mogłyby ułożyć się jednak inaczej, gdyby Watykanowi udało się uzyskać od ZSSR koncesje w postaci pełnych swobód religijnych w strefie podlegającej jego kontroli i w samej Rosji. Na razie — świadectwo Solżenicyna nie pozostawia pod tym względem wątpliwości — jesteśmy od tego daleko. Oto dlaczego Democrazia Chrześcijańska powinna przeciwstawić się propozycji komunistycznej. To 'nie' jest jednak uwarunkowane i umotywowane, nie jest natomiast negacją absolutną, której w gruncie rzeczy zyczyliby sobie radykałowie, socjaliści i katolicyce kontestatorzy. Propozycji Berlinguera nie należy całkowicie przekreślać, lecz trzeba spreycyzować motywację, jaka tymczasem przeszkadza wzięcia jej pod uwagę”.

Piszący te słowa żyje i pracuje we Włoszech ponad 10 lat i do wielu „sekretów” tutejszego machiavelicznego życia politycznego zdążył się przyzwyczaić. Czytając jednak powyższą „perełkę” publicystyki politycznej aż się wzdrygnął (z niesmaku oczywiście). Organ włoskiej chadecji nie zareplikował na tę wypowiedź, co było zresztą do przewidzenia — czeka bowiem na oficjalne stanowisko zarządu partii. Trudno odmówić słuszności nociole zatytułowanej: „Italia towarem wymiennym dla dyplomacji watykańskiej”, zamieszczonej w socjalistycznym dzienniku



rzymskim *Il Messaggero*, która komentuje następująco wypowiedź katolickiego eksperta: „Prof. Del Noce i jego miarodajni inspiratorzy wyraźnie uważają Italię jako towar przetargowy (*merce di scambio*) w realizacji watykańskich celów w Europie Wschodniej” (!!!). Inne pismo włoskie, tygodnik *Europeo* (największy nakład we Włoszech), o orientacji lewicowej, laickiej (niekomunistycznej), na marginesie rosnącej na świecie kontestacji katolickiej i opozycji przeciwko Watykanowi, ogarniającej również hierarchię kościelną (cytuje gwałtowne reakcje w Hiszpanii po ostatniej wizycie abp. Casaroli w Madrycie) stwierdza: „Także i w Polsce, zarówno autentyczni marksiści jak i liczni katolicy są negatywnie ustosunkowani do zawarcia może 'pożytecznego' ale nie 'koniecznego' konkordatu”.

W panującej konfuzji pojęć, tendencji i spekulacji, którą potęgują świadomie czynniki niewątpliwie zainteresowane w sianiu zamętu dla wygrywania własnych, partykularnych interesów (zarówno międzynarodowy komunizm jak i międzynarodówka „liberalnych” katolickich nowatorów i komiwojażerów, sprzymierzona nieraz z Watykanem jeśli jej to dogadza), rzadko dochodzi do głosu właściwe starcie idei i poglądów. Starcie to przytłumione bywa bowiem zagraniami dywersyjnymi, frakcyjnymi i deformującymi rzeczywistość społeczną. W tej bałamutnej sytuacji brzmi czysto głos Prymasa Polski, przypominający gdzie przebiega główny front walki ideowej. Powiedział w tych dniach w Rzymie: „Te wszystkie nasze protesty, memoriały do rządu, listy pasterskie, mają na celu obronę podstawowych praw człowieka, a wśród nich prawa do wychowania dzieci i młodzieży w duchu chrześcijańskim”. Dla Watykanu — sądzą polscy biskupi z pewną goryczą, ale nie bez nadziei że może nastąpić zmiana w przyszłości — liczą się bardziej wielkie koncepcje dyplomatyczne i przetargi (to z reżymem faszystowskim Franco, to znów z socjal-faszysmem Breżniewa czy nacjonal-populizmem Gierka — uwaga moja) — dla polskiego episkopatu liczą się natomiast bardziej potrzeby duszpasterskie, to co dzieje się na powierzchni życia społecznego w kraju.

Do kontynuowania tej linii kardynał Wyszyński nawiązał w krótkiej wypowiedzi po referacie wygłoszonym przez abp. Baraniaka na uroczystości upamiętniającej 25 rocznicę śmierci kardynała Augusta Hlonda (w obecności kilkunastu kardynałów, wśród nich kard. Slipyja, ambasadora francuskiego przy Watykanie, i amb. Papée). W kazaniu zaś wygłoszonym 2 grudnia w kościele św. Stanisława, a następnie w przemówieniu do Polonii rzymskiej w sali parafialnej, Prymas Polski powiedział, że potrzebny jest Kościołowi „wytrawny i dojrzały sąd emigracji”. Nie wykluczył, że „mogą ukształtować się korzystne sytuacje polityczne, ale to nie oznacza, że zniknie nasz niepokój — nie będziemy nigdy na tyle spokojni aby móc odpocząć. Kościół nie zna odpoczynku”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 3 grudnia 1973

## Studia stosunków międzynarodowych

Stosunki międzynarodowe traktowane są już dosyć powszechnie na Zachodzie jako osobna dziedzina nauki. Pierwsze próby usamodzielnienia się tego przedmiotu, odejścia od badań moralistycznych, prawniczych czy historycznych, miały już miejsce w latach międzywojennych. Rozwój nauki o stosunkach międzynarodowych jako osobnej dyscypliny przypada jednak zasadniczo na okres po drugiej wojnie światowej, a szczególnie na ostatnie dwudziestolecie.

Obecnie na zachodzie, a specjalnie w Stanach Zjednoczonych, studia stosunków międzynarodowych są bardzo szeroko rozbudowane. Wykłady z tego przedmiotu prowadzone są na około trzystu amerykańskich wyższych uczelniach; ponadto przeszło czterdzieści uniwersytetów — w tym szereg najlepszych, jak Chicago czy Yale — podjęły studia wyższe, prowadzące do magisterium (M.A.) czy doktoratu (Ph.D.) w tej dziedzinie<sup>1</sup>. Równocześnie na kilkunastu czołowych uczelniach — w tym Princeton, Columbia, Harvard, John Hopkins, M.I.T. — istnieją instytuty zajmujące się badaniami różnych aspektów współczesnych spraw międzynarodowych. Specjalizują się one bądź w niektórych zagadnieniach ogólnych, jak np. teoria stosunków międzynarodowych, sposoby podejmowania decyzji w polityce zagranicznej, rozwiązywanie konfliktów i metody dyplomacji, strategia i ograniczenie zbrojeń w dobie nuklearnej, charakter sojuszków, integracja gospodarcza i polityczna, itd., bądź w specyficznych problemach poszczególnych rejonów świata. M.in. rozwinęły się ogromnie studia nad ZSSR i Europą Środkowo-Wschodnią; amerykańskie stowarzyszenie skupiające naukowców z tej dziedziny (AAASS) liczy około 3.000 członków. W krajach anglojęzycznych wychodzi kilkadziesiąt periodyków — przeważnie kwartalników — poświęconych sprawom międzynarodowym. Ilość książek jakie ukazują się co roku sięga kilkuset poważnych pozycji. Istnieje już obszerna literatura z zakresu teorii stosunków międzynarodowych.

W procesie wyodrębniania się stosunków międzynarodowych podkreślić należy dwa zasadnicze przełomy<sup>2</sup>. Pierwszy z nich to przejście tego przedmiotu we wczesnych latach pięćdziesią-

1. William T. R. Fox, *The American Study of International Relations* (Columbia, S.C., 1967), str. 24.

2. Najbardziej systematyczny zarys faz rozwojowych studiów międzynarodowych zawiera praca: James E. Dougherty i Robert L. Platzgraff, Jr., *Contending Theories of International Relations* (Filadelfia, 1971).



tych z fazy tzw. idealistycznej (czy utopijnej) w etap realistyczny. Oznaczało to ostateczne zerwanie z naukami o charakterze normatywnym — filozofią i prawem. Realiści odrzucili podejście moralistyczne i legalistyczne — prowadzące przede wszystkim do przeceniania roli organizacji międzynarodowych w zabezpieczeniu pokoju — i przyjęli metodę empiryczną. Celem ich było poznanie obiektywnej rzeczywistości stosunków międzynarodowych — interesowała ich polityka światowa nie taka jaka *być powinna*, ale taka jaka *jest*. Prowadziło to do dosyć pesymistycznych wniosków. Realiści, których czołowym rzecznikiem był prof. Hans Morgenthau<sup>3</sup>, uważali że podstawowym motywem postępowania państw w sferze międzynarodowej jest interes narodowy, a najskuteczniejszym środkiem do jego realizacji jest posiadanie siły. Stąd stała się zjawiska konfliktów pomiędzy różnymi krajami, często prowadzące do wojen. W tej sytuacji najlepszym sposobem utrzymania pokoju — chociaż też często zawodnym — jest równowaga siły odstraszająca potencjalną agresję.

Nie oznaczało to naturalnie, aby zaprzestano studiów nad zagadnieniami prawnymi i organizacjami międzynarodowymi. Zostały one jednak sprowadzone do właściwych proporcji — są dziś traktowane jako ważny wprowadzie, ale wyłącznie jeden z aspektów spraw międzynarodowych. Badania w tej dziedzinie odznaczają się też dużo większym realizmem. Działalność organizacji międzynarodowych uznano za często pozytywne uzupełnienie, ale na pewno nie zastępstwo bezpośrednich stosunków pomiędzy suwerennymi państwami<sup>4</sup>. Nie zarzucono również całkowicie wartościowania zjawisk. W 1960 roku Prof. Kenneth Thompson podjął kontratak przeciwko realistom z pozycji idealistycznych<sup>5</sup>. W następnych latach nastąpił pewien wzrost studiów normatywnych, np. badań nad pokojem. Ciągłe jednak przeważa zdecydowanie postawa pragmatyczna.

Przejsie od fazy idealistycznej do realistycznej oznaczało również odejście w studiach nad stosunkami międzynarodowymi od metody czysto historycznej. Oczywiście znajomość przeszłości — a szczególnie historii dyplomacji — jest dalej niezbędna do pracy badawczej w tej dziedzinie. Specjalistów od spraw międzynarodowych nie zadawała jednak sam opis i chronologiczne uszeregowanie faktów. Dążą oni do ustalenia związków pomiędzy poszczególnymi wydarzeniami, ich klasyfikacji zmierzającej — tak daleko jak jest to tylko możliwe — do ustalenia ogólnych prawidłowości polityki międzynarodowej. Stąd już tylko krok do szukania generalnej teorii stosunków międzynaro-

3. Hans Morgenthau, *Politics Among Nations* (Nowy Jork, 1948).

4. Inis L. Claude, Jr., *Swords into Plowshares* (Nowy Jork, 1956).

5. K. W. Thompson, *Political Realism and the Crisis of World Politics* (Princeton, N.J., 1960).

6. Quincy Wright, *The Study of International Relations* (Nowy Jork, 1955).

dowych, co w połowie lat pięćdziesiątych postulował Prof. Quincy Wright<sup>6</sup>.

Drugim punktem zwrotnym w rozwoju nauki o stosunkach międzynarodowych była tzw. rewolucja behawiorystyczna, jaka miała miejsce — w dużej mierze pod wpływem panujących wówczas prądów w naukach politycznych — w połowie lat sześćdziesiątych. Behawiorysty (zwani także czasem „naukowcami”, w odróżnieniu od „tradycjonalistów”), dążyli do nadania nowej dyscyplinie większego rygoru i precyzji. Zarzucali oni tradycjonalistom brak ścisłości w definicjach i uprawianie metody „literackiej”. Behawiorysty zapożyczali często metody z innych dziedzin nauki: ekonomii, socjologii, psychologii, cybernetyki, a także biologii, fizyki i matematyki. W badaniach ich rozpowszechniła się metoda kwantatywna, a korelacje pomiędzy poszczególnymi zjawiskami starali się ustalić przy pomocy maszyn matematycznych i mózgow elektronowych. W tworzeniu hipotez, konstruowaniu modeli i prognozach rozwoju spraw międzynarodowych wprowadzili metody symulacji i gier matematycznych. Prof. Morton Kaplan — za przykładem socjologa Parsons'a i politologa Easton'a — skonstruował nawet model całości stosunków międzynarodowych, w którym wszystkie jego poszczególne części są ze sobą powiązane w zwarty system analityczny<sup>7</sup>.

Badania behawiorystyczne nie zostały jednak powszechnie przyjęte. Z kolei tradycjonaści poddali je krytyce. Wytknęli oni, że metody zapożyczone z nauk ścisłych nie zawsze mają zastosowanie w polityce międzynarodowej, gdzie ważną rolę odgrywają również element woli ludzkiej i indywidualne zdolności dyplomatów i mężów stanu. Co więcej, kwantyfikacja zjawisk, konstruowanie modeli za pomocą symulacji i teorii gier, a szczególnie próby prognozowania na tych podstawach przyszłości, mogą prowadzić do niebezpiecznych uproszczeń, nie oddających skomplikowanej rzeczywistości stosunków międzynarodowych. Obecnie więc badania w tej dziedzinie odznaczają się dużą różnorodnością. Obok prac opartych na metodzie behawiorystycznej, ukazuje się szereg książek traktujących zagadnienia międzynarodowe w sposób tradycjonalistyczny. Profesorowie Klaus Knorr i James Rosenau, sumując kontrowersję pomiędzy behawiorystami i tradycjonalistami, podkreślili nawet, że obie metody są pozytywne i w dużym stopniu wzajemnie się uzupełniają<sup>8</sup>.

W wyniku rewolucji behawiorystycznej nastąpiło dalsze wyodrębnienie się stosunków międzynarodowych jako osobnej dziedziny wiedzy. Przede wszystkim przez zapożyczanie metod z różnych nauk utrwaliło się pojęcie o międzydyscyplinarnym charakterze tego przedmiotu. Równocześnie zaś wprowadzenie większego rygoru — pomimo faktu, że zasadniczy wpływ wywarł tu

7. Morton A. Kaplan, *Systems and Process in International Politics* (Nowy Jork, 1957).

8. Klaus Knorr i James N. Rosenau (eds.), *Contending Approaches to International Politics* (Princeton, N.J., 1970), str. 18.



właśnie przykład nauk politycznych — pozwoliło na ściślejsze rozgraniczenie studiów polityki wewnątrz-państwowej i polityki międzynarodowej. Istnieje podobieństwo procesów politycznych na wszystkich szczeblach — od samorządu lokalnego aż po stosunki międzynarodowe — i naturalnie poszczególne szczeble są ze sobą wzajemnie powiązane. Studia międzynarodowe więc, tak jak nie mogą pomijać historii, nie mogą też być prowadzone w oderwaniu od nauk politycznych. Jest jednak oczywiste, że nie wszystkie zjawiska polityczne interesują specjalistów od spraw międzynarodowych. Głównym przedmiotem ich badań są te zagadnienia polityczne, które wiążą się ze stosunkami pomiędzy państwami. Wiele zaś aspektów polityki międzynarodowej — już chociażby jej zdecentralizowany charakter — odróżnia ją zasadniczo od polityki wewnątrz-państwowej.

W sporach, często nawet ostrych, pomiędzy idealistami i realistami, a następnie tradycjonalistami i behaviorystami, istota stosunków międzynarodowych została znacznie sprecyzowana. Nie znaczy to, aby granice tego przedmiotu były już ściśle określone. Stosunki międzynarodowe zazębiają się z różnymi innymi naukami — w pewnym sensie stanowią syntezę różnych dyscyplin. Ich tematyka jest jednak dostatecznie rozległa dla osobnej specjalizacji. Literatura teoretyczna tego przedmiotu — chociaż na pewno jeszcze pozostająca w tyle za większością innych nauk społecznych — jest już też wystarczająca aby na tej podstawie podjąć dalsze, systematyczne badania. Prowadzić to powinno jeśli nie do generalnej teorii, to przynajmniej do poznania częściowych prawidłowości stosunków międzynarodowych.

Ogromny rozwój studiów międzynarodowych w Stanach Zjednoczonych zapewnił im bezsprzeczny prymat w tej dziedzinie na Zachodzie. Już w połowie lat pięćdziesiątych uczony francuski, prof. Alfred Grossner określił naukę o stosunkach międzynarodowych jako „specjalność amerykańską<sup>9</sup>”. Literatura amerykańska w tym przedmiocie przyjęta jest obecnie szeroko na uczelniach zachodnich. Odnosi się to nie tylko do krajów anglojęzycznych, ale również Skandynawii, Niemiec Zachodnich, a nawet krajów tradycyjnie nieufnie odnoszących się do wpływów cudzoziemskich, jak Francji czy Japonii. Specjalizacja w tej dziedzinie jest dziś właściwie niemożliwa bez pasywnej przynajmniej znajomości angielskiego. Ponadto szereg wybitnych naukowców zachodnio-europejskich zafrapowanych szerokimi możliwościami badawczymi, przeniosło się na stałe, bądź przynajmniej okresowo dojeżdża do Stanów Zjednoczonych. Na międzynarodowych konferencjach dominuje język angielski, a uczeni amerykańscy wyróżniają się zarówno swoją liczbą, jak i gruntowną znajomością przedmiotu.

Postęp studiów międzynarodowych znalazł również praktyczne

9. Alfred Grossner, *L'étude des relations internationales, spécialité américaine?*, „Revue Française de Science Politique”, lipiec-wrzesień, 1956.

zastosowanie w amerykańskiej polityce zagranicznej<sup>10</sup>. Liczni absolwenci z tej dziedziny są zatrudniani przez Departament Stanu, jak i inne instytucje rządowe. Dyplomacja amerykańska, jeszcze w latach bezpośrednio po wojnie nisko notowana, uważana jest dziś za jedną z najlepszych w świecie. Szeroko również została rozbudowana współpraca pomiędzy uniwersyteckimi ośrodkami badawczymi a rządem. Naukowcy często przygotowują ekspertyzy dla różnych organów administracji, jak i dla Kongresu. Niektórzy uczeni włączają się nawet w bieżącą politykę, opracowując programy polityki zagranicznej dla poszczególnych partii, czy kandydatów ubiegających się o urząd prezydenta. Od czasów administracji Kennedy'ego przyjął się zwyczaj, że profesorowie uniwersytetów — McGeorge Bundy, Rostow, a obecnie Kissinger — powoływani są jako doradcy Prezydenta od spraw zagranicznych.

Literatura naukowa o stosunkach międzynarodowych w języku polskim — zarówno pod względem jej ilości jak i jakości — jest niezmiernie uboga. Z nielicznymi wyjątkami pozostaje ona nie tylko na etapie tradycjonalistycznym, ale i idealistycznym. Znajomość tego przedmiotu, zarówno w kraju, jak i w środowiskach polskich na Zachodzie, ogranicza się właściwie do nielicznych jednostek.

W Polsce zaważyły tu dwa elementy. Po pierwsze, jak zresztą i w większości innych krajów europejskich, studia spraw międzynarodowych tradycyjnie włączone były do nauk prawnych. Stąd uwaga specjalistów z tej dziedziny zwrócona była przede wszystkim na prawo i organizacje międzynarodowe. Braki są tu najmniej rażące. W latach sześćdziesiątych wyszło parę podręczników prawa międzynarodowego, m.in. pióra prof. Cezarego Berezowskiego, jak i prof. Alfonsa Klafkowskiego<sup>11</sup>, które przedstawiają stosunkowo obszernie i obiektywnie stan wiedzy o tym przedmiocie. Z tego samego okresu datuje się szereg interesujących prac z zakresu organizacji międzynarodowych. Ogólny podręcznik organizacji międzynarodowych, oraz bardziej szczegółowe i dosyć realistyczne studium o ONZ wydał prof. Wojciech Morawiecki<sup>12</sup>; ciekawą zaś monografię o zasadzie samostanowienia w praktyce Narodów Zjednoczonych napisał doc. Lud-

10. Zagadnieniu zastosowania teorii stosunków międzynarodowych w praktyce poświęcony jest specjalny numer kwartalnika „World Politics” pod redakcją Raymond Tanter'a i Richard H. Ulman'a z wiosny 1972 r.

11. C. Berezowski, *Prawo międzynarodowe publiczne*, cz. I i II (Warszawa, 1966 i 1969); A. Klafkowski, *Prawo międzynarodowe publiczne*, wyd. III (Warszawa, 1969).

12. W. Morawiecki, *Organizacje międzynarodowe*, wyd. II (Warszawa, 1965); także *Narody Zjednoczone, zamierzenia i rzeczywistość* (Warszawa, 1969).



wik Dembiński<sup>13</sup>. Coraz więcej uwagi poświęca się też w Polsce regionalnym związkom międzynarodowym, a w szczególności procesom integracji Europy Zachodniej. Poznański ośrodek naukowy wyszedł tu poza zagadnienia czysto prawne, sięgając do ekonomii a nawet socjologii<sup>14</sup>.

Drugim powodem powolnego postępu studiów międzynarodowych w Polsce był oczywiście klimat polityczny w panującym tam ustroju komunistycznym. Z jednej strony wpływał on na izolację od Zachodu — a szczególnie od Stanów Zjednoczonych, gdzie właśnie nauka ta najszerzej się rozwinęła; z drugiej ograniczał zakres badań do ram nakreślonych przez Związek Sowiecki, gdzie do niedawna jeszcze w tej dziedzinie dominowały metody historyczna i prawna. Odbiło się to również niekorzystnie na rozwoju pokrewnego przedmiotu nauk politycznych, który dopiero ostatnio zdobywa sobie prawo obywatelstwa w krajach komunistycznych. Upředzenia ideologiczne ograniczały też możliwości wykorzystania dla badań międzynarodowych nauk społecznych o bogatej w Polsce tradycji, jak ekonomia czy socjologia.

W rezultacie literatura o sprawach międzynarodowych, a na tym tle i roli Polski w świecie, ogranicza się głównie do historii dyplomacji. Co więcej, prace marksistowskie pisane są przeważnie z pozycji normatywnych — zabarwione są one silnie poglądami ideologicznymi ich autorów<sup>15</sup>, a często wręcz mają charakter propagandowy<sup>16</sup>. Najciekawsza pragmatyczna ocena niektórych aspektów współczesnej polityki międzynarodowej, zbliżona do zachodniego realizmu, wyszła spod pióra pisarzy katolickich<sup>17</sup>. Piśmiennictwo ich jednak nosi przeważnie charakter publicystyczny, a nie naukowy. Nie lepiej przedstawia się literatura poświęcona problemom regionalnym. Najbardziej jeszcze rozwinięte jest niemcoznawstwo, chociaż do niedawna większość prac z tej dziedziny miała silny posmak propagandowy. Znajomość świata zachodniego jest niewielka; studia nad Stanami Zjednoczonymi były dotąd prowadzone prawie wyłącznie z pozycji ideologicznych. Badania nad krajami rozwijającymi się są nierówne

13. L. Dembiński, *Samostanowienie w prawie i praktyce ONZ* (Warszawa, 1969).

14. Z. M. Klepacki, *Zachodnioeuropejskie organizacje międzynarodowe* (Warszawa, 1969); T. Grabowski i Z. Nowak, *Integracja ekonomiczna Europy Zachodniej i jej aspekty polityczno-militarne* (Poznań, 1969); A. Kwilecki, *Idea zjednoczenia Europy* (Poznań, 1969).

15. Do tego rodzaju wydawnictw należą m.in. książki Ryszarda Frelka, *Historia zimnej wojny* (Warszawa, 1971); Włodzimierza T. Kowalskiego, *Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w świecie* (Warszawa, 1966); jak i Eugeniusza Gajdy, *Polska polityka zagraniczna* (Warszawa, 1972).

16. Dla przykładu można tu wymienić książki z późnych lat sześćdziesiątych Janusza Kolczyńskiego, Witolda Fillera, jak i niektóre publikacje znanego skądinąd socjologa Jerzego Wiatra.

17. Najlepiej obeznany z zachodnią szkołą realistyczną zdaje się być Andrzej Micewski; podobne podejście jednak występuje w publicystyce Stanisława Stompy, Stefana Kisielewskiego, jak i Janusza Stefanowicza.

— chyba najlepiej jeszcze przedstawia się afrykanistyka. Wreszcie paradoksem jest, że właściwie zupełnie białą plamą jest Związek Sowiecki i międzynarodowy ruch komunistyczny.

Pierwsze próby bardziej systematycznych studiów stosunków międzynarodowych, uwzględniające przynajmniej częściowo osiągnięcia tej nauki na Zachodzie, podjęte zostały w Polsce w połowie lat sześćdziesiątych. Łączyło się to z jednej strony z dalej wprawdzie powolnym, ale widocznym już postępem nauk politycznych; a z drugiej z aktywizowaniem się pod odnowionym kierownictwem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, który stał się głównym ośrodkiem koordynacyjnym badań w tej dziedzinie. W pierwszym tomie wydawnictwa „Studia Nauk Politycznych” z 1966 roku ukazała się praca członka Instytutu, dr. Longina Pastusiaka, omawiająca wprawdzie jeszcze w sposób dosyć przypadkowy i przesadnie akcentujący różnice ideologiczne, główne kierunki rozwojowe teorii stosunków międzynarodowych w Stanach Zjednoczonych<sup>18</sup>. Pod auspicjami PISM wyszedł też w 1968 roku pierwszy w języku polskim podręcznik współczesnych spraw międzynarodowych<sup>19</sup>. Jest to praca zbiorowa i jako taka dosyć niesystematyczna. Pisana jest z określonych pozycji ideologicznych i przeważa w niej metoda historyczna. Zawiera ona jednak wiele ciekawych części — szczególnie traktując organizacje międzynarodowe, rozbrojenie, jak i niektóre aspekty problemu europejskiego.

Poprawa klimatu politycznego po przemianach z grudnia 1970 roku i podkreślanie wagi nauk społecznych przez nową ekipę rządzącą, pozwala rokować nadzieje na dalszy rozwój studiów międzynarodowych w Polsce. W ciekawym i tym razem utrzymanym w obiektywnym tonie artykule opublikowanym w 1973 roku, doc. Pastusiak nie ukrywa, że w porównaniu z Zachodem, a szczególnie Stanami Zjednoczonymi, jest jeszcze w Polsce w tej dziedzinie bardzo wiele do zrobienia. Podkreśla on zwłaszcza słabość teorii i metodologii stosunków międzynarodowych. Zwraca także uwagę, że dotąd Polska Akademia Nauk nie posiada osobnej placówki nie tylko stosunków międzynarodowych, ale i nauk politycznych<sup>20</sup>.

Zdawać by się mogło, że luki jakie istnieją w tej dziedzinie w kraju, będą starały się wypełnić polskie środowiska naukowe i placówki wydawnicze na Zachodzie. Niestety jednak tak się nie stało. Nie znaczy to, aby brak tu było możliwości. Na uniwersytetach zachodnich, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych, pracuje obecnie co najmniej kilkudziesięciu wykładowców róż-

18. Longin Pastusiak, *Burżuazyjne teorie stosunków międzynarodowych w U.S.A.*, „Studia Nauk Politycznych”, Biuletyn Informacyjno-Naukowy, Nr 1.

19. Adam Kruczkowski i inni, *Współczesne stosunki międzynarodowe* (Warszawa, 1966).

20. Longin Pastusiak, *Stan nauk politycznych w Polsce na tle sytuacji w innych krajach*, „Studia Nauk Politycznych”, Nr 1 (II), 1973.



nych aspektów zagadnień międzynarodowych pochodzenia polskiego — szereg z nich bardzo wybitnych. Jerzy Modelski i Janusz Zawodny są wysoko notowani wśród amerykańskich teoretyków stosunków międzynarodowych; Zbigniew Brzeziński, Adam Ulam, Leopold Łabędź, Andrzej Korboński i inni, uważani są za czołowych znawców stosunków Wschód-Zachód. Wszyscy oni jednak publikują swoje prace prawie wyłącznie w języku angielskim i tylko bardzo nieliczne z nich przełożone zostały na język polski. Jak dotąd nie ukazał się na Zachodzie ani jeden — indywidualny czy zbiorowy — podręcznik współczesnych stosunków międzynarodowych uwzględniający specjalnie potrzeby czytelnika polskiego.

Nie lepiej przedstawia się sprawa spopularyzowania obfitej literatury w tym przedmiocie pióra pisarzy zachodnich. Nie chodzi już tu o prace specjalistyczne, których liczba w języku angielskim sięga tysięcy. Z kilkudziesięciu co najmniej podstawowych książek o stosunkach Wschód-Zachód — a więc zagadnień, które zdawać by się mogło powinny interesować czytelnika polskiego — jakie wyszły w ostatnim dziesięcioleciu, ani jedna nie dojechała się polskiego wydania. Również z kilkudziesięciu przynajmniej różnych podręczników używanych na uniwersytetach zachodnich jako wprowadzenie do stosunków międzynarodowych (m.in. jeden z nich pióra Polaka, prof. Władysława Kulskiego<sup>21</sup>), żaden żaden nie został przełożony na polski.

Wreszcie poziom emigracyjnej publicystyki poświęconej współczesnym stosunkom międzynarodowym jest niski, czasem wręcz rozpaczliwy. W prasie emigracyjnej pisują przeważnie ludzie ze starszego pokolenia, poza zupełnie nielicznymi wyjątkami nieobeznani z nowoczesną literaturą w tym przedmiocie, często nie władający dostatecznie językiem angielskim. Piśmiennictwo ich więc rzadko wychodzi poza fazę idealistyczną. Dominuje w nim wciąż podejście moralistyczno-legalistyczne i metoda historyczna. Nie odznacza się ono też ani zwięzłością stylu, ani jasnością myśli. Braki więc są ogromne. W rozwoju wiedzy o stosunkach międzynarodowych Polska pozostaje daleko w tyle nie tylko za Stanami Zjednoczonymi, ale i zdecydowaną większością innych krajów zachodnich.

W tej sytuacji wydana w ubiegłym roku książka profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Remigiusza Bierzanek, „Współczesne stosunki międzynarodowe”<sup>22</sup>, jest swojego rodzaju ewenementem. Jest to pierwszy w języku polskim systematyczny podręcznik napisany przez jednego autora. Co więcej, jako wprowadzenie do całości przedmiotu jest to podręcznik wcale dobry, wytrzymujący porównanie z podobnymi wydawnictwami na Zachodzie.

21. W. W. Kulski, *International Politics in a Revolutionary Age* (Nowy Jork, 1964).

22. Remigiusz Bierzanek, *Współczesne stosunki międzynarodowe* (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1972), str. 376.

Autor wykazuje szeroką wiedzę stosunków międzynarodowych. Obok źródeł sowieckich korzysta on z licznych prac zachodnich, wydanych w różnych językach. W przeglądzie literatury zachodniej są wprawdzie i poważne luki, ale wszystkie zasadnicze kierunki badań zostały uwzględnione. Ocena osiągnięć nauki zachodniej jest wyważona i — jeśli pominąć, zresztą stosunkowo rzadkie inwokacje ideologiczne — obiektywna.

Wykład jest przejrzysty, pisany językiem prostym, wolnym od modnych obecnie w Polsce naleciałości obcych wyrażen, szczególnie zapożyczonych z języka angielskiego. Jest to specjalnie istotne ponieważ ustalenie polskiej terminologii stosunków międzynarodowych jest niezbędne do rozwoju tej dyscypliny. Co najważniejsze książka jest zasadniczo wolna od obciążeń jakie dotąd cechowały wszystkie prace w języku polskim z tej dziedziny.

Autor odrzuca metodę historyczną. Podkreśla on naturalnie znaczenie nauk historycznych, a szczególnie historii dyplomacji, w studiach stosunków międzynarodowych. Sam jednak stosuje metodę analityczną, zmierzającą do klasyfikacji i ustalenia związków pomiędzy poszczególnymi wydarzeniami. Po dyskusji wstępnej istoty nauki stosunków międzynarodowych, omawia on obszernie czynniki kształtujące stosunki międzynarodowe, ich formy i typy, zagadnienia bezpieczeństwa i rozbrojenia, i wreszcie ważniejsze organizacje międzynarodowe.

Z książki widać, że autor jej jest z wykształcenia prawnikiem. Części poświęcone formom stosunków międzynarodowych są często przydługie. Tym więcej jednak korzystnie wypada jego realistyczna ocena znaczenia prawa i organizacji międzynarodowych. Autor nie podziela złudzeń idealistów, a w szczególności ich nadziei na powstanie rządu światowego. Rolę Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, i Organizacji Narodów Zjednoczonych sprowadza do właściwych rozmiarów — ustawia je w kontekście często antagonistycznych stosunków pomiędzy różnymi państwami, a zwłaszcza wielkimi mocarstwami. Odnosi się on też sceptycznie do teorii funkcjonalizmu, przywiązującej przesadne znaczenie do działalności wyspecjalizowanych organizacji ONZ; jak i teorii regionalizmu postulującej stopniowe zastępowanie suwerennych państw przez szersze związki międzynarodowe.

Co może najważniejsze książka pisana jest z pozycji zasadniczo pragmatycznych. Autor przedstawia szeroko marksistowskie spojrzenie na stosunki międzynarodowe i deklaruje się po jego stronie. Omawia on jednak także obszernie różne teorie niemarksistowskie; szereg z nich odrzuca, ale w wielu wypadkach jest jasne, że przynajmniej częściowo uważa je za słuszne. Nie brak też akcentów krytycznych pod adresem różnych aspektów doktryny marksistowskiej, które autor określa jako przestarzałe. Tak więc, prof. Bierzanek odrzuca determinizm ekonomiczny, otwarcie stwierdzając, że nie da się sprowadzić wszystkich zjawisk międzynarodowych wyłącznie do przyczyn natury gospodar-



czej. Podkreśla on również rolę w historii jednostek, przeciwstawiając tu tezie sowieckiego naukowca prof. Korowina o nadrzędności mas ludowych (chyba żartobliwie?) poglądy rumuńskiego komunisty Popescu... sławiącego osiągnięcia Ceausescu!

Autor kwestionuje też tezę lansowaną dawniej przez naukowców sowieckich o istnieniu odrębnego typu stosunków, a szczególnie prawa międzynarodowego, pomiędzy państwami socjalistycznymi. „Można jedynie mówić” — pisze — „o prawie pewnych wspólnot w obrębie powszechnego prawa międzynarodowego” (str. 207). Wraca on do tego tematu w ciekawej dyskusji nad teorią pokojowego współistnienia. Powołując się na sowieckiego prawnika prof. G. P. Zadrożnego, zarzuca Stalinowi fałszywe pojmowanie pokojowego współistnienia jako czasowego okresu stanu pokoju, a nie historycznej prawidłowości. Zdaniem prof. Bierzanka współistnienie państw o różnych ustrojach w ramach jednego systemu światowego będzie się pogłębiać. Nie oznacza to, aby miało ono prowadzić do stopnienia się dwóch ustrojów w myśl tzw. teorii konwergencji. Autor przytacza tu pogląd historyka włoskiego M. Toscano, który uważa, że spory religijne czy ideologiczne przechodzą przez dwie fazy. W pierwszej cechuje je uniwersalność, w drugiej zaś „nie wprowadzając żadnych zmian do pierwotnych dogmatów — zwolennicy obu religii widzą możliwości współistnienia bez walki połączonej z użyciem przemocy”. Jako wskazanie na okres przejściowy pomiędzy tymi dwoma fazami, Toscano postuluje: „Nie wyrzekać się zasad... zapewnić wolny przepływ ludzi” (str. 214-215).

W książce nie brak oczywiście i wstydliwych przemilczeń. Podkreślając rolę Związku Sowieckiego w Lidze Narodów w próbach stworzenia systemu bezpieczeństwa zbiorowego w latach trzydziestych, autor pomija milczeniem fakt, że ZSSR był jedynym członkiem wykluczonym z tej organizacji za agresję w 1939 roku, m.in. wymierzoną przeciw Polsce. Omawiając rezolucję Zgromadzenia Ogólnego ONZ o zasadach nieinterwencji z 1965 roku, prof. Bierzanek nie porusza naturalnie przypadku najazdu zbrojnego na Czechosłowację w 1968 roku, w którym udział brała i PRL. Stwierdza jednak melancholijnie, że do zasad sformułowanych w tej rezolucji nie należy przywiązywać nadmiernego znaczenia, a zwłaszcza oczekiwać „bezpośredniego wpływu tej kodyfikacji na bieg polityki międzynarodowej” (str. 256).

Najślabszą stroną książki jest powierzchowne potraktowanie rewolucji behawiorystycznej i jej znaczenia dla rozwoju wiedzy o stosunkach międzynarodowych. Omawia ona wprowadzenie dosyć obszernie nowe prądy w nauce zachodniej — zapożyczanie metod z innych dyscyplin, jak i rozwój badań kwantatywnych. Krytyka behawioryzmu jest też dosyć trafna. W sumie odnosi się jednak wrażenie, że autor stosunkowo najmniej jest tu obeznany z literaturą zachodnią. Nawet nie wychodząc poza metodę opisową na pewno można było przedstawić ten temat szerzej i głębiej.

Jeśli książka jest tradycjonalistyczna, nie oznacza to jednak aby nie wносиła wkładu do teorii stosunków międzynarodowych. Jako wprowadzenie do tej nauki jest na pewno zadawalająca. Określa istotę i granice przedmiotu, systematyzuje pojęcia i przedstawia próby szukania ogólnych prawidłowości w polityce światowej. Jest ona więc ważnym, chociaż na pewno dopiero pierwszym krokiem w rozwoju nauki o stosunkach międzynarodowych w Polsce. Obok pracy prof. Bierzanka jest miejsce na podręcznik o charakterze ściśle teoretycznym przedstawiający systematycznie rozwój nauki o stosunkach międzynarodowych na Zachodzie, a szczególnie traktujący szerzej fazę behawiorystyczną. Dobrze byłoby również udostępnić studentowi polskiemu przekład podstawowych tekstów zachodnich z tej dziedziny. Na dalszym etapie byłoby miejsce na proce monograficzne traktujące głębiej poszczególne zagadnienia.

Podkreślić należy, że „Współczesne stosunki międzynarodowe” nie zajmują się właściwie sprawami polskimi. Jest to podręcznik pisany z perspektywy światowej a nie partykularnej — chociaż wszystkie ogólne spostrzeżenia prof. Bierzanka można zastosować i do Polski. Przepuszczalnie tego rodzaju podejście było dla autora wygodne — pozwoliło mu to na pewno na pominięcie szeregu drażliwych tematów. Ale i z dydaktycznego punktu widzenia wypadło to korzystnie. Studenci uczący się tego przedmiotu z podręcznika prof. Bierzanka będą mieli szerszy horyzont niż egocentryczne spojrzenie na stosunki międzynarodowe wyłącznie z perspektywy własnego kraju. Pomoże im to uniknąć powszechnego wśród Polaków błędu idealistycznego — oceny rzeczywistości międzynarodowej nie takiej jak jest, ale takiej jaką chcieliby ją widzieć. Omawiając zagadnienie interesów narodowych, autor bezpośrednio przestrzega przed tego rodzaju postawą. „Pamiętać należy”, pisze on, „że zadaniem polityka jest troska o interes własnego, a nie obcego kraju. W przeszłości wielokrotnie o tym zapomniano, zwłaszcza w naszym społeczeństwie, obarczając winą za los Polski Napoleona, Lloyd George'a i wielu innych zagranicznych mężów stanu, a nie biorąc zupełnie pod uwagę, że ich stanowisko wobec sprawy polskiej, niekorzystne dla Polaków, wynikało właśnie z działania w interesie własnego narodu” (str. 95-96).

W dalszej perspektywie jednak postęp wiedzy o stosunkach międzynarodowych odbija się na pewno korzystnie i na studiach nad polityką zagraniczną Polski. Większy rygor i precyzja powinny podnieść poziom zarówno prac naukowych jak i publicystyki w tej dziedzinie. Głębsza podbudowa teoretyczna może również prowadzić do nowego spojrzenia na rolę Polski we współczesnym świecie i wskazać na szersze możliwości jej działania w sferze międzynarodowej. Wreszcie rozbudowa studiów międzynarodowych, a szczególnie wprowadzenie tego przedmiotu do programów uniwersyteckich, pozwoli wykształcić kadrę przygotowaną do zastosowania teorii w praktyce. W kraju o położeniu takim jak Polska — gdzie tradycyjnie polityka zewnętrzna i we-



wnętrzna są ze sobą ściśle związane<sup>23</sup> — rozwój nauki o stosunkach międzynarodowych może okazać się kluczową inwestycją na przyszłość.

Adam BROMKE

23. Próba systematycznej analizy związków pomiędzy polityką zagraniczną a polityką wewnętrzną w najnowszej historii Polski jest książką autora: *Poland's Politics, Idealism vs. Realism* (Cambridge, Mass., 1967); a także broszura, *Trwałe nurty w polityce polskiej* (Londyn, 1970).

## Widziane z Brukseli

— PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ  
W PRACY DLA HENRYKA FORDA II !!!

Cytat po francusku: „*Durant la guerre de Cent Ans les Grandes Compagnies mettaient à sac les royaumes et baffouaient le pouvoir des Etats*” (Z podręcznika historii w podstawowych szkołach francuskich.

500 lat później „les Grandes Compagnies” znowu robią karierę. Nie przy okazji wojny stuletniej a wojny naftowej, która nie wiadomo jak długo potrwa, ale świat jakby je teraz odkrył, tylko o nich mówi i to w podobny sposób. Dla mnie, temat nie dziewiczy. Zawodowa młodość upłynęła mi pod znakiem krwawych afer *United Fruit*, zasypiałem w dreszczach grozy po lekturze zbrodni *Anaconda Corporation*, z nieufnością spoglądałem na niepewne typy starające się o stypendia Forda czy Rockefellera. Ale cała prawda wyszła dopiero teraz na jaw. Otóż, jak wynika ze studiów prasy codziennej, firmy międzynarodowe przede wszystkim gwałcą, napadają, niszczą, ustanawiają i obalają rządy i prezydentów, mordują władców, przeprowadzają zamachy stanu, wypowiadają wojny i zawierają pokój, no i oczywiście, jak rekiny, pożerają innych i siebie, uprzednio się niszcząc i wbijając nóż w plecy. Nie wiadomo nawet w jaki sposób, mając tyle innych zajęć, mają one jeszcze czas na robienie sporych pieniędzy, co wydawało się stanowić ich główne zajęcie.

Wszystko to wydało mi się podejrzane. Jakieś widmo krąży znowu nad światem, widmo form międzynarodowych. O.K. powiedziałem. Zmęczony codziennym babraniem się w polityce, wbijaniem małych chorągiewek w miejscowościach nawiedzanych przez Breżniewa oraz publicznym rozwiązywaniem zagadek z kategorii: „Wojna Kipurowa — spisek czy rywalizacja supermo-

carstw, a jeżeli tak, to dlaczego?”, postanowiłem odпочać od spraw ziemskich i przyjrzyć się widmu.

Przed wszystkim stwierdziłem, że widmo warte jest w tej chwili 165.000.000.000 dolarów. Nie wiem czy to dużo czy mało, dla mnie każda suma przewyższająca 100 dolarów jest warta szacunku, ale musi to być niemało, skoro na liście stu największych potęg gospodarczych świata (państw i przedsiębiorstw), 51 to widma czyli firmy międzynarodowe. Budżet francuskiej super-potęgi państwowej równa się mniej więcej obrotom General Motors, połowę wszystkich wartości notowanych na giełdzie paryskiej trzeba by od ręki sprzedać aby zdobyć kontrolę nad nowojorskim IBM.

Dziesięć największych firm międzynarodowych wyprodukowało w 1971 roku towary i usługi o wartości wyższej niż produkt narodowy 80 państw. Produkcja firm międzynarodowych (w dalszym ciągu zwanych f.m.) warta była w 1971 roku 330 miliardów dolarów.

Dużo to czy mało, spytacie, co to w ogóle znaczy? To znaczy, odpowiem, że jest to o 20 miliardów dolarów więcej niż cały eksport światowy. Z tych 330 miliardów, 275 miliardów to produkcja międzynarodowej sieci f.m. z siedzibą w USA z czego wniossek, że Amerykanie produkują za granicą towary, których wartość dorównywuje ok. 90% eksportu wszystkich krajów świata. Jasne? Jasne. Jest o czym mówić.

Według p. Charles Levinsona, Kanadyjczyka, ekonomisty, sekretarza generalnego 4-milionowej Międzynarodowej Federacji Pracowników Chemii (taki potężny syndykat w skali całego kapitalistycznego świata), autora *best-sellera* „Inflacja światowa a firmy międzynarodowe”, produkcja f.m. rośnie obecnie dwa razy szybciej niż cała działalność gospodarcza świata. Ok. roku 1985 trzysta do czterystu f.m. kontrolować będzie ok. 80% całego światowego przemysłu. Już dziś, według Levinsona, siedem f.m. kontroluje cały przemysł naftowy, piętnaście f.m. — petrochemię, dziesięć f.m. — elektronikę, osiem — opony, pięć — szkło płaskie, dziewięć — papier...

No dobrze, znowu ktoś zapyta, ale jak się to stało? Czy przed Levinsonem i Brukselczykiem nikt tego widma nie zauważył? Wyjaśnienie będzie długie i nudne. Jak w porządnym zredagowanym artykule odpowie na pytania kto, jak, kiedy, dlaczego, komu i po co? Oraz nie odpowie na cały szereg innych pytań.

*Jak się zaczęło?*

Żeby nie wracać do tzw. mroków historii zacznijmy od lekcji poglądowej czyli od sposobu w jaki Niemcy i Japonia po przegranu wojny zaczęły wygrywać pokój. W roku 1948 oba te kraje aplikowały najwyższą stopę akumulacji na świecie. Ponad 1/3 dochodu narodowego była natychmiast inwestowana. Płace były niższe niż w innych krajach urzemysłowionych, gdyż ina-



czej taka mordercza akumulacja nie byłaby możliwa. Wynik nie dał na siebie długo czekać: produkcja coraz większego przemysłu zaczęła coraz bardziej wyprzedzać potrzeby własnego rynku. Trzeba więc było nadwyżki eksportować. W wielu wypadkach 50-60 % produkcji poszczególnych zakładów szło za granicę. Bilans handlowy NRF czy Japonii był stale dodatni, większość krajów była u nich zadłużona.

Tak dalej być nie może, powiedzieli fachowcy. Z jednej strony trudno sprzedawać krajom, który już są mocno zadłużone, z drugiej strony, nie było co robić z rosnącą górą dewiz trudno albo i niewymienialnych na nic porządnego. Czy się lepiej więc nie opłaca wybudować fabryki wprost na miejscu, w krajach-klientach, zamiast sprzedawać im te same towary na kredyt?

Rozumowanie to, zrazu powolne, nabrało szybkości kiedy inne dodatkowe czynniki weszły do akcji. Przede wszystkim okazało się, że w krajach uprzemysłowionych zaczyna brakować rąk do pracy i że prędej czy później płace eksplodują. Wtedy, to jasne, zaczyna się import siły roboczej. To stwarza nowe problemy. Ciemna masa emigrantów za chlebem nie jest już taka ciemna i coraz trudniej wyzyskiwać ją jak za dawnych dobrych czasów. Choć spokojnie wegetowali oni w Turcji, Algierze, Korei czy Filipinach to nie w celu dalszego wegetowania przecież przyjechali na przemysłowe czy budowlane saksy. Skoro jednak trzeba u nich budować domy, szkoły, szpitale, użerać się z syndykatami, prasą lewicową, Ligą praw człowieka, a do tego jeszcze coraz więcej płacić, to lepiej przecież wybudować fabrykę u nich na miejscu, płacić mało, domów nie budować, nie mieć zawracania głowy z syndykatami i mieć, za tanie pieniądze, socjalny spokój i świetne stosunki z władzami. Pierwszy z brzegu przykład: w ciągu najbliższych lat Siemens zwiększy zatrudnienie w NRF o 10 %, a za granicą o 50 %.

Następne przyspieszenie przyszło z natury, zaczęło mianowicie brakować miejsca, wody, powietrza. Zatrucie atmosfery, otoczenia człowieka w krajach uprzemysłowionych małych i średnich przybrało zatrważające rozmiary (Ren np. jest największym ściekiem świata) i wywołało ostre akcje inspirowane przez rozmaitych maniaków typu Mansholta itp., nie mówiąc już o perspektywie kolosalnych kosztów urządzeń oczyszczających. Lepiej w tej sytuacji zatrucie eksportować i zanieczyszczać atmosferę dzikich, nietkniętych jeszcze krajów.

*Po co to wszystko?*

Ale tak, Bogiem a prawdą, to co wyżej, człowiek i powietrze, choć to brzmi dumnie, to właściwie drugorzędne elementy operacji. Przede wszystkim, to jasne, chodzi o forszę. Według Levinsona, który dokładnie wszystko obliczył, firma międzynarodowa osiąga przez swe filie zyski o 30 do 40 % wyższe niż tradycyjnie

eksportujące przedsiębiorstwo. Jak to jest możliwe? A no, posłuchajcie.

Francuska f.m. Michelin rządzi 17 fabrykami w 13 krajach. Ale dyrekcja tego imperium zainstalowana jest nie w Paryżu, a w Szwajcarii, gdzie podatkowy bicz jest znacznie lżejszy (inne takie dyrekcje zainstalowane są w podatkowych rajach typu Luksemburg, Lichtenstein, wyspy Bahama itd.). Chodzi, rzecz prosta, o to aby filie nie wykazywały zysków w krajach gdzie podatki są wysokie jak NRF, Francja czy Holandia. Aby to osiągnąć międzynarodowa dyrekcja każe swym filiom słono płacić za dostarczone im przez siebie usługi, licencje, części zamienne czy półprodukty. Nic nie przeszkadza wszak szwajcarskiej dyrekcji samochodowej f.m. sprzedać swym fabrykom francuskim czy niemieckim części wyprodukowanych przez swego kooperanta w Polsce (autentyczne) z zyskiem 300 %. W ten sposób kolosalny zysk księgowany jest przez dyrekcję zainstalowaną w raju albo prawie raju podatkowym, podczas gdy przedsiębiorstwo zarejestrowane w krajach o wysokich rygorach fiskalnych wykazuje katastrofę, stan bliski omdlenia czy bankructwa.

W tej strategii rozrzucającej filie szeroko po świecie i poddającej je kontroli dyrekcji mieszczącej się poza granicami ojczyzny-matki nie brak także konsyderacji natury politycznej. Wyobraźmy sobie (odpukać), że p. Marchais wygrywa wybory we Francji. Zapowiedział on już, że natychmiast wybuchą we Francji prawdziwa demokracja (nawet Sołżenicyna jest skłonny wydać), ale dodał, że równocześnie nastąpią nacjonalizacje niektórych gałęzi przemysłu (zanim nie upadnie cała gospodarka). Otóż, program p. Marchais dotknie jedynie przedsiębiorstwo we Francji, natomiast filie zarejestrowane za granicą losu tego unikną. Więcej nawet, właściciele „Michelin” itp. nie tylko w ten sposób jakoś zwiążą koniec z końcem, ale wydadzą wojnę nowemu właścicielowi nazwiskiem Marchais, odcinając go od zaopatrzenia i zbytu.

*Uczyć się w USA!*

Mistrzami tych kombinacji są oczywiście Amerykanie. To jest skala, to jest oddech! Wielkie f.m. zza Atlantyku coraz rzadziej zawracają sobie głowy uciążliwym i nudnym eksportem towarów. One eksportują przede wszystkim kapitał, fabryki, technologię, umiętności, smykałkę i kontakty kupieckie, instalując swe filie w krajach, których rynki (i bogactwa), chcą zdobyć.

Już dzisiaj produkcja finansowana przez amerykański kapitał za granicą sześciokrotnie przewyższa wartość eksportu USA. W 1975 roku będzie osiem razy wyższa. Ale najważniejsze, że dwie trzecie przemysłowego eksportu USA to produkty i usługi jakie firmy-matki sprzedają swym filiom za granicą. Tu trzeba zaznaczyć, że filie to klient niezupełnie samodzielny wobec przedsiębiorstwa matczynego, co tłumaczy, iż ceny praktykowane w



takim zamkniętym obrocie bywają najzupełniej fantastyczne i przynoszą, tam gdzie trzeba i kiedy trzeba, ogromne zyski. Znać są fakty wysyłania do Indii czy Argentyny starych maszyn dawno już amortyzowanych za cenę wielokrotnie wyższą od nowej maszyny. Jeszcze jaskrawiej kształtuje się to w odniesieniu do sprzedawanych usług, licencji, do obowiązkowego zaopatrywania się filii przede wszystkim w własnej f.m. w surowce, półfabrykaty itd. W ten sposób dochodzimy do paradoksu, że niektóre wielkie f.m. osiągają ogromne zyski nie tylko ze sprzedaży towarów wyprodukowanych przez swe filie, ale także ze sprzedaży filiom swych własnych usług i artykułów.

#### To dopiero początek

Oczywiście, nie przesadzajmy. Rola f.m. nie ogranicza się jedynie do rabunku mienia w zamkniętym obrocie. W wielu krajach stanowiły one zaczątek przemysłu, cywilizacji, postępu. Zanim jednak nadejdzie chwila, kiedy f.m. będą mogły zasiąść na pracy Stwórcy, jako angeliczny czynnik dobrobytu w pokojowym świecie, trzeba powiedzieć, że nigdzie tak ostro nie zarysował się ich drapieżny charakter jak w bezbronnych, do niedawna, krajach trzeciego świata. Według sprawozdania ONZ, filie f.m. w trzecim świecie płać centralom za usługi, licencje i patenty równo połowę kapitałów inwestycyjnych jakie do ich krajów z tych central napłynęły.

Stąd oficjalne dane, według których kapitały f.m. zainwestowane w trzecim świecie przynoszą (z wyjątkiem nafty będącej dziś poza zasięgiem poważnej statystyki) ok. 12%; w Europie Zachodniej — 10% i w Kanadzie — 8%, choć i tak interesujące, pozostają daleko za rzeczywistością. Że proceder jest bardziej atrakcyjny świadczy, iż w latach 1960-71 majątek amerykańskich f.m. wzrósł z 32 do 86 miliardów, czyli że jego wzrost w ciągu 12 lat dwukrotnie prawie przewyższył stan jaki osiągnął w ciągu całej swej historii. Że jest to proceder opłacalny, wystarczy powiedzieć, iż w latach 1968-70 amerykańskie f.m. repatriowały (w postaci dywidend, procentów itp.) zza granicy — głównie z trzeciego świata — prawie 25 miliardów dolarów, a zainwestowały w tym czasie tylko 11 miliardów. W roku 1971 ściągnęły 9 miliardów, a inwestowały nie całych pięć.

A to wszystko stanowi dopiero początek. Według opracowania bardzo dalekiej od skrajnego goszyzmu *Rand Corporation* przed upływem XX wieku Stany Zjednoczone będą wytwarzać za granicą całość swej produkcji przemysłowej, pozostawiając sobie w USA (poza chyba wojskową i nuklearną) jedynie przemysł naukowy, czyli szare komórki, oraz ogromną sieć menadżerską, administracyjną i usługową. Już dziś wszystkie aparaty fotograficzne sprzedawane w USA produkowane są za granicą, podobnie jak 96% magnetofonów, 95% rowerów i motocykli, 70% maszyn do pisania portable, 57% obuwia, 50% czarno-

białych telewizorów. Już dziś przeciętny menadżer przeciętnej amerykańskiej f.m. spędza 150 dni w roku w podróży.

A czym, zapytacie państwo, będą USA płacić za niezbędne im towary, skoro nie będą już eksportować produkcji własnej? A no, będą płacić z zysków jakie przynosić będą filie amerykańskich f.m. na całym świecie.

#### Kto miałby się zbuntować?

Już kończę część liczbową, mój czytelnik nie jest przyzwyczajony do zer i tabelek. Po pierwsze jednak, statystyki gdzieś miliardziki dolarów latają sobie swobodnie przez oceany nie są takie nudne, a historia f.m. jest ciekawsza od niejednego kryminału (słowo na miejscu). Po drugie jednak, nie dajmy się zwieść pozorom. Tu chodzi o politykę i to w różnych tzw. aspektach. Wyobraźmy sobie bowiem Amerykanów tak, jak ich maluje *Rand Corporation*. Jest to naród technologów, bankowców, menadżerów oraz wojskowych i dyplomatów, zajmujących się wyłącznie najpierw wyciskaniem a następnie zabezpieczaniem zysków, pochodzących z potu i pracy innych narodów. Byłoby to coś w rodzaju Wielkiej Brytanii w XIX wieku, oczywiście, pod warunkiem, że różne Wietnamy tej wizji nie zmacą, nie mówiąc już o buncie jakiejś federacji państw przeciw hegemonii amerykańskiej, podobnie jak to było z buncem Ameryki przeciw hegemonii brytyjskiej.

Tylko kto miałby się zbuntować? Dwie są możliwości. Przede wszystkim Europa Zachodnia. Proszę się nie śmiać. Czy np. europejskie f.m. są mniej od amerykańskich zainteresowane w ściąganiu zza granicy cennych dywidend, w eksportowaniu myśli a importowaniu pieniędzy? Czy nie ma elementów konfliktu, sprzeczności interesów?

Hm, nie wierzcie, proszę, klasykom w przedmiocie bezkompromisowego pożerania się monopolu na czczo. Oczywiście, konkurencja istnieje, a nawet się zaostrza, prowadzi do wybuchów, starc, padają ofiary. Ale dzieje się tak już prawie wyłącznie w sferze parweniuszy. Ci nowi muszą jeszcze gryźć, bić się o miejsce. Wśród monopolistycznej elity nikt, albo prawie nikt, już się nie bije, dżentelmeni układają się przy zielonym suknie, zgodnie działając wewnątrz salonu, i zgodnie likwidując zamachy na swe przywileje.

Np. opony. Każdy wyobraża sobie jaka to wojna i na jakie noże idzie o rynki zbytu pomiędzy Dunlop-Pirelli, Michelin, Goodrich, Firestone i Goodyear. A tymczasem Dunlop produkuje dla Goodyeara i to w kilku krajach, Michelin i Dunlop są w spółce zwanej *joint venture*, fabryka w Irlandii produkująca dla amerykańskiej f.m. jest własnością austriackiego Semperitu, który jest kontrolowany przez belgijsko-francuską Kleber-Colombes, która z kolei należy do francuskiego Michelin, z siedzibą w Bazylei w Szwajcarii. Shell, król nafty, zawarł 25 *joint venture*,



*Standart Oil of New Jersey* — 35 takich porozumień z innymi firmami naftowymi.

Co ciekawsze, 4.000 *joint venture* łączy amerykańskie f.m. z ich teoretycznymi konkurentami w Europie. Jest to trzy razy więcej niż liczba *joint venture* zawartych między f.m. wyłącznie europejskimi. Najbardziej autentycznymi Europejczykami są Amerykanie. Największy europejski przetwórca nafty nazywa się Rockfeller (Esso), IBM jest największym europejskim producentem komputerów. Oczywiście, spora część kapitału zachodniemieckiego czy francuskiego ma zamiary agresywne i chciałaby zdobyć na świecie, a przede wszystkim w domu u siebie, niektóre pozycje twardo obsadzone przez amerykańskie f.m. Stąd znane spory EWG-USA, runda Nixona, podskoki niepodległościowe, niełojalna konkurencja, brudne chwytły itp. Normalnie, jak w życiu...

To wszystko jednak pozory. W istocie europejskie f.m. skazane są na „międzykontynentalność”, a nie europejskość. Europa to za mało na wielki program. Philipps, Fiat, BASF, Volkswagen, to już nie europejskie f.m. a światowe. A giganci, proszę państwa, się nie biją. W interesach, jak w polityce, ryzyko frontalnej konfrontacji super-mocarstw nie opłaca się.

#### *Ideologiczny homoseksualizm*

Druga możliwość buntu przeciw hegemonii f.m., to ozdrowieńczy prąd socjalizmu. Ale socjalizm, też nie bardzo. Oto historia z ostatnich miesięcy.

Pewna austriacka fabryka szkła miała poważne kłopoty z załogą pozostającą pod wpływami resztek partii komunistycznej. Co robi właściciel? Pakuje manatki, zwalnia 200 robotników, przenosi interes na Węgry. *Fifty-fifty*, ale tam spokój, mowy nie ma o strajkach, umowach zbiorowych, syndykatach...

Przedstawiciele austriackiej załogi ruszają na Budapeszt.

„Towarzysze, mówią, tak być nie może. To przecie wspólna walka”.

„A przepraszamy, odpowiadają węgierscy towarzysze broni, to problem polityczny i międzynarodowy, my się do tego mieszać nie możemy”.

Ponad 1.000 zachodnich f.m., w tym wszystkie największe rekiny monopolistycznego kapitału, inwestuje dziś na Wschodzie. Kiedy *Prawda* atakowała przemysłowo-wojskowy kompleks USA, Kreml podpisywał umowę z Boeingiem, który jest w samym centrum tego kompleksu. Kiedy Breżniew obiecywał Allendemu pomoc przeciwko spiskowi ITT, Kreml podpisywał z... ITT umowę na unowocześnienie infrastruktury lotnisk sowieckich. Kiedy radio Moskwa nawoływało Arabów do odwrócenia przeciw ESSO, Shellowi itp. „broni naftowej”, Kreml podpisywał umowę na kilkadziesiąt miliardów dolarów z tymi samymi firmami o dostawę kapitałów w zamian za gaz i naftę. Kiedy cała propaganda sowiecka piała z zachwyty nad skutecznością arabskiego mono-

polu naftowego, Kreml z radością podejmował 10 nacierzy amerykańskich, którym po raz pierwszy w historii pozwolono wyłądować w Jakucku, w celu jak najszybszego przełamania tego monopolu. Levinson nazywa to ekonomicznym homoseksualizmem. Kreml mianowicie atakuje kapitalizm, ale wyciałowuje kapitalistów, którzy robią to samo, tylko z pozycji niejako odwrotnej w stosunku do komunistów i komunizmu.

Chodzi jednak nie o sentymenty ani o niezdrowe popędy. Ważne są wnioski natury ekonomiczno-ideologicznej.

*Pytanie:* Z czego pochodzą kredyty f.m. dla ZSSR?

*Odpowiedź:* Pochodzą z kapitałów monopolistycznych f.m.

*Pytanie:* A z czego powstają monopolistyczne kapitały f.m.?

*Odpowiedź:* Powstają, jak nas uczy marksizm-leninizm, z potu proletariusza czyli z wartości dodatkowej jaką wytwarza wyzyskiwana przez kapitalistyczne f.m. klasa robotnicza w Ameryce, Europie i trzecim świecie.

*Pytanie:* Z czego pochodzą więc kredyty potrzebne dla osiągnięcia potęgi i dobrobytu ludzi sowieckich?

*Odpowiedź:* Pochodzą z potu klasy robotniczej na Zachodzie, czyli z wartości dodatkowej wyciskanej z proletariatu.

F.m. inwestują więc na Wschodzie wartość dodatkową wytworzoną przez wyzysk robotników na Zachodzie. Kraje wschodnie dostarczają tak powstałemu kapitałowi siły roboczej, surowców i atmosfery spokoju, potrzebnych do wytworzenia nowej wartości dodatkowej, którą f.m. będą mogły zainwestować w celach kapitalistycznego wyzysku w USA, Europie, albo w trzecim świecie, albo z powrotem na Wschodzie, albo też w celu tzw. pasywnego spożycia własnego, czyli szybszego gnicia, czego sobie i wam serdecznie z okazji nowego roku w jak największych rozmiarach życzę.

Bardziej delikatny ideowo jest inny aspekt tego homoseksualizmu czy rozdarcia między teorią rewolucji a praktyką socjalizmu, inaczej zwanego kooperacją monopolistycznego kapitału z socjalistycznymi tanimi i pewnymi rękami do pracy. Ot np. Montedison, włoska f.m. Właśnie podpisała umowę o budowę w ZSSR za 500 milionów dolarów ogromnego kombinatu chemicznego. Zyski do podziału pochodzić będą m.in. ze sprzedaży części produkcji we Włoszech. Mógłby ktoś zapytać: a dlaczego koncern włoski nie włożył tych samych pieniędzy we włoskie południe, w Mezzogiorno, które zdycha z bezrobocia i niedorozwoju? A no dlatego chyba, że siła robocza w Rosji tańsza, procent od kapitału większy, atmosfera współpracy z władzami przyjemniejsza, no a przede wszystkim nie trzeba się obawiać ani strajku, ani co nie daj Boże nacjonalizacji lub rozruchów!

To, po pierwsze. A po drugie co się dzieć będzie, jeżeli u Montedisona albo u Rockfellera albo cholera wie gdzie, wybuchnie strajk w obronie wyzyskiwanej klasy robotniczej, ofiary monopolistycznego kapitalizmu występującego w postaci jednej z filii m.f. Do tej pory udawało się, nie zawsze, ale coraz częściej, zorganizować strajk w skali wszystkich albo większości filii tej



m.f. tak, aby nie mogła ona kompensować strat poniesionych we Francji z produkcji np. w Belgii czy Holandii. A teraz? Teraz może się okazać, że klasa robotnicza na Wschodzie stordeduje solidarnościową akcję swych towarzyszy na Zachodzie. To nie są hipotezy.

W czasie niedawnej wizyty włoskich związkowców w ZSSR, goście zapytali robotników fabryki sowieckiego Fiata w mieście Togliatti:

„Czy jeżeli Fiat we Włoszech, Francji i USA zastrajkuje, to będzie mógł liczyć na solidarność towarzyszy sowieckich?”

Odpowiedź brzmiała jak na Węgrzech:

„To są sprawy polityczne. U nas syndykaty polityką się nie zajmują”.

Wniosek więc jasny, homoseksualistyczny, niesympatyczny: internacjonalizm proletariacki istnieje, ale tylko na Zachodzie.

Na wschodzie istnieje już tylko socjalizm.

*Dosiego Roku!*

BRUKSELCZYK

Pisane 10 grudnia 1973

SUBSKRYPCJA NA KSIĄŻKĘ:

STANISŁAW VINCENZ

LISTY Z NIEBA

nowy tom eposu huculskiego

NA WYSOKIEJ POŁONINE

Dzieło pisarza, nad którym pracował dwadzieścia lat, wyjdzie w połowie roku 1974.

„Czekamy z niecierpliwością, kiedy *Listy z Nieba* spadną na naszą ziemię”.

*Prof. Hugo Steinhaus (Wrocław)*

Książka ukaże się w wydawnictwie OFICYNY POETÓW I MALARZY w Londynie.

Stron ca. 580. Cena £ 4,00, \$ 12,00, Fr. 48,00 fr. szw. 32,50, DM 23,80.

Dla ułatwienia druku ogłaszamy już teraz przedsprzedaż.

Osoby, które do dnia 1 kwietnia 1974 wpłacą co najmniej £ 7,00, \$ 20,00, Fr. 85,00, fr. szw. 60,00, DM 50,00, otrzymają egzemplarz książki, a ponadto nazwiska ich ogłoszone zostaną w prasie oraz na końcu tomu.

Wpłaty przyjmują: Libella, 12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004-Paris.

Kazimierz F. Vincenz, 4550 Soleure 2, Postcheck 45-4694

Poets' and Painters' Press, 146, Bridge Arch, Sutton Walk,

London, SE1 8 XU, England.

## Wojna na Środkowym Wschodzie i jej skutki

### Czwarta wojna

Ubiegła wojna wydaje mi się porażką Izraela. W prasie światowej trudno doszukać się podobnie zdefiniowanej opinii. Ostatnie rozgrywki nad Kanałem Sueskim sugerują brak jakiegokolwiek rozstrzygnięcia — raczej z możliwością przewagi izraelskiej. Mimo to jednak pozostaje przy swoim zdaniu.

Decydującym czynnikiem w izraelskiej polityce były dotąd zupełne, absolutne zwycięstwa wojenne. Tego zwycięstwa zabrakło w ostatniej wojnie. Strategia zawiodła, linia polityczna legła w gruzy. Trzeba było zgodzić się na rozejm narzucony przez ONZ. Stracono bez pozostawienia rezultatu parę czy kilka tysięcy ludzi i wydano na wojnę sumy równe ćwierci rocznego budżetu państwa. Błyskotliwemu generałowi Moshe Dayanowi, jako ministrowi wojny, wysuwa się zarzuty nieprzygotowania państwa do walki. Stanowisko pani Meir osłabło. Ponoś ona odpowiedzialność za swój „koalicyjny” gabinet. Ten gabinet przypomina przysłowiowe orła, raka i rybę zaprzęgnięte do jednego wozu. Zgodne tylko w krótkich chwilach niebezpieczeństwa, ciągnęły każde w swoją stronę. Pani Meir trzymała wodze, ale bała się rozstrzygnąć które mogły narazić koalicję na rozbitcie. A trójka rwała w rozmaite strony. Skrajni nacjonaliści Begin, ortodoksi, umiarkowani pacyfści-liberałowie, jej własni laburzyści. Wszelkie sugestie kompromisowego porozumienia z Arabami mogły powodować rozbitcie. Rozbudowywano zabrane tereny, przystosowując je do własnego użytku. Pominęto milczeniem, że w tym syjonistycznym państwie będzie około 30 % obcych, wrogich Arabów. Cieszono się z „bezpiecznych” granic. Piszę o tym w *Kulturze*, styczeń/luty 1972. Cieszono się potęgą wojskową i wyższością swych wojsk nad Arabami Zapomniano o stosunku trzymilionowego państewka do stu milionów przeciwników. Zapomniano, że Napoleona też w końcu zdruzgotała masa. A najważniejsze, zapomniano w 1967 roku, kiedy Izrael był u szczytu



zwycięstwa, że teraz jest czas na ustalenie pokoju. Długiego, rozsądnego i możliwego do przyjęcia dla obu stron.

Bezpieczne granice? Nie chcę się powtarzać; dorzucę tylko kilka uwag. Naturalne granice przestały być przeszkodą dla nacierającego. Zbyt wysoko stoi wojenna technika. Nie kanał stał się wyłączną przeszkodą w lądowaniu Niemców w Wielkiej Brytanii. Nie były przeszkodami Wisła i Ren. Dwa razy w ciągu wielkiej wojny, zawiedli się obrońcy na „nieprzystępnych” Ardenach. W czasach obecnych geograficzny układ jest pomocny w obronie, ale nie jest obroną samą w sobie. Rozległe granice, nawet obronne z natury, są zarodkiem niebezpieczeństwa. Jeżeli nie są bronione silnie, nie ostoją się atakowi. Bronione silnie — to znaczy wojskiem wyposażonym w techniczne środki. Jakie środki potrzebne są obronie? Przede wszystkim — umocnienia. Umocnienia to nie tylko rowy, schrony, druty i miny. Aby stanowiący czynną obronę muszą być wyposażone w środki ogniowe i (jak w każdym bez wyjątku działaniu wojennym) w ruch, inaczej mówiąc w silne odwody. Żeby wyposażać obronę granic w ogniowe środki, trzeba było poświęcić część armii tak koniecznej do wojny ruchowej, decydującej o zwycięstwach słabszego liczebnie Izraela. Pociągało też dodatkowe koszty w naciągniętym budżecie. Zwycięska doktryna strategiczna musiała ulec zmianie. Wiemy, jak sztaby niechętnie odступują od zasad, które poprzednio przyniosły im zwycięstwo.

W sumie, ani reklamowana linia Bar-Lev, ani umocnienia wzgórz Golan nie musiały być tak potężne, za jakie je podawano. W obu wypadkach pękły od pierwszego uderzenia.

Nie tylko braku w technicznym wyposażeniu umocnień musiały być przyczyną. Zapewne głównym powodem był brak sił żywych.

Jest zrozumiałe, że w czasie „zbrojnego pokoju” trudno jest trzymać w umocnieniach pełne obsady. Zwykle znajdują się w nich tak zwane „załogi bezpieczeństwa”; słabe formacje mające dozorować czynności przeciwnika, alarmować i stawiać pierwszy opór. Tylko na tyle silne, by przeszkodzić działalności przeciwnika na małą skalę. Na wypadek poważnych działań przeciwnych, obsada musi mieć wsparcie wystarczająco silnych odwodów, wkraczających natychmiast do akcji i likwidujących napastę. Pierwsze dni wojny nie wskazują na ich istnienie. W każdym razie, na istnienie odwodów dostatecznie silnych.

Linia Bar-Lev nie musiała być ugrupowana w głąb. Pierwsze takie przypuszczenie nasunęło mi się na wiadomość o propozycji rządu izraelskiego, mającej Egipcjom umożliwić otwarcie Kanału. Proponowano, mianowicie, opuszczenie pasa dziesięciu mil wzdłuż kanału. Zneutralizowany obszar miał być zajęty przez Egipt. Czy można, tak od razu odsunąć umocnienia na dziesięć mil do tyłu?

Czy Izrael posiadał możliwości obsadzenia wystarczającymi siłami umocnień Bar-Lev i Golan? Nie. Wskazują na to cyfry.

Izraelskie siły zbrojne składają się z armii, lotnictwa i mary-

narki. Armia czynna, w sile 61.500 ludzi, zorganizowana jest w jedną dywizję pancerną i cztery brygady. W dwudziestu sześciu (26) brygadach rezerwowych (nieznana mi ilość pancernych) służy około 200 tysięcy ludzi. Możemy przypuścić, choć tego nie wiemy, że jedna lub kilka brygad rezerwy wspomaga armię czynną w czasie i w ramach swoich dorocznych ćwiczeń. Jeśli nawet do aktualnej służby stoi nie 60 ale 70 czy 90 tysięcy żołnierzy, to winni oni obsadzać granicę Libanu (palestyńscy partyzanci), strzec doliny Jordanu, pilnować południa pustyni Negew, wreszcie — obsadzać umocnienia Bar-Lev i Golan. Proszę policzyć mile czy kilometry. Niewiele więc da się zaoszczędzić na „wystarczającym” odwodzie umocnień.

W chwili wybuchu wojny siły Izraela wynosiły: 3.200 tysięcy ludności, 275 tysięcy żołnierzy, 1.700 czołgów, 1.450 pojazdów opancerzonych (transportery piechoty etc.), 488 bojowych samolotów, 74 helikoptery, 49 okrętów.

Tym siłom przeciwstawiły się (licząc Egipt i Syrię): 42.400 tysięcy ludności, 1.100 tysięcy żołnierzy (z rezerwą), 3.255 czołgów, 3.000 opancerzonych pojazdów, 950 bojowych samolotów, 240 helikopterów i 119 okrętów.

Do tych cyfr należy doliczyć drobniejsze kontyngenty innych państw arabskich.

Widzimy, że w sprzęcie przewaga arabska waha się około dwukrotnej. Przy tym, sprzęt, mówiąc ogólnie, jest nowocześniejszy, uzupełniany przez Sowiety po wojennych stratach. Izraelski sprzęt jest o większej rozpiętości. Zawiera modele będące w użyciu w poprzedniej wojnie, jak i zdobycie na Arabach. Różnorodność sprzętu powoduje komplikacje mobilizacyjne. Rezerwiści muszą być powoływani nie do najbliższych jednostek swej broni, ale w zależności od sprzętu na którym byli szkoleni. Również naprawa i uzupełnienie sprzętu (nawet amunicji) powoduje dodatkowe trudności.

Materiał ludzki Izraela jest o wiele lepszy. Wysoki poziom nauczania ogólnego, szkolenie rezerw na poziomie zawodowych żołnierzy, duża inicjatywa i świadomość celów, za które walczy.

Trzeba jednak podkreślić, że w ostatniej wojnie żołnierz egipski i syryjski wykazał wielkie podciągnięcie wzwyż. Uderza ich upór i wytrwałość.

Naczelne dowództwo egipskie wykazało wysoki poziom w przygotowaniu i wykonaniu masowego desantu — operacji bez wątplenia skomplikowanej. Jednak wydaje się, że w końcowych dniach pozwolili Egipcjanie odebrać sobie inicjatywę. Egipskim szefem sztabu jest gen. por. Saadeddin Shazli; syryjskim: gen. mjr Mustafa Tlas.

Szefem izraelskiego sztabu jest gen. por. Dawid Elazar, pochodzący z Jugosławii jak jego poprzednik Bar-Lev. W 1973 roku Elazar dowodził na północy. To on nakazał zdobyć wzgórze Golan przez czołgi. Przezywają go „Buldog”. Nie zdaje się zdradzać wielkich talentów.

Przechodzimy do rozpatrzenia działań, tak jak się one rysują



„na gorąco”. 6 października, wojska egipskie sforsowały Kanał. Syryjczycy wkroczyli na wzgórze Golan. Pierwszą reakcją Izraela było odzyskanie tych wzgórz. Czy był to błąd? Zasadą napoleońską jest: jeśli masz dwu rozdzielonych przeciwników — najpierw uderzaj na silniejszego. Po jego pokonaniu, tym łatwiej zwyciężysz słabszego. Zaczynając od słabszego, osłabisz się, ponosząc straty w walce z nim i tracisz czas. Do wtórnej walki z silniejszym, stajesz słabszy i dajesz mu czas do decyzji.

Na taką decyzję dowództwa izraelskiego mogło wpłynąć parę czynników; 1) Sąsiedowanie syryjskiego frontu z właściwym Izraelem; 2) Lekceważenie Syryjczyków jako przeciwnika, z którym szybko się rozprawią; 3) Szybsza (bliższa) możliwość wkroczenia rezerwy.

Rezerwy istotnie wkroczyły szybko i siły izraelskie zepchnęły przeciwnika ze wzgórz. Ale potem wypadki potoczyły się inaczej, niż przewidywano. Droga do Damaszku zdawała się być otwarta; brakowało doń dwadzieścia mil. Ale Syryjczycy nie rozpięchli się w popłochu; wycofywali się a nie uciekali. Od południa groziła skrzydłu i tyłom armii idącej w głąb Syrii armia jordańska. 4) Krytyczna sytuacja nad Kanałem nakazywała przerzucić siły. Tu rozbudowanie granic mści się na zasadzie działań po liniach wewnętrznych. Od Golan po Kanał Sueski jest ponad 300 mil angielskich. Trzeba było cofnąć się na wzgórze, obsadzić granicę i wszystkie możliwe siły rzucić na egipski front. Syryjczycy zrobili w tył zwrot i poszli w ślad za wycofującymi się wrogami. Kampania syryjska spaliła obustronnie na panewce.

Egipcjanie, po przejściu kanału, zajęli pas przybrzeżny i ugrupowali się obronnie, wspomagani znaczną ilością czołgów. Ich czołowe elementy nie wysunęły się spod ochronnego „parasola” przeciwlotniczych pocisków z zachodniego brzegu.

Na linię Bar-Lev składały się trzydzieści trzy gniazda oporu. Z nich dwadzieścia kilka uległo pierwszemu uderzeniu; inne broniły się dłużej. Jedno trwało w obronie przez dni osiem i kapitulowało na zezwolenie-rozkaz naczelnego dowództwa. Wyszło z gniazda trzydziestu kilku żołnierzy. Egipcjanie oddali im wojskowe honory.

Całość desantowej operacji, forsowanie kanału, zdobycie bunkrów, szybkie rzucenie mostów odbyło się nadzwyczaj sprawnie. Operacja przynosi zaszczyt dowództwu i egipskiemu żołnierzowi.

Następna izraelska linia obrony przebiegała w głębi pustyni, na wysokości cieśnin: Mitla Pass-Giddi i Gifgafa. Wreszcie trzecia na granicy między Synajem i Negewem. Obie tyłowe pozycje były równie słabo obsadzone jak czołowa. Zbyt późno pojeśli to Egipcjanie.

Gen. Szazli był zwolennikiem kontynuowania uderzenia i zdobycia drugiej linii (Mitla Pass etc.). Musiał ten zamiar porzucić na rozkaz z góry. Celem Sadata nie były „podboje” ale wygodniejsze podstawy do pertraktacji. Niewzruszony blok na wschodnim brzegu, bezpieczny z frontu, boków i z góry. Tylko 3.000 komandosów (z których się wywodzi Szazli) rozproszono na kierun-

ki ewentualnej zdobyczy w zawieszeniu broni. A więc, przede wszystkim, na kierunkach: El Arish i Sharm el-Sheik. Najcenniejszy więc odwód gen. Szazli został rozproszony. A już 8-go pierwsi komandosi izraelscy przenikali w lukę, tam, gdzie obawiało się tej akcji dowództwo egipskie. Zlekceważono ją jako drobne działania.

Armie egipskie zasiadły mocno w terenie. (Prasa francuska i izraelska często określa 1-szą, 2-gą i 3-cią armie egipskie jako korpusy — wydaje się to słuszniejsze). W zasięgu „parasola” izraelskie lotnictwo nie zdołało wypełnić podstawowego zadania panującej doktryny — zniszczenia egipskiego lotnictwa. Próby wspierania armii ziemnej pozostały bez rezultatów. Ataki broni panciernej ponosiły straty nie przynosząc korzyści.

Powstała sytuacja nie spotykana poprzednio. By uzyskać tak konieczne wsparcie lotnictwa, armia ziemna winna była wywalczyć temu lotnictwu panowanie w powietrzu przez zaatakowanie stanowisk egipskich pocisków przeciwlotniczych. Broni, przeciw której własne lotnictwo było bezsilne. Takie było początkowe założenie i zadanie izraelskiej wyprawy na zachodni brzeg.

Armie egipskie nad kanałem były uszykowane następująco: od północy armia 1-sza, dalej 2-ga, dow. gen. Mahmud (60.000 ludzi od Port-Said po Izmailę) i 3-cia gen. Abdelmonem el-Huassi (25.000 ludzi na południe od Izmaili po Suez). Między 2-gą i 3-cią armią istniała luka.

W sobotę, 13 października o godzinie 13.05 nad liniami egipskimi pojawiły się dwa amerykańskie samoloty rozpoznawcze „S 17”. Lecąc z potrójną szybkością głosu, na wysokości 25 tysięcy metrów, pojawiły się z kierunku Port-Saidu, aż po morze Czerwone, nad Nag Hamadi, skręciły na Kair, dalej nad syryjskie pozycje. I do swej tureckiej bazy. Francuski *Le Nouvel Observateur* sugeruje, że tą drogą otrzymał Izrael niezbędne zdjęcia do uderzenia przez kanał.

14 października, w niedzielę, szwadron czołgów pływających ruszył do natarcia na zachodni brzeg. Wspierały go jednostki rezerwowej brygady spadochroniarzy. Przerzuceni z syryjskiego frontu, w łodziach pneumatycznych towarzyszą amfibiom. Całością działań dowodzi gen. Szaron o przezwisku „Arik”. Dowódcą spadochronowej brygady z wojny 1956 roku, pancernej dywizji w 1967, rezerwista powołany do czynnej służby. Pominięto go w szefostwie sztabu generalnego. Sympatiami politycznymi stoi blisko prawicy Begin.

Czołgi i spadochroniarze atakują siły egipskie, atakują stanowiska artylerii, wyrzutnie rakiet. A jednocześnie, saperzy budują mosty.

Powodzenie jest zupełne. Szaron zdaje sobie sprawę, że możliwości przerastają pierwotne zadanie niszczenia stanowisk wyrzutni przeciwlotniczych. Powodzenie jest w skali operacyjnej. Żąda posiłków. Uzyskuje je po długich targach i dyskusjach.

Generał Adan, znany lepiej jako „Bren” rusza ze swoją kombinowaną dywizją o pięciu brygadach. Brygady zostały pospiesznie



skomponowane z broni pancernej, spadochroniarzy i przewożonej piechoty. Stanowią maksimum ruchliwości i siły przebojowej. Po przejściu na zachodni brzeg, brygady rozchodzą się na zachód, północ i południe. Czy szukają zgrupowań egipskich? Nie, wręcz przeciwnie. Ich zadaniem jest niszczenie wyrzutni. Działania partyzanckie na kolosalną skalę. Wspomagane bronią pancerną. Dopiero później wysiłek skieruje się na tyły trzeciej armii egipskiej.

Tymczasem, egipskie naczelne dowództwo było zwodzone fałszywymi meldunkami o pojedynczych czołgach (połowa zniszczona) pojawiających się nad kanałem. Trudno zrozumieć, że nikt nie zadbał o zamknięcie, lub co najmniej stałe rozpoznawanie, luki. Przecież było to obowiązkiem i naczelnego dowództwa i dowódców obu armii o wiszących skrzydłach. Nie zrobiono nic aż do chwili rozejmu.

Strona izraelska raz jeszcze pokazała lwi pazur sztabowej pracy i zaciekłość szarego żołnierza i oficera. Ale rezultat nie był, jak poprzednio, skali strategicznej. W amerykańskim żargonie wojskowym była to wielka taktyka; w polskim słownictwie — operacja.

Pani Meir powiedziała Kissingerowi: „22-go oba wojska były tak przemieszane, że powrót do ugrupowania tego dnia jest praktycznie niemożliwy”. Rzeczywiste odcięcie 3-ej armii egipskiej nastąpiło po dniu 22-im. Czy miałyby miejsce, gdyby wojna trwała dalej? Sądzę, że tak, ale można mieć wątpliwość. Wolno także przypuszczać, że Egipcjanie zamknęliby korytarz i zmusili owe pięć brygad do kapitulacji. Wojna nie została rozegrana. Obie strony dziwnie chętnie zgodziły się na zawieszenie broni. Widać obie nie miały już nic do powiedzenia na polu walki. Albo bardzo mało. Chociaż...?

Jak informuje *Time* w „zwycięskim” Izraelu panuje przygnębienie i żałoba po poległych. A jest ich dużo, więcej niż w naprawdę zwycięskim roku 1967. Ma ich być 1.854. Egipskie straty w zabitych wynoszą około 3.000. Ale w stosunku do ludności, straty Izraela są wiele bolesniejsze: 3,2 miliony do 36 milionów. Rezerwiści pozostają w szeregach i życie kraju dźwiga się bardzo powoli do normalnego. Odczuwa się braki. Wezwani przez burmistrza Kollek’a, uczniowie średnich szkół wciąż jeszcze obsługują piekarnie Jerozolimy, bo grozi brak chleba. Daje się odczuwać ogólny brak rąk roboczych.

Jednomiesięczny zapas amunicji został wyczerpany. Według Dayana, ostatnie walki odbywały się dzięki gwałtownym dostawom amerykańskim.

Jako bohater dnia wypływa na pierwszy plan generał (Arik) Szaron. Jak powiedziałem, jest on zwolennikiem bezkompromisowej polityki Begina.

W „zwycięskim” Kairze inne panują nastroje. Tak twierdzi, zwykle dobrze informowany (i raczej pro-izraelski) powyżej cytowany — *Time*. Chociaż nieprzyjacielskie oddziały są o 45 mil od stolicy, Kair nie jest nacechowany piętrem wojny. Kontrolo-

wane przez rząd ceny produktów pozostają bez zmian. Zaciemnienie miasta jest tylko częściowe. Mobilizacja nie podjęta gospodarki. Raczej osłabiła problem bezrobocia. Hotele nie cierpią na brak gości w nadchodzącym, zimowym sezonie. Człowiek ulicy spokojnie przyjmuje możliwość dalszej wojny. Czasy Nasera i Sadata są różne. Przykładem jest stosunek ludności do Amerykanów. Wiadomo, że wspierali oni Izrael politycznie i materialnie. Jednak stosunki z nimi nacechowane są uprzejmością i rzeczowym podejściem. Toczą się pertraktacje z amerykańską firmą o budowę rurociągu łączącego zatokę Sueską z morzem Śródziemnym.

Stanowisko Sadata jest mocniejsze niż kiedykolwiek. Dowodem: mógł sobie pozwolić na odnowienie dyplomatycznych stosunków ze Stanami. Jeszcze bardziej znaczące jest jego ustępstwo w spornej kwestii wycofania izraelskich oddziałów z terenów zajętych po 22 października.

Powszechny slogan: chcemy pokoju, gotowi jesteśmy do dalszej wojny.

Nie jest zrozumiałe zachowanie się jordańskiego Husseina. Brał udział w rozmowach kairskich poprzedzających wojnę. Wydawało się, że doszedł do porozumienia z Sadatem i syryjskim Assadem. Gdy wojna wybuchła, poprzestał na wysłaniu na syryjski front parotysięcznej brygady. Wydawało się, że gros sił jordańskich czeka na sposobność uderzenia na skrzydło lub tyły nieprzyjaciela, działającego ze wzgórz Golan. Ale nie. Jordania zachowała się tak biernie, że część sił ubezpieczających linię Jordanu Izrael mógł ściągnąć w rejon Golanu. Umożliwiło to przerzucenie spadochronowej brygady „Jerozolima” na front egipski, gdzie wzięła decydujący udział w wypadzie na zachodni brzeg.

Czy bezczynność wojsk Jordanii nie była spowodowana przez Sadata i Assada? Czy nie chcieli się zobowiązywać do przekazania odbitych ziem palestyńskich Husseinowi? Wiele wskazuje na taką możliwość.

Całość wojny wyglądała na splot pomyłek i błędów. Tylko dwa działania wysuwają się korzystnie na czoło. Pierwotne forsowanie kanału przez Egipcjan i przebiecie się na zachodni brzeg izraelskiej dywizji „Brena”. Obie zachowały znaczenie operacyjne. Obie mogły nabrać znaczenia strategicznego, gdyby potoczyły się pomyślnie i nie zostały przerwane zawieszeniem broni.

Wydaje się, że Sadat zrozumiał warunki w jakich toczą się wojny arabsko-izraelskie. Słabsze, lepiej wyszkolone siły Izraela muszą dążyć do szybkiego rozstrzygnięcia. Dłuższej wojny nie wytrzyma jego gospodarka, nie wytrzyma skarb, zbraknie wojennego materiału i ludzkich rezerw. Jeżeli Egipt nie da rozerwać swego „taboru”, będzie się posuwał ostrożnie i wolno, stopniowo przesuując niezbędny „parasol” — przegrana przeciwnika nastąpi z wyczerpania. O rozbicie „taboru” nie należy się obawiać. Lepsze bez porównania lotnictwo przeciwnika będzie bezsilne wobec pocisków S-2, S-3 i S-6. Czołgi zniszczą pociski S-7.



Plan był dobrze pomyślany i wydawał się „wodoszczelny”. Jak mogło więc dojść do tego by armie (korpusy) nie trzymały łącznie i godziły się na luki po kilkadziesiąt kilometrów — pozostaje tajemnicą. Do działań za kanałem użyto nie więcej niż 40 % armii regularnej (nie mówiąc o rezerwie), więc do zapewnienia powstały luk było dosyć wojska. Także do zabezpieczenia tyłów na brzegu zachodnim.

Z łatwości zajęcia wschodniego brzegu przez Egipcjan, wynika nauka dla Izraela. Nie można na stu czterdziestu kilometrach, w trzydziestu trzech bunkrach osadzić ośmiuset żołnierzy i czuć się bezpiecznym za „bezpieczną granicą”. Powtarzam to, co mówiłem na długo przed wojną; izraelska bezpieczna granica przebiega nie na zachód, ale na wschód od Synaju. Wtedy i tylko wtedy, wojna przybiera charakter ruchowej, w której Izrael ma zdecydowaną przewagę. I która może być krótkotrwała — co odpowiada możliwościom i słusznej doktrynie izraelskich sztabów.

Nie twierdę, że uważam Dayana za najlepszą wojskową głowę Izraela, który posiada i posiadał tylu wspaniałych sztabowców. Jednak, nie są słuszne zarzuty, że nie mobilizował na czas. Rozumiem, że w tym wypadku był bezsilny. Jeśli dobrze pojmuję talenty strategiczne Sadata (czy jego wojskowych doradców) nic by mu bardziej odpowiadało jak przedwczesna mobilizacja Izraela. Politycznie — argument o zaborczych planach. Wojskowo — co miała zrobić zmobilizowana armia? Uderzyć na zaludniony Egipt właściwy (forsować kanał). Brak warunków do ruchowej wojny. Rozpylanie się w przestrzeni. Tryumfalne zajęcie Kairu, w okupacji którego połowa armii tonie w przeszło pięciu milionach ludności?

Lub, co bardziej prawdopodobne, stanąć w gotowości do odparcia egipskiego ataku. A ten atak by nie nastąpił. Sadat trochę by atakował, trochę pozorował i czekał na wycieńczenie państwowego organizmu Izraela. Podobno wywiad izraelski doniósł na czas o egipskich przygotowaniach. I cóż z tego? Każdy izraelski minister wojny miałby ręce związane możliwościami państwa. Zresztą, czy było takie ostrzeżenie, nie jest pewne. Faktem jest, że pierwszym kozłem ofiarnym (a ma być ich więcej) został szef wywiadu Elie Zeira.

Modne jest obecnie w Izraelu debatowanie, że szczęśliwie się stało, iż granice przebiegały nad kanałem i na wzgórzach Golan. Co stałoby się — mówią — z naszymi osiedlami, bezpośrednio atakowanymi przez nacierającego wroga? Takie twierdzenie wydaje mi się kazuistyką. Miałoby rację wtedy gdyby pustynia Synaj pozostała pustkowiem. Wiemy, że Izrael rozbudowywał ją dla swojej gospodarki.

Krótką i odległą wojna odbiła się silnym echem w Ameryce i Europie. Ujawniła ona nowe wartości pewnych broni i nowe sposoby ich zastosowania. Rosyjskie pociski raketowe okazały się groźnym przeciwnikiem samolotu. Wyścig pocisk-samolot w obecnej chwili wygrany jest przez pocisk. To samo odnosi się

do pancernia. Łatwo przenośne pociski i ich wyrzutnie — S-7 przebijają każdy znany pancerny i są zabójczo celne. Kierowane są przez obsługę z odległości 15 metrów od wyrzutni.

NATO zostało zaskoczone wyższością uzbrojenia sowieckiego nad amerykańskim. (Dziwne, że amerykańscy i niemieccy rzeczoznawcy mieli złudzenia równowagi NATO i Paktu Warszawskiego). W sztabach NATO kalkulowano siły według ilości samolotów i czołgów. Po ostatniej wojnie rachunek okazał się bezwartościowy.

Wreszcie, ograniczenia wywozu ropy narzucone przez arabskie kraje, wpłynęły fatalnie na stosunki narodów z Izraelem. Zaw sze tak jest, że bliższa koszula ciału niż piękne ideały. Nawet stosunek Stanów do Arabów, w szczególności do Egiptu — uległ zmianie.

W sumie, położenie Izraela jest trudne. Deficyt i ograniczona gospodarka — nie wiadomo kiedy rezerwiści będą mogli wrócić do pokojowej pracy. A nadchodzące wybory grożą powstaniem gabinetu jeszcze bardziej opornego rozsądnemu pokojowi niż obecny.

Tadeusz NOWACKI

Wellington, N.Z., 18 listopada 1973

## Cywilizacja karmiona ropą

W chwili kiedy umilkły działa na Bliskim Wschodzie, w innych częściach świata zaczęto sobie nagle uświadamiać straszliwą groźbę. Szok był tym większy, że groźba nie pojawiła się nagle. Raptem, nie bez zdumienia, odkryto że osiemnaście milionów Arabów trzyma w swoich rękach 54 % światowego eksportu ropy naftowej! I wtedy dokonano drugiego odkrycia: nasza cywilizacja rozwija się w oparciu o ropę naftową! Obydwa odkrycia olśniły nas jednak dopiero wówczas, kiedy Arabowie przyłożyli nam do głowy wylot rury naftowej. Gdyby Izrael nigdy nie powstał, albo jeśliby został zlikwidowany, Arabowie i tak sięgnęliby do tej strasznej broni — i to również zbyt późno zostało odkryte.

### Przed trzecią rewolucją przemysłową

Zachód postawi kiedyś pomniki Arabom. Nie za odkrycie ropy przed sześciu tysiącami lat, lecz za groźbę wstrzymania jej dostaw. W ciągu niewielu tygodni wczesnej i mroźnej w tym roku zimy dokonała się istna rewolucja poglądów na surowce



energetyczne, na naftę w szczególności, także na istotę i sens międzynarodowych stosunków handlowych. Świat, chociaż jeszcze ten sam, materialnie jeszcze nie zmieniony, w wyobrażeniach wielu ludzi już stał się inny. Skutki szoku przeżytego przez Zachód będą głębokie, dalekosiężne: osiemnaście milionów Arabów rzuciło na kolana Europę Zachodnią i Japonię — dwie czołowe potęgi gospodarcze świata, zamieszkałe przez ponad trzysta milionów ludzi. Bez armii, w czasie pokoju, przy pomocy „zwyyczajnego” szantażu — „jeśli nie, nie damy nafty!”

Tymczasem bez nafty jak bez tlenu i wody, przesiąkała ona najważniejsze dziedziny gospodarki. Cała nowoczesna chemia oparła się na nafcie; nafta, to etylen, butylen, propylen, toluol, parafina itd. itd. Na nafcie wytwarza się energię elektryczną, benzynę, olej opałowy, smary. Także *spray'e* kosmetyczne, wody kolońskie, środki do prania, pastę do zębów. Również bieliznę, ubrania, obuwie. I opony, przewody gumowe, lakiery, masy plastyczne, taśmy izolacyjne. I środki do ochrony roślinności, gumę do żucia, nawet kit do okien. Lista wyrobów produkowanych na Zachodzie w oparciu o naftę obejmuje pięć tysięcy pozycji! W krajach wysoko uprzemysłowionych wzrost gospodarczy jest ściśle uzależniony od wzrostu zużycia paliw, np. w NRF w latach 1960-1970 dochód narodowy i zużycie paliw (po wyeliminowaniu wzrostu cen wywołanego inflacją) rosły w jednakowym tempie — o 4,8 % średnio w roku. W następnych latach zużycie paliw miało być szybsze o 1,1 % od wzrostu dochodu narodowego. Czyli najmniejsze zmniejszenie dostaw surowców opałowych uruchamia lawinę skutków w całej gospodarce. W USA sytuacja jest jeszcze gorsza — tak, dzisiaj można powiedzieć: jeszcze gorsza — bowiem już obecnie stopa wzrostu energetyki jest dwukrotnie większa od stopy wzrostu reszty gospodarki.

Tymczasem postęp techniczny i gospodarowanie surowcami energetycznymi odbywały się tak, jak gdyby zasoby ropy naftowej były niewyczerpalne i jak gdyby kraje produkujące naftę miały być po wieczne czasy oazami spokoju politycznego. Zawsze sądzono, że kraje posiadające gospodarkę monokulturową będą zależne od krajów-importerów. Ze ślepyim uporem czyniono jednak wszystko, aby coraz bardziej uzależnić rozwój gospodarczy od nafty nie oglądając się na to, ile jej jeszcze zostało we wnętrzu ziemi, ani w czyich jest ona rękach.

Zależność od nafty rosła w dwojaki sposób. Jeszcze w 1960 roku energetyka zachodnioniemiecka pokrywała swe potrzeby w 21 % przy pomocy ropy naftowej i w ponad 75 % dzięki węglowi. Potem nastąpił okres pośpiesznego odchodzenia od węgla, zamykano kopalnie z powodu ich nierentowności. W 1972 roku energetyka tego kraju pracowała już w 55,4 % w oparciu o naftę i zaledwie w niecałkowicie 33 % przy pomocy węgla. Jednakże węgiel stawał się coraz mniej rentowny nie tylko dlatego, że proces wydobywania był trudniejszy, ale także dzięki utrzymywaniu się względnie niskich cen na ropę naftową. Gdyby ceny tego surowca rosły szybciej, były wyższe, być może wyszłoby to na zdrowie

gospodarce zachodniej, i chyba również polityce zachodnioeuropejskiej. Wraz z tym procesem rosło marnotrawstwo w zużyciu paliw. Eksperci amerykańscy obliczyli, że połowa indywidualnego spożycia energii (tzn. bezpośrednio przez ludność) jest marnotrawiona na skutek niedostatecznej izolacji domów mieszkalnych, wadliwie funkcjonujących urządzeń klimatycznych i trwonienia benzyny przez coraz większe samochody. Amerykański krążownik szos zużywa na 100 kilometrów około 25 litrów benzyny — dwukrotnie więcej niż niemniej szybki przeciętny samochód europejski (ale liczba samych tylko wozów osobowych wynosi już ponad dziewięćdziesiąt milionów!).

Prezydent Nixon apelował w listopadzie do zaskoczonych Amerykanów: „Musimy zrezygnować z każdego niekoniecznego zużycia benzyny, krótkie odległości powinniśmy pokonywać pieszo lub na rowerach”.

Przez długie lata w Europie Zachodniej panował błogi spokój, gospodarka rozwijała się w szybkim tempie — ropa naftowa płynęła coraz większym strumieniem. Gdyby nawet miał się kiedyś powtórzyć pięćdziesiąty szósty rok, kiedy na skutek kryzysu sueskiego dostawy ropy naftowej z Bliskiego Wschodu zostały zmniejszone, z pomocą pośpieszą Stany Zjednoczone — tak jak wtedy... Ten błogi spokój przysł dziesiątego stycznia 1970 roku, kiedy na tajnym posiedzeniu OCED w Paryżu przedstawiciel amerykański oświadczył niespodziewanie: Panowie, poczynając od 1975 roku nie będziemy w stanie wam pomóc w sytuacji kryzysowej, nasze własne potrzeby na naftę rosą dużo szybciej od jej podaży. Europa zaniepokoiła się, ale to wszystko... Tymczasem ostrzeżenie amerykańskie sprawdziło się o dwa lata wcześniej, w kryzysowych dniach października 1973. Ameryka nie miała na zbyciu ani jednej tony nafty. I dopiero wtedy Zachód zrozumiał całą grozę arabskiego szantażu!

#### *Europa lekkiego prowadzenia*

17 października, w dwunastym dniu czwartej wojny bliskowschodniej, dziesięć państw arabskich — producentów ropy naftowej — podjęło w Kuwejcie decyzję użycia przeciwko Izraelowi nie tylko czołgów i rakiet ale także i nafty. „Zmusić Zachód do wystąpienia przeciwko Izraelowi! Chwycimy Europę za gardło!”. W myśl tej decyzji wydobycie ropy naftowej miało spaść co miesiąc o pięć procent, a kraje jawnie pomagające Izraelowi miały być obłożone totalnym bojkotem. Na pierwszy ogień poszła Holandia. Początkowo Arabowie tłumaczyli ten wybór tym, że kraj tulipanów jest sprzymierzeńcem Izraela. Holandia nie była ani mniej ani bardziej proizraelska od Niemiec Zachodnich, czy Danii, ale rotterdamkie rafinerie przetwarzały znaczne ilości arabskiej ropy naftowej dla Europy Zachodniej i USA. W myśl rachub arabskich uderzenie wymierzone w Holandię miało być ostrzeżeniem dla całego Zachodu.



Na dobrą sprawę decyzja arabskiej dziesiątki z 17 października nie była pierwszym ostrzeżeniem, inne, wcześniejsze, Europa zignorowała. Jeszcze w lutym 1971 Algieria znacjonalizowała 51 % francuskich przedsiębiorstw naftowych. Akcja Boumediena zachęcała innych. W grudniu 1971 Libia wywłaszczyła przedsiębiorstwa brytyjskie. W czerwcu 1972 Irak upaństawił przedsiębiorstwa pięciu najsilniejszych zachodnich koncernów naftowych. Pewien wyższy urzędnik irackiego ministerstwa nafty skarżył się wówczas:

„Znajdujemy się w diabelskim kręgu — musimy nacjonalizować, ponieważ koncerny zachodnie nie inwestują dostatecznie dużo w rozwój wydobycia ropy naftowej; z kolei koncerny zachodnie nie inwestują obawiając się nacjonalizacji”.

O tym, jak kruche stawały się podstawy na jakich opierał się zachodni import nafty z Bliskiego Wschodu świadczy następujące zdarzenie. Trzeciego maja 1970 buldożer francuskiej firmy, ryjący trasę dla kabla telefonicznego na pustyni w Syrii, uszkodził biegnący tamtędy rurociąg naftowy należący do arabskiej firmy Pipelin. Codziennie przepływało tędy 450.000 barytek ropy naftowej, która z Arabii Saudyjskiej poprzez Jordanię i Syrię, była dostarczana do libańskiego portu Sidon, a stąd wędrowała na Zachód. Kiedy firma francuska przystąpiła do naprawy rurociągu, władze w Damaszku sprzeciwiły się temu:

„Nie może zapewnić robotnikom bezpieczeństwa, ich życie jest zagrożone przez groźbę ataków izraelskich wojsk”.

Rurociąg przez dziewięć miesięcy był unieruchomiony, dzięki czemu Libia zdołała umocnić swoją pozycję wśród krajów eksportujących ropę naftową do Europy, co też później Libia wykorzystywała z całą bezwzględnością. Piętnastego maja 1973 szef Libii, pułkownik Muammar Kadafi zwrócił się z żądaniem do krajów arabskich, by przerwały dostawę ropy naftowej do krajów zachodnich. Niezwłocznie potem Arabowie podnieśli cenę ropy naftowej o 11,9 %, przy czym z datą wsteczną — od pierwszego stycznia 1973. Na Zachodzie określono te decyzje jako „z każdego punktu widzenia brutalne — to naga przemoc”, ale były to tylko słowa, puste słowa.

Zanim Arabowie proklamowali z Kuwejtu swój bojkot, Europa Zachodnia miała prawie cztery lata czasu żeby poczynić jakieś przygotowania, albowiem czarna godzina — niezależnie od tego czy doszłoby do czwartej wojny, czy też zdołano by uzyskać jakieś pokojowe rozstrzygnięcie konfliktu — i tak musiała nadejść. Ostrzeżeniem były poczynania krajów arabskich, o czym była poprzednio mowa; ostrzeżenie stanowiło oświadczenie przedstawicieli amerykańskiego ze stycznia 1970 roku. Owszem, Eurokraci przerazili się, dwie trzecie zapotrzebowania energii krajów EWG opiera się na imporcie. Już wówczas gorączkowo zaczęła działać specjalna komisja EWG, która wydała wiele ważnych zaleceń. Zalecono wprowadzenie jednolitej polityki importu ropy naftowej. Zaproponowano utworzenie specjalnego systemu nie-

ustannej obserwacji sytuacji na rynku naftowym. Opracowano masę wspólnych przedsięwzięć zmierzających do regulowania ruchu transportu ropy naftowej poprzez kraje, granice. Zaplanowano opracowanie nowego systemu zaopatrzenia w koks, węgiel koksujący dla przemysłu stalowego. Komisja uznała za arcywilne szybkie rozwinięcie badań naukowych mających na celu znalezienie innych surowców paliwowych. Komisja domagała się niezwłocznego rozstrzygnięcia sprawy budowy elektrowni atomowych i wspólnych inwestycji w tej dziedzinie. Niestety, niemal cały ten program już w pół roku później rozbił się o egoizm narodowy poszczególnych członków EWG. W maju 1973, a więc gdy Kadafi już jawnie wezwał kraje arabskie by zastosowały bojkot naftowy, na posiedzeniu Rady Ministrów EWG w sprawie energetyki zdołano uchwalić jedynie dwa wnioski: ustalić wspólną linię postępowania na wypadek kryzysu naftowego i drugi — powołać specjalną komisję, coś w rodzaju sztabu kryzysowego. Zobowiązano także kraje EWG do stworzenia rezerwy naftowej na 65 dni, a od 1975 roku na 90 dni. Kiedy kryzys wybuchł, zdołano jedynie powołać wspólną komisję — wspólnego działania ani solidarności nie udało się osiągnąć.

Znana uchwała EWG z 5 listopada 1973 niczego nie załatwiła, nikogo nie zadowoliła. Wywołała złość w Izraelu, rozgorczyła Amerykanów i nie zadowoliła Arabów. Tuż po uchwale w prasie posypały się pytania w rodzaju: Co będzie, jeśli to nie zadowoli Arabów i jutro zażądają od nas nowoczesnej broni i pomocy, żeby je skierować przeciwko Izraelowi? Odpowiedź nadeszła szybciej niż się spodziewano. Równy tydzień po decyzji EWG, w *Spieglu* ukazał wywiad z premierem Libii Abd el-Salam Dżaludem, w którym skwitował on uchwałę EWG następująco:

„To jest tylko gadanie. Amerykanie i Niemcy składają dużo takich oświadczeń. Jeśli w ślad za tym nie pójdą konkretne fakty, nie będziemy takich oświadczeń brali poważnie...”.

Jak w klasycznym szantażu, po wymuszeniu deklaracji o „neutralności”, następnym razem zażądano znacznie więcej. Warunki Dżaluda były twarde, jednoznaczne:

„Jeżeli mamy uwierzyć, że Europejczycy chcą rzeczywiście być neutralni i nie zamierzają stać po stronie Izraela, muszą spełnić dwa warunki: najpierw muszą przerwać całą pomoc dla Izraela... a więc muszą wstrzymać dostawę wszelkich części zamiennych, wszelką pomoc gospodarczą i finansową... Po drugie, Europa Zachodnia musi zawiesić embargo na dostawę broni do państw arabskich i nie odmawiać mi dostarczania broni, przy pomocy której będę mógł walczyć z agresorem”.

Dżalud nie jest politykiem salonowym, mówił do Europejczyków z pozycji siły.

Bliskowschodnia uchwała EWG — pierwszy od dłuższego czasu wspólny dokument polityczny — nie była owocem jedności politycznej, lecz płodem panicznego strachu o utratę arabskiej ropy naftowej. Wszystko, co nastąpiło po piątym listopada, moż-



na nazwać pokazem europejskiego egoizmu narodowego. Nie odważono się na zademonstrowanie solidarności z Holandią, członkiem EWG i NATO, nie wprowadzono w życie żadnych wspólnych przedsięwzięć. Każdy kraj ratował się we własnym zakresie. Jedne zaczęły kolejno wprowadzać ograniczenia w zużyciu paliw, inne — jak Anglia i Francja — miłosiernie przez Arabów potraktowane, nie zastosowały żadnych ograniczeń. A powinny były to uczynić i nie tylko w imię moralnej solidarności, przede wszystkim po to, aby zaoszczędzone paliwa mogły służyć na czarną godzinę całej Wspólnocie, względnie krajom najcięższej trafionym. Na początku mroźnego i śnieżnego grudnia prasa zachodnioeuropejska pisała ku pokrzepieniu serc, że w obliczu braku jedności między rządami pocieszającym zjawiskiem jest solidarność Europejczyków. Rzeczywiście, przejawów solidarności było sporo, ale decyzje polityczne zapadały w kancelariach rządowych.

#### *Każdy ma swojego Boga*

Na tle rozbitej Europy Zachodniej świat arabski u schyłku 1973 roku wydawał się zjednoczony, jak nigdy dotąd. Szczególnie groźnie wyglądała jedność krajów arabskich — posiadaczy ropy naftowej. Bojkot naftowy, jak to początkowo wielu sądziło, miał wesprzeć armie arabskie w czwartej z kolei wojnie z Izraelem. „Europa” — straszili władcy nafty — będzie strasznie cierpieć, jeżeli nie poprze naszej walki z Izraelem”. Propaganda arabska argumentowała tak: Stany Zjednoczone są sojusznikiem Izraela, Europa Zachodnia jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych — chwycimy za gardło Europę Zachodnią, będzie ona zmuszona wyrzucić odpowiednią presję na USA. W takim klimacie, podczas zimy, Zachód będzie musiał zrozumieć, że nie warto umierać za Izrael... Ale czy skutek tego konflikt o naftę zostanie zlikwidowany? Jak się rychło okazało, cała ta argumentacja była zbudowana na syrkim piasku. Ani Izrael nie wywołał konfliktu naftowego, ani Europa Zachodnia nie była w stanie wywrzeć skutecznej presji na Stany Zjednoczone, ani Stany Zjednoczone nie mogą opuścić Izraela z uwagi na cele strategiczne i polityczne, do jakich dążą na Bliskim Wschodzie Rosjanie. Nikt nie uwierzy, że reakcyjny monarcha Arabii Saudyjskiej, Fejsal, bardziej obawia się „obecności” Izraela od obecności Związku Sowieckiego. Prawda jest inna, Arabowie ją znają i dlatego rozpoczęli bojkot naftowy we właściwym, ich zdaniem, momencie — podczas czwartej wojny i tuż przed zimą.

U podłoża kryzysu naftowego leżą przyczyny zarówno polityczne jak i ekonomiczne. Wyjaśnił to jasno sekretarz generalny OPEC (do której należą kraje eksportujące naftę), Algierczyk Abderraman Khene, na specjalnym seminarium naftowym odbytym w połowie listopada w Wiedniu. Według Khene’ego, jeśli nawet uzyskane będzie rozwiązanie konfliktu na Bliskim Wscho-

dzie, zadawałające obydwie strony, to i tak nie wywrze to większego wpływu na arabską politykę hamowania wydobycia ropy naftowej i jednoczesnego podnoszenia jej ceny. Kraje zachodnie skazane są na kryzys naftowy na czas dłuższy. Decyzja o zastosowaniu bojkotu, podjęta w Kuwejcie, ma podłoże polityczne, nie ma jednak większego związku z polityką organizacji OPEC. Polityka tej organizacji — kontynuował Khene — opiera się na założeniu przewidującym, że przy dotychczasowym tempie wydobycia zasoby ropy naftowej zostaną wyczerpane około 2000 roku. Tymczasem Zachód nie znalazł jeszcze niczego, co mogłoby zastąpić ropę naftową i dzięki czemu świat mógłby uniknąć wielkiej katastrofy. W obliczu takiego rozwoju sytuacji zmniejszenie wydobycia ropy naftowej zmierza do szybkiego podniesienia ceny, a jej wzrost będzie musiał być pokryty przez podatników zachodnich. Khene argumentował dalej, że cena ropy naftowej w latach 1960-1973 wzrosła jedynie o 25 %, a po decyzji w Kuwejcie o 100 %, podczas gdy ceny zbóż i wyrobów stalowych podniosły się od 1960 roku o 300 %. Dotychczas OPEC pertraktowała głównie z zachodnimi koncernami naftowymi, teraz zamierza rokować jedynie z zainteresowanymi rządami i prowadzić rozmowy nie tylko na temat ceny ropy naftowej ale również cen żywności, dóbr przemysłowych i kooperacji technicznej. Poglądy Khene’go były przypuszczalnie zgodne ze stanowiskiem Algierii i chyba także wielu innych krajów arabskich, ale pozostawiły wrażenie, że jednak dąży on do utrzymania współpracy między zachodnimi odbiorcami i arabskimi producentami ropy naftowej. Khene zdaje sobie bowiem doskonale sprawę z tego, że zerwanie tej współpracy musi prowadzić do otwarcia bram obszaru arabskiego dla Związku Sowieckiego, a większość państw arabskich bynajmniej nie życzy sobie wzrostu wpływów sowieckich — nie mają w tym żadnego interesu politycznego ani ekonomicznego. Wystąpienie Algierczyka wyjaśniło dużo, przede wszystkim to, jakim cudem udało się zapewnić jedność działania arabskich producentów nafty. Jeszcze nie tak dawno szef Libii Kadafi publicznie obrzucał obelgami króla Arabii Saudyjskiej.

Za bojkotem naftowym w pierwszej dekadzie października były wszystkie kraje arabskie, chociaż każde miało w tym własne cele, o czym za chwilę. Zmowę bojkotu przerwał rychło radykalizujący Irak, gdyż potrzebne mu są zachodnie waluty na opłacenie sowieckiej broni. Irak nie pogodził się z rozejmem zawartym w czwartej wojnie, ale choć nie graniczy z Izraelem, posiada za to niemałe kłopoty z Kurdami, przeciwko którym potrzebuje niemało sowieckiej broni. Egipcjowi bojkot początkowo podobał się, chociaż nie bez zastrzeżeń. Egipt otrzymuje od Arabii Saudyjskiej i z Kuwejtu znaczną pomoc finansową tytułem rekompensaty za zamknięty Kanał Sueski. Przedłużanie bojkotu, musiałyby także pociągnąć wstrzymanie lub zmniejszenie pomocy tych krajów, co z kolei zwiększyłoby egipskie trudności płatnicze w stosunkach ze Związkiem Sowieckim, m.in. też za dostawy broni. Wzrosłaby także zależność Egiptu od Moskwy — tego



zaś prezydent Sadat nigdy sobie nie życzył. Ponadto bojkot naftowy, w którym rola Egiptu jest żadna, wysuwa na czoło świata arabskiego innych przywódców, np. Kadafiego, a tego Sadat również nie pragnie. Najmniej do stracenia i najwięcej do zyskania w wyniku bojkotu naftowego sprężonego z niustającą wojną przeciwko Izraelowi, miała Syria. Tak przynajmniej sądzono w Damaszku, gdzie w dniach wojny mówiło się o odległych czasach, kiedy Syria była jeszcze wielkim państwem obejmującym dzisiejszy Liban, Izrael, znaczną część Jordanii. Każdy Syryjczyk marzy o odbudowie Wielkiej Syrii, a wojna październikowa wydawała się mocną szansą, by Damaszek mógł — jak przed wiekami — stać się sercem świata arabskiego.

Najbardziej ekstremistyczny i, można powiedzieć, kompleksowy program prezentuje szef Libii, Kadafi, inicjator bojkotu naftowego. Kadafi jest przywódcą popularnym w świecie arabskim, ale mało jeszcze znanym na Zachodzie.

Na uczelniach zachodniemieckich kolportowana jest ulotka w języku niemieckim, wydana za libijskie pieniądze. Ulotka prezentuje główne poglądy, zawarte w książce pt. „Kadafiego Trzeci Świat”, napisanej (zdaje się) przez samego szefa Libii. Interesujący to dokument. Na okładce tytaniczny Kadafi trzyma w prawej ręce Koran, lewą po ojcowsku obejmuje dziewoję-Europę, dzierżącą w ręku Pismo Święte. Z jednego boku ktoś — podobny do Stalina — reprezentuje Związek Sowiecki, z drugiego postać kobiety-Ameryki. Na drugim planie promienni, wiwatujący muzułmanie i trochę mniej liczni wyznawcy innych religii. Ponad nimi kwiaty, kłosa, jeszcze wyżej włochaty i brodaty Bóg podobny do Marksa. Na ostatniej stronie ulotki znajduje się wykaz przedstawicielstw (nie wiadomo czyich) na całym Zachodzie, do których każdy może się zwrócić. Oto kilka cytatów z ulotki:

„Dwa czołowe mocarstwa świata, Ameryka i Rosja, sprzeczą się o to, jak ma być to dziecko (Trzeci Świat) wychowane, ale ono nie jest już tym małym grzecznym dzieckiem. Głos, siła i przywództwo tego stopniowo powstającego Trzeciego Mocarstwa będą się coraz więcej i więcej ucieleśniały w młodym, dramatycznie religijnym fanatyku, Muammar Kadafim — przywódcy Libii i świata arabskiego, może także przyszłym reprezentancie i symbolu Trzeciego Świata. Kadafi zademonstruje najbardziej skuteczny opór przeciwko obydwu supermocarstwom...”

„Świat czeka na swojego Superczłowieka, zbawcę, który zjednoczy systemy polityczne i religijne świata, rozwiąże jego problemy ekonomiczne i społeczne, zlikwiduje wojny. W Biblii jest powiedziane, że zjawi się On w ostatnich dniach panowania ludzkiego i uratuje Świat od totalnej zagłady...”

„Powstaje nowa Europa, rosnąca w siłę... Europa staje coraz mocniej pomiędzy obydwu supermocarstwami. Coraz większe są jej sympatie do spraw i celów Trzeciego Świata. Wszystko wskazuje na to, że Muammar Kadafi posiada wszystko, czego potrzebuje Europa...”

„Kadafi obiecuje być nie tylko przywódcą świata arabskiego, lecz także całej Afryki i przypuszczalnie dużej części Azji Południowej...”

Dalej ulotka cytuje samego Kadafiego:

„W rzeczywistości prawdziwy chrześcijanin i prawdziwy Żyd nie są niczym innym od prawdziwego muzułmanina, albowiem Islam stanowi przyjęcie Woli Bożej i chociaż Mahomet był Arabem, był jednak posłańcem boskim do wszystkich narodów... Nasza Trzecia Teoria jest przeznaczona nie tylko dla Libijczyków i Arabów, także dla całego Świata — to nowa droga dla tych, którzy odrzucają kapitalistyczny materializm i komunistyczny ateizm...”

Ulotka utrzymana w kwiecistym stylu nie pozostawia wątpliwości co do celów, jakie przyświecają autorom. Dla Kadafiego walka przeciwko Izraelowi jest fragmentem szeroko zakrojonej batalii o przywództwo w świecie arabskim, a jeśli się uda — również w Afryce. Kadafi pragnie przyciągnąć Europę, ponieważ chce wykorzystać jej potęgę gospodarczą, wiedzę naukową i techniczną. Innymi słowy, przywódca dwumilionowego narodu pragnie zjednoczyć setki milionów Arabów, Afrykańczyków i w sojuszu z Europą rzucić wyzwanie Ameryce i Rosji! Demagog? Maniak? Wariat? Święty? Jedno można z całą pewnością powiedzieć — niezmiernie bogaty, mimo ascetycznego trybu życia. I z bogactwa tego, w przeciwieństwie do innych państw arabskich posiadających jeszcze więcej pieniędzy, robi określony użytek.

Najpierw Kadafi zaczął finansować organizacje palestyńskie i wyznawców Islamu na całym świecie — od mniejszości narodowej na Filipinach począwszy, poprzez powstańców w hiszpańskiej Saharze, a na Czarnych Muzułmanach w USA skończywszy. Kadafi przekazuje pieniądze irlandzkiej organizacji IRA, udzielił pomocy finansowej premierowi... Malty, Mintoff'owi (szpilka w NATO i w Anglię). Za sprawą libijskich pieniędzy Izrael zaczął tracić grunt pod nogami w Afryce. Za czterdzieści milionów dolarów Libia nakłoniła w połowie 1972 roku ekscentrycznego szefa Ugandy, Idi Amina, do zrezygnowania z pomocy izraelskiej i zerwania stosunków dyplomatycznych z Izraelem. Za samą tylko obietnicę uzyskania kredytu libijskiego w wysokości dziewięćdziesięciu milionów dolarów prezydent Czadu, Tombalbaye, uczynił to samo. Zwabione pieniędzmi libijskimi, śladami Ugandy i Czadu poszły: Kongo, Sierra Leone, Ghana. Dla Japonii ewentualny kredyt libijski nie miał większego znaczenia — Japończyków złamano w inny sposób: zagrożono totalnym bojkotem naftowym. Japonia ugięła się i podążyła śladami Czarnej Afryki: jeszcze nie zerwała stosunków dyplomatycznych z Izraelem, ale opowiedziała się już po stronie arabskiej, następnym krokiem uczyni przypuszczalnie w niedługim czasie...

W tym świetle bojkot naftowy, którego siłą napędową była i jest Libia, nabiera zgoła innych wymiarów. W tych warunkach bezsensowne staje się pytanie, czy warto Zachodowi umierać za Izrael, nasuwa się natomiast całkiem inne — czy warto ginać z powodu Libii? Bowiem kryzys naftowy tak czy inaczej



będzie musiał znaleźć jakieś rozwiązanie, w interesie Zachodu i również krajów produkujących naftę...

### Recepta na wyzwanie arabskie

Szantaż naftowy przysporzył Arabom cenny sukces w postaci dalszej izolacji politycznej Izraela, ale przyczynił się także do wzrostu nastrojów antyarabskich wśród milionów obywateli Zachodu. Bojkot, który pomyślany był jako uderzenie wymierzone w kraje „wrogie sprawie arabskiej”, niczym bicz w rękach ślepeca, zaczął bić na oślep — również w tych, których bić nie zamierzano. Na początku grudnia w *Spieglu* ukazał się wywiad z ministrem Arabii Saudyjskiej, szejkiem Ahmed Saki el-Jamani. Oto urywek z rozmowy redakcyjnej:

**SPIEGEL:** Na skutek bojkotu naftowego cierpią jednak ludzie, którzy w żadnym wypadku nie są waszymi wrogami. Być może robotnicy utracą miejsca pracy, dzieci i starcy będą może marznąć.

**JAMANI:** Tak, jest mi bardzo przykro z tego powodu, co wydarzyło się obecnie w Europie. Ale winę za to ponoszą Izraelczycy, którzy zajęli arabskie ziemie.

**SPIEGEL:** Ale dlaczego zorganizowaliście bojkot przeciwko Europie?

**JAMANI:** Myśmy nie robili bojkotu przeciwko Europie, tylko przeciw Stanom Zjednoczonym i Holandii.

**SPIEGEL:** Jak to jednak jest z innymi krajami, jak np. Niemcy, które cierpią z powodu braku ropy naftowej?

Na to pytanie Jamani odpowiedział mętnie, czemu nie można się zresztą dziwić. Uderzono Holandię nie po to, by ją właśnie ukarać, lecz aby zastraszyć Europę. Prócz tego, gdy w jednych krajach europejskich cena ropy naftowej poszła w górę, a w innych (np. we Francji i Anglii) została zamrożona, koncerny zachodnie zaczęły kierować ropę naftową na te rynki, gdzie płacono wyższe ceny. W efekcie np. Anglia, której Arabowie nie obłożyli bojkotem naftowym, coraz silniej odczuwa jego skutki. Jest rzeczą raczej pewną, że już niedługo odczuje to również Francja. Jak wyjaśnia dalej minister Jamani, w celu udoskonalenia bojkotu Arabowie podzielili świat na trzy kategorie: do jednej należeć będą kraje „przyjazne”, do drugiej kraje „neutralne” a do trzeciej kraje „wrogie”. I stosownie do tej klasyfikacji realizowana ma być polityka bojkotu naftowego. Ale o ile poszufladkować świat na kategorie jest stosunkowo łatwo, to dopilnować by nafta płynęła tam, gdzie wskażą Arabowie będzie raczej niemożliwe. Zbyt mocne są więzi gospodarcze świata zachodniego, zbyt silne jest działanie... prawa popyty i podaż. Technicznie zapewne łatwiej byłoby wstrzymać dostawę

ropy naftowej do całej Europy, niż do niektórych tylko państw. Przerwanie jednak dostaw do całej Europy, czyli skazanie jej na zamarznięcie, musiałyby być potraktowane jako akt wrogi z każdego punktu widzenia, a co ważniejsze — Arabowie zyskaliby sobie miliony nowych wrogów i tam, gdzie wcale by sobie tego nie życzyli. Prócz tego musiałyby to prowadzić do silnego zwarcia frontu krajów europejskich i do ściślejszego współdziałania Europy z Ameryką. Jedność Zachodu uzyskana na bazie antyarabskiego przymierza nie może leżeć w dobrze pojętym interesie producentów nafty.

Arabowie pojęli to dopiero po kilku tygodniach bojkotu — przywódcy EWG winni byli to zrozumieć już w pierwszym dniu szantażu naftowego. Najsilniejszą bowiem stroną bojkotu arabskiego jest słabość polityczna Europy i Zachodu, jako całości. Im silniejsza byłaby solidarność Zachodu, tym słabszy byłoby przesłanki, na jakich oparto szantaż. Powiedział to niejako pośrednio nie kto inny jak nieoficjalny rzecznik prezydenta Sadata, redaktor kairskiego *Al Ahrām*, Haikal, w artykule ogłoszonym tuż po arabskim zwycięstwie w Algierii. Heikal wezwał kraje arabskie do zaprzestania bojkotu Europy Zachodniej.

Zamiast bojkotu naftowego — mówi Sadat poprzez Heikala — należy zacieśnić współpracę gospodarczą z EWG, starajmy się za arabską ropę uzyskiwać zachodnioeuropejską broń. O tym, że Arabowie już pragną zmniejszyć zakres bojkotu wobec EWG, świadczy podróż po stolicach Europy Zachodniej dwóch ministrów: wspomnianego poprzednio Jamaniego oraz Algierczyka, Belaid Abdessalam'a. W końcu grudnia konferowali oni z komisją EWG w Brukseli.

Nie wiadomo, czy, i ewentualnie co, obiecano obydwu ministrom w Brukseli oraz w innych stolicach europejskich, ale wiadomo, co się w międzyczasie zdarzyło. 22 listopada Kissinger ostrzegł państwa arabskie na konferencji prasowej, że Ameryka nie zmieni swojej bliskowschodniej polityki pod wpływem groźby wstrzymania dostaw ropy naftowej i jest gotowa zastosować środki odwetowe, jeżeli „ta presja będzie nierozsądnie przez dłuższy czas kontynuowana”. Choć Kissinger nie powiedział, jakie to będą środki odwetowe, to jednak przedstawiciel Arabii Saudyjskiej pośpiesznie zapewnił prasę, że w przypadku zbrojnej interwencji amerykańskiej Arabowie wysadzą szyby naftowe... Na jedno i na drugie raczej się nie zanośi, Kissinger przypuszczalnie nie brał w rachubę akcji militarnej. W takim jednak wypadku inne skuteczne środki odwetowe mogą dotyczyć wyłącznie dziedzin gospodarczych.

Od pierwszego dnia bojkotu naftowego publicyści europejscy łamali sobie głowy nad tym, czy nie dałoby się zastosować bojkotu gospodarczego wobec państw arabskich: przerwać eksport żywności, wyrobów przemysłowych, wstrzymać import towarów arabskich, zaprzestać udzielanie tzw. pomocy rozwojowej. Zorganizowanie takiego bojkotu przez same tylko kraje EWG mija-



łoby się z celem i rozsądkiem, o czym łatwo się przekonać na podstawie zamieszczonej niżej tabelki.

HANDEL MIĘDZY KRAJAMI EWG I KRAJAMI ARABSKIMI  
(w milionach dolarów)

|                | Eksport EWG do Arabów |                         | Import EWG z krajów arabskich |                    |
|----------------|-----------------------|-------------------------|-------------------------------|--------------------|
|                | Ogółem                | W tym maszyny i pojazdy | Ogółem                        | W tym ropa naftowa |
| Egipt .....    | 235,8                 | 62,5                    | 113,2                         | 26,6               |
| Syria .....    | 129,4                 | 43,5                    | 78,4                          | 43,3               |
| Irak .....     | 157,0                 | 84,2                    | 617,1                         | 612,2              |
| Arabia S. .... | 219,4                 | 104,0                   | 2219,8                        | 2214,6             |
| Kuwejt .....   | 132,0                 | 50,9                    | 1185,7                        | 1182,9             |
| Libia .....    | 553,2                 | 260,6                   | 1399,5                        | 1396,3             |
| Algieria ..... | 879,4                 | 397,6                   | 733,1                         | 659,3              |

Tak więc EWG nie może ukarać Arabów rezygnacją z importu, ponieważ w lwiej mierze składa się on z ropy naftowej. EWG mogłaby ewentualnie wstrzymać swój eksport do państw arabskich, jednakże z uwagi na jego stosunkowo niewielką wartość powstałe braki zostałyby względnie łatwo zrekompensowane przez kraje Europy Wschodniej i Afrykańskie. Nie wiadomo również czy i Japonia nie wypełniłaby tej luki... Taki bojkot stawia EWG na z góry straconych pozycjach. A jednak Europa Zachodnia nie była i nie jest bezbronna wobec szantażu arabskiego, a ostrzeżenie Kissingera nie było rzucone na wiatr. I tutaj warto wspomnieć o drugim wydarzeniu, jakie miało miejsce w końcu listopada.

Zupełnie niespodziewanie we francuskim zamku Artigny koło Tours doszło do spotkania ministrów finansów USA, Anglii, Francji, NRF i Japonii. Cel spotkania i przebieg obrad utrzymano w absolutnej tajemnicy, co jeszcze bardziej wzmogło spekulacje wokół przedmiotu rozmów. Z mglistych wynurzeń niektórych ministrów wynikało, iż omawiali sprawy związane z reformą światowego systemu walutowego. Jest faktem, że od czasu konferencji tzw. dwudziestki w Nairobi w ubiegłym roku, gdzie przedłożono projekt reformy wspomnianego systemu, nie ruszono z miejsca. Pięć najbogatszych na świecie państw miało więc słuszne powody do niepokoju o losy reformy systemu walutowego i w takiej sytuacji spotkanie pięciu ministrów finansów nie powinno raczej dziwić. Tak, ale doszło do tego dokładnie w tym samym dniu, kiedy w Algierii obradował szczyt arabski, co raczej nie było przypadkiem. Dalej. Z chwilą kiedy Arabowie użyli nafty jako broni przeciwko Zachodowi, stało się również oczywiste, iż nie zawahają się zrobić użytku z olbrzymich wprost rezerw walutowych posiadanych w bankach zachodnich. Niewątpliwie przypominano sobie, że w lutym 1973 roku na konta frankfurckiego Banku Niemiec wpłynęło sześć miliardów dolarów, co doprowadziło do niemałych zaburzeń na europejskich

rynkach walutowych, przy czym co najmniej jedna czwarta z owych sześciu miliardów pochodziła z krajów arabskich. Ameryka posiada jeden Fort Knox, Arabowie dwa: jeden — podziemny napełniony ropą naftową i drugi — naziemny — pełen rezerw walutowych.

„Z tym kapitałem — pisał brytyjski *Financial Times* — ci faceci mogą każdą walutę i każdy rząd poddać takiej presji, że stracimy słuch i wzrok”.

Były wiceprezydent USA Hubert Humphrey ostrzegł niedawno Amerykę:

„Szejkowie arabscy będą kontrolowali dolara!”

Prasa światowa pisała w tonie alarmistycznym:

„Do 1980 roku kraje OPEC zainkasują ćwierć biliona dolarów, to znaczy 250.000 milionów — z takim kapitałem będą one w stanie wykupić pięćset największych koncernów przemysłowych USA!”

Już obecnie rezerwy walutowe krajów arabskich są równe, a według innych szacunków nawet wyższe od rezerw USA, które wynoszą obecnie 13 miliardów dolarów. Innymi słowy. Arabowie nie powiedzieli ostatniego słowa, nie sięgnęli jeszcze po niemierną straszną broń od bojkotu naftowego — do swoich rezerw walutowych. Gdyby nagle rzucili je na kilka rynków, mogą doprowadzić je do kompletnej dezorganizacji!

I o tym właśnie musiano myśleć w gabinetach rządów zachodnich, gdy Arabowie uruchomili bojkot naftowy. I tej sprawie musiano poświęcić niemało uwagi podczas tajemniczego spotkania pięciu ministrów finansów. Nie byłbym zdziwiony, gdyby tematem obrad w zamku francuskim był plan obrony zachodnich rynków walutowych na wypadek inwazji arabskich rezerw walutowych. Bowiem wbrew pozorom, tu właśnie, w rezerwach złożonych w bankach zachodnich, znajduje się najczulszy punkt strony arabskiej. Arabowie doskonale o tym wiedzą i co ważniejsze, nie są w stanie swoich olbrzymich kapitałów wycofać z banków zachodnich, no bo gdzie, dokąd? Nie trudno ulokować w jakimkolwiek banku tysiąc dolarów, milion — miliardy — można trzymać jedynie w takich bankach, które są w stanie obracać miliardami, aby ich właściciele mogli otrzymać ciężkie odsetki. Takich banków nie posiada Europa Wschodnia, ani świat arabski.

W tej sytuacji spotkanie w zamku Artigny nabiera specjalnej wymowy i wzmacnia przekonanie, że ostrzeżenie Kissingera należy potraktować jak najpoważniej. Jeśli szantaż naftowy nie ustanie, a już na pewno w przypadku bojkotu totalnego, Zachód może uciec się do obydwu środków łącznie: do odwetowego bojkotu gospodarczego i do zablokowania arabskich kont bankowych. Oczywiście, pod warunkiem, że przywrócona zostanie jedność działania całego Zachodu. I wtedy na samej nafcie, bez pieniędzy i pozbawieni pomocy Zachodu — Arabowie daleko nie zajadą. Najwyżej na Wschód, dokąd im wcale nie spieszą.



*Moskiewskie sny i przebudzenia*

Niespodziewanie sprawa jedności Zachodu urosła obecnie do najwyższej rangi. Niespodziewanie, bowiem powstający od trzech lat klimat odprężenia i współpracy, obok pozytywnych efektów, miał i negatywne skutki. Jeszcze zgoła niedawno mówiło się o sowieckich próbach neutralizacji („finlandyzacji”) Niemiec Zachodnich, zmierzających w dalszej perspektywie do usunięcia Ameryki z Europy. Jeszcze nie tak dawno wskazywano na godny uwagi fakt, że w tym samym czasie towarzyszy temu rosnąca sowiecka presja militarna na Europę Zachodnią. Nagle Europa Zachodnia znalazła się w potężnych obcęgach: z jednej strony presja państw arabskich, z drugiej — armii Paktu Warszawskiego. Konflikt Bliskowschodni oraz bojkot naftowy stały się dla Zachodu niezwykle pouczającą lekcją. Podczas wojny październikowej Związek Sowiecki — jak stwierdził Sekretarz Generalny NATO, Luns — nie dotrzymał „ducha ani litery” porozumienia podpisanego kilka miesięcy wcześniej przez Breżniewa i Nixona. Moskwa nie poinformowała Waszyngtonu o zamierzonym ataku strony arabskiej na Izrael; Kreml nie tylko nie podjął żadnych środków w celu ograniczenia rozmiarów konfliktu — przeciwnie, uczynił wszystko by jak najwięcej krajów arabskich weszło do wojny. Był to zimny prysznic na głowy wielu polityków zachodnich, co niewątpliwie skłoni ich do przemyślenia całej koncepcji odprężenia i warunków, na jakich winna się odbywać współpraca Wschód-Zachód.

Zyski polityczne Arabów uzyskane w pierwszej fazie bojkotu, wydawały się Moskwie również jej zyskami. W pierwszych tygodniach Kreml poparł bez zastrzeżeń bojkot naftowy. Na krótko przed ostrzeżeniem, wystosowanym przez Kissingera do krajów arabskich, sowiecki tygodnik *Nowoje Wremia* pisał nie bez satysfakcji, że Zachód nie docenił konsekwencji bojkotu; tygodnik chwalił Arabów za uzyskane „efekty polityczno-psychologiczne”. Ale już kilkanaście dni później z komentarzy sowieckich znikły tezy o słuszności zastosowanych przez Arabów metod walki przy pomocy ropy naftowej, wyeliminowane zostały także nutki satysfakcji ze skutków kryzysu naftowego. Przyczyny tej szybkiej zmiany w stanowisku sowieckim były różne. Początkowo Kreml liczył, że na skutek bojkotu arabskiego zdoła zapewnić powstaniu na Zachodzie niedobór własnymi dostawami ropy i jednocześnie zapewni sobie przyjazne traktowanie przez Arabów. Kreml był także przekonany, że powstały na rynkach światowych brak ropy naftowej nie będzie miał żadnego wpływu na sytuację w Europie Wschodniej. Jak się rychło wyjaśniło, obydwie tezy były błędne. Arabowie przystępując do bojkotu naftowego ani myśleli o sprzedaży powstałych nadwyżek Związkowi Sowieckiemu — mimo bojkotu wolą swoją ropę sprzedawać za twarde dewizy zachodnie i za zachodnie towary przemysłowe. Dalej okazało się, że Moskwa natrafia na rosnące trudności w wykona-

niu zaplanowanych dostaw ropy naftowej, m.in. do Europy Wschodniej i dlatego wezwała te kraje do wprowadzenia liczyńnych ograniczeń w zużyciu paliw.

Najważniejszy wniosek przyszedł do głowy politykom moskiewskim nieco późno. Przez kilka lat Związek Sowiecki i Europa Wschodnia czyniły wielkie zabiegi o pomoc ekonomiczną i technologiczną Zachodu, z czym wiązano silne nadzieje na rekonstrukcję gospodarki, na szybszą poprawę stopy życiowej ludności. Jeśli wybuchnie na Zachodzie kryzys energetyczny, to skutki nie ominą także Związku Sowieckiego i innych krajów satelickich. Przykład pierwszy z brzegu: budżet NRF czerpie znaczną część dochodów z opodatkowania benzyny; gdy załamię się zużycie benzyny, powstanie luka w budżecie państwowym — NRF zabraknie środków na udzielanie Polsce kredytu... Jeżeli Zachód będzie zmuszony do zmniejszenia swej produkcji, zmaleją także dostawy maszyn, urządzeń i towarów konsumpcyjnych na Wschód... Gdy natomiast załamię się współpraca gospodarcza między Zachodem i Wschodem, pęknie również koncepcja polityki odprężenia, ze wszystkimi wynikającymi stąd skutkami! Byłoby to równoznaczne z osobistą katastrofą Breżniewa!

Kalkulacje te prowadzą do optymistycznego wniosku, że Kreml z tych wszystkich względów wycofa swoje poparcie dla bojkotu arabskiego, co samo przez się osłabi jego ostrze i umożliwi Zachodowi zebrać siły do odparcia szantażu arabskiego. Obecny kryzys naftowy i konflikt bliskowschodni stały się dla Zachodu ważnym sprawdzianem intencji polityki sowieckiej. Należy wątpić, by Moskwa zechciała postawić na jedną kartę swoje stosunki polityczne i gospodarcze z Zachodem, za cenę nietrwałej przyjaźni niestabilnych rządów arabskich. Moskwa dążyć będzie niewątpliwie do rozszerzania swoich wpływów w świecie arabskim, ale stopniowo — nie za cenę zerwania z Zachodem i nie ryzykując wybuchu trzeciej wojny światowej.



Nikt obecnie nie potrafi powiedzieć, jak rozwinie się sytuacja na froncie arabsko-izraelskim i w dziedzinie bojkotu naftowego. Artykuł niniejszy był pisany na początku grudnia. Jeszcze w tym miesiącu rozpocznie się konferencja pokojowa w Genewie, zbierze się szczyt krajów EWG, odbędzie się narada NATO, Kissinger odwiedzi Izrael i kilka krajów arabskich... Każde z tych spotkań może przybliżyć pokój na Bliskim Wschodzie i przeciąć bojkot naftowy. I może być inaczej — gorzej, straszniej. Świat stoi w obliczu trudnego egzaminu.

Antoni GUTOWSKI



## Sąsiedzi

### Moskwa - dzisiaj

Na początek kilka uwag o sprawach bytowych stolicy kraju Rad. Jest to ważne, bo właśnie one stanowią odbicie sytuacji politycznej i gospodarczej tego wielkiego państwa.

Moskwa jest miastem trudnym. Szczególnie dla człowieka przyjeżdżającego z Zachodu, nie obeznanego z tutejszym życiem, nie umiejącego poruszać się wśród tysięcy i tysięcy prozaicznych przeszkód dnia powszedniego. Co prawda przybyszowi z Zachodu, posiadaczowi tzw. twardej waluty, usunięto z głowy wiele kłopotów — bo jednak za dolary czy funty można otrzymać więcej niż za ruble — ale mimo to czuje się on tu zagubiony, bezustannie zdziwiony a często ciężko przerażony.

Wszystkie instytucje usługowe pracują źle. Za mało jest i lokali gastronomicznych, i sklepów, i hoteli, i taksówek. Wszędzie widać ogonki, nawet przed restauracjami.

A może ludzi jest tu za dużo? Przez Moskwę przewalają się ciągle milionowe tłumy. W mieście jest 8 milionów mieszkańców, ale każdego dnia przyjeżdżają jeszcze 2 miliony ze wsi i innych miast. W godzinach szczytu można być łatwo stratowanym. Tłum jest bezwzględny, miażdży wszystko co na drodze. Można się o tym przekonać zarówno przy wchodzeniu do autobusu, jak przy opuszczaniu stadionów sportowych, dworców, czy przy wejściu do sklepów, do których właśnie przywieziono jakieś atrakcyjne towary.

Specjaliści twierdzą, że Moskwie potrzeba co najmniej trzy razy więcej niż posiada sklepów, restauracji, kin, zakładów usługowych i taksówek.

Naturalnie klasa uprzywilejowana nie natrafia na podobne

trudności. A liczy ona wiele tysięcy: funkcjonariusze partyjni, wyżsi urzędnicy administracji, służba bezpieczeństwa, wojskowi. Ci wszyscy kupują w sklepach specjalnych, bez porównania lepiej zaopatrzonych i rzadko przepelnionych. Polskie „żółte firanki” są niczym przy tych sklepach.

Przybysza z Zachodu uderza przede wszystkim powszechna nieżyczliwość, nawet brutalność ludzi w miejscach publicznych. Sprzedawcy czy kelnerzy robią łaskę klientom, że raczą ich obsługiwać. Rekordy chamstwa biją milicjanci. Dobiera się ich chyba według specjalnego klucza: czym bardziej ponura twarz, gorsze manieri i bezwzględniejszy stosunek do otoczenia, tym lepszy przedstawiciel sowieckiej władzy. Co kraj, to obyczaj: w Wielkiej Brytanii policjantów dobiera się według wzrostu! Dla ilustracji: widziałem na własne oczy jak na Czerwonym Placu grupka uroczych angielskich dziewcząt zapytała milicjanta czy wolno im przejść w stronę mauzoleum Lenina. Jedna z dziewcząt mówiła trochę po rosyjsku i z trudem, a przy podziwie reszty grupy, usiłowała porozumieć się z przedstawicielem władzy. „Nie!” warknął człowiek w mundurze, a ponieważ dziewczyny nie rozumiały i nie odchodziły, dorzucił: „No co, po rusku nie rozumiecie?” i poparł słowa dosadnym gestem.

Kilka razy potraktowano mnie w podobny sposób. Po paru dniach przywykłam, sądząc, że widocznie nie może tu być inaczej. Młodzi są z reguły grzeczniejsi niż starsi. Na ulicy jest lepiej niż w lokalu zamkniętym, zwłaszcza w urzędzie. Zagadnięcie kogoś w obcym języku wywołuje z reguły konsternację lub wzruszenie ramion. Podobno w Moskwie istnieje wiele instytucji uczących obcych języków, ale w praktyce ich znajomość jest znikoma.

Załatwienie najprostszej sprawy wymaga kłopotliwych zabiegów biurokratycznych. Wszędzie wypisuje się i wypełnia papierki, kwitki, przepustki. W restauracjach istnieją przerwy... obiadowe. Kiedyś przeszło godzinę siedziałam — w oczekiwaniu na kelnera — w restauracji hotelu dla zagranicznych gości. Z tego co ja i inni mogliśmy dojrzeć przez oszklone drzwi, personel miał właśnie zebranie...

Znajomość z kelnerką, sprzedawczynią czy z urzędnikiem ułatwia życie. Jeszcze lepiej można poruszać się przy pomocy łapówek, ale nie każdy jest do tego przyzwyczajony. Za łapówkę można dostać sweterek z NRD, bilet do teatru, czy nawet wynająć charterowy samolot, z czego nieraz korzystali pomysłowi kupcy kaukascy. Z obserwacji moich rozmówców sądząc, korpucja osiągnęła rozmiary wprost niebywałe.

W Moskwie istnieje także czarny rynek i to bardzo specjalistyczny. Mnie osobiście interesowały książki, te „zakazane”, na



które ceny są bardzo wysokie. Na przykład za Sołżenicyna, naturalnie po rosyjsku, płaci się 80 rubli (średnia miesięczna pensja urzędnika wynosi 100 rubli). Bardzo poszukiwana jest literatura religijna od przedrewolucyjnych wydań Ojców Kościoła do prac Berdiajewa i Bułgakowa. Na tym rynku można znaleźć również książki o treści politycznej, ale te ukryte są głęboko i dotrzeć do nich można tylko za pośrednictwem wtajemniczonych. *Best-seller'em* są książki Orwella (w tłumaczeniu rosyjskim) i historia KPZS Awtarchanowa pt. „Technologia władzy”. Jeszcze bardziej niż literatura polityczna ukrywana jest literatura „pornograficzna”. Pojęcie pornografii jest tutaj zresztą bardzo rozciągliwe. Opowiadano mi, że jeżeli w czasie rewizji wypadnie w ręce milicji reprodukcja *Wenus* to już ma się duże kłopoty, ale np. za „Oktiabrianę” (pornograficzny *comics* rosyjski) murowane 5 lat. Trzeba przyznać, że pornografia „korzysta” z tych samych praw co literatura polityczna.

Moskwa przepełniona jest ciężarówkami, które przywożą materiały budowlane lub dostarczają towary do sklepów — oczywiście przeważnie wtedy, kiedy w sklepach jest największy ruch. Taksówek jest podobno w Moskwie 16 tysięcy, ale kierowcy jeżdżą tam gdzie chcą: sami określają trasę, która albo odpowiada pasażerowi albo nie. Od czasu do czasu widać na ulicach czarną limuzynę, przeważnie z firaneczkami w oknach: od razu wiadomo, że siedzi w niej jakiś dygnitarz. Nigdzie na świecie nie widziałem takiego zdżyczenia na jezdni jak w tym mieście: samochody dosłownie najezdzają na ludzi, pchają się nawet na tłum przechodzący w miejscach oznaczonych.

Dzięki moim dalekim moskiewskim krewnym i ich znajomym zetknęłam się prywatnie z wieloma ludźmi. Łatwo było mi zorientować się jak bardzo wszyscy są zmęczeni tą prozą dnia codziennego. „To już przecież przeszło 50 lat” — zauważyłam — „można było się przyzwyczać”. „Do tego nie można się przyzwyczać” — odpowiadali — „można tylko w tym wegetować. Zresztą w innych miastach, na prowincji, jest jeszcze gorzej, więc nie trzeba narzekać na los...”.

To ogólne zmęczenie, zniechęcenie, wprost apatia — wzrastają. Mówili mi, że był za Chruszczowa krótki okres czasu, kiedy ludzie odetchnęli. Zaświtała im nadzieja, że będzie lepiej. Ale dziś wszystko to minęło bezpowrotnie. Chruszczowa wspominają z czułością. Jego grób na moskiewskim cmentarzu jest zawsze pełen świeżych kwiatów. Na grobie ma podobno stanąć pomnik dłuta Niezwiastnego. W okresie swoich rządów Chruszczow odwiedził wystawę abstrakcjonistów i zwymyślał od ostatnich artystów z Niezwiastnym włącznie, nazywając ich degeneratami

i pederastami. Ale po usunięciu go od władzy Chruszczow, wzorem Churchilla, poświęcił się malarstwu i to malarstwu abstrakcyjnemu. Jego nauczycielem czy doradcą był między innymi Niezwiastny.



Pomijając wszystkie codzienne kłopoty, związane z walką o byt, ważna jest przede wszystkim atmosfera w jakiej się żyje, bo w końcu wszystko jest względne i niektóre sprawy codzienne uległy w ostatnich latach poprawie. Nie ma jednak najmniejszej zmiany jeśli idzie o powiększenie swobód obywatelskich. Opinia publiczna ma nadal zamknięte usta, w dziennikach i periodykach — drętwa mowa. Jak ktoś mi powiedział: — tematyka większości artykułów jest czystą abstrakcją. Na wyższych i niższych stanowiskach siedzą dalej oportuniści i tchórze, których los człowieka nic a nic nie obchodzi.

Antysemityzm. Na ten temat dużo mówili mi moi przyjaciele. Żydzi i pół-Żydzi — nawet świetni fachowcy czy poszukiwani specjaliści — mają ogromne trudności ze znalezieniem pracy, a często są jej pod byle pretekstem pozbawiani. Słyszałam o dwóch wypadkach kiedy dzieci dość wysokich dygnitarzy, Żydów z pochodzenia, nie mogły dostać pracy, gdyż w ich paszportach „stoi” czarno na białym „Jewrej”. Zresztą nawet jeżeli nie ma tej adnotacji, ale ktoś jest „podejrzany” o to, że z pochodzeniem coś tam nie jest w porządku — jest również narażony na wiele sztykan.

Zapytywałam czym jest dla ludzi sowieckich działalność dysydentów i wybitnych opozycjonistów: Sacharowa, Sołżenicyna i innych. Stwierdziłam, że wśród przedstawicieli inteligencji rosyjskiej, a z nimi miałam przede wszystkim do czynienia, działalność ta obserwowana jest z wielką uwagą. Naturalnie prasa czy telewizja sowiecka o tym nie wspominają, a z prasy zagranicznej dostępne są jedynie pisma komunistyczne (nawet cudzoziemcy nie mogą kupić *Monde'u* czy *Times'a*), ale dość powszechnie słucha się audycji radia Liberty, które stanowią cenne źródło informacji. Istnieje również poczta pantoflowa, ogromnie sprawna i bardzo rozgałęziona. Panuje dość powszechna opinia, że wybitni opozycjoniści podjęli walkę na śmierć i życie. Że ich wolności i życiu zagraża w każdej chwili ogromne niebezpieczeństwo. Należy stwierdzić, że nikt tu nie lekceważy wypowiedzi Sacharowa czy Sołżenicyna — choć temu ostatniemu zarzuca się często wybujały nacjonalizm — ale nie wszystko to co mówią znajduje całkowite poparcie. Słyszałam na przykład sprzeczne zdania na temat ich ataków na Zachód za politykę koegzystencji, która rze-



komo odwraca uwagę świata od wewnętrznych spraw Związku Sowieckiego.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć mi na pytanie jak to się dzieje, że w państwie dyktatury policyjnej, tak bezwzględnej i krwawej, mogą w ogóle istnieć i działać opozycjoniści. Mówi się, że jest to rezultat walki w łonie samego kierownictwa, że Breżniew — być może zwolennik łagodnego kursu wobec dysydentów w związku z sytuacją międzynarodową — jest przedmiotem ataków takich towarzyszy jak np. Susłow. Ale szary człowiek ulicy w ogóle rzadko orientuje się, że w tym samym co on mieście żyją i występują publicznie, piszą i udzielają wywiadów zagranicznym dziennikarzom ludzie, którzy sprzeciwiają się polityce państwowej. Raz nawet zdarzyło mi się, że taksówkarz zaatakował Sołżenicyna, nazywając go „agentem imperialistów”. Nie odpowiedziałam, bo taksówkarz mógł być tak samo czymś agentem, albo po prostu ofiarą dezinformacji, fałszerstw i tendencyjnych komentarzy. Zresztą muszę stwierdzić że kilka razy musiałam wysłuchać — nawet w cztery oczy — wypowiedzi solidaryzujących się całkowicie z oficjalnym kursem. Przynajmniej część z nich była szczerą.

Niejednokrotnie miałam wrażenie, że znalazłam się w jakimś wymyślonym kraju, może na innej, niezbadanej jeszcze planecie. Przypuszczam, że gdybym nagle znalazła się w Grenlandii wśród Eskimosów, czy na Nowej Gwinei wśród Papuasów — byłabym chyba bardziej powiązana ze światem zewnętrznym. Po sto razy zadawano mi w Moskwie pytania świadczące o całkowitej, dramatycznej wprost, niewiedzy o sprawach Zachodu. Do obywateli sowieckich do dziś dnia nie dotarła świadomość, że na przykład Francuzi, Niemcy czy Amerykanie poruszają się swobodnie po całym świecie. Nawet wrogowie istniejącego reżymu nie wierzą, gdy się im mówi o warunkach mieszkaniowych, zaopatrzeniu sklepów, zdobyczach socjalnych, prawie do strajków i o tym choćby, co każdy człowiek na Zachodzie może sobie kupić za swoją miesięczną pensję. Normalne życie przeciętnego człowieka na Zachodzie — uważają za bajkę.

W Związku Sowieckim coraz częściej kopiuje się Zachód, między innymi budownictwo, ale, co ciekawe, te nowe formy architektury nie znajdują na ogół uznania. Zwłaszcza starsi krzywią się na „pudełka” do mieszkania. Główną, prawie całkowicie nową i właściwie bardzo amerykańską ulicę Kalinina nazywają „sztuczną szczyką Moskwy”.

To co przenika jednak przez hermetyczne granice trafia prze-

de wszystkim do młodych. Młodzież coraz częściej ubiera się na wzór zachodni. Poszukiwane są dzinsy, modne buty; na ulicach Moskwy widzi się chłopców z długimi, dziewczęcymi fryzurami.

Repertuar kin i teatrów jest w 90 procentach rodzimy, lub pochodzący z krajów zaprzyjaźnionych. Niektóre filmy węgierskie, polskie, czy nawet czeskie, cieszą się niezwykłym powodzeniem; są mniej szablonowe i pruderyjne niż rosyjskie, usiłują poruszać głębsze problemy, pokazują kawałek atrakcyjnego świata.

Moskwa ubrana jest na ogół skromnie, szaro, na miarę ograniczonych możliwości i stosownie do zaopatrzenia rynku. Jak gdyby rekompensatą jest pompatyczność wielu budynków i lokali publicznych. Wnętrza, także i prywatne, są obowiązkowo drobno-mieszkańskie, secesyjne. Na byle stoliku w byle knajpie ustawia się dziesiątki butelek i kieliszków, dających złudzenie dostatku. Styl *belle époque* po latach odgrzebany na Zachodzie, nigdy właściwie nie przestał być modny w ZSSR. Moskwa jest jak babcia, która przez pół wieku ubierała się tak samo i doczekała czasów, kiedy wszystko co nosi na nowo stało się modne.

Młoda dziewczyna, studentka uniwersytetu Łomonosowa, z którą przegadałam wiele godzin, mówiła mi że najgorsza jest w Moskwie nuda. Młodzież nie ma lokali, w których mogłaby się zbierać, słuchać muzyki czy tańczyć. Słyszała o zachodnich dyskotekach, ale nie wyobraża sobie możliwości zorganizowania ich w Związku Sowieckim. Wieczorami młodzi wałęsają się po ulicach i skwerach, czasami zaglądają do jakiejś knajpy, na przykład do „Liry” w pobliżu ulicy Gorkiego, gdzie jednak trzeba mieć dużo pieniędzy.

Mało kto na Zachodzie zdaje sobie sprawę jak trudne są w Moskwie warunki mieszkaniowe. Wiele rodzin ciągle jeszcze mieszka w „kołchozach”. Byłam w jednoizbowych klitkach, w których żyje nieraz po 5 osób. Do tych mieszkań prowadzą ciemne, brudne i straszne klatki schodowe, wszystkie drzwi są niewypowiedzianie smutne. Niewiele lepiej jest w nowych domach, budowanych w pośpiechu, byle jak, zaprojektowanych na miarę krasnoludków!

Naturalnie uprzywilejowani mieszkają o niebo lepiej, często w oddzielnych domach. Ktoś, z kim jeździłam po Moskwie, pokazywał mi kilka lepiej wyglądających bloków. W dwóch mieszkali dyplomaci, w jednym generałowie, a w jeszcze innym — marszałkowie. Generałowie i marszałkowie osobno.

Kiedy się to wszystko ogląda, kiedy słucha się tego co mówią



ludzie, dochodzi się do wniosku, że w tej stolicy bezklasowego państwa, istnieje tak głęboki podział klasowy jakiego nie ma nigdzie na Zachodzie, gdzie w sumie każdy, od dozorca do potentata finansowego, korzysta — co prawda w mniejszej lub większej skali — ale z tych samych zdobyczy cywilizacji. Tu zaś władcy korzystają ze wszystkich przywilejów, a szary obywatel patrząc codziennie na realizację orwellowskiej zasady o „równych i równiejszych” musi zadowolić się sloganami o tym jak mu dobrze w tym najsprawiedliwszym z ustrojów!

Dwa razy byłam w mieszkaniach artystów: raz u kompozytora a raz u malarza. Obydwaj dość znani jako twórcy nonkonformistyczni. Pierwszego z nich nie grano publicznie, drugiego nie wystawiano, ale ich nazwiska znane są fachowcom i cenione. Pracują na jakichś mizernych posadkach, luźno związanych z ich zawodami. Nie są wrogami Związku Sowieckiego, a w każdym razie głośno tego nie mówią. Ale ich twórczość nie ma nic wspólnego z nadal obowiązującym soc-realizmem i afirmacją komunizmu. Żyją więc na uboczu, w małych zagraczonych mieszkankach, poruszają się w wąskim gronie przyjaciół i na coś czekają. Na co?

Wyjeżdżałam z Moskwy z uczuciem ulgi. Zostawiałam za sobą miasto ludzi smutnych, którzy nieustannie o coś walczą. Najczęściej i przede wszystkim o spokój dnia powszedniego, o dach nad głową, o zwykłe codzienne sprawy, o których na Zachodzie się nawet nie myśli: załatwia się je mimochodem, a tu zmuszają one do nadludzkiego wysiłku. Opuszczałam miasto w którym trudno jest zrobić pieniądze i trudno je wydać. Miaso podwójnego życia: tego głoszącego na cały świat o zrealizowanym szczęściu na ziemi i tego — ze złego snu, który od przeszło pół wieku jest ponurą rzeczywistością dla milionów ludzi.

Marta SADOWA

## W sowieckiej prasie

Czytając zachodnią prasę — gazety i periodyki różnych krajów — w ciągu ostatniego miesiąca znalazłem jedynie niewielką nakowóz z tekstu wynikało, że mówi się „o dobrych nowinach” wzmiankę, która miała w tytule tzw. „dobrą wiadomość”. Jedną dla białych niedźwiedzi, dla których uchwalono jakieś ochrony i opieki. Wszystkie pozostałe wiadomości są złe. Natomiast w pra-

sie sowieckiej przeważają dobre wiadomości. W każdym razie jeśli idzie o informacje o życiu sowieckich obywateli; pisma nie przestają zapewniać, że żyje im się coraz lepiej i lepiej i coraz bardziej radośnie — ma się rozumieć jest i kącik złych informacji, ale te to jedynie o życiu na Zachodzie.

Ostatnio ten kącik jest wypełniany danymi o życiu na Zachodzie w warunkach kryzysu naftowego. Należy jednak podkreślić, że nie ma w nich triumfu czy radości z powodu zbliżającego się, a obecnie — zdaje się — całkowicie realnego, upadku kapitalizmu. Kryzys naftowy jest przedstawiany z punktu widzenia mas pracujących, które — jak informują korespondenci *Prawdy* i *Izwestii* stolic zachodnich — zaczynają cierpieć z powodu zima na nieopalanym mieszkaniach, są zwalniani z pracy, nie mogą jeździć samochodami, bawić się w czasie świąt. Krótko mówiąc: prowadzą życie, z którym nigdy by się nie pogodził sowiecki robotnik. Korespondent *Prawdy* z Bonn podał w szczególności, że zachodniemieccy obywatele, robiąc zapasy benzyny, przechowują ją w wannach. To na pewno musi przekonać czytelników gazety, że sprawy w NRF stoją źle, gdyż obywatele sowieccy zawsze postępują identycznie robiąc zapasy w okresach kryzysów.

Odnosi się przy tym wrażenie, że główną troską autorów ogłaszanych materiałów na temat kryzysu naftowego jest przekonanie zachodnich obserwatorów, że Związek Sowiecki nie ma z tym kryzysem nic wspólnego. A wątpliwości tego rodzaju istnieją. James Reston w *New York Times*'ie przypuszcza, że być może Moskwa „nie umiając zrealizować rewolucji naukowej, jak to zrobiły kraje uprzemysłowione, wykorzystuje swoje wpływy na Bliskim Wschodzie, by zahamować produkcję na Zachodzie i w Japonii”. Wiktor Zorza w *Times*'ie wysuwa przypuszczenie, że Związek Sowiecki inspirował ograniczenie dostaw nafty przez Arabów, gdyż sam jej potrzebuje.

Wszystko to są przypuszczenia, ale sądząc po oburzeniu jakie wywołują w prasie sowieckiej, należy stwierdzić, że musiały dotknąć wrażliwego miejsca. Dziennikarzom zachodnim odpowiedziały *Litieraturnaja Gazieta*, *Prawda*, *Sowieckaja Rossija*, oraz wielkim, szczegółowym artykułem *Nowoje Wriemia*. Jak łatwo się domyślić we wszystkich tych artykułach wysuwane są identyczne argumenty, które mają udowodnić, że Związek Sowiecki nie ma nic wspólnego z kryzysem naftowym. W pierwszym rzędzie — mówi się w prasie sowieckiej — przyczyn kryzysu należy szukać w działalności „imperialistycznych i syjonistycznych kręgów...”. Związek Sowiecki nie mógł zachęcać Arabów do przykrycia naftowego kurka z powodów które wysuwają Reston i Zorza, gdyż ZSSR nafta arabska nie jest potrzebna — ma swojej, aż nadto; po drugie 2/3 nafty arabskiej pochodzi z trzech krajów, których rządów nie można podejrzewać o sympatie prosowieckie, są to: Arabia Saudyjska, Libia i Koweit. „Czyż można wymyślić coś bardziej śmiesznego niż króla Fejsala działającego pod dyktando Moskwy” — pisze w *Nowoje Wriemia* współpracownik naukowy Instytutu Światowej Gospodarki i Stosunków



Międzynarodowych, Ruben Andressjan — a libijski prezydent Kadafi? Czy i on działa według instrukcji ZSSR? Jeszcze bardziej absurdalne byłoby uważać emira Koweitu za rosyjskiego agenta”.

Trudno uznać argumenty prasy sowieckiej za przekonujące. Świat widział już bardziej dziwne sojusze niż np. współpraca króla Fejsala z Breżniewem. Nawet oświadczenie pułkownika Kadafi, w którym stwierdził, że woli izraelski kolonializm od sowieckiego imperializmu, świadczy jedynie o tym, że w walce z jednym wrogiem zawsze można skorzystać z pomocy drugiego. Niewątpliwie śmieszne jest wyobrażanie sobie emira Koweitu w roli sowieckiego agenta, ale czyż nie jest równie śmieszna uchwała algierskiej konferencji krajów arabskich, zaczynająca się od słów: „Arabscy królowie i prezydenci wyrażają swoją wdzięczność krajom socjalistycznym...”.

Nieprawdziwy jest i drugi argument o całkowitym zabezpieczeniu Związku Sowieckiego w naftę. Niewątpliwie ZSSR wydobyl, według prowizorycznych obliczeń, 420 milionów ton nafty w 1973 roku. Jest to poniżej ilości 429 milionów ton — zgodnie z planem uchwalonym w 1971 roku — i nawet mniej, niż przewidywał poprawiony plan, zmniejszający produkcję do 424 milionów ton. Niewątpliwie Związek Sowiecki posiada fantastyczne złoża nafty na Syberii i w Arktyce, ale przemysł sowiecki nie jest w stanie dostać się do nich samodzielnie. Potrzebna jest pomoc Zachodu. Trzeba będzie płacić Zachodowi naftą i trzeba mu już dzisiaj sprzedawać naftę, gdyż nafta i inne surowce do tej pory są jedynym źródłem zdobywania dewiz. Nie mówiąc już o tym, że wszystkie kraje socjalistyczne (z wyjątkiem Rumunii) potrzebują sowieckiej nafty. Nafta jest więc niemniej potrzebna ZSSR niż Zachodowi. Ale od Zachodu potrzeba jeszcze tak wiele, że należy z niebywałą energią zaprzeczać jakimkolwiek uczestnictwu — jeżeli ono istnieje — w arabskim nacisku na Zachód.

O tym jak wiele potrzeba pisze np. Aleksander Lewikow w *Litieraturnoj Gazecie*. Artykuł nosi tytuł „Symulacja działalności” i jest poświęcony sowieckiemu systemowi zarządzania. „Przesadne planowanie i sztywna centralizacja — pisze A. Lewikow — doprowadziły do dezintegracji gospodarki, podobnie jak przewrócenie jednej kostki domina pociąga za sobą przewrócenie innych. Sowieccy działacze gospodarczy spędzają zbyt dużą część dnia pracy na nieskończonych konferencjach i posiedzeniach, w tej liczbie partyjnych i związkowych, które nie mają żadnego związku z ich zawodową działalnością. Jeżeli będziecie siedzieć za swoim biurkiem i dłubać w nosie, czy łapać muchy, ludzie będą się z was śmiać, ale jeśli będziecie kręcić się w wirze partyjnej lub związkowej działalności, to będą was szanować, chwalić, stawiać jako przykład, chociaż produkcja nie będzie miała z tego wszystkiego najmniejszej korzyści”. W tych stwierdzeniach nie ma nic nowego; pisze się o tym od przypadku do przypadku i to bez żadnych zmian. Nową jest tylko przedłożona przez autora artykułu recepta, znaleziona przez niego w książce za-

stępcy ministra Handlu Zagranicznego, Mikołaja Smielakowa, poświęconej amerykańsko-kapitalistycznym metodom zarządzania. „Nie lubię osławionego amerykańskiego stylu życia — pisze Aleksandr Lewikow (spróbowałby powiedzieć, że lubi) — z jego obłudnymi standartami, wiecznymi panikami, bezwzględnością i socjalnymi kontrastami”. Okazuje się jednak, że amerykańscy *businessmen*'i umieją pracować lepiej od sowieckich działaczy gospodarczych i chociaż wszystko co robią „jest podyktowane interesami walki konkurencyjnej” od nich właśnie należy się uczyć.

Jednocześnie z wezwaniem aby uczyć się od *businessmen*'ów amerykańskich i z informacjami o wizytach amerykańskich kapitalistów w Moskwie, wprowadza się zdecydowane środki by sowiecko-amerykańskie zbliżenie nie nabrało charakteru „swobodnej wymiany idei”. Ostre ostrzeżenie dla wszystkich, którzy na to liczili, padło z ust sekretarza KC, głównego partyjnego ideologa, Michaiła Susłowa. W wielkim przemówieniu, wygłoszonym w Wilnie, Susłow oburza się na „siły reakcyjne, które w ostatnich czasach usiłują poderwać zaufanie do pokojowej polityki Związku Sowieckiego”. Nie przestają mówić — Susłow bierze słowa w cudzysłów — o „sowieckiej groźbie wojennej”, wysuwając kłamliwą tezę jakoby w odprężeniu zainteresowany był tylko Związek Sowiecki i kraje socjalistyczne. Susłow nigdzie nie wymienia tych tajemniczych „sił reakcyjnych”. Mówi tylko o „ekspansjonistycznych kołach rządzących Izraela, które korzystają z pomocy zewnętrznych reakcyjnych, imperialistycznych sił”, mówi o reżymie sajgońskim, który także „jest podtrzymywany przez kręgi imperialistyczne”. Ale już bez zahamowań wymienia „maoistyczne kierownictwo”, „pekińskich polityków” i „chińskie kierownictwo”, które usiłują zastraszyć swój naród rzekomym „niebezpieczeństwem z północy”. Susłow oświadczył przy tym — i to jest nowa formuła — że „Związek Sowiecki nie ma pretensji terytorialnych w stosunku do Chin”. Chiny mogą więc spać spokojnie.

Natomiast imperialiści powinni być zaniepokojeni. Sekretarz KC oświadczył: „Dążąc do odprężenia... będziemy wzmacniać i udoskonalać walkę z dywersjami ideologicznymi imperializmu, z wszystkimi próbami ożywienia jakichkolwiek burżuazyjnych teorii 'ideologicznej konwergencji', z prawymi i lewymi rewizjonistami...”. Znowu przestrzega, że gorzko się rozczarują ci wszyscy, którzy spodziewają się, że w zamian za odprężenie Związek Sowiecki zgodzi się na jakiekolwiek ustępstwa. Wezwanie do wzmocnienia walki — która jest walką o pokój — podsumowuje przyznaniem: nasza polityka nigdy i w żadnych okolicznościach nie odstąpi od zasadniczych klasowych pozycji.

Przemówienie Susłowa wywołało popłoch na Zachodzie — słowa II-go sekretarza KC „ostro się rozchodzą” z tym co mówi generalny sekretarz. W tym samym czasie kiedy Breżniew kładzie nacisk na odprężenie, Susłow kładzie nacisk na wzmocnienie walki. Wnioski, które wyciąga prasa zachodnia są proste:



Breżniew jest zwolennikiem miękkiej polityki, Susłow — polityki twardej. Tę tezę wysuwa w szczególności Roy Miedwiediew w swoim oświadczeniu, o którym pisałem w poprzednim numerze *Kultury*. Trzeba jednak nie znać panujących w Politbiurze porządków, albo nie chceć ich znać, aby dopuszczać możliwość publicznego wystąpienia przeciwko polityce sekretarza generalnego. Prasa zachodnia uważa za dowód „buntu” Susłowa fakt, że jego przemówienie nie zostało opublikowane w całości w *Prawdzie*. W *Prawdzie* nie opublikowano również niedawnego wystąpienia Kosygina w Mińsku, poświęconego zagadnieniom gospodarki i ropy. Sowieccy propagandyści od dawna wiedzą, że tylko taką metodą łatwiej zwrócić uwagę Zachodu na słowa, które są przeznaczone na eksport.

Jedną z ulubionych metod sowieckiego śledztwa jest zmiana przesłuchującego. Na początku przesłuchuje cham i sadysta. Zmienia go następnie miły i uprzejmy człowiek. Mało kto z uwięzionych wytrzymuje te różnice i nie opowie sympatycznemu śledczemu wszystkiego, co mu jest potrzebne. Wydaje się że ta metoda stosowana jest teraz w sowieckiej dyplomacji. Czyż można odmówić miłemu Leonidowi Iljczowi, któremu zagraża stary stalinowiec Susłow?

Ta metoda przeszła również do sowieckiej polityki represyjnej. Zwolniono z łagru Amalrika (ale pozostawiono go na zsyłce na Kołymie). Jakirowi, po zwolnieniu z więzienia, pozwolono osiedlić się pod Moskwą, w Riazaniu. Ale zaraz potem odbył się sąd nad przyjacielem Sacharowa, utalentowanym matematykiem, Ju. Szychanowiczem, zamkniętym w szpitalu psychiatrycznym — sąd odbył się zaoźnie, wyrok został powzięty na podstawie oświadczeń „ekspertów-psychiatrów”, którzy stwierdzili: jeśli Szychanowicz — jak to oświadczył prokurator — brał udział w redagowaniu *Chroniki Tiekuszczych Sobyti*, czytał „20 listów do przyjaciela” Swietłany Allilujewej, rozpowszechniał noblowskie przemówienie Alberta Camusa, ogłoszone w 1957 roku i potępiające działalność władz sowieckich w Budapeszcie — to jest on niebezpiecznym chorym umysłowo. Skończyły się napaści na Andrieja Sacharowa, ale już od szeregu tygodni KGB codziennie przesłuchuje jego żonę, grożąc jej więzieniem albo szpitalem psychiatrycznym. Jest zupełnie jasne, że władze sowieckie chcą wszelkimi sposobami pozbyć się Sacharowa. To właśnie on jest dzisiaj ośrodkiem, przy którym skupiają się resztki Ruchu Demokratycznego. Z kręgu przyjaciół Sacharowa wyszły oświadczenia odrzucające tezę Roya Miedwiediewa, że wszystkie nadzieje na poprawę sytuacji w ZSSR należy wiązać z dobrą wolą takich „progresistów” jak Breżniew, że odprężenie doprowadzi do liberalizacji ustroju, że nie wolno zwracać się do „prawych” sił na Zachodzie. Przyjaciele Sacharowa przypomnieli m.in., że właśnie w epoce sowiecko-amerykańskiego zbliżenia, w okresie Franklina Roosevelta, Stalin zlikwidował miliony ludzi, że właśnie na ten okres przypadły lata terroru. Andriej Sacharow podsumował dyskusję krótkim oświadczeniem: „Nie zgadzam się

z wieloma stwierdzeniami i ogólnym kierunkiem niedawnych wystąpień Roya i Żoresa Miedwiediew... swoim pragmatyzmem Miedwiediewowie przeciwstawili się tym wszystkim, którzy dziś prowadzą moralną walkę o prawo człowieka do swobodnego życia i myślenia... uważam, że o naszych tragicznych problemach powinniśmy mówić głośno i otwarcie, zwracając się do wszystkich uczciwych ludzi, jakie by nie były ich przekonania polityczne. To jest nasz dług wobec naszej ojczyzny i wobec całego świata. Stanowisko braci Miedwiediew, demonstracyjnie apelujących do tzw. „lewych sił” wydaje mi się mylne”.

Chęć władz sowieckich pozbycia się Andrieja Sacharowa jest na tyle silna, że można przypuszczać, iż presja na jego żonę wzmoże się do tego stopnia, że Sacharow będzie zmuszony do opuszczenia Związku Sowieckiego.



Soc-realistyczna literatura poniosła ciężką stratę. W Moskwie zmarł, w wieku 61 lat, redaktor miesięcznika *Oktiabr*, Wsiewołod Koczetow, autor powieści apoteozujących Stalina i stalinizm. Starożytni Rzymianie przestrzegali, że o zmarłych należy milczeć, albo mówić dobrze. O Koczetowie należałoby więc raczej milczeć, bo trudno powiedzieć o nim cokolwiek dobrego. Być może tylko to, że przez 20 lat od chwili śmierci Stalina, w przeciwieństwie do wielu innych, nie zmienił swych poglądów. Twardo pozostał na tych samych pozycjach: wszystko co Stalin robił było wspańnię, a wszystko co robią jego następcy — od Malenkowa, Chruszczowa do Breżniewa — jest liberalizmem, samowolą i beżeceństwem. Wątpliwe, czy nawet najbardziej gorliwi historycy literatury będą czytać jego powieści o sekretarzach rajkomów i sekretarzach obkomów — pożałowałoby dobry Pan Bóg talentu wiernemu stalinowcowi! Ale historycy, którzy będą chcieli poznać życie moskiewskich inteligentów w końcu lat sześćdziesiątych z ciekawością przeczytają ostatnie dzieło Koczetowa — powieść pt. „Czego ty chcesz?”, napisaną w 1969 roku. Odpowiedź na pytanie postawione w tytule autor daje z miejsca: chce on powrotu do stalinizmu. Ciekawe jest co innego: złośliwy i nienawistny opis moskiewskiej inteligencji, „liberalnych zachodnich” — w pierwszym rzędzie włoskich — komunistów. Ze względu na swoją otwartą, prymitywnie zoologiczną reakcyjność — „czarnosecinność”, powieść Koczetowa zajmie w historii sowieckiej literatury specjalne miejsce. Zresztą jego nazwisko może się zachować z tego względu, że Abram Terc (Andriej Siniawski) w dwóch swoich książkach: „Sąd idzie” i „Lubimow” opisuje parę agentów KGB, przyjaciół: Witię Koczetowa oraz Tolę Sofronowa, który do dzisiaj czuje się dobrze na stanowisku pisma *Ogoniok*.

Ale może nie należy mówić źle o Koczetowie? Pisał to, co myślał i myślał to, o czym pisał. Pisarzom sowieckim zdarza się to niesłychanie rzadko. Z tego właśnie powodu przypomniatę sobie Koczetowa gdy w listopadowym numerze *Mołodoj*



*Gwardii* przeczytałem ostrą krytykę sztuki Czyngiza Ajtmatowa i K. Muchamiedżanowa „Wejście na Fudżijamę”. Sztuka ta z wielkim powodzeniem grana jest w moskiewskim teatrze *So-wriemiennik* i rzeczywiście na tle sowieckiego repertuaru w pełni zasługuje na powodzenie. Akcja toczy się w Kirgizji, spotykają się starzy przyjaciele szkolni ze swoją starą nauczycielką. Zbierają się na górze, którą nazywają Fudżijama, gdyż tak nazywa się święta góra buddystów, gdzie wierzący przychodzą się spowiadać. Spowiadają się i przyjaciele — decydują się, by mówić tego wieczora prawdę i tylko prawdę — o sobie, swoim życiu, i swoich towarzyszach. Przyczyną spowiedzi była rozmowa o piątym przyjacielu, najbardziej wybitnym. Jego losy potoczyły się inaczej niż innych. W czasie wojny napisał poemat, w którym rozmyślał o tragicznym losie swego pokolenia, o poległych — swoich i obcych. Poemat ten napisał tylko dla siebie, ze zrozumiałych względów nie zamierzał go drukować, ale jeden z jego przyjaciół poinformował o tym „gdzie trzeba”. Dalej — więzienie, obóz, po wyjściu z obozu poeta się rozpił... Spotkawszy się w 1965 roku przyjaciele próbują wyjaśnić: kto doniósł? kto zniszczył życie przyjaciela?

Autor artykułu w *Mołodoj Gwardii*, Jurij Zubkow, pisze o sztuce z pozycji 1973 roku. Autorzy sztuki zapytują: — Jakie moralne wartości powinien posiadać człowiek, by móc się nazwać człowiekiem? Czy człowiek w ogóle i człowiek sowiecki to jedno i to samo? Czy są jakieś wspólne kryteria moralne dla człowieka i dla człowieka sowieckiego?

Jurij Zubkow udowadnia, że takich wspólnych kryteriów nie ma. Analizuje sztukę z pozycji śledczego KGB. Stawia pytanie: czy słusznie aresztowano poetę w czasie wojny za ten poemat, czy nie? I stwierdza — słusznie. — Ponieważ Sabur (nazwisko poety) napisał „poemat pacyfistyczny” „należy wyjaśnić zagadnienie słuszności i sprawiedliwości kary, która spotkała Sabura w czasie wojny” — mówi Zubkow. „Powiem, że pacyfizm pozostaje pacyfizmem w każdym czasie i również w czasie pokoju”. Zatem nie tylko należało zadenuncjować Sabura i następnie wsadzić go do łagru, ale również należy przyjrzeć się autorom sztuki, propagującym „pacyfizm w dniach pokoju”, co jest również szkodliwe i niebezpieczne, jak jego głoszenie w czasie wojny.

Ale nie Zubkow zmusił mnie do przypomnienia sobie zmarłego Koczetowa, a jeden z autorów sztuki „Wejście na Fudżijamę” — Czyngiz Ajtmatow, pisarz kirgizki który w ostatnim czasie pisze po rosyjsku; jest on, być może, jednym z najbardziej utalentowanych współczesnych sowieckich prozaików. W każdym razie jego opowiadanie „Biały okręt” (1970) jest najlepszym z tego co w ostatnich latach wydała literatura sowiecka. I w „Białym okręcie” i w sztuce Czyngiz Ajtmatow utwierdza ogólnoludzką moralność i cierpi nad jej zniszczeniem w swojej ojczyźnie.

Ale gdy *Prawda* ogłosiła w sierpniu 1973 roku list pisarzy oskarżających Sacharowa i Sołżenicyna o wszystkie grzechy

śmiertelne — pierwszym podpisem — możliwe, że według alfabetu — był podpis Czyngiza Ajtmatowa. Czy poszedł on potem na Fudżijamę? Nie wiem. W każdym wypadku podpis pod listem w *Prawdzie* nie przeszkodził opublikowaniu krytycznego artykułu o jego sztuce, która — można być pewnym — będzie wkrótce zdjęta ze sceny.

Niedawno przeczytałem dokument, w porównaniu z którym wszystkie prace zachodnich uczonych analizujących sowiecki system, sowiecką propagandę i psychikę sowieckiego człowieka, wydają się blade i śmieszne. Dokument jest zatytułowany uroczysto, ale prosto: „Protokół ogólnego zebrania więźniów 5-go oddziału poprawczego obozu pracy nr 41. Nowa Lialia, okręg Swierdłowski. Prezydium: zastępca naczelnika obozu, naczelnik polityczno-wychowawczy kpt. Smirnow, naczelnik 5-go oddziału kpt. Bułatow, brygadier 51 brygady — skazany Foszkina, skazany Potaskujew, sekretarz — skazany Szukruzew”.

A więc — zebranie, jak zebranie — przykład sowieckiej demokracji, ale zebranie w obozie, prezydium: razem z kierownictwem więźniowie. To już sowiecka demokracja do kwadratu, najbardziej postępową w świecie. Na porządku dziennym: osądzenie artykułu zamieszczonego w gazecie *Uralskij roboczij* pt. „Tel-Awiv znajduje bohatera” — o działalności skazanego Kukuja W. I.

Skazani wraz ze swymi starszymi towarzyszami — naczelnikami — zebrali się, by osądzić działalność syjonisty Kukuja, tak jak oni uwięzionego. Oddajemy głos sowieckim więźniom: najbardziej wolnym na świecie.

*Foszkina* (skazany z § 21 za spowodowanie awarii w transporcie): „Uważam, że opierając się na faktach przytoczonych w artykule, Kujuk w czymś zawinił i powinien się do swojej winy przyznać, ale tego nie robi, chociaż opierając się na artykule, rozpowszechniał literaturę antysowiecką... Kujuk w łagrze jest jakiś bierny, pracuje bez dania z siebie wszystkich sił. Jasne — jeśli cię skazali, to popraw się, albo odcierp karę tak, by wyjść z poprawczego obozu pracy nie czując już winy.

*Sierienkij* (§ 120 — demoralizacja nieletnich): „Przeczytawszy artykuł nie mogę pojąć dlaczego Kujuk nie mógł zrozumieć tego, co napisano w tym artykule. Uczciwi Żydzi żyją u nas, w Związku sowieckim, bez ucisku, żyją dobrze, w przyjaźni z Ukraińcami i z innymi narodami. Uczciwi Żydzi nie poddają się syjonistycznej agitacji... My znajdujemy się w izolacji i powinniśmy odsiedzieć jak należy, a nie pisać po różnych instancjach... Kto to jest Kujuk? Czym jest dla Izraela Kujuk bez wyższego wykształcenia? Ludzie o wiele od niego wybitniejsi, po przejściu na tamtą stronę i po ujawnieniu tajnych wiadomości, wyrzucani są za burtę życia. Tak będzie i z Kujukiem. Nie będzie miał „złoto-tego raj” w Izraelu. Iluż z tych, którzy tam wyjechali — więcej



niż połowa — powraca! A powrócić chcą wszyscy. Ale wielu nie pozwalają. Wyjechali — niech tam żyją.

*Potaskujew* (§ 144 — kradzież): „Kukuja wychowała i wykształciła władza sowiecka i nie spodobało jej się, że jest zdrajcą ojczyzny. Zamknęli go. Popęłnił przestępstwo w Związku Sowieckim i powinien odcierpieć swoją winę.

*Zacharow* (§ 89 — przywłaszczenie mienia państwowego): „Kukuj szkalował ojczyznę. „Męczennika” z niego robią. Sam powinien zrozumieć i napisać, że on nie męczennik i niech z tym skończą i niech się poprawia.

*Iwanow* (§ 145 — grabież): „Kukuja znam od dawna. Podtrzymuję wystąpienie Sierienkowa. Na próżno Kukuj rzuca oszczerstwa. Chociaż jest przysłowie: „U każdego Abrama swoja programa”, no ale tutaj Kukujowi nie dadzą zajmować się antysowiecką działalnością. Wszystko jest bezskuteczne przeciwko Związkowi Sowieckiemu...”

Po tym nastąpiło długie przemówienie wychowawcy, kpt. Smirnowa, znacznie mniej ciekawe i kolorowe niż przemówienia jego podopiecznych, a po tym — tak jak się należy — rezolucja zebrania: „Ogólne zebranie więźniów 5-go oddziału potępia zachowanie Kukuja...”

Kto osmieli się powiedzieć, że w Związku Sowieckim nie ma prawdziwej demokracji? A po zebraniu, Kukuja osadzono na 4 miesiące w BURze (barak zaostrego reżymu). — Niech zastanowi się nad rezolucją...

Adam KRUCZEK

## UCRAINICA NA VII MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE SŁAWISTÓW W WARSZAWIE

Na VII Międzynarodowy Kongres Sławistów w Warszawie (21-27 sierpnia 1973) — na ogólną ilość 2867 delegatów — zjechało 15 uczonych ukraińskich, zaś tematyka ukraińska znalazła odbicie w ok. 35 wystąpieniach. Nadmienić należy, iż delegacja sowiecka liczyła 170 delegatów, z tego tylko 11-tu z Ukrainy.

W dziedzinie językoznawstwa i problematyki językoznawczo-literackiej wymienić należy następujące wystąpienia: I. K. Biłodid (Ukraina) — „Akademia Kijowsko-Mogilańska a rozwój wschodniosłowiańskich języków literackich w XVII-XVIII w.”; W. M. Rusaniwskij (Ukraina) — „Słowiańskie związki międzyjęzykowe a powstawanie funkcjonalnych stylów języka literackiego”; O. Horbacz (NRF) — „Terminologia ukraińska w dziedzinie uprawy winnej latorośli”; I. Tarnaweczka — „Samogłoski podrzędne a 'Homonia' w jednym z nowo odkrytych rękopisów wschodniosłowiańskich”; H. P. Jizakewycz i N. N. Pyłynskij (Ukraina) — „Zasoby leksyko-gramatyczne w stylistyce funkcjonalnej języków słowiańskich”; T. Feather (USA) — „Koncepcyjne powiązania między teorią 'formy wewnętrznej' Potebni a 'warstwy aspektów' Ingardena.

Największa ilość wystąpień poświęconych tematyce ukraińskiej została wygłoszona w sekcji literaturoznawczej: J. P. Kyryluk (Ukraina) — „Romantyzm ukraiński w zestawieniu topologicznym z zachodnio- i południowo-słowiańskimi literaturami (pierwsza połowa XIX w.)”; G. D. Werwes (Ukraina) — „Polski romantyzm w literaturach wschodniosłowiańskich końca XIX — pocz. XX w. (o roli tzw. kontaktów powtórných)”; F. Nieuważny (Polska) — „Neoklasycyzm i europejskie związki literackie w dziedzinie dramaturgii na przełomie XVII-XVIII w.”; J. L. Bułachowska, W. A. Zacharzewska, I. E. Zurawska (Ukraina) — „Funkcja obrazów 'światowych' we współczesnych literaturach słowiańskich”. Wiele referatów i informacji naukowych dotyczyło związków literatury ukraińskiej z Polską, Węgrami i innymi krajami ościennymi. (S. Kozak o związku „Księgi bytu narodu ukraińskiego Kostomarowa” z „Księgami pielgrzymstwa polskiego”).

Z ukraińskiej tematyki historycznej wymienić należy referat J. Pełenckiego (USA) — „Inkorporacja ziem ukraińskich starej Rusi do Polski w 1569 roku”. Uczony ten przewodniczył także dwom sesjom dot. między-słowiańskich związków historycznych i kulturalnych w XV-XVII w. O anty-trynitaryzmie na terytorium Ukrainy wygłosił referat polski badacz J. Tazbir.

Na Kongres nie przybyła zapowiadana poprzednio grupa historyków ukraińskich, których referaty zostały zgłoszone: „Etno-kulturalna jedność Słowian w wiekach VI i VII” W. D. Barana oraz referat F. Szewczenki o Towarzystwie Cyryla i Metodego w pierwszej połowie XIX w. Według informacji z dobrze poinformowanych źródeł postanowiono nie wysłać ludzi związanych z byłym sekretarzem KC KP Ukrainy P. Szelestem, jak np. W. D. Baran, P. M. Kałynyczenko oraz chęcią ze strony władz utrudnienia kontaktów naukowych między uczonymi z Ukrainy i resztą świata, a w szczególności przebywającymi na emigracji naukowcami ukraińskimi. Cały zresztą skład delegacji sowieckiej świadczy o panującej w sowieckich środowiskach naukowych niepewności i kryzysie. Wyłączono np. ze składu delegacji nawet ludzi lojalnych, których referaty zostały zgłoszone. Do nich należy np. J. Szablowski, który zgłosił referat „Problem swobody twórczości w koncepcji realizmu socjalistycznego”, L. J. Machnoweć i O. Zasenka, których referat poświęcony został periodyzacji narodowych literatur słowiańskich. Mimo jednak tych braków, mimo rażącej szczupłości delegacji ukraińskiej, Kongres Warszawski należał do najbardziej otwartych, w czym duża zasługa polskich organizatorów Kongresu.

K. SZWEDOWICZ



## Kraj

### Encyklopedia Polski Ludowej

„Wielka Encyklopedia Powszechna” wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie jest pierwszym i jak dotąd jedynym uniwersalnym leksykonem Polski Ludowej. Jej jaskółką była „Mała Encyklopedia Powszechna” (PWN, 1959), która miała nakład 400 tysięcy egzemplarzy. „Wielka Encyklopedia Powszechna” — odtąd będę ją nazywał w skrócie WEP — obejmuje wraz z „Suplementem” trzynaście tomów i zawiera około 80 tysięcy haseł. Prace nad nią podjęto wiosną 1959 roku. Pierwszy tom wyszedł z druku w roku 1962, ostatni, trzynasty, dotarł do czytelników na początku 1971 roku. Encyklopedię zakupiło blisko 180 tysięcy subskrybentów, co jest imponującą liczbą. Mogła ona osiągnąć większy nakład, ale zapobiegł temu brak papieru. Ten leksykon będzie służył milionom czytelników i prawdopodobnie kilka generacji będzie czerpało z niego wiadomości, dlatego też nie podobna i nie należy przeoczyć jego znaczenia.

Grono współpracowników, którym WEP zawdzięcza swoje powstanie, rozrosło się do dwóch tysięcy, nie licząc członków zespołu redakcyjnego. Na to dzieło złożył się trud wielu cenionych badaczy naukowych, myślicieli, pisarzy i publicystów. Ilość energii, pracy i wysiłków włożonych w to przedsięwzięcie była ogromna. Trzeba było zbudować od nowa leksykograficzny warsztat, wyszkolić ludzi, pozyskać autorów, doradców i recenzentów, starać się o fundusze, których szczupłość chronicznie dokuczała redakcji, a w ostatnich latach przebrnąć przez szykany kontrolerów NIK-u, którzy wszędzie wścibiali nosy zatruwając życie pracownikom wydawnictwa.

Narodzinom WEP patronowała Rada Naukowa pod przewodnictwem profesora Kotarbińskiego i jego dwóch zastępców, pro-

fesorów Janusza Groszkowskiego i Stefana Żółkiewskiego. W jej skład weszło około siedemdziesięciu profesorów, w przeważającej części ludzi zasłużonych dla kultury i nauki polskiej. Zaczęło się nawet uroczyście: zaraz po karcie tytułowej pierwszego tomu wydrukowano piękną czcionką nazwiska członków Rady w alfabetycznym porządku. Jej przewodniczącemu i jednemu z jego zastępców nie przyszło wtedy na myśl, że potem zostaną skazani na banicję z Encyklopedii. Niektórym członkom Rady zapewne też się nie śniło, że spadną na nich gromy potępienia w dziele, które ozdobili swoim nazwiskiem.

WEP, jak zresztą każdy leksykon w krajach komunistycznych, gdzie słowo drukowane ma — zgodnie z jego celem lub wbrew jego przeznaczeniu — walor propagandowy, jest swojego rodzaju *politicum*. Oceniać ją z punktu widzenia absolutnego obiektywizmu naukowego byłoby nieporozumieniem i naiwnością. Dzieło to nie powstało w próżni, lecz w określonym czasie i określonych warunkach politycznych, które z góry przesądziły o jego losach. Trzeba zatem rozpatrywać je jako sumę spełnionych lub niespełnionych nadziei, jako rezultat wykorzystanych lub zaprzepaszczonej możliwości, a nade wszystko jako obraz zmian ostatniego piętnastolecia. Wahania aury politycznej odbijają się tak wyraźnie na kartach WEP, że nie uchodzą nawet uwagi pobieżnego czytelnika lub laika.

Z grubsza biorąc można rozróżnić trzy okresy w historii WEP. Pierwszy obejmuje tomy od pierwszego do dziesiątego włącznie, opracowane i przygotowane do druku w okresie popaździernikowym, w latach 1959-1967. Dwa następne tomy są płodem drugiej fazy, „przewrotu” 1968 roku, i oddają echa wydarzeń, które poprzedziły pucz marcowy lub nastąpiły po nim. Oba te tomy, jedenasty i dwunasty, ukazały się kolejno w latach 1968 i 1969. Wreszcie produktem trzeciej fazy jest tom trzynasty czyli Suplement, który opuścił drukarnię w grudniu 1970 roku. Wieńczy on wysiłki marcowej ery i zawiera „ideologiczne” poprawki i uzupełnienia, których już nie zdołano wprowadzić do dwóch poprzednich tomów. Ale w Suplemencie odczuwa się także powiew dramatu, który rozegrał się na ulicach Szczecina i Gdańska i spowodował upadek Gomułki.

Przedmiotem moich uwag będą głównie dwie ostatnie fazy, inaczej mówiąc trzy ostatnie tomy WEP. Charakterystykę pierwszych dziesięciu tomów ograniczę do kilku ogólnych wzmianek, poprzestając na podsumowaniu jej wad i zalet. Ten nierównomierny rozkład akcentów wyjaśnią dalsze wywody.

Najobszerniejsza część WEP powstała w dobie odrotu od tego, co otrzymało nazwę „Polskiego Października” — w okresie obumierania nadziei, które przyniósł rok 1956. Tempo tego od-



wrotu było z początku umiarkowane, potem coraz szybsze i fatalniejsze w skutkach. Redakcja Encyklopedii miała niełatwe zadanie i często musiała lawirować pomiędzy nurtami wzrastającej presji politycznej. Trzeba jednak oddać jej sprawiedliwość, że pomimo niepomysłnych wiatrów i coraz dotkliwszego ograniczania swobody ruchów potrafiła oprzeć się przez długi czas naciskowi partyjnych czynników, zwłaszcza ugrupowania Moczara. Oczywiście hasła natury politycznej, duża część haseł z zakresu historii, informacje o istocie i rozwoju doktryn społecznych (w szczególności marksizmu), wiadomości o ZSSR, państwach demokracji ludowej, partiach komunistycznych itp. są w pierwszych dziesięciu tomach skażone lub zniekształcone drętą mową, niedomówieniami, banalnością i obłudą. Tego serwitutu redakcja nie mogła uniknąć — jeśli Encyklopedia w ogóle miała ujrzeć światło dzienne. Często, gdy nie podobna było powiedzieć prawdy, wykręcano się oględnymi sformułowaniami lub milczeniem.

Natomiast w innych dziedzinach, w zakresie humanistyki, literatury, sztuki, w dużej mierze socjologii, dalej psychologii, pedagogiki, nie mówiąc już o naukach ścisłych, zwyciężył na ogół obiektywizm, rzeczowy ton relacji oczyszczonej z frazesów i propagandy. Pod tym względem WEP jest w krajach komunistycznych unikatem. Dlatego też owe dziesięć tomów wydanych do roku 1966 należy uznać za duże osiągnięcie w tym sensie, że dają one czytelnikom maksimum rozsądnych wiadomości o Polsce i świecie — maksimum możliwe w trudnych warunkach wszechwładzy cenzury nad drukowanym słowem. W każdym razie ta część polskiego leksykonu przewyższa, jako się rzekło, o niebo encyklopedie bloku wschodniego, zwłaszcza 50-tomową „Wielką Encyklopedię Sowiecką”, która gwałci prawdę historyczną i bije rekordy fałszerstw i szowinizmu, lub ośmiotomowy leksykon „Meyera” (NRD), który dyskredytuje się nieprawdopodobnym doktrynerstwem. W porównaniu z tymi kompendiami WEP można nazwać szczytem naukowej bezstronności i elegancji stylu.

Niestety, trzy ostatnie tomy WEP różnią się znacznie od poprzednich. W połowie sześćdziesiątych lat moczarowcy wszczęli nagonkę na Państwowy Instytut Naukowy, która dała się dotkliwie we znaki jego pracownikom. W roku 1967 urządzono w wydawnictwie istny pogrom i wyrzucono z niego co lepszych i przyzwoitszych ludzi, zastępując ich mile przez partię widzianymi nieukami. Ofiarą najazdu padł również dyrektor PWN-u Karol Kuryluk: u schyłku tego roku zmarł rażony zawałem serca.

Najsilniejszy atak przypuszczono na Encyklopedię. Co prawda w owym czasie tomy jedenasty i dwunasty były już niemal

w całości gotowe, ale wysłannicy polskiej „rewolucji kulturalnej” zrobili wszystko, aby je zachwiać — i trzeba przyznać, że to się im udało. Druk obu ksiąg znacznie opóźniono. Pierwsze dziesięć tomów, jak wynika z not wydawniczych, opublikowano w latach 1962-66, czyli każdy tom opuszczał drukarnię przeciętnie co pół roku. Natomiast jedenasty tom przeleżał się w drukarni półtora roku, dwunasty nawet dwa i pół roku! Dużo czasu potrzebowali marcowi korektorzy. Nie można jednak zaprzeczyć, że pracowali bardzo pilnie. Poprawiali teksty, skrobali, wymazywali, wycinali i uzupełniali. W rezultacie tych zabiegów poziom haseł znacznie się obniżył w obu tomach. W wielu artykułach dominuje napastliwy ton lub prymitywna propaganda, frazesy i banały wzięły górę nad rzeczową informacją, rozlała się także fala kłamstw i fałszerstw.

Zaczęto od surowej akcji proskrypcyjnej. Wygnano z WEP wszystkich oponentów generała, który wtedy sięgał po władzę, bez względu na to czy należeli do PZPR czy nie, czy mieli kryzys lub proste nosy, czy przebywali w kraju lub na emigracji. Pierwszy cios spadł na Stefana Żółkiewskiego, który nie cieszył się sympatią Gomułki a jeszcze bardziej był zniechęcony przez grupę partyzancką. Los Żółkiewskiego podzielili pisarze niewygodni Moczarowi. Ukarano ich za różne grzechy, za to, że domagali się wolności słowa, że protestowali przeciwko cenzurze, że nie mogli wykazać się aryjską babką, że wyemigrowali z kraju w 1968 roku. Nie ma więc w WEP opozycyjnych pisarzy, których nazwiska zaczynają się, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, na ostatnie litery alfabetu. Brak Juliusza Żuławskiego i Woroszyńskiego, choć obaj mają hasła w „Małej Encyklopedii Powszechnej”, brak Wirpszy, Wygodzkiego, Tarna i innych. Bez pardonu potraktowano także autorów emigracji, zrobiwszy jedynie wyjątek dla Wierzyńskiego. Jeśli w poprzednich tomach znaleźli się Baliński, Gombrowicz, Lechoń, Tadeusz i Zygmunt Nowakowscy, to zatrzasknięto drzwi przed Józefem Wittlinem, o którym są wzmianki zarówno w „Małej Encyklopedii Powszechnej” jak i w dziewiątym tomie WEP, przed Aleksandrem Watem, choć wspomniano go w „Małej Encyklopedii” oraz w czwartym i dziewiątym tomie WEP, przed Stanisławem Vincenzem i innymi pisarzami uchodźstwa, którzy mieli nieszczęście znaleźć się przy końcu alfabetu. Z tego samego powodu ucierpieli emigracyjni uczeni, jak profesor Wandycz lub profesor Wiktor Weintraub.

Przestrzeń zwolnioną przez wygranych z WEP pisarzy i uczonych zaludniono grafomanami lub podrzędnego autoramentu autorami oddanymi partii, bez której ich egzystencja literacka nie przetrwałaby tygodnia. Wilhelma Szewczyka obdarzono hasłem



dwa razy większym niż hasło Becketta i znacznie obszerniejszym niż informacja o Zbigniewie Herbercie. Witold Zalewski, „ukazujący problemy moralno-ideowe okresu wojennego” (tak słuwi go Encyklopedia), autor produkcyjniaka „Traktory zdobędą wiosnę”, zebrał większe honory niż Gombrowicz, nie mówiąc już o sześciornym autorach sowieckich, którymi naszpikowano oba tomy, choć czasem trudno ich znaleźć nawet w rosyjskich leksykonach.

Zemsta dosięgła również działaczy i partyjne instytucje, między innymi — o ironio! — *Trybunę Ludu*, z którą moczarowcy mieli swoje porachunki, szczególnie się zawzięwszy na jej naczelnego redaktora Leona Kasmana, uchodzącego za eksponenta „ulicy Puławskiej” i na dobitkę Żyda. Wzmianka o naczelnym organie prasowym PZPR zawiera zaledwie jedenaście wierszy, mniej niż informacja o *Życiu Warszawy* i *Żołnierzu Wolności*, gdzie „chłopcy generała” zadomowili się już od dłuższego czasu. Sam Kasman, o którym można się dowiedzieć w piątym tomie, że był osiem lat zastępcą, a potem dwanaście lat naczelnym redaktorem partyjnego dziennika, został w jedenastym tomie (w hasle *Trybuna Ludu*) pominięty milczeniem, chociaż na przykład w informacji o *Życiu Warszawy* nie omieszkało wylizywać wszystkich naczelnych redaktorów tej gazety.

Podobną metodę zastosowano wobec pism literackich. Jeśli w relacji o *Twórczości* nie oszczędzono słów i przypomniano wszystkich jej naczelnych redaktorów, wymieniwszy nawet specjalne numery Iwaszkiewiczowego miesięcznika, to z hasła *Dialog* usunięto nazwisko Adama Tarna, który to pismo stworzył i dwanaście lat redagował podniósłszy je do rzędu najlepszego czasopisma teatralnego w Europie. Za to *Życiu Literackiemu* Władysława Machejka, który sprzymierzył się z Moczarem, oddano największe honory: dostało ono hasło trzykrotnie większe niż *Polityka*, chociaż ta ma nakład kilka razy większy niż krakowski tygodnik, i wymieniono nie tylko wszystkich redaktorów pisma, ale i jego dwudziestu dwóch „najbliższych współpracowników”.

Przemilczenia, uszczypliwości i złośliwe manipulacje faktami nie wyczerpują repertuaru poprawiaczy, którzy dobrali się do WEP. Nie przebierali oni już w środkach wszędzie tam, gdzie chodziło o informacje o niedalekiej przeszłości historycznej, jeszcze żywej w ludzkiej pamięci i dlatego tym niebezpieczniejszej dla nich. Zarówno w jedenastym jak i dwunastym tomie nie pogardzono żadnym kłamstwem, byle tylko wypaczyć obraz drugiej wojny światowej i niemieckiej okupacji w Polsce, bądź zmyć z Rosji ślady jej politycznych przestępstw.

Dla zilustrowania techniki tych fałszów przytoczę kilka przykładów zaczerpniętych z haseł, które wracają do wojennych wy-

darzeń, począwszy od paktu zawartego w 1939 roku między Trzecią Rzeszą i Związkiem Sowieckim. O tej umowie jest w dwunastym tomie mowa dwukrotnie. Pierwsza wzmianka, w hasle „II wojna światowa 1939-45”, brzmi krótko i wstydliwie: „W dniu 23 sierpnia w Moskwie podpisany został niemiecko-radziecki układ o nieagresji” (str. 453). O tajnych klauzulach umowy, które ustaliły podział wpływów obu jej kontrahentów na wschodzie i w konsekwencji zdecydowały o zagładzie państw bałtyckich, ani słowa. Po raz drugi wraca do tej sprawy hasło „Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich” w rozdziale „Historia” pióra Walerego Namiotkiewicza, wtedy sekretarza Gomułki i powiernika Moczara. Świeżo upieczony dziejopis wywodzi: „[...] 29 VIII 1939 rząd radziecki zdecydował się podpisać pakt o nieagresji z III Rzeszą. To posunięcie taktyczne pokrzyżowało plany polityków zachodnich i pozwoliło ZSSR zyskać na czasie, aby umocnić obronność kraju” (str. 801). Od Namiotkiewicza dowiadujemy się zatem, że pakt Ribbentrop-Mołotow był nie tyle paktem co „posunięciem taktycznym”, jakimś sprytnym manewrem, który wywiódł w pole zachodnie państwa i hitlerowskie Niemcy. Chociaż owo „posunięcie” dało Hitlerowi swobodę ruchów na wschodzie i umożliwiło mu najazd na Polskę, moczarowski badacz dziejów aprobejuje je w pełni, albowiem pozwoliło Stalinowi umocnić obronną siłę Sowieców. Z tym „umocnieniem” było jednak tak fatalnie, że w końcu sam Namiotkiewicz zmuszony jest zrobić salto mortale i zaprzeczyć samemu sobie. Już po kilku zdaniach obala on własne kłamstwo pisząc o owej „umocnionej obronności”: „Wojska radzieckie stawiły bohaterski opór, lecz musiały się cofać, ponosząc znaczne straty w ludziach i sprzęcie bojowym. Taki bieg wydarzeń był rezultatem m.in. błędów kierownictwa państwowego ZSRR w ocenie ewentualnego terminu napaści i związanych z tym zaniedbań w przygotowaniach do odparcia pierwszego uderzenia” (str. 802). Tak więc na jednej stronie mamy taktyczny manewr zapewniający Rosji wszelkie możliwe korzyści, na drugiej generalną klapę, „zaniedbania” i „błędy kierownictwa państwowego”.

O możliwościach Namiotkiewicza-historyka świadczy także jego relacja o polsko-sowieckich stosunkach w czasie drugiej wojny światowej. Snując w dalszym ciągu nić dziejów wspomina on o zawarciu układu i nawiązaniu dyplomatycznych stosunków między rządem generała Sikorskiego i Związkiem Sowieckim. Ale potem, jak gdyby rażony zanikiem pamięci, zapomina nadmienić o zerwaniu tej umowy i przyczynach konfliktu, choć przecież miał przy tej okazji możliwość wypomnienia Niemcom zbrodni katyńskiej.

Z podobną bezceremonialnością poczyna sobie Namiotkiewicz



z innymi faktami historycznymi, zwłaszcza z zatargiem sowiecko-fińskim. Na ogół rozmowny, nabiera tu wody w usta. Dramat małego narodu, na który zniemacka zwała się lawina miażdżącej przemocy, streszcza w krótkim zdaniu: „30 XI 1939 wybuchła wojna radziecko-fińska, zakończona klęską Finlandii”. Dlaczego wybuchła, kto ją rozpoczął i zawinił, jaki był jej przebieg — to wszystko pozostaje zagadką. Jeszcze cyniczniejsze sformułowania o wojnie sowiecko-fińskiej znajdujemy w tym samym tomie w (anonimowym) artykule „II Wojna światowa 1939-45”. Tutaj już pobłogosławiono sowiecką agresję i obarczono Finlandię winą za wybuch wojny: „Odmowa przez Finlandię — czytamy — uwzględnienia postulatów związanych z bezpieczeństwem ZSRR (co uczyniły Litwa, Łotwa i Estonia) doprowadziła do wybuchu wojny fińsko-radzieckiej, zakończonej traktatem pokojowym 12. III. 1940 w Moskwie, który przyznał ZSRR Przesmyk Karelski z miastem Wyborg, odsuwając przez to granicę fińsko-radziecką od Leningradu” (tom 12, str. 453). Autor lub autorzy przezornie przemilczają postawione przez Rosję „postulaty”, która domagała się prawa zakładania w Finlandii baz wojskowych i tranzytu swoich wojsk przez fińskie terytoria, innymi słowy zażądała, by sąsiadujące z nią suwerenne państwo popełniło samobójstwo. WEP nie wspomina również o tym, że Związek Sowiecki został wykluczony z Ligi Narodów za najazd na Finlandię. Natomiast dostała się pochwała trzem państwom bałtyckim za to, że ugięły się brutalnej przemocy sterroryzowanej przez Niemcy Hitlera i Rosję Stalina. W przytoczonym zdaniu uderza wreszcie, poza problematyczną polszczyzną, zwrot wojna „fińsko-radziecka”, tak jakby to Finlandia zwróciła się do ZSRR o oddanie jej lewego brzegu Newy i Leningradu, a kiedy spotkała się z odmową, napadła podstępnie na Związek Sowiecki.

W metodzie moczarowskiej szkoły historycznej zaskakuje zupełna nonszalancja i nie liczenie się z logiką czytelnika. Adeptci tej szkoły przytaczają niewygodne fakty tylko wtedy, kiedy nie można ich przemilczeć, potem im zaprzeczają, inne cytują połowicznie, inne znowu wyrzucają na śmietnik, nie troszcząc się o zdrowy sens relacji. Oto inny przykład. W historycznym rozdziale hasła „Węgry” Jan Reychman, dotarłszy do czasów najnowszych, rozwodzi się nad wydarzeniami 1956 roku. Przy tej sposobności informuje nas o „poważnych wypaczeniach budownictwa socjalizmu”, o łamaniu praworządności, represjach i procesach za reżymu Rákosi’ego, dalej o budapeszteńskich demonstracjach w 1956 roku i walkach zbrojnych spowodowanych, zdaniem Reychmana, przez „elementy kontrrewolucyjne”, wreszcie o rządach Nagy’ego. Co potem? Według profesora Reychmana dalszy bieg wydarzeń był następujący: „Przeciw posunięciom Nagy’ego

wystąpił dotychczasowy wicepremier J. Kadar, który 4. XI. 1956 proklamował utworzenie rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego (został utwór premierem); jednocześnie na miejsce faktycznie rozwiązanej WPP powstała Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza (WSPR). Nastąpiła stopniowa stabilizacja polityczna i gospodarcza na Węgrzech, przywrócono praworządność socjalistyczną” (tom 12, str. 227). Czytelnik młodej generacji, który zajrzy do WEP w roku — przypuśćmy — 1983, nie będzie mógł wywnioskować z tych słów, co się właściwie stało na Węgrzech w roku 1956 i w jakich warunkach Kadar przejął władzę po Nagy’u. Po prostu zmienił się skład gabinetu, pomyśli, i zmieniła się nazwa partii. Dzięki magicznemu kunsztowi profesora Reychmana czołgi sowieckie znikły z ulic Budapesztu, z Encyklopedii i z historii; Nagy, Maleter i towarzysze, wydani przez Kadara Sowietaom i przez nich straceni, też rozwiiali się w nicłość. Ostała się tylko „stopniowa stabilizacja” i „praworządność socjalistyczna” i w pięknym kraju Madziarów zapanował błogi spokój. Po przeczytaniu wywodów profesora Reychmana pojąłem dopiero sens niemieckiego powiedzonka z czasów Wiosny Ludów: „*Siebenunddreissig Professoren, Vaterland — du bist verloren!*”.

Kilka słów należy się sposobom informowania o Związku Sowieckim. Wszystko co pozostaje w bezpośrednim albo pośrednim związku z krajem zwycięskiego socjalizmu uchodzi w Polsce Ludowej za tabu. O Wielkim Bracie można pisać tylko dobrze i żadna cenzura nie pozwoliła i nie pozwoli szargać świętości. Jeśli jednak w pierwszych dziesięciu tomach starano się przynajmniej zachować pozory przyzwoitości, to w dwóch następnych już nie szczędzono wazeliny i służalczość przebrała wszelką miarę. Z czołobitnością idzie w parze wyraźna tendencja neostalinowska, chęć zatuszowania brzydkich plam, które zeszpeciły „Słowniczko socjalizmu”.

Wiadomości o Józefie Wissarionowiczu Stalinie czerpie czytelnik WEP z trzech źródeł: 1) ze szkicu „Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego” w piątym tomie, 2) z biograficznego zarysu „Stalin” w dziesiątym, i 3) z hasła „Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich”, ściślej mówiąc z jego części historycznej w dwunastym tomie. Dwa pierwsze hasła są anonimowe, autorem trzeciego jest, jak wspomniano, Walery Namiotkiewicz. Ponieważ niektóre sformułowania i zwroty powtarzają się w identycznym brzmieniu we wszystkich trzech hasłach, nasuwa się podejrzenie, że albo wyszły spod jednego pióra, albo ich autorzy odrzynali z jednego i tego samego elaboratu. Kwestia autorstwa ma tu jednak podrzędne znaczenie, ważniejsze natomiast są różnice w sposobie portretowania „Wodza narodów”.

Hasła piątego i dziesiątego tomu wyrażają się o Stalinie



z chłodną rezerwą i prócz jednego komplementu („Wniósł poważny wkład w dzieło zwycięstwa nad Niemcami”, tom 10, str. 749) znajdują dla niego tylko słowa krytyki lub poprzestają na wyliczaniu biograficznych szczegółów lub faktów historycznych. W obu hasłach znaleźć można wzmianki o „ograniczaniu demokracji w państwie i w partii”, o „naruszaniu leninowskich zasad kolektywności kierownictwa” (wszelkie odstępstwa od leninowskich zasad należą do sowieckich grzechów głównych), są także informacje o stalinowskich represjach, procesach politycznych, fałszywych oskarżeniach przeciwko większości uczestników XVII zjazdu WKP(b) i zagadkowych okolicznościach zabójstwa Kirowa, wreszcie o likwidacji wojskowych przywódców. Jest nawet zarzut — nie spotkałem go w żadnym z leksykonów Bloku Wschodniego — stwierdzający, że Stalin dławił suwerenność satellickich państw i „bratnich partii: „Po drugiej wojnie światowej dążenie Stalina do ograniczenia samodzielności innych państw socjalistycznych oraz partii komunistycznych, narzucanie przez Stalina form stosunków między nimi, znalazło najjaskrawszy wyraz w konflikcie z Jugosławią” (tom 10, str. 749). WEP nie okazała także zachwyty dla intelektualnych przymiotów zmarłego dyktatora, o czym świadczą sarkastyczne komentarze do jego tezy „o rzekomym zaostrożaniu się walki klasowej w miarę postępu budownictwa socjalistycznego” i pogląd, że „apodyktyczne stwierdzenia (Stalina) przyjmowane za dogmaty opóźniły rozwój w wielu dziedzinach nauki, sztuki i praktyki społecznej”.

W roku 1968, kiedy powiały inne wiatry, ideolodzy Marca zrzucili maski i złożyli otwarty hołd ceniom Stalina, co również nastąpiło na kartach WEP. Dzięki intensywnemu makijażowi i innym zabiegom kosmetycznym Namiotkiewicza i jego towarzyszy znikły ze stalinowskiego oblicza brzydkie zmarszczki i fałdy — odstępca przeobraził się raptem w wiernego ucznia Lenina i pełnego mądrości i zasług męża stanu. Oto kilka przykładów.

Chłodna wzmianka z dziesiątego tomu, że Stalin „zwalczał zdecydowanie wszelkie stanowiska opozycyjne (L. D. Trockiego, N. I. Bucharina, A. I. Rykowa, G. J. Zinowiewa, L. B. Kamieniewa i in.)”, została skorygowana tak, by mógł on ukazać się w pełnej aureoli zbawcy proletariatu: „Poddał on krytyce zarówno dogmatyczno-sekciarskie poglądy Trockiego, jak i rewizjonistyczne tezy 'opozycji robotniczej' oraz grupy 'demokratycznego centralizmu'” (tom 12, str. 798). I dalej: „W tym okresie walk z trockizmem wybitną rolę odegrał Stalin: jego przemówienia i artykuły służyły popularyzacji leninowskiej myśli politycznej i przyczyniły się poważnie do izolacji trockistów w szeregach partii; wniosły też wiele oryginalnych argumentów do opracowanej już przez Lenina koncepcji budownictwa socjalizmu w jed-

nym kraju. Wszystko to sprawiło, że Stalin zdobył sobie wysoki i uzasadniony autorytet w szeregach partii i całego międzynarodowego rewolucyjnego ruchu robotniczego” (tamże str. 799).

Z kolektywizacją, która powszechnym zdaniem historyków pochłonęła więcej ofiar niż czas rewolucji i wojny domowej, Namiotkiewicz poradził sobie bez większego trudu. Jeśli jeszcze z piątego tomu dowiedzieliśmy się, że w dobie uspołecznienia sowieckiej gospodarki rolnej „dochodziło do łamania leninowskiej zasady dobrowolności”, to nasz historyk zgubił Lenina po drodze i zadowolił się łagodną formułą, że „zdarzały się wypadki gwałcenia zasady dobrowolności”. Przyznał także, że były jakieś „przegięcia i błędy”, ale wytłumaczył je czym prędzej „nadmiernym pośpiechem” i w końcu bąknął coś o „zjawiskach negatywnych”, jak „obniżenie poziomu hodowli zwierząt gospodarskich”, który to eufemizm miał przesłonić masową, nie spotykaną w dziejach rzeź bydła. Tak idyllicznego obrazu kolektywizacji nie podobna znaleźć nawet w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej.

Po śmierci Stalina Chruszczow odsłonił co prawda nie całą, ale sporą część prawdy o Stalinie. Piąty tom WEP pokwitował to wydarzenie wzmianką, że XX zjazd sowieckiej partii przeprowadził ostrą krytykę Stalina i jego metod działania. Co na to Namiotkiewicz? Owszem, zgodził się, mowa Chruszczowa odegrała dużą rolę w międzynarodowym ruchu komunistycznym, ale dodał natychmiast, że mówca w ferworze znacznie przeholował. „Cechowała ją — powiedział o krytyce Chruszczowa — powierzchowność, a przez to także pewna przesadna jednostronność” (tom 12, str. 804).

Namiotkiewicz starał się skwapliwie zmyć ślady krwi z rąk Wielkiego Rzeźnika wypomniawszy mu tylko trzy grzechy: 1) wytworzenie „atmosfery nieomyślności i absolutnego autorytetu”, 2) „negatywne cechy charakterologiczne” i 3) „poważne błędy teoretyczne”. O „praktycznych” błędach Stalina, które pochłonęły dziesiątki milionów ofiar i zamieniły Rosję w więzienie, Namiotkiewicz jeszcze nie słyszał. Ale i te zarzuty usiłował osłabić dwoma argumentami. Po pierwsze Stalin nie był taki zły, gorsi byli jego doradcy, jako że mieli jeszcze bardziej negatywne „cechy charakterologiczne” — „niejednokrotnie wprowadzali oni w błąd Stalina i kierownictwo partyjne obciążając nieuzasadnionymi oskarżeniami wielu działaczy, co w konsekwencji doprowadziło do tragicznych powikłań” (tom 12, str. 800). Po drugie zawiniły obce wywiady: „Wywiady państw imperialistycznych starały się wykorzystać istniejącą wewnątrz kierownictwa atmosferę i montowały różnorakie prowokacje, rzucając podejrzenia na uczciwych działaczy” (tamże). Teraz już wiemy, kto pchnął pocziwca na drogę zbrodni.



Ostatni, trzynasty tom WEP, czyli tak zwany Suplement, różni się wielce od tego rodzaju edycji. Po pierwsze — powstał w piorunującym tempie. Suplementy wielkich encyklopedii europejskich ukazują się z reguły co pięć lat, rzadziej w krótszych odstępach czasu. Autorzy polskiego suplementu zwijali się jak w ukropie. „W trosce o jak najszybsze uzupełnienie braków i poprawienie błędów — zapewniają w przedmowie — w wydanych dziesięciu tomach Encyklopedii, już w trakcie korekt i druku 12 tomu przystąpiono do przygotowania Suplementu”. Druk dwunastego tomu zakończono w grudniu 1969, a Suplement oddano do składania w styczniu 1970 roku. Jeszcze nie obeschła farba drukarska w dwunastym tomie, a pogrążeni „w trosce” poprawiacze już uporali się z Suplementem. „Wyciągając wnioski z całokształtu krytycznej oceny — piszą w przedmowie — z którą się Encyklopedia spotkała w okresie edycji pierwszych dziesięciu tomów, dzięki pomocy władz partyjnych i państwowych, instytucji i organizacji społecznych oraz szerokiej współpracy świata nauki polskiej, odnowiony zespół redakcji opracował odpowiedni program zmian i uzupełnień pierwszego wydania oraz założenia Suplementu, który Wydawnictwo postanowiło wydać w możliwie szybkim terminie”. Ze wspomnianych tu władz państwowych i instytucji społecznych szczególnie wydatnej pomocy udzieliły Ministerstwo Bezpieczeństwa i rządzony przez Moczara ZBOWID. „Świat nauki polskiej” zbojkotował Suplement, natomiast duże zasługi w jego opracowaniu poniósł półświatek nauki polskiej, złożony z doktorów „moczaris causa” promowanych na przedzie i masowo w roku 1968.

Nowym redaktorem robota paliła się w rękach, chcieli jak najprędzej skorygować „błędy i wypaczenia” swoich poprzedników. Właściwie nie tyle chcieli ile zostali zmuszeni do tego przez *vox populi*. „W latach 1967-68 — raz jeszcze cytuję przedmowę — opinia publiczna zwróciła także uwagę na błędy naukowe i polityczne dzieła”. Wiemy co to za opinia, fabrykowali ją Kąkol, Gontarz, Walichnowski, Namiotkiewicz, Kazimierz Rusinek, Sokorski, Sidor *et consortes*. Sfabykowali zresztą nie tylko opinię, ale i Suplement. Namiotkiewicz jest autorem większości haseł „ideologicznych”, także Walichnowski nie odmówił współpracy; Kazimierz Rusinek jest cytowany w bibliografiach; jeśli ktoś z tego towarzystwa nie zaszczycił Suplementu swoim piórem, uhonorował go przynajmniej nazwiskiem. Dostał więc hasło Sidor, którego Moczar chciał zrobić ministrem spraw zagranicznych, dostali Sokorski, Kąkol i inni.

Drugą charakterystyczną cechą Suplementu jest układ tekstów. Zawiera on trojakiemu rodzaju hasła zaopatrzone różną ilością gwiazdek: a) hasła nowe — bez gwiazdki, b) hasła uzupeł-

niające — z jedną gwiazdką i c) hasła „wymienne” z dwoma gwiazdkami. Hasła a) i b) spotyka się w każdym suplementcie leksykonowym. Pierwsze z nich korygują zaniedbania, zdarza się bowiem zawsze, że pominięto kogoś lub coś w poprzednich tomach. Hasła uzupełniające znowu kontynuują relacje historyczne encyklopedii, poszerzają hasła biograficzne o daty zgonów, o informacje o nagrodach (Nobla) itp. Inna rzecz, że polski Suplement stosuje ten system w groteskowy sposób: przemilcza bardzo ważne wydarzenia, przeważnie dlatego że nie odpowiadają jego politycznej koncepcji (o czym jeszcze poniżej), i wprowadza informacje bez znaczenia. Na przykład hasło „Casablanka” z drugiego tomu uzupełnia wiadomością: „Uruchomiono montownię samochodów oraz radioodbiorników i telewizorów”, a hasło „Damaszek” wzbogaca informacją, że wybudowano w tym mieście fabrykę telewizorów. W ten sposób można przeobrazić każdy suplement w dziesięciokilową księgę. Trzecia kategoria haseł „wymienionych”, zaopatrzonych dwoma gwiazdkami, jest w polskiej leksykografii unikatem. Specjalna nota wydawnicza poucza, że tymi hasłami należy zastąpić teksty drukowane w poprzednich tomach. Czy stary, anulowany tekst trzeba wyciąć żyłką czy po prostu zakleić go nowym — tego „odnowiony zespół redakcji” nie podaje, zostawiając czytelnikom swobodę decyzji. Oczywiście nie wymyślono tu prochu, lecz sięgnięto po wzory przodujących leksykonów sowieckich.

We wszystkich hasłach „wymienionych” panoszy się najczystszej wody bandytyzm pióra. Redaktorzy Suplementu nie zadali sobie nawet trudu, by dawne teksty zastąpić nowymi, lecz przerabiali stare hasła nie cofając się przed żadnym fałszerstwem i oszustwem. Schemat tych manipulacji jest prymitywny i obejmuje z reguły następujące zabiegi: usunięcie nazwiska autora, wyeliminowanie z bibliografii problematycznych dzieł i autorów, wykreślenie z tekstu niewygodnych zdań lub nawet całych akapitów, wreszcie dopisywanie pożądaných zwrotów i formuł, nie raz zupełnie sprzecznych z duchem dawnego hasła. Wyliczenie wszystkich fałszów, od których roi się Suplement, byłoby Syzyfową pracą, dlatego poprzestaną na kilku przykładach.

Wymienne hasło „Alienacja”, którym nowi redaktorzy polecają zastąpić tekst Bronisława Baczki (z tomu 1-go), jest w Suplementcie anonimowe i przypomina w zarysie to, co Baczko napisał. Ale tylko w zarysie, bo wiele zwrotów skreślono, inne dopisano. Cały ostatni akapit gruntownie przeinaczono, a z bibliografii usunięto nazwiska G. Lukacsa, H. Marcuse i L. Goldmanna. Jeszcze bardziej zdemolowano hasło „Antysemityzm” (również z tomu 1-go). Oba teksty, stary i nowy, są anonimowe, ale w Suplementcie wyrzucono z bibliografii Kotarbińskiego, Ko-



łakowskiego i Sartre'a, zastępując ich o wiele wytrawniejszymi znawcami przedmiotu: Gomułka i Walichnowskim. Wymowne są skreślenia. Aby ukryć przed czytelnikiem tradycje polskiej tolerancji, pominięto w wymiennym hasle zdanie z tomu pierwszego: „Wśród projektów postępowych reform społecznych, ogłoszonych w Polsce w końcu XVIII wieku przez Kołłątaja, Czackiego i innych, znalazło się żądanie zniesienia ograniczeń praw obywatelskich w stosunku do Żydów. Przeciwno antysemityzmowi występowali czołowi polscy pisarze, zwalczający przejawy krzywdy społecznej, między innymi w XIX wieku M. Konopnicka, E. Orzeszkowa”. W końcu redaktorzy Suplementu zrobili przyjemność B. Piaseckiemu i skreślili informację ze starego tekstu: „W okresie międzywojennym programowymi rzecznikami antysemityzmu w Polsce były endecja i ugrupowania z niej wyrosłe (ONR)”.

Znamienną metamorfozę przeszło hasło „Obywatelskie prawa i obowiązki”, w ósmym tomie lakoniczne i ograniczające się do wyliczenia uprawnień i obowiązków obywatela PRL. W Suplemencie hasło to zostało poszerzone sześciokrotnie i przepojone duchem płomiennego marksizmu. Tutaj już pouczono nas, że prawa obywatelskie są w społeczeństwie burżuazyjnym pustą gadaniną i mają tylko charakter formalny, a prawdziwą treścią wypełniły się dopiero w Rosji po rewolucji. Jeśli w dawnym hasle była mowa o „wolności słowa i druku”, to Suplement ostrzega łatwowiernych, że „odpowiednie przepisy prawne i instytucje zabezpieczają przed wykorzystywaniem tego prawa do celów sprzecznych z założeniami ustroju socjalistycznego”. W porównaniu z państwami kapitalistycznymi udoskonalili się także obowiązki obywatelskie w PRL, wśród których nie brak też obowiązku donosu: „Obowiązek czujności wobec wrogów — brzmi formuła — i strzeżenia tajemnicy państwowej, przejawiający się w obowiązku informowania organów państwowych o zauważonych przejawach wrogiej działalności godzącej w podstawy ustroju...”.

Zupełnie surrealistycznie brzmi wymienne hasło „Centralizm demokratyczny”, albowiem zawiera ono tezy, które nigdy nie zetknęły się z rzeczywistością i pozostały w sferze czystej abstrakcji. W drugim tomie pisał o tym problemie Mieczysław Maneli, w Suplemencie skorygował go Mieczysław Łopatka. Łopatka nie wysilił się, lecz przepisał to i owo z Maneliego, po czym wyrzucił z bibliografii Z. Baumana i Maneliego, a z tekstu wszystkie niebezpieczne sformułowania, żeby czytelnicy nie brali zbyt dosłownie tego demokratyzmu.

Rekordy fałszerstw bije wymienne hasło „Petrażycki Leon”, które ma zastąpić hasło z ósmego tomu. Autorem starego hasła

był Mieczysław Maneli, pod nowym podpisał się Adam Podgorecki. Podgorecki zaczął od usunięcia z bibliografii wzmianki o książkach Landego i Ossowskiej o Petrażyckim, dalej o pracach Maneliego i J. Wróblewskiego, a powstałą lukę wypełnił swoim nazwiskiem. Potem zabrał się do zatarcia wszystkich śladów, które — jego zdaniem — kompromitują honor Petrażyckiego. Poprawił więc jego pochodzenie społeczne, pomijając informację Maneliego, że autor „Teorii prawa i państwa” „pochodził z rodziny szlacheckiej”. Wyrzucił także wzmiankę, że filozof i prawnik „pracował naukowo w Berlinie pod kierunkiem H. Dernburga” (Maneli) i nie wspominał ani słowem o rosyjskim okresie Petrażyckiego, najwidoczniej dlatego, by nie denerwować towarzyszy z Moskwy, albowiem Petrażycki był politycznym zwolennikiem kadetów. Wreszcie, by zadowolić i towarzysza Walichnowskiego, pominął szczegół podany przez Maneliego, że Petrażycki „w działalności politycznej reprezentował poglądy liberalne. Był przeciwnikiem dyskryminacji narodowościowej i religijnej” i że złożył protest „przeciwko prowokacyjnemu oskarżeniu Bejlisa”. Swoje wysiłki uwieńczył Podgorecki usunięciem całej bibliografii dzieł Petrażyckiego — co jest nieprawdopodobnym *curiosum!* Domyślam się, że autor tego osobliwego hasła zrobił to dlatego, że Petrażycki opublikował dwie swoje pierwsze książki po niemiecku, a trzecią, bardzo źle widzianą w Sowietach, po rosyjsku.

Moczarowcy spostrzegli także nieład w literaturze polskiej i przywrócili porządek z niemiejszą energią. Widomym przykładem i jednocześnie ostrzeżeniem dla niesfornych jest wymienione hasło „Andrzejewski Jerzy”. Tym „Andrzejewskim” należy zakleić Andrzejewskiego z pierwszego tomu, co nie jest znowu takie proste, albowiem redaktorzy Suplementu skrócili hasło o połowę i w dodatku usunęli zdjęcie pisarza. Sądząc z ilości wierszy — a to kryterium jest w każdej encyklopedii miarodajne — Janina Dziarnowska, którą Suplement nazywa wielkodusznie „powieściopisarką”, prawie dorównuje talentem Andrzejewskiemu i być może przerośnie go w następnym wydaniu WEP. Zmiany w tekście są jednak nie tylko natury ilościowej, ale i merytorycznej. Między innymi usunięto z dawnego hasła sformułowanie, które charakteryzuje „Ciemności kryją ziemię” i „Bramy raj” jako „metaforę intelektualną” wyrażającą w alegorycznej formie problematykę naszego czasu, innymi słowy jako przenośnię absolutnej władzy. Nowe hasło natomiast widzi w obu utworach „opowieści historyczne” nie mające nic wspólnego z teraźniejszością, co jest celowym fałszem i nonsensem.

Suplement koryguje jednak nie tylko indywidualne portrety, ale i cały obraz powojennej literatury polskiej. Do tego celu służy



wymienne hasło „Literatura” (jest ono częścią zbiorowego hasła „Polska, Polska Rzeczpospolita Ludowa”), które ma zastąpić odpowiednie hasło z dziewiątego tomu. W starym tekście, kiedy była mowa o dominującej roli przedwojennych pisarzy w pierwszych latach po wojnie, znalazło się miejsce dla wielu autorów różnych poglądów, natomiast w Suplemencie usunięto z tego akapitu nazwisko Miłosza i wypełniono powstałą lukę Piechalem, Leonem Pasternakiem i Anatolem Sternem. W dalszej relacji, która dotyczy okresu po 1956 roku, usunięto wzmianki o „Czarnej róży” Strykowskiemu, „Epizodzie” Ważyka, „Koncercie życzeń” Wygodzkiego, „Kwietniu” Hena. Z opisu życia literackiego w latach sześćdziesiątych wyeliminowano Mrożka, Kołakowskiego, Kotta, Jasienicę, Kijowskiego, Białoszewskiego, zastępując ich Gisgesem, Sandauerem, Załuskim, Osmańczykiem, K. T. Toeplitzem, Andrzejem Wasilewskim, Wilhelmem i innymi podporami reżymu. Z dawnego tekstu został także skreślony cały rozdział pod tytułem „Współczesna literatura polska na obczyźnie” i w ten sposób pozbawiono czytelnika nawet krótkiej informacji o literaturze emigracyjnej.

Niezależnie od tego Suplement wypełnił się nowymi hasłami zapewniającymi wieczystą pamięć grafomanom, których nie przyjęto do poprzednich tomów WEP. Znaleźli się teraz w Encyklopedii wspomniana przed chwilą Janina Dziarnowska, o której *nota-bene* rozpisano się szerzej niż o Gombrowiczu lub Herbercie, dalej totumfacki Moczara Jan Pierzchała grasujący w Katowicach, Janusz Przymanowski, wieszcz polskiej Bellony i autor epepei „Czterej pancerni i pies” oraz — jak informuje tekst — „opowiadań i powieści dla dzieci i młodzieży, łączących przygodową fabułę z elementami patriotycznej dydaktyki”, znalazł się Jan Gisges, autor „liryków społecznych i refleksyjno-krajobrazowych”, wreszcie Auderska, której literatura polska zawdzięcza „Pamiętnik maturzystki” i „sztuki dla scen amatorskich i dzieciennych”.

Suplement także otworzył na oścież drzwi setkom nieznanym autorów i malarzy sowieckich. Czytelnicy WEP wsprawdzie nie będą mieli pojęcia o pisarzach i literaturze polskiej emigracji, ale będą wiedzieli, że kirgiski autor Czyngis Ajmatow pisał „opowiadania i powieści podejmujące problem walki ze starą obyczajowością o nowe ideały społeczne i moralne”, że Borys Antonenko-Dawydowycz jest autorem powieści „o życiu ukraińskiego komunisty walczącego z wrogiem klasowym” lub że malarz Arkadij Płastow jest „przedstawicielem realizmu socjalistycznego” i twórcą malowidła „Kolacja traktorzysty”.

Ozustwa plenią się najbujniej w tekstach natury politycznej, zwłaszcza w informacjach o współczesnej Polsce i partii, która

nią rządzi. Dla przykładu rzućmy okiem na uzupełniające hasło „Polska Zjednoczona Partia Robotnicza”, które daje krótki zarys dziejów tej partii od roku 1964 do 1970. Czytając je trudno się nadziwić, ile kłamstw i nonsensów można pomieścić na niecałych dwóch szpaltach. Między rokiem 1964 i 1968, lub według kalendarza partyjnego, między IV i V zjazdem PZPR, partia doprowadziła Polskę niemal do rozkwitu, ponieważ, jak czytamy, „główny wysiłek skupiała PZPR na problemach rozwoju gospodarki narodowej i na doskonaleniu jej funkcjonowania, a zwłaszcza na problemach intensyfikacji i unowocześnienia rolnictwa, usprawnienia działalności inwestycyjnej, efektywności handlu zagranicznego, wzrostu wydajności pracy, przyspieszenia postępu technicznego, ulepszenia systemu zarządzania i planowania. Wysiłki te zapewniły wysokie tempo wzrostu gospodarczego i rozwoju kulturalnego Polski”. Potem stało się nieszczęście — wszystko popsuli rewizjoniści i Izrael, który zalał Polskę syjonistami. Jak grupa intelektualistów i małe państewko oddalone o tysiące kilometrów mogły pokrzyżować plany PZPR, dwumilionowej partii, wspomaganej przez atomowe supermocarstwo, tego Suplement nie wyjaśnia.

Ale partia pozostała czujna. „W marcu 1968 — czytamy dalej — prawica antysocjalistyczna podjęła próbę pchnięcia części młodzieży studenckiej do wystąpień antypaństwowych. Partia prawiłowo rozpoznała istotę oraz polityczne cele sił antysocjalistycznych, zmobilizowała przeciw nim *potężny ruch klasy robotniczej*, aktywnie wsparty przez *większość inteligencji*, i *zdecydowanie rozstrzygnęła* konflikt polityczny na korzyść socjalizmu” (podkreślenia moje, RK). Ów „potężny ruch klasy robotniczej” zmobilizowany przez partię składał się z watah ormowców opłacanych po sto złotych dziennie i suto częstowanych wódką oraz ze szpiclów bezpieki. Robotnicy trzymali się we wszystkich miastach z dala, nie wspomagali na ogół młodzieży studenckiej, ale też nie występowali przeciw niej. Twierdzenie, że moczarskie bojówki miały za sobą większość inteligencji, zakrawa na makabryczny żart. Prawdą jest tylko, że partia „zdecydowanie rozstrzygnęła konflikt polityczny”, ale przy pomocy policji z Gołędzinowa i innych ośrodków szkoleniowych oraz oddziałów bezpieki.

Po tym zwycięstwie partia, oparłszy się przeciwieństwu losu, znowu zwarła szeregi i zwołała zjazd, piąty z kolei. Zjazd, dowiadujemy się, „dał wnikliwą charakterystykę współczesnego rewizjonizmu, wytyczył drogę ideologicznego umocnienia Partii i podniesienia na wyższy poziom ideowego wychowania młodzieży. Zjazd zakreślił program dalszego gospodarczego rozwoju Polski, a w szczególności intensyfikacji gospodarki przez pełne



wykorzystanie zdobyczy naukowo-technicznych, określił również zadania Partii w dziele umocnienia jedności państw systemu socjalistycznego...". Zdawałoby się, że tym razem będzie już wszystko dobrze, bo rewizjonistów i syjonistów rozgromiono i ułożono doskonały plan gospodarczy. I oto raptem, wbrew wszelkiej logice i wszelkiemu spodziewaniu, zaskakuje nas, jak grom z jasnego nieba, konkluzja: „Na tle trudności gospodarczych oraz pewnych nieprzemyślanych koncepcji w polityce socjalnej i ekonomicznej doszło 1970 do ostrych napięć społecznych, których wyrazem były wydarzenia na wybrzeżu w grudniu 1970”. Jak pogodzić owe „nieprzemyślane koncepcje w polityce socjalnej i ekonomicznej” ze świetnym planem gospodarczym partii, w dodatku opartym na zdobyczach naukowo-technicznych? I kto nie przemyślał tych koncepcji? Co oznacza zwrot „wydarzenia na Wybrzeżu”? Jakie wydarzenia? Na jakim Wybrzeżu? Jaki był ich przebieg, jakie przyczyny i jakie skutki? Jaka wartość informacyjną będą miały te zdania dla czytelnika, który zajrzy do Encyklopedii po upływie dziesięciu, dwudziestu lub trzydziestu lat? Oto jak autorzy Suplementu utkali historię swej partii z kłamstw, niedorzeczności i kłopotliwych niedomówień.

Ale nie dosyć tego. Hasło kończy się informacją, że zwołano potem VII plenum KC PZPR, które przyjęło „rezygnację Gomułki ze stanowiska pierwszego sekretarza KC”. Te słowa są listkiem figowym, który ma przesłonić okoliczności tej „rezygnacji”. Następnie dowiadujemy się, że poczyniono zmiany w składzie Biura Politycznego, że jego członkami są teraz oprócz Gierka Moczar, Olszowski i inni, ale nie ma ani słowa o wyeliminowaniu Gomułki, Kliszki, Spychalskiego, Jaszczuka i Strzeleckiego. Po prostu zapadli się pod ziemię.

Marcowe piętno odcisnęło się także na opisie wydarzeń 1968 roku w Czechosłowacji. W dwóch hasłach: „Czechosłowacja” i „Komunistyczna Partia Czechosłowacji” historycy Suplementu pobłogosławili zbrojny najazd na ten kraj, motywując go następująco: „Przedstawiciele kierownictw partii komunistycznych i robotniczych, zaniepokojeni rozwojem wydarzeń w Czechosłowacji, wielokrotnie w różnych formach dawali wyraz trosce o losy socjalizmu w tym kraju. Chwiejność i bierność kierownictwa KCCz stworzyły groźbę dla losów socjalizmu w Czechosłowacji. W tej sytuacji komunistyczne i robotnicze partie 5 krajów (Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i ZSRR), kierując się zasadami przyjaźni i współpracy oraz zgodnie z istniejącymi zobowiązaniami sojuszniczymi, postanowiły udzielić narodowi czechosłowackiemu natychmiastowej pomocy włącznie z pomocą wojskową”. Daremnie szukamy wyjaśnienia, czy narody Czechosłowacji domagały się pomocy, kiedy i w jakiej formie o nią prosiły, wreszcie jakie

to paktów zawarte przez państwa Bloku Wschodniego przewidują zbrojną interwencję jednego z kontrahentów na suwerennym terytorium drugiego.

Suplement zawiera także kilkadziesiąt, uzupełniających lub zupełnie nowych, hasła podających krótki zarys rozwoju partii komunistycznych na Zachodzie. Większość tych artykułów jest niezgodna z prawdą historyczną lub ufryzowana. W hasła „Komunistyczna Partia Wielkiej Brytanii” znaleźć można niewiele znaczące szczegóły, ale brak wiadomości, że ta partia potępiła „pomoc” udzieloną Czechosłowacji przez jej sąsiadów pogrążonych „w trosce o losy socjalizmu”. Owszem, jest wzmianka, że angielscy komuniści potępiłi — ale wojnę w Wietnamie i „devaluację funta”. Również w hasła „Francuska Partia Komunistyczna” nie powiadomiono czytelników, że protestowała ona wielokrotnie przeciwko agresji na Czechosłowację, natomiast skwapliwie podkreślono, że potępiła „szkodliwą działalność KP Chin”. Zabawnie brzmi tekst „Komunistyczna Partia Danii”. Duńscy komuniści, pod przewodnictwem Axela Larsena, już w pięćdziesiątych latach wypowiedzieli się przeciwko linii Moskwy. W roku 1958 doszło do rozłamu i Larsen założył Socjalistyczną Partię Ludową. Z komunistycznej partii pozostał tylko cień, tak że w wyborach parlamentarnych w roku 1960 nie zdobyła ani jednego mandatu. Tę katastrofalną klęskę Suplement przedstawia — jako sukces. „Wprawdzie — czytamy — zmniejszyło to liczebność (partii), umocniło jednak jej zwartość ideologiczną i organizacyjną”. Autorzy Suplementu wyszli też zgrabnie z opresji w relacji o Komunistycznej Partii Norwegii. Co napisać o stronnictwie, które wprowadziło w 1946 roku jedenastu posłów do Stortingu, ale potem — zdyskredytowane swoją stalinowską polityką — utraciło znaczenie, wyborców, olbrzymią większość członków i wszystkie mandaty w parlamencie? Jednakże towarzysze z Encyklopedii nie dali się zbić z tropu i po długich poszukiwaniach znaleźli promyczek w ciemnościach: „Komunistyczna Partia Norwegii — zakonkludowali — poświęca wiele uwagi sprawie jedności w partii i ruchu robotniczym w Norwegii; żąda wystąpienia Norwegii z NATO i wycofania się jej ze współpracy wojskowej z NRF”. Dobre i to.

Na zakończenie kilka słów o hasłach „ideologicznych”, z reguły anonimowych lub sygnowanych przez Walerego Namiołkiewicza, które powołują się w bibliografii na takich znawców partyjnej doktryny jak A. Kruczkowski, Werblan, Wiatr, Szydłak, Gomułka, Walichnowski, Filler, Kolczyński. W tych artykułach autorom chodzi przede wszystkim o obronę „czujności”, „ideowej czystości”, o walkę z krajowym i zewnętrznym wrogiem. Jest to w gruncie rzeczy późniejszego gatunku publicystyka



wzorowana na hasłach Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, pełna frazeologii, doktrynerstwa, drętwej mowy i donosów. Z tej grupy wspomnę — dla przykładu — o hasłach: „Antykomunizm”, „Rewizjonizm”, „Dogmatyzm”, „Dywersja ideologiczna”, „Praworządność socjalistyczna”, „Patriotyzm”, „Nacjonalizm”.

Hasło „Antykomunizm” jest o tyle cenne, że zawiera między innymi okrucy myśli Koczynskiego i Werblana, cytowanych w bibliografii. Tekst odpowiada całkowicie moskiewskiej racji stanu, wszystko co szkodzi Rosji jest antykomunistyczne. Wroga komunizmowi jest więc nie tylko polityka zimnej wojny, ale i polityka odprężenia, lub mówiąc słowami autora, „pokojowego zaangażowania w Europie Wschodniej”. I tak źle, i tak niedobrze. Ba, taktyka pokojowej współpracy jest nawet gorsza i perfidniejsza, ponieważ Zachód, nawiązując z państwami wschodnimi korzystną dla nich wymianę handlową, udzielając im kredytów, ulg celnych i pomocy gospodarczej, chce poróżnić je ze Sowiecami. Uderza tu masochistyczna mania i obłądny strach: lepiej wyrzec się korzyści handlowych, lepiej zrezygnować z nieodzownych Polsce towarów, maszyn, zbóż — lepiej narazić ją na największe szkody niż na zarzut niewierności wobec Moskwy.

Hasło „Rewizjonizm” kopiuje tezy wyłożone w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, ale jest dwa razy obszerniejsze od rosyjskiego tekstu. Autor, Walery Namiotkiewicz, nie żałował słów, albowiem chciał za wszelką cenę usprawiedliwić pucz i prowokację marcowe. Artykuł rozróżnia dwa rodzaje rewizjonizmu, „klasyczny”, zainicjowany przez Bernsteina, i współczesny, rodzony na ruinach stalinizmu. Rozważania o tym drugim rewizjonizmie zaczynają się od donosu, od wyliczenia czołowych rewizjonistów w Polsce, których większość przebywała w kraju, kiedy Suplement ukazał się w druku. Namiotkiewicz zalicza do nich Kołakowskiego, Baumanę, Baczkę, Brusa, Zimandę, Wirpszę, Woroszyłskiego. Adam Schaff dostał łaski i został określony jako prawie-rewizjonista. Po roku 1956 rewizjonizm, zdaniem autora, wykorzystał „skomplikowaną sytuację”, w której „znalazł się międzynarodowy ruch robotniczy” (ten mglisty eufemizm oznacza załamanie się stalinizmu), i przygotowywał się do obalenia komunizmu w Polsce, ale w końcu lat sześćdziesiątych partii udało się rozbić szeregi wroga. Zdawało się, że nadeszła ostatnia chwila rewizjonizmu, aż tu nagle przyszedł mu w sukurs „zagraniczne ośrodki propagandy” i „dzięki temu wsparciu siły rewizjonistyczne, nawet ilościowo słabe i pozbawione szerszej bazy społecznej, mogły się w Polsce utrzymać i uprawiać rewizjonistyczną demagogię”. Potem wykorzystano zamieszanie „syjonizm” i „inne siły antysocjalistyczne”, co w końcu doprowadziło do eksplozji w marcu 1968 roku. W tym wywodzie zawierającym

swoistą interpretację marcowych wydarzeń powraca stary, oklepany schemat: partia jest silna i za nią stoi murem całe społeczeństwo, natomiast opozycja składa się z małej grupy awanturników pozbawionych „szerszej bazy społecznej”. Ale w jaki sposób garstka „demagogów” mogła porwać za sobą rzesze studentów i większość intelektualistów, jak mogła zmusić władze do zmobilizowania potężnej siły policyjnej i wojskowej? I na to jest odpowiedź: jak *deus ex machina* pojawiają się „zagraniczne ośrodki propagandy” i „inne siły antysocjalistyczne” — anonimowe i bliżej nie określone.

Jeśli dla rewizjonistów Namiotkiewicz jest bezlitosny, to — idąc śladami Gomułki — ma wcale duże wyrozumienie dla dogmatyków. Uzupełniające hasło „Dogmatyzm”, trzy razy obszerniejsze od odpowiedniego tekstu w trzecim tomie, jest popisem talmudycznej ekwilibrystyki słowa i sekciarstwo. Po tasiemcowym wywodzie autor dochodzi do wniosku, że wielkimi reprezentantami dogmatyzmu w ruchu robotniczym są Bernstein, Trocki i Komunistyczna Partia Chin. Tak więc zapomniawszy, że w artykule o rewizjonizmie zaliczył Bernsteina do czołowych rewizjonistów, wrzucił go do jednego kotła z Mao Tse-tungiem i dodał im dla towarzystwa Trockiego z jego tezą rewolucji światowej. Co ciekawsze, o ile skrupulatnie wymienił po nazwisku polskich rewizjonistów, o tyle zaoszczędził tej nieprzyjemności dogmatykom — aby nie urazić synów marnotrawnych partii.

Na tym nie kończy się lista wrogów, są jeszcze dywersanci, o których jest mowa w hasle „Dywersja ideologiczna”. Odpowiedniego hasła brak w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, ale autorzy Suplementu skorygowali niedopatrznie rosyjskich towarzyszy. Głównymi rzecznikami tej dywersji są dwa drapieżne imperializmy: amerykański i zachodnio-niemiecki. Autor nie mógł przewidzieć wtedy, że w przyszłości zmieni się konfiguracja polityczna i że państwa komunistyczne, nie wyłączając Polski, nawiążą przyjazne stosunki z NRF. Dziś prawdopodobnie napisałyby trochę inaczej.

Wzorem pustostłowa są hasła „Praworządność socjalistyczna” i „Demokracja socjalistyczna”. Zawierają one frazesy bez pokrycia, innymi słowy są publicystyczną odmianą „sorealizmu” w literaturze. Praworządność socjalistyczna, zapewnia nas Suplement, polega na tym, że „prawa są ściśle przestrzegane przez organy państwowe i przez obywateli i że istnieją i działają gwarancje przestrzegania praw”. Wszystko się zgadza, ale na papierze. Prawo przestrzegają obywatele, ale nie organy państwowe, a gwarancje przestrzegania praw istnieją, tylko nie działają. Na wszelki wypadek nie wspomniano o kardynalnym warunku praworządności



— niezawisłości sądów. Przemilczano również, jak to jest naprawdę z praworządnością w powojennej Polsce, jak w ciągu dwudziestu lat systematycznie gwałcono prawa, co przyznawali oficjalnie i wielokrotnie działacze partii i rządu z towarzyszem Gomułką na czele. Hasło kreśli obraz czerwonej Arkadii, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością państw komunistycznych.

Podobnie ma się rzecz z tezami hasła „Demokracja socjalistyczna”. „W systemie demokracji socjalistycznej — czytamy — ludzie pracy decydują nie tylko o składzie władz przedstawicielskich narodu (sejmu, rad narodowych), lecz także wywierają realny wpływ na ich działalność”. Kto zna dzisiejszy mechanizm wyborów w Polsce, marionetkową rolę Sejmu, bezsilność lokalnych rad narodowych, działalność cenzury i bezpieki, ten ze zdumieniem przeciera oczy czytając te słowa.

Podobne wodolejstwo znaleźć można w hasłach „Patriotyzm” i „Nacjonalizm”. Oprócz zwyczajnego, burżuazyjnego patriotyzmu istnieje również, jak Suplement utrzymuje, „patriotyzm socjalistyczny”, którego znamionami są: 1) „realizm polityczny” (?), 2) „odpowiedzialność za rozwój poszczególnych dziedzin życia narodowego”, 3) „postawa ideowego zaangażowania, społecznej aktywności i inicjatywy”, 4) „uczestniczenie w życiu narodu” i 5) „zespolenie własnych ambicji z wysiłkiem klasy robotniczej, całego narodu i państwa”. Zaiste trzeba być nie człowiekiem z krwi i kości, lecz anielską istotą, by zostać patriotą w Polsce Ludowej. O nacjonalizmie natomiast mówi się w hasle uzupełniającym raczej półgębkiem. Dodano to hasło, krótkie i kłopotliwe, by usprawiedliwić szowinizm rozwijających się krajów, z którymi blok sowiecki utrzymuje zażyłe stosunki polityczne. Ich nacjonalizm, dowiadujemy się, jest postępowy i świątły, „bez tendencji do wywyższenia danego narodu nad inne”, ba, nawet ich burżuazji dostały się komplementy, choć często więzi i prześladowuje komunistów.

Z ubolewaniem trzeba stwierdzić, że zarówno jedenasty i dwunasty tom WEP, jak i Suplement są początkiem zła. W przedmowie do Suplementu jego redaktorzy zapowiadają, że czynione są przygotowania do edycji drugiego wydania WEP i dają do zrozumienia, że cała Encyklopedia zostanie przerobiona i „skorygowana”. Jeśli opinia publiczna, ta prawdziwa, a nie dyrygowana przez fałszerzy i eksponentów bezpieki, nie przeciwstawi się temu wandalizmowi, trud ponad 2 000 ludzi, którzy stworzyli Wielką Encyklopedię Powszechną, pójdzie całkowicie na marne.

Roman KARST

## Sprawy i troski

### Wynaradawianie się Polonii Kanadyjskiej

*Nonumque prematur in annum.*

#### WSTĘP

Na podstawie danych ze spisu ludności Kanady z 1951 i z lat poprzednich (spis sporządzany jest co dziesięć lat) przedstawiłem przebieg wynaradawiania się Polonii na łamach *Kultury* w roku 1957 (numer czerwcowy) i w roku 1958 (numer majowy).

W kanadyjskich spisach pochodzenie narodowościowe jest podawane według pochodzenia pierwszego przodka męskiego, który przybył do Kanady (w 1951 i 1961 tylko 1,2 % ludności nie podało swego pochodzenia, w 1971 ten odsetek spadł do 0,61 %), a jako język macierzysty jest określany pierwszy język nauczony w dzieciństwie i jeszcze rozumiany. Podanie w czasie spisu języka polskiego jako języka macierzystego, przyjąłem jako dowód utrzymania narodowości.

Warto zaznaczyć, iż jedynie spisy kanadyjskie podają dane odnośnie pochodzenia etnicznego, języka macierzystego i wyznania.

Język macierzysty wyrażony jako odsetek pochodzenia w spisach ludności w Kanadzie, w miarę upływu lat maleje u każdej narodowości, z wyjątkiem Anglosasów.

Podkreśliłem, że wśród polskiej emigracji spadek tego odsetka, tzn. proces wynaradawiania się, przebiega zbyt szybko, a co gorzej wynarodowieni, tzn. ci co już nie rozumieją języka polskiego, wchodzą w życie Kanady bez zaznaczenia polskiego wkładu. Jedynie w statystykach protestanckiego kościoła — United Church of Canada (spisy kanadyjskie wyszczególniają jedenaście wyznań i obrządków) zaznacza się szybki dopływ członków polskiego pochodzenia.

Materiały ogłoszone po moich artykułach w *Kulturze*, a zwa-



szcza wyniki spisu ludności w 1961 i w 1971 w pełni potwierdzają, że proces wynaradawiania się Polonii w Kanadzie biegnie szybciej niż u innych narodowości. Szczegóły podaję poniżej.

W artykule z 1957 proponowałem długofalową akcję dla zwolnienia tempa wynaradawiania się. Nie podjęto nawet próby i nie dano alternatywy. *Contra spem* — *spero*. Dlatego z pomocą kilku osób dobrej woli, w latach 1953-1971, udało się zrealizować szereg pomysłów, które — z wyjątkiem jednego — były bez kosztów dla Polonii.

Do 1960 starałem się, aby corocznie — co nie zawsze się udawało — na ottawskim uniwersytecie miał miejsce odczyt dobrego fachowca polskiego pochodzenia, pod łącznym protektoratem Uniwersytetu i Stowarzyszenia Polskich Techników w Kanadzie<sup>1</sup>. Tak na przykład, zaproszony wynalazca i wytwórca helikopterów Frank Nikodem Piasecki, przysłał dwu inżynierów, znanych w przedwojennym świecie lotniczym w Polsce — Z. M. Ciołkosza i W. Z. Stępniewskiego, którzy pracowali w jego fabryce, celem wygłoszenia odczytu, z licznymi przezroczami, pt. „The Case For The Tandem Helicopter”, co miało miejsce 17. XI. 1954. Podobnie, 6. X. 1960 mieliśmy odczyt wynalazcy doustnej szczepionki przeciwko polio — dr. Hilarego Koprowskiego. Dziekan Wydziału Medycyny przedstawił publiczności prelegenta, który ze swadą wygłosił odczyt i po mistrzowsku prowadził dyskusję<sup>2</sup>. Biorąc pod uwagę, że w tym czasie zarówno Piasecki jak i dr Koprowski jeździli ze swoimi wytworami po świecie (Dr Koprowski demonstrował masowo swoją szczepionkę i w Polsce), a frekwencja publiczności może zawieść latem i zimą — urządzenie takich odczytów ze sprowadzanymi prelegentami, nie było łatwe.

Gdy w 1957 zakończono zbórkę pod dramatycznym hasłem: „Chleb dla Polski” i zastanawiano się nad użyciem funduszy, bo szczęśliwie zakup żywności nie był nagłący — zaproponowałem wysłanie na ręce Kardynała Wyszyńskiego, rozwiniętego w Kanadzie środka do walki z rakiem, tak zwaną bombę kobaltową (65 szpitali kanadyjskich ma to urządzenie). I bomba kobaltowa stanowiła główną pozycję w wystawach przez Kongres Polonii Kanadyjskiej Kardynałowi darach, na łączną kwotę \$ 165.000. Niestety, nie udało się druga część pomysłu — sprowadzenie z Polski zespołu lekarzy dla zapoznania się z tym urządzeniem w szpitalach kanadyjskich.

Tegoż 1957 roku, po przeczytaniu w gazecie, że jest w druku pierwszy tom dziesięciotomowej „Encyclopedia Canadiana”, odwiedziłem redaktora naczelnego: dr. Johna E. Robbins'a (późniejszego ambasadora przy Watykanie), który pokazał dwu i pół stronicową odbitkę szczerką artykułu: „Polish Origin, People

1. Serię rozpoczął 20. XI. 1953 odczyt dr. J. Łukasiewicza pt. „Flying Faster than Sound”.

2. Tytuł odczytu: „Present Status and Historical Aspects of the Development of Live Virus Vaccine Against Poliomyelitis”.

of”. Za zgodą redaktora i autora artykułu (nie-Polaka) udało się wprowadzić szereg poprawek, a przed nowym wydaniem Encyklopedii w 1968, autor zwrócił się do mnie o uzupełnienia z okresu 1957-1967.

Rok 1963 zrealizował dwa moje pomysły: 5-go marca poczta Kanady wydała w 27 milionach egzemplarzy znaczek z napisem: Sir Casimir Stanislaus Gzowski 1813-1963, a 20 listopada Université de Liège, Institut d'Astrophysique, wmurował tablicę ku czci Stefana Pięnkowskiego, w dziesiątą rocznicę jego śmierci. Przed zatwierdzeniem znaczka, gdy minister Poczty zażądał dowodu, że działalność Gzowskiego nie ograniczała się tylko do zawodu inżyniera, odnalazłem w archiwum list Gubernatora Generalnego Kanady z 5. XII. 1887 do ministra Kolonii w Londynie, gdzie przedstawiając Gzowskiego do orderu Łaźni, opisuje jego zasługi w różnych dziedzinach. W akcji o znaczek znalazłem poparcie Ukraińców, a zwłaszcza dr. V. J. Kaye-Kysilevskyja, którego rodzina — podobnie jak Gzowscy — pieczętuje się herbem Leliwa. Poczta kanadyjska ogranicza znaczki pamiątkowe dla polityków tylko do zmarłych premierów Kanady. Dlatego można wymienić z dziesięciu Kanadyjczyków współczesnych Gzowskiemu niemniej zasłużonych, a których nie uczczono znaczkiem. Niestety był bardzo słaby odzew artystów polskich w Kanadzie na apel o zaprojektowanie znaczka Gzowskiego.

Na XXIII Walnym Zjeździe Stowarzyszenia Techników Polskich w Kanadzie, 19. V. 1963, uchwalono jednomyślnie mój wniosek o podjęcie szeroko zaplanowanej akcji o wydanie przez Poczty Watykańską na Millenium serii znaczków z nadpłatą na potrzeby Kościoła w Polsce. Gdy w odpowiedzi, w liście z 17. I. 1964, Arcybiskup Gawlina odpisał: „Przypuszczam, że uzyskamy znaczki w różnych wartościach ale precedens, że w 1961 Poczta ostrą kontrakcją powołując się na precedens, że w 1961 Poczta Watykańska dla uczczenia tysięcznej rocznicy śmierci św. Meinrada i założenia opactwa Benedyktynów w Szawajcarii — wydała serię z czterech znaczków, każdy innego rysunku. W rezultacie, na Millenium Poczta Watykańska wydała serię z sześciu różnych znaczków. W 1968 przedstawiłem Prezesowi Kongresu Polonii Kanadyjskiej projekt, aby — za uprzednim porozumieniem się z Biskupem Rubinem — zaprosić na 25-lecie Kongresu w 1969 — Kardynała Wyszyńskiego, starając się równocześnie o poparcie zaproszenia w Ministerstwie Spraw Zagranicznych o poparcie zaproszenia w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Ottawie. Jak wiadomo, w 1969 odwiedzili Kanadę w zastępstwie — Kardynał Wojtyła i Biskup dr Wesoły. Pod koniec 1968 urzeczywistnił się inny pomysł: Parafia św. Jacka w Ottawie, na swoją uprzednią prośbę, otrzymała z Rzymu relikwiarz swego Patrona. A ponieważ św. Jacek Odrowąż urodził się pod Wrocławem w 1183, Ottawa posiada obecnie najstarszy znak polski na tej półkuli.

28. I. 1971 — termin oficjalny był do 1. II. 1971 — została zgłoszona w Oslo kandydatura Kardynała Stefana Wyszyńskiego do Pokojowej Nagrody Nobla na rok 1971, powołując się na



Jego pokojową działalność w czasie tragicznych wypadków w grudniu 1970, w październiku 1956 i na terenie międzynarodowym w 1966 — kiedy dał znak przebaczenia zapraszając Biskupów Niemiec na Millennium. Zwycięstwo Kanclerza Brandta było do przewidzenia, ale warto było choćby przypomnieć Komitetowi Parlamentu Norweskiego o zasługach Kardynała Wyszyńskiego.

Wyszczególniłem powyżej pomysły, aby dać dowód, że w ustrojach politycznych gdzie demokracja jest stosowana w praktyce, jednostka znajduje poparcie i to bez pomocy materialnej Polonii.

Przy końcu 1972 utworzono w Kanadzie Ministerstwo Wielu Kultur (oficjalne tłumaczenie „Wielokulturowości” brzmi jeszcze gorzej niż oryginał: *Multiculturalism*). Na czele stanął lekarz dr Stanley Haidasz, wieloletni poseł z okręgu Toronto i zasłużony działacz Polonii. Jest on pierwszym w historii Kanady ministrem polskiego pochodzenia a drugim w Północnej Ameryce. (Pierwszym był — też w ciągu ostatniego dziesięciolecia John A. Grouniski, minister Poczty i Ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie). Czy Polonia z nowego ministerstwa będzie miała tyleż korzyści co inne grupy etniczne, to oczywiście zależy będzie od samej Polonii. Należy pamiętać o przysłowiu: jedna jaskółka nie czyni wiosny i mieć na uwadze, że politycznie nowe ministerstwo jeszcze nie jest ugruntowane i nowe wybory mogą przesądzić jego losy.

#### LICZBY W STATYSTYKACH i W MRZONKACH

Tablica I (str. 190) podaje dane liczbowe, które oparto na spisach ludności Kanady w latach 1951, 1961 i 1971.

Już na wstępie, jak obuchem uderza spadek w 1971 ludności polskiego pochodzenia do 316.000 z poprzedniej liczby 323.517 w 1961, choć w ciągu tego dziesięciolecia, nie było wśród Polonii kanadyjskiej ani klęski biologicznej ani masowej emigracji, a przyrost naturalny jest rzędu 14,2<sup>3</sup> zaś dopływ z emigracji w okresie 1961-1971 był co najmniej 23.000<sup>4</sup>, co w sumie powinno dać w 1971 wzrost ludności polskiego pochodzenia w stosunku do poprzedniego spisu co najmniej o 76.500, a nie ubytek 7.517 jak wykazał spis 1971. To znaczy, że znikło 84.000 osób. Inne podejście daje większą różnicę, bo biorąc z Tablicy I, z ostatniej kolumny, współczynnik wzrostu 24,70 %, w rzędzie A. d) — Reszta i stosując go do liczby osób polskiego pochodzenia w 1961, powinniśmy na rok 1971 otrzymać liczbę 403.000, a co daje różnicę 87.000 pomiędzy spisową liczbą 316.000. Gdzie więc znikło co naj-

3. Średnia przyrostu naturalnego Kanady na 1.000 mieszkańców za okres 1961-1970.

4. Ogłaszane oficjalnie dane przybyłych emigrantów w latach 1961-66 polskiego pochodzenia były następujące: 2.985; 2.143; 2.069; 2.621; 2.862 i 2.715. Od 1967 przestano ogłaszać podział emigrantów według grup etnicznych.

mniej 84.000 w latach 1961-71 w grupie ludności polskiego pochodzenia w Kanadzie? Wniosek jest tylko jeden 84.000 podało w czasie spisu 1971 inne pochodzenie niż polskie. Podobny wypadek miał miejsce w Kanadzie w czasie spisu 1941, gdy nagle wzrosła ludność pochodzenia holenderskiego kosztem spadku w grupie pochodzenia niemieckiego. Przyczyny nie trudno było się domyśleć. Do jakich grup narodowościowych dołączyło tych 84.000 — można tylko snuć domysły. W czasie spisu 1961 w Kanadzie z 254.368 osób, które podały religię mojżeszową, w pierwszej kolejności 168.663 podało narodowość żydowską, ale w drugiej kolejności 27.204 — podało narodowość polską. Tych 27.204 zapewne zniknie gdy ogłoszą dalsze dane spisu 1971, głównie z powodu antysemickich 'wyczynów' za czasów Gomułki. Te 'wyczyny' były jednym z powodów odrzucenia przez Stany Zjednoczone Warszawy jako miejsca negocjacji z Północnym Wietnamem<sup>5</sup>. Znam lekarza — studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza — a który przyjmując obywatelstwo kanadyjskie, podał się za Austriaka. Ponieważ urodził się, przed I Wojną w Małopolsce — takie określenie z kanadyjskiego punktu widzenia nie może budzić żadnych zastrzeżeń.

Równie smutne są dane na rok 1971 w Tablicy I odnośnie polskiego języka macierzystego, bo w stosunku do roku 1961 mamy spadek o 16,66 %, podczas gdy u innych grup, gdzie spadek miał miejsce, był on mniejszy: u Ukraińców 14,3 %; u Holendrów 14,8 %, a u Niemców tylko 0,5 % (natomiast u Włochów, znaczny dopływ emigrantów dał wzrost o 58,5 %).

W geograficznym rozmieszczeniu polskiego języka macierzystego w 1971 (liczba 134.780 w Tablicy) to jest on ześrodkowany w dwu Prowincjach: Ontario (77.475) i Quebec (15.480), które łącznie skupiają prawie 70 %.

Końcowe zgrupowanie odsetek w Tablicy I: D. Język macierzysty jako odsetek pochodzenia narodowościowego. W 1961 odsetek dla języka polskiego u dzieci do lat 9 był już tylko 21,01 %. Natomiast podany odsetek 42,62 % na rok 1971 jest w stosunku do 1961 sztucznie wyśrubowany zniknięciem 84.000 osób — o czym była mowa — z grupy ludności polskiego pochodzenia. Prawdopodobnie, te osoby już nie podały języka polskiego jako macierzysty, a tym samym, gdyby nie znikły, to w Tablicy I ilość osób polskiego pochodzenia na rok 1971 wzrosłaby z 316.000 na 407.517, co z kolei obniżyłoby odsetek z 42,65 % na 33,07 %. A wtedy w ostatniej kolumnie Tablicy I, zamiast liczby — 14,68 mieli byśmy — 33,85, co daje ponad trzykrotnie większy spadek niż w grupie „Reszta”; — 9,32. Spis 1971 podaje, że 71.000 używa najczęściej w domu języka polskiego; jest to 22,47 % pochodze-

5. Czytamy w pamiętnikach Prezydenta Johnsona „The Vantage Point” na str. 502: „In addition, Poland was then conducting an anti-Jewish campaign, and I refused to meet in a place where some members of our delegation or our press corps might be refused entrance or be unwelcome”.



nia. A teraz o mrzonkach. Korespondent londyński (poprzednio był korespondentem w Warszawie) znanego dziennika kanadyjskiego *The Globe and Mail* — znajdującego się na liście 40 dzienników świata<sup>6</sup>, w numerze z 4. VII. 1973, w artykule pt. „Polish Government in Exile Battles on”, podaje: „Whatever is left of the old Poland in London largely depends on the New World for survival. Two main contributors are the American Polish Congress (10 million members) and the Canadian Polish Congress (350.000 members)... The Government in Exile receives £ 35.000 (about \$ 93.000) a year”.

Gdy wymienionych w artykule 350.000 członków Kongresu Kanadyjsko-Polskiego, porównamy z liczbą Kanadyjczyków polskiego pochodzenia, podaną na rok 1971 w Tablicy I, to widzimy, że nawet po wliczeniu osesków mamy tylko 316.000. Kongres Polonii Kanadyjskiej nie zbiera składek bezpośrednio od członków, tylko od organizacji, które wpłacają proporcjonalnie do ilości członków. To znaczy, że osoba wpłacająca składki do dwu polskich organizacji, w statystyce Kongresu jest liczona dwukrotnie. Mimo to ilość płatników była zawsze poniżej 12.000 (spadła w ostatnim roku), tak, że można śmiało twierdzić iż ilość jednostek — a nie płatników — płacących składki do Kongresu Polonii Kanadyjskiej była zawsze i jest poniżej 10.000. A tym samym gdy się podaje liczbę 350.000 to już nie można tego określić jako przesadę. To są mrzonki. I to samo odnosi się do 10-milionowego członkostwa w Kongresie Polonii w Stanach. Magazyn amerykański *Time* z 21 sierpnia 1972, w artykule zatytułowanym: *Polonia, Come Home*, pisze: „Aloysius Mazewski, 56, president of the Chicago — based Polish National Alliance (membership: 340.000)”. Niestety, Prezes Mazewski w tym artykule podał również: „the 12 million people of Polish extraction in the U.S.”. Spisy ludności w Stanach zaznaczają pochodzenie — według kraju urodzenia — jedynie w stosunku do osób lub ich rodziców urodzonych poza Stanami. To znaczy dla osób urodzonych w Stanach z rodziców także tam urodzonych nie ma żadnych danych o pochodzeniu. Jedyne oficjalne obliczenie dla grup narodowościowych całej ludności podaje dokument Senatu Nr 65 z 27. II. 1928, gdzie figurują dane na rok 1920, jako podstawa do obliczania kwot emigracyjnych, która została zniesiona dopiero od 1. VII. 1968. Dla polskiej ludności w Stanach, dokument Senatu 1920 podaje liczbę: 3.626.692. Wychodząc z tej liczby, przeprowadziłem obliczenia szacunkowe do roku 1960, otrzymując na ten rok: 7.200.000<sup>7</sup>. Obliczenia przesałem do U.S. Department of Commerce, Bureau of the Census, prosząc o komentarz. W odpowiedzi z 7. XII. 1964, piszą:

6. Prof. John C. Merrill: „The Elite Press — Great Newspapers of the World”, Publ. Pitman, New York & London, 1968.

7. Obliczenia przedstawiłem w referacie: „United States Population of Polish Origin”, który był ogłoszony w „Proceedings of the Second National Conference on Canadian Slavs”, June 9-11, 1967. University of Ottawa.

„We have been unable to uncover any 'basic' errors in your assumptions. The basic assumptions underlying your calculations are not materially different from those used in our somewhat more involved calculations”.

Ale wzięli pod uwagę i nieogłoszone materiały, i w załączniku podającym oceny na rok 1960 odnośnie poszczególnych grup narodowościowych, dla grupy polskiej jest liczba 5.432.000 z kwotą emigracyjną 9.053. Z oficjalnego spisu z 1970 łatwo obliczyć, że wzrost rasy białej w Stanach w stosunku do 1960 był o 11,91 %, a dla całej ludności Stanów w okresie od 1970 do 1972 o 2,77 %, więc stosując te dwa odsetki do oceny Bureau of the Census, otrzymamy szacunek na 1972 rzędu 6,2 milionów. Ponieważ Kongres Polonii Amerykańskiej nigdy nie ogłaszał w jaki sposób otrzymywał swój wysoki szacunek ilości Amerykanów polskiego pochodzenia, więc ponosi pełną odpowiedzialność za niezwiększenie polskich kwot emigracyjnych do 1968 (kiedy zmieniono ustawę) i to za niezwiększenie prawie dwukrotnie.

Liczba 12 milionów jest obecnie niebezpieczna z innego powodu: jest nieco wyższa niż połowa Murzynów w Stanach (22.672.570 w 1970). Z ilością winna się wiązać i jakość. Na tej podstawie wkład Amerykanów polskiego pochodzenia powinien być co najmniej równy połowie Murzynów-milionerów, 53 miliony dolarów w bankach murzyńskich, 8 sędziów federalnych, (1 sędzia Sądu Najwyższego od 1967) 4 ambasadorów, 5 generałów (w tym 1 admirał) od 1948, no i osiągnięcia w sporcie i muzyce. No i dwie nagrody Nobla. A jak wiadomo, Murzyni w Stanach zajmują najniższe szczeble drabiny społecznej.

#### Przyczyny i skutki

W procesie wynaradawiania przyczynę i skutek niejednokrotnie cechuje dwukierunkowe działanie; wiemy, że prasa narodowościowa zanika skutkiem wynaradawiania, ale jej zanikanie przyspiesza ten proces. W badaniach należy zwrócić szczególną uwagę na cechy charakterystyczne dla danej kultury. Ciekawe, że profesor Jan Szczepański — obecnie w Polsce — Przewodniczący Komisji Doradczej dla Spraw Szkolnictwa i Nauki w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych, w książce: *Polish Society*<sup>8</sup>, w rozdziale „Traditional Values of Polish National Culture”, gdzie omawia sześć cech, na pierwszym miejscu wymienia „(1) The recognition of the Roman Catholic religion as a supreme value”. W moim artykule z 1957 wzywałem władze Kościoła Katolickiego w Kanadzie do zbadania powiązania pomiędzy — z jednej strony — wynaradawianiem się grupy polskiej — a z drugiej — spadkiem w grupie polskiej przynależności do Kościoła Katolickiego, z równoczesnym wzrostem członkostwa tej grupy w Church of

8. Wydana w 1970, w Nowym Jorku, przez Random House.



Canada. Podawałem cyfry ze spisów od 1931 do 1951 — z podziałem na wieś i miasto. Obecnie można dodać dane z 1961. Dla Kanady wśród osób polskiej narodowości w latach 1931-1961 przynależność do Kościoła Katolickiego spadła z 85,4 % na 65,0 %, a w Church of Canada wzrosła równocześnie z 1,4 % na 7,8 %. Wątpię jednak czy ktoś z władz kościelnych w tej sprawie kiwnął palcem w bucie.

Pisałem w artykule z 1957: „W każdej emigracji małżeństwa mieszane stanowią jeden z głównych czynników decydujących o wynarodowieniu następnego pokolenia. Dlatego wielu socjologów uważa dane liczbowe o tych małżeństwach za niezawodne wskaźniki procesu asymilacji”. I dlatego w Tablicy II (str. 191) podaję dane o endogamii (małżeństwa nie-mieszane) dla różnych narodowości w Kanadzie.

Wzrost endogamii w latach 1951-1961 u ludności pochodzenia holenderskiego i azjatyckiego jest zapewne skutkiem dopływu imigrantów.

Jak rodzaj pracy zawodowej wpływa na wynarodowienie — to zagadnienie wymaga dalszych badań. Pisałem, że badania w Stanach i dane cyfrowe dla polskiej ludności w Kanadzie, wskazują, że w rolnictwie proces ten biegnie wolniej. Możliwe, że dla robotnika niewykwalifikowanego rzecz ma się odwrotnie. O ile tak jest, to dane dla ludności polskiego pochodzenia nie są pocieszające.

Zacznijmy od rolnictwa. Dla całego kraju, z ogółu pracujących mężczyzn w rolnictwie było 12,58 %, a kobiet: 4,29 %. Odpowiednie odsetki u ludności polskiego pochodzenia były wyższe, zwłaszcza u kobiet, wynosząc 14,01 % i 9,43 %. U ukraińskiej ludności 'rolnicze' odsetki były znacznie wyższe; u mężczyzn: 22,96 %, a u kobiet: 16,55 %. Dla ludności rosyjskiego pochodzenia: 19,91 % mężczyzn było w rolnictwie, tzn. więcej jak Polaków, ale Rosjanek było 9,31 % tzn. nieco mniej niż Polek.

Wśród niewykwalifikowanych rzecz ma się gorzej. Dla ogółu mężczyzn w 1961, w tej kategorii było 6,25 %, a kobiet tylko: 1,19 %. Odpowiednie odsetki wśród polskiej ludności były wyższe nawet w stosunku do Ukraińców i Rosjan. Bo dla Polaków, Ukraińców i Rosjan były one kolejno: 7,53 %; 6,87 % i 5,85 %, a u Polek, Ukrainek i Rosjanek: 1,77 %; 1,45 % i 1,38 %.

Na kierowniczych stanowiskach (*manager*) rzecz ma się lepiej, zwłaszcza u kobiet — polskiego pochodzenia. Dla ogółu ludności ten odsetek u mężczyzn był 10,23 %, a u kobiet tylko 3,26 %. Dla Polaków i Polek te odsetki były 9,17 % i 3,45 %; u Ukraińców i Ukrainek: 7,14 % i 2,65 %, ale uderzająco wysokie odsetki u Rosjan i Rosjanek: 15,16 % i 4,47 %. W zawodach wolnych i technicznych, dla ogółu mężczyzn, Polaków, Ukraińców i Rosjan odsetki te były 7,58 %; 6,73 %; 5,83 % i 8,36 %. A u kobiet — w tej samej kolejności — 15,42 %; 8,72 %; 8,34 % i 11,57 %.

W 1961 roku była w statystyce rubryka: 'Nie podany zawód'. Na ogół zadowoleni z zawodu, chętnie go podają. Nie podało zawodu mężczyzn: 2,61 %, a kobiet: 2,44 %. Dla Polaków i Polek

w tej rubryce czytamy: 2,81 %, t. n. odsetki wyższe nieco od przeciętnej, podczas gdy wśród ludności ukraińskiej i rosyjskiej były one niższe: Ukraińcy: 2,19 %; Ukrainki: 1,72 % i Rosjanie: 2,52 %, a Rosjanki tylko 1,35 %.

Odnosnie zatrudnienia kobiet, to warto zaznaczyć, że wśród kobiet polskiego pochodzenia 22,85 % było zatrudnionych w 1961, podczas gdy taki odsetek dla kobiet całej Kanady był tylko 19,58 %. Wymaga to poprawki na wiek. Otóż dla okresu pracy jest to wiek w granicach od 15 do 65 lat; dla kobiet polskiego pochodzenia obniża się z 22,85 % na 21,68 %, co jest ciągle wyższe od przeciętnej kraju — 19,58 %.

Dla zatrudnienia mężczyzn w wojsku (w Kanadzie jest ochotnicza służba wojskowa), polskie pochodzenie w 1966 wynosiło tylko 0,8 %, co jest znacznie poniżej polskiego odsetka w Kanadzie (patrz Tablica I). Wśród posłów do parlamentu federalnego w latach 1867-1964 było 5-ciu polskiego pochodzenia. Taką samą ilość mieli Holendrzy, a większą: Szwajcarzy i Skandynawowie — po 6; Żydzi — 9; Ukraińcy — 11 i Niemcy — 40.

Omawiając w poprzednim artykule (nr 116 *Kultury* z 1957) społecznie ujemne wskaźniki, zaznaczyłem, że był cytowany wypadek drastycznej poprawy w ciągu roku. Otóż we Francji, w latach 1927-28 stwierdzono, że przestępczość i choroby umysłowe wśród polskich rolników-emigrantów są dwukrotnie wyższe niż wśród Francuzów w tej samej grupie wieku. Dalsze badania wykazały, że wypadki te zachodzą głównie u nieznających języka francuskiego i wysyłanych pojedynczo. Wydano więc zarządzenie, by emigrantów nie znających języka nie posyłać pojedynczo do gospodarstw rolnych. I w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy wskaźnik przestępczości i chorób umysłowych spadł o 68 %.

Obecnie ograniczam się do podania w Tablicy III (str. 191) danych z 1961 i dla porównania powtarzam dane z 1951.

'Polskie' odsetki chorych umysłowo w szpitalach za rok 1960 podano jako 2,64 %, a za rok 1962: 2,69 %. Nie odbiegają więc znacznie od podanego 2,30 % z roku 1961 w Tablicy III. Jak widzimy, u wszystkich trzech narodowości podanych w Tablicy III, odsetek umysłowo chorych jest wyższy niż odnośny odsetek określający stosunek do ogółu ludności. Największa różnica występuje u Ukraińców, a najmniejsza u ludności uemieckiego pochodzenia. Jak uprzednio zaznaczałem, statystyka umysłowo chorych pozostawia wiele do życzenia. Nie podaje bowiem poprawek na skład ludności według wieku, a wiadomo że u dzieci choroby umysłowe wymagające szpitalnego leczenia występują rzadko. Więc grupa ludności, która w swoim składzie ma większy odsetek dzieci, ma tym samym mniejszą ilość kandydatów do szpitala dla umysłowo chorych. A grupa wieku od 0 do 10 lat stanowiła u ludności anglosaskiego i francuskiego pochodzenia 34,25 %, a u ludności polskiego pochodzenia tylko 32,15 %, co stanowi nieco zmniejszą różnicę. Najważniejszym jednak brakiem statystyki umysłowo chorych jest fakt, że z 27.821 pacjentów w szpi-



talach w 1961 nie określono pochodzenia narodowościowego dla 11.324, to jest prawie 41 %.

Odsetek zasądzonych u ludności polskiego pochodzenia w latach 1951-1961 obniżył się z 2,06 % na 1,55 %, schodząc poniżej odsetka ogółu ludności (1,77 %), podczas gdy dla grupy ukraińskiej w 1961 podniósł się i to powyżej odsetka ogółu ludności (2,60 %). U rozpoczynających karę więzienia odsetek obniżył się w tym okresie we wszystkich trzech grupach ludności wymienionych w Tablicy III i to z najsilniejszą obniżką w polskiej grupie.

#### *Srodki dla zmniejszenia szybkości wynaradawiania*

Do omawianych w artykule z 1957, dorzucę tylko kilka uwag. Profesor Szczepański w cytowanej książce „Polish Society” z 1970 tak pisze o współczesnej emigracji:

„The Polish diaspora will come to recognize that their prestige in host countries depends on the prestige of Poland, and that they cannot exist as an independent cultural entity but only as a part of the total Polish culture. The émigrés in the nineteenth century were in a different position: they were the most significant, if not the only, source of cultural creativity. Now the main cultural trend is within the mother country. The émigrés can only develop a group culture of their own, which is also rapidly changing by having adapted to the host countries and to the type of socialization and education the young generation receives there. They will therefore be able to preserve those values that are incompatible with socialist criteria, and develop literature and arts permeated by the cultures of their host countries”.

Przemilcza to dwa zagadnienia. Szeroko omawiany na Zachodzie rozdzźwięk między obecną młodzieżą a starszym pokoleniem nie mógł ominąć emigracji. Jest więc i w Kanadzie, gdzie ludność polskiego pochodzenia stanowi mniej niż półtora procent ogółu. Na zebraniach polonijnych widzimy w znakomitej większości te same starzejące się twarze. To dodatkowo przyspiesza wynaradawianie i grozi zniknięciem szeregu organizacji Polonii, gdy tych starzejących twarzy zabraknie. Następnie należy powiedzieć bez ogródek, że z materialnego punktu widzenia dla Polski — bez względu na ustrój polityczny — łączność z silną Polonią jest o wiele ważniejsza niż istnienie Polonii dla ludności polskiego pochodzenia osiadłej za granicą.

O rozwój eksportu i turystyki z zagranicy zabiegają dzisiaj zarówno Stany Zjednoczone jak i Sowiety. Polonia na tych odcinkach może pomóc Polsce bezpośrednio i pośrednio, wpływając na przyjaciół i znajomych niepolskiego pochodzenia. Natomiast bardzo trudno by udowodnić czy i jakie straty materialne poniesie ludność polskiego pochodzenia osiadła za granicą zrywając całkowicie łączność z Polską i likwidując pojęcie 'Polonia', to znaczy wynaradawiając się do reszty.

Dla zwolnienia tempa wynaradawiania się młodzieży Polonii, wyjazdy do Polski są bezwzględnie konieczne. Jednak szereg rodziców waha się, bojąc się miejscowych wpływów politycznych. Na to jest rada. Rząd PRL powinien — ze względu na materialny interes kraju — zachęcić Katolicki Uniwersytet w Lublinie do prowadzenia letnich obozów dla Polonii, gdyż odtworzenie polskiej Y.M.C.A. jest mało prawdopodobne. Dla podtrzymania tradycji — jak proponowałem w 1957 — powinno się zachęcać do wyszukiwania w czasie pobytu w Polsce metryk przodków i uzyskiwania, za zwrotem kosztów, ozdobiście wykonanych i nadających się do oprawy, wyciągów po łacinie z ksiąg parafialnych. W pieczęci powinien być zaznaczony rok założenia kościoła. Dodałem w dopisku, że „w czasie II wojny wielu żołnierzy amerykańskich, w czasie urlopu, prowadziło poszukiwania genealogiczne w Anglii i w Irlandii. W Kanadzie pisownia polskich nazwisk nawet w polskich kościołach i na polskich cmentarzach pozostawia wiele do życzenia!”

Znaczki pocztowe — choć nie jestem zbieraczem — uważam za dobry środek informowania publiczności. Należałoby już rozpocząć starania, aby Anglia, Australia, Kanada i Nowa Zelandia wydały w 1975 serię znaczków na 35-lecie *Battle of Britain*, w oparciu o witraż z Westminster Abbey, gdzie są godła wszystkich dywizjonów myśliwskich, które brały udział w akcji. Dziwnym zbiegiem okoliczności na tym samym oknie jest znak dyonu kanadyjskiego 401 i godła dwu polskich dywizjonów 302 i 303 w formie białych orłów z numerami na piersiach<sup>9</sup>. (W 1965 — na 25-lecie *Battle of Britain*, Anglia wydała sześć znaczków: sylwetki samolotów i artylerii przeciwlotniczej w akcji).

Warto o to się starać gdyż Churchill w swoich pamiętnikach z II Wojny, opisując *Battle of Britain* w tomie „Their Finest Hour”, ani słowem nie wspomniał o udziale Polaków<sup>10</sup>.

W Kanadzie można by dodatkowo zaproponować, aby każdego 11 listopada — w okresie uroczystości ku czci poległych w I-szej i II-giej Wojnie — wydawano znaczki z podobizną odznaczonych pośmiertnie Victoria Cross. Takich w historii Kanady było 37. Wśród tych 37 jest lotnik polski pochodzący z Winnipegu — ppor. obs. A. C. Mynarski, odznaczony w II Wojnie, w której lotnictwo kanadyjskie otrzymało tylko dwa Victoria Cross.

Adam JAWORSKI

Ottawa, 19 września 1973

9. Właściwie, 302 miał w godle kruka z poznańskiej eskadry na tle francuskich barw, z dodatkiem numeru 145. Większość bowiem personelu 302 pochodziła z utworzonego we Francji dyonu 145 z polskich ochotników, którzy chcieli iść na pomoc Finlandii. A 303 — jak wiadomo — miał znak 7-ej eskadry Kościuszkowskiej.

10. *Time* z 30. V. 1949 zamieścił list protestujący, który napisałem w tej sprawie.



TABLICA I  
LUDNOŚĆ KANADY:  
POCHODZENIE NARODOWOŚCIOWE I JĘZYK MACIERZYSTY  
W LATACH 1951, 1961 i 1971

| Rok Spisu:  | 1951       | 1961               | 1971               | Odsetki wzrostu            |                            |
|---|------------|--------------------|--------------------|----------------------------|----------------------------|
|   |            |                    |                    | 1961<br>ponad<br>1951<br>% | 1971<br>ponad<br>1961<br>% |
| Ogół ludności   | 14.009.429 | 18.238.247         | 21.568.315         | 30,19                      | 18,26                      |
| A. Pochodzenie narodowościowe:                                  |            |                    |                    |                            |                            |
| a) Wyspy Bryt. <sup>1</sup>                                     | 6.709.685  | 7.996.669          | 9.624.000          | 19,18                      | 20,35                      |
| b) Francuskie   | 4.319.167  | 5.549.346          | 6.180.000          | 28,48                      | 11,36                      |
| c) Polskie  | 219.845    | 323.517            | 316.000            | 47,16                      | -2,32                      |
| d) Reszta <sup>2</sup>  | 2.760.732  | 4.368.715          | 5.448.000          | 58,24                      | 24,70                      |
| B. Język macierzysty:   |            |                    |                    |                            |                            |
| a) Angielski  | 8.280.809  | 10.660.534         | 12.973.810         | 28,74                      | 21,70                      |
| b) Francuski  | 4.068.850  | 5.123.151          | 5.793.650          | 25,91                      | 13,09                      |
| c) Polski   | 129.238    | 161.720            | 134.780            | 25,13                      | -16,66                     |
| d) Reszta   | 1.530.532  | 2.292.842          | 2.666.070          | 49,81                      | 16,28                      |
| C. Pochodzenie narodowościowe jako odsetek ogółu ludności:      |            |                    |                    |                            |                            |
| a) Wyspy Bryt.  | 47,89      | 43,85              | 44,62              | -8,44                      | 1,76                       |
| b) Francuskie   | 30,83      | 30,43              | 28,65              | -1,30                      | -5,85                      |
| c) Polskie  | 1,57       | 1,77               | 1,47               | 12,74                      | -16,95                     |
| d) Reszta   | 19,71      | 23,95              | 25,26              | 21,51                      | 5,47                       |
| D. Język macierzysty jako odsetek pochodzenia narodowościowego: |            |                    |                    |                            |                            |
| a) Angielski  | 123,42     | 133,31             | 134,48             | 8,01                       | 0,88                       |
| b) Francuski  | 94,20      | 92,32              | 93,75              | -2,00                      | 1,55                       |
| c) Polski   | 58,79      | 49,99 <sup>3</sup> | 42,65 <sup>4</sup> | -14,97                     | -14,68                     |
| d) Reszta   | 55,44      | 52,48              | 48,93              | -5,34                      | -9,32                      |

1. Anglia, Irlandia, Szkocja i Walia.

2. W tej grupie w 1971 narodowość niemiecka, włoska, ukraińska i holenderska — każda z osobna — była liczniejsza od polskiej. Indian było 297.000. Kanadyjską narodowość podało 71.000. A tylko 61.000 nie podało lub nie umiało określić swojej narodowości — po pierwszym przodku męskim, który przybył do Kanady.

3. U dzieci: 0-9 lat, ten odsetek był tylko 22,47 %, a w 1951: 31,00 %.

4. Spis z 1971 r. podaje dane dla języka najczęściej używanego w domu. Dla języka polskiego, w stosunku do pochodzenia, odsetek ten wynosił 22,47 %, a w grupie „Reszta” 59,15 %.

TABLICA II  
ENDOGAMIA W KANADZIE U GRUP NARODOWOŚCIOWYCH  
Rok 1951 i 1961

| Narodowość       | Mężczyźni     |                   | Kobiety |               |                   |      |
|------------------|---------------|-------------------|---------|---------------|-------------------|------|
|                  | Ilość<br>1961 | Odsetki endogamii |         | Ilość<br>1961 | Odsetki endogamii |      |
|                  |               | 1951              | 1961    |               | 1951              | 1961 |
| Angielska ....   | 3.993.713     | 85,5              | 81,3    | 4.002.956     | 85,6              | 81,5 |
| Francuska ....   | 2.771.733     | 89,7              | 88,3    | 2.768.613     | 87,7              | 85,1 |
| POLSKA ....      | 170.962       | 53,7              | 49,0    | 152.555       | 56,7              | 53,1 |
| Niemiecka ....   | 553.990       | 52,0              | 52,0    | 515.609       | 52,3              | 51,0 |
| Ukraińska ....   | 246.520       | 74,8              | 61,8    | 226.817       | 70,9              | 60,6 |
| Włoska ....      | 240.905       | —                 | 76,7    | 209.446       | —                 | 82,3 |
| Holenderska ..   | 221.560       | 42,7              | 55,0    | 208.119       | 42,9              | 55,6 |
| Skandynawska*.   | 204.022       | 36,5              | 31,2    | 182.512       | 39,4              | 32,5 |
| Żydowska ....    | 87.420        | 93,1              | 91,1    | 85.424        | 95,6              | 93,0 |
| Rosyjska ....    | 61.431        | —                 | 47,7    | 57.737        | —                 | 48,4 |
| In. europejskie. | 361.749       | 63,3              | 60,6    | 330.076       | 66,3              | 64,4 |
| Azpatyckie ...   | 69.698        | 74,6              | 79,9    | 52.055        | 86,0              | 86,0 |

\* Duńska, Islandzka, Norweska i Szwedzka.

TABLICA III  
SPOŁECZNIE UJEMNE ODSETKI W KANADZIE U LUDNOŚCI  
POCHODZENIA POLSKIEGO, UKRAIŃSKIEGO I NIEMIECKIEGO  
Rok 1961

| Rodzaj Odsetka                                 | Ludność pochodzenia: |              |              |
|--|----------------------|--------------|--------------|
|  | Polskiego            | Ukraińskiego | Niemieckiego |
| Stosunek do ogółu — 1961 i (1951) .....        | 1,77 (1,57)          | 2,60 (2,82)  | 5,75 (4,43)  |
| Nie chodziło do szkoły (1951)                  | 2,42                 | 5,85         | 4,07         |
| Chorzy umysłowo w szpitalach                   | 2,30                 | 3,80         | 6,19         |
| Zasądzeni — postępowanie karne* (1951) .....   | 1,55 (2,06)          | 2,67 (2,43)  | 4,28 (2,04)  |
| Rozpoczęli karę więzienia 1959/60 (1951) ..... | 1,08 (2,33)          | 1,50 (2,27)  | 2,55 (2,71)  |

\* Indictable Offences.



## Ź R Ó D Ł A

*Uwaga:* Liczby bezwzględne podane w tablicach wzięto ze źródeł niżej wymienionych, natomiast odsetki obliczyłem na podstawie danych bezwzględnych. Wszystkie wymienione źródła ogłoszone były w Ottawie.

*Dominion Bureau of Statistics:*

- Ninth Census of Canada, 1951, Vol. I & II.
- Tenth Census of Canada, 1961, Vol. I, Pt. 2 & 3.
- Mental Health Statistics, 1960, 1961 i 1962.

*Statistic of Criminal and Other Offences, 1961.**Statistics Canada (zmieniona nazwa Dominion Bureau of Statistics):*

- Advance Bulletin — 1971 Census of Canada, August 1972.
- daily, June 6th, 1973.
- daily, June 7th, 1973.
- Vital Statistics, 1961-1970.

*Report of the Royal Commission on Bilingualism and Biculturalism:*

- Book IV The Cultural Contribution of the Other Ethnic Groups, 1969.

*Annual Report of the Commissioner of Penitentiaries, 1959/60.*

## Spłacanie przedwojennych polskich pożyczek zagr.

Niedowierzenie było pierwszą reakcją zapewne wielu z licznych posiadaczy tych pożyczek, przeważnie jeśli wręcz nie wyłącznie polskiego pochodzenia. Usprawiedliwiony to był sceptycyzm. W powodzi zmian ubiegłych 35 lat tonęły nadzieje posiadaczy na otrzymanie zaległych odsetek i płatnego już w międzyczasie kapitału, mimo że pożyczki były zaciągnięte lub gwarantowane przez państwo i opiewały na dolary w złocie. A jednak większość wierzycieli doczeka się zapewne nie za długo nowej konwersji pożyczek i ich amortyzacji, nowej stopy oprocentowania i płacenia bieżących odsetek oraz ustalenia sumy i sposobu spłaty odsetek zaległych od tak wielu lat, jednak nie wiadomo w jakiej wysokości i na jakich warunkach.

*Obecna sytuacja*

Od pewnego czasu odbywają się rokowania. Przedmiotem rozmów są wszystkie zagadnienia, związane ze spłatą przedwojennych pożyczek. Jak wiadomo, ich obsługa została zawieszona

z chwilą najazdu hitlerowskiego na Polskę w 1939 roku i stan ten trwa do chwili obecnej. Toczące się rokowania stanowią pierwszą próbę wypełnienia przez Rząd PRL zamiaru „załatwienia sprawy” nie spłaconych dotychczas obligacji dolarowych, emitowanych lub gwarantowanych przez Rząd Polski na terenie Stanów Zjednoczonych w okresie lat 1919-1939. Zamiar ten został oficjalnie wyrażony przez przedstawiciela PRL w nocy z 16 lipca 1960 roku, wymienionej z przedstawicielem Rządu Stanów Zjednoczonych na jego żądanie z okazji podpisywania układu z tejże daty w sprawie odszkodowania obywateli amerykańskich za ich mienie, utracone na obszarze PRL wskutek nacjonalizacji lub innego rodzaju przejęcia przez władze rządowe. Jak widać, pierwsza próba wypełnienia tego zamiaru następuje dopiero po upływie ponad 12 lat od dnia jego wyrażenia.

*Strony.* Rokowania toczą się między przedstawicielami Rządu PRL i „Foreign Bondholders Protective Council, Inc.”, amerykańską instytucją, zorganizowaną po pierwszej wojnie światowej przez miejscowe koła finansowe dla ochrony interesów ekonomicznych amerykańskich posiadaczy obligacji pożyczek, emitowanych lub gwarantowanych przez różne państwa lub instytucje całego świata na tutejszym rynku finansowym. Podkreślić należy, że formalno-prawnie reprezentowana jest, i może być, wyłącznie jedna strona — tylko PRL. Posiadaczy obligacji formalnie nikt zbiorowo nie zastępuje. Wspomniana amerykańska instytucja prywatna dba o ochronę ich wspólnego interesu, ale nie zastępuje ich indywidualnie, gdyż nie tylko nie posiada od nich takiego pełnomocnictwa, lecz nie zna ich dokładnie nawet z liczbą, nie mówiąc już z imienia. Instytucja ta prowadzi rokowania, jak gdyby była stroną formalnie, jako swego rodzaju domniemany przedstawiciel. Jednak osiągnięte porozumienie nie jest umową, automatycznie wiążącą wszystkich, lecz tylko ofertą, złożoną przez PRL dla określonej w niej posiadaczy obligacji, z których każdy indywidualnie może ją przyjąć lub nie, a musi przyjąć, aby została zawarta umowa.

*Dotychczasowe wyniki rokowań.* Już przeprowadzone rozmowy doprowadziły do: a) oferty Rządu PRL co do tymczasowego porozumienia; b) deklaracji Rządu PRL o intencji złożenia do dnia 1 lipca 1975 roku włącznie następnej oferty co do definitywnego planu spłaty zaległych obligacji i odsetek. Zarówno oferta, jak i deklaracja intencji złożenia następnej oferty posiadają tę samą datę 19 kwietnia 1973 roku i zostały ogłoszone równocześnie w prasie amerykańskiej. Pozostają one ze sobą w ścisłym związku. Dla zdania sobie dobrze sprawy z ich znaczenia dla interesów prawnych posiadaczy obligacji, należy mieć na uwadze nie tylko treść każdego z tych dwu aktów, lecz także ich wzajemny stosunek.

*Oferta tymczasowego porozumienia.* Jak wiadomo, wspomniana



na amerykańską instytucję „Foreign Bondholders Protective Council, Inc.” zaleciła posiadaczom obligacji przyjęcie tej oferty. Jednak wielu tych posiadaczy, którzy stanęli w obliczu powzięcia decyzji, może zapytywać, w jakim istotnie celu ta oferta została zrobiona? Jest bowiem rzeczą oczywistą, że była ona zbędna dla wznowienia płacenia odsetek po blisko trzydziesto-pięcioletniej przerwie i to tylko za dwa lata, od 1 lipca 1973 roku począwszy, w minimalnej wysokości półtora procent za pierwszy i 2 % za następny rok. Odpowiedź jest prosta. Przyjmując ofertę tymczasowego porozumienia w sposób przepisany jej treścią, posiadacz obligacji, każdy z osobna, zawiera z PRL umowę o zastosowaniu do posiadanych przezeń obligacji wymienionych w ofercie ograniczeń, chociaż jeszcze nic nie wie i nawet nie może jeszcze wiedzieć:

- a) ani o tym, na jaką kwotę będzie ustalony nowy kapitał jego obligacji,
  - b) ani o tym, jaka będzie stopa procentowa,
  - c) ani o tym, w jaki sposób będzie spłacany nowo ustalony kapitał jego obligacji,
  - d) ani też nie może wiedzieć, w jaki sposób zostanie uregulowana sprawa zaległych odsetek za ubiegłych około 35 lat.
- Co do tych spraw bowiem nic nie wiadomo, by rozmowy się zakończyły.

*Deklaracja intencji PRL.* Załatwienie tych zagadnień przewiduje oświadczenie PRL z tejże daty co oferta. Stanowi ono deklarację intencji złożenia najpóźniej do dnia 1 lipca 1975 roku włącznie, następnej oferty, „zawierającej plan definitywnego rozwiązania sprawy nie spłaconych przedwojennych obligacji dolarowych, które były emitowane lub gwarantowane przez Rząd Polski i publicznie zaofiarowane na amerykańskim rynku, jak również plan wykonania tego rozwiązania”. Deklaracja intencji PRL zawiera przy tym bardzo ważne ograniczenie i powiązanie. Owa zapowiedziana oferta będzie mogła być przyjmowana wyłącznie przez tych posiadaczy obligacji, którzy przyjęli w terminie, tj. nie później niż 30 czerwca 1975 roku, uprzednią ofertę tymczasowego porozumienia z 19 kwietnia 1973 roku. Przyjęcie oferty posiada więc wyznaczoną w niej cenę. Przyjrzyjmy się jej bliżej.

#### *Cena przyjęcia oferty tymczasowego porozumienia*

Oferta ta wcale nie jest tylko jednostronnym gestem Rządu PRL podjęcia płacenia odsetek od przedwojennych pożyczek po blisko trzydziesto-pięcioletniej przerwie. Przeciwnie. Jest to oferta umowy dwustronnej, przewidującej ofiary ze strony posiadaczy obligacji i to istotne, w szczególności w porównaniu z zaofiarowanym przez PRL podjęciem płacenia zaległych odsetek w mi-

nimalnej wysokości przez dwa lata i odłożeniem swych dalszych zobowiązań do następnej oferty, całkowicie posiadaczom obligacji nieznaną.

*Uprawnienia posiadaczy obligacji.* Aby zdać sobie wiernie sprawę z wysokości ceny, należy przypomnieć dotychczasowe zasadnicze ich uprawnienia. Bez względu na daty zaciągnięcia pożyczek objętych ofertą, wszystkie one zostały skonwertowane w 1938 roku w związku ze światowym kryzysem gospodarczym lat trzydziestych. Odsetki zostały niższe od wszystkich pożyczek. Spłata kapitału została przedłużona dla pożyczki dolarowej do 1958 roku, dla pożyczki Dillona do 1963 roku, dla stabilizacyjnej do 1968 roku, a dla obligacji Banku Gospodarstwa Krajowego do 1966 roku. Płatność zaś bonów Skarbu Państwa, wystawionych dla procentów należnych po zawieszeniu transferu walut obcych za granicę w 1936 roku, ustalono na 1956 rok. Jednakże obligacje zachowały lub uzyskały klauzule złota, które miały na celu chronić posiadaczy obligacji przed dewaluacją dolara. Ponadto obligacje pożyczki stabilizacyjnej posiadają dodatkową klauzulę obcych walut, uprawniającą posiadaczy do zapłaty kapitału i odsetek według ich wyboru w jednej z pięciu walut zachodnich. Klauzula ta stanowiła ważną dodatkową ochronę przed dewaluacją.

*Zrzeczenie się klauzuli złota ceną przyjęcia oferty.* Na mocy wyraźnych postanowień oferty tymczasowego porozumienia, przez przyjęcie jej każdy posiadacz obligacji zawiera umowę, mocą której zrzeka się wyraźnie klauzuli złota. Według tej klauzuli jeden dolar z lat dwudziestych, a więc z lat udzielania pożyczek, wynosiłby około pięciu dolarów obecnych. Przed 1933 rokiem jedna uncja złota kosztowała bowiem \$ 20,67, obecnie zaś waha się około \$ 100,00. Jeden zaś dolar z 1938 roku, jako roku konwersji pożyczek, wynosiłby prawie trzy dolary, gdyż cena złota w tym roku wynosiła \$ 35,00 za uncję. Po przyjęciu oferty obligacje będą traktowane w ten sposób jak gdyby klauzuli złota nigdy nie zawierały, ani z mocy pierwotnej umowy, ani z mocy ich konwersji w 1938 roku, tzn. jak gdyby od początku były wyrażone w obiegowych dolarach papierowych. Wysoka ta cena, wyznaczona za przyjęcie oferty tymczasowego porozumienia. Oznacza zrzeczenie się prawie 80 % kapitału obligacji oraz zaległych i przyszłych odsetek, zakładając że byłyby one spłacane w pełnej nominalnej wysokości z zachowaniem dotychczasowego oprocentowania.

Mógłby ktoś zarzucić, że jednak w Stanach Zjednoczonych klauzula złota została zakazana na przyszłość i unieważniona co do uprzednich umów stynną ustawą Kongresu z 5 czerwca 1933 roku, która usankcjonowała pierwszą dewaluację dolara. Istotnie, taki ustawowy zakaz został uchwalony, zezwalając na spłatę zobowiązań, zaciągniętych w dolarach w złocie, dolarami obiegowymi, chociaż zawartość złota w dolarze została obniżo-



na z 0,04838 do 0,02857 uncji. Jednakże Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze, pierwszy sąd międzynarodowy o zasięgu uniwersalnym, w swych dwu wyrokach uznał ważność klauzuli złota w stosunkach międzynarodowych dla posiadaczy obligacji pożyczek zagranicznych i stwierdził ich prawo do otrzymania zapłaty wierzycelności w pieniądzu obiegowym według wartości złota z czasu emisji obligacji, nawet gdy klauzula złota została unieważniona w stosunkach wewnętrznych (patrz Hackworth, *Digest of International Law*, tom V, str. 633, wyd. z 1943).

Podkreślić należy, że klauzule złota w polskich pożyczkach zagranicznych były oparte nie tylko na umowach, lecz także na aktach ustawodawczych suwerennego państwa i zostały ponownie uznane w polskich ustawach konwersyjnych z 1938 roku.

*Zrzeczenie się klauzuli walut obcych.* Przyjęcie oferty tymczasowego porozumienia oznacza również umowne zrzeczenie się korzyści, płynących dla posiadaczy obligacji pożyczki stabilizacyjnej z 1927 roku z tzw. klauzuli walut obcych. Na czym polega istota tej klauzuli i korzyści z niej płynące? Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z mocą ustawy z dnia 13 października 1927 roku o planie stabilizacyjnym i zaciągnięciu pożyczki zagranicznej (Dz. U. R. P. nr 88, poz. 789) stanowi w art. 7:

Obligacje pożyczki i kupony od nich będą wyrażone w dolarach Stanów Zjednoczonych Ameryki w złocie, jak również w funtach szterlingach. Obligacje, wyrażone w dolarach będą płatne również w funtach szterlingach, frankach szwajcarskich, florenach holenderskich i koronach szwedzkich według stosunku:

|                              |        |
|------------------------------|--------|
| 4,8665 dolarów               | = £ 1  |
| 5,183 franków szwajcarskich  | = \$ 1 |
| 2,488 florenów holenderskich | = \$ 1 |
| 3,731 koron szwedzkich       | = \$ 1 |

a także będą płatne we frankach francuskich po kursie, stosowanym w Paryżu do czeków na Nowy York, płatnych za okazaniem w dacie przedstawienia obligacji do zapłaty. Obligacje, wyrażone w funtach szterlingach, będą płatne również w dolarach Stanów Zjednoczonych Ameryki w złocie według stosunku 4,86 dolarów = £ 1. (Ostatni ustęp nieistotny).

Na podstawie art. 2 Ustawy z dnia 14 lipca 1938 roku o konwersji 7% pożyczki stabilizacyjnej w dolarach Stanów Zjednoczonych Ameryki (Dz. U. R. P. nr 52, poz. 403) powyższe uprawnienia uzyskali posiadacze obligacji także co do odsetek, przy czym przewidziano trzy alternatywy ich przekazywania według wyboru posiadaczy obligacji. Na podstawie tych postanowień posiadacz obligacji pożyczki stabilizacyjnej, wybierając płatność we frankach szwajcarskich uzyskałby za każdego dolara kapitału i zaległych od blisko 35 lat odsetek jednego dolara i 71 centów, a więc o 71% więcej (obliczenie według kursu franka szwajcarskiego w dniu 25 października 1973).

Dodać trzeba, że PRL byłoby jeszcze trudniej kwestionować ważność tej klauzuli niż klauzuli dolarów w złocie. Jak mogłaby PRL — z prawa międzynarodowego sukcesorka suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej — kwestionować wobec obywateli amerykańskich jej zobowiązania, zaciągnięte na mocy polskich państwowych ustaw, opierając się tylko na amerykańskiej ustawie o dewaluacji dolara? Wszak posiadacze obligacji pożyczki stabilizacyjnej mają nie tylko prawo wyboru waluty zapłaty, lecz także miejsca zapłaty w kilku państwach poza Stanami Zjednoczonymi. W wypadku domagania się zapłaty we frankach szwajcarskich mogą wybrać Zurych lub Bazyleję jako miejsce jej dokonania (wspomniany wyżej art. 2 ustawy z 14 lipca 1938 roku o konwersji pożyczki stabilizacyjnej).

*Deklaracja intencji — narzędziem presji.* Zrozumiałą jest rzeczą, że załatwienie sprawy spłacenia przedwojennych pożyczek i procentów, zalegających od prawie 35 lat, wymaga dobrej woli i chęci porozumienia z obu stron. Nie brakło ich ze strony wierzycieli, posiadaczy obligacji, cierpliwie i bezczynnie czekających tak wiele lat. Nie brakło ich na pewno ze strony prowadzącej rokowania z ich ramienia amerykańskiej instytucji „Foreign Bondholders Protective Council, Inc.". Czy jednak oferta tymczasowego porozumienia i związana z nią deklaracja intencji PRL złożenia przyszłej definitywnej oferty załatwienia sprawy odważają się należycie postawę wierzycieli? Chodzi nie tylko o treść, lecz przede wszystkim o formę podejścia. Któż są ci wierzyciele, posiadacze przedwojennych pożyczek polskich? W ogromnej mierze — to dawni biedni emigranci z Polski, którzy w pocie czoła ciużane dolary lokowali w najpewniejsze dla nich wartości, w przyrzeczenie kraju swego pochodzenia, wyrażone w złotych dolarach. A gdy po 35 latach niepłacenia nawet odsetek zaczyna być mowa o załatwieniu sprawy niepłaconego od tak dawna długu, dłużnicze państwo w pierwszej zrobionej wierzycielom ofercie uzależnia korzystanie z oferty co do planu załatwienia sprawy, okrytego tajemnicą, od uprzedniego poniesienia przez wierzycieli dalszych istotnych ofiar i to jednostronnie i bez ekwiwalentu. Nie można bowiem uznać za ekwiwalent zaofiarowania odsetek za dwa lata w minimalnej wysokości półtora i dwu procent rocznie. Oczywiście, posiadacz obligacji może przyjąć ofertę tymczasowego porozumienia lub nie. Ale jeśli jej nie przyjmie, nie będzie go dotyczyć następna oferta uregulowania przedwojennych pożyczek, zapowiedziana na dzień nie późniejszy niż 1 lipca 1975 roku. Nie będzie objęty przyszłym układem nieznaną jeszcze treścią, który na podstawie tej przyszłej oferty może być zawarty tylko przez posiadaczy obligacji, wykazujących się uprzednim przyjęciem oferty tymczasowego porozumienia. W ten sposób deklaracja intencji stała się środkiem presji do przyjęcia oferty tymczasowego porozumienia przez wierzycieli, którzy okazali tyle zaufania do kraju swego pochodzenia.



### *Korzyści przyjęcia oferty tymczasowego porozumienia*

Wynikają one dostatecznie wyraźnie już z dotychczasowych rozważań. Wystarczy więc przypomnieć, że przyjęcie oferty tymczasowego porozumienia daje możliwość brania udziału w przyszłym definitywnym porozumieniu, gdy plan jego zostanie ujawniony w następnej ofercie PRL.

Ponadto zaraz po przyjęciu oferty posiadacz obligacji otrzyma w dolarach tytułem odsetek za rok od 1 lipca 1973 do 30 czerwca 1974 półtora procent od nominalnej kwoty obligacji. Za rok następny uzyska dwa procent. W tym celu zostanie ostemplowany jeden z kuponów przy przedkładaniu obligacji celem przyjęcia oferty. Oczywiście, klauzule złota i obcych walut będą pominięte.

### *Skutki nieprzyjęcia oferty w terminie*

Jaka byłaby sytuacja tych posiadaczy obligacji, którzy by nie przyjęli oferty tymczasowego porozumienia? Czy tracą swe roszczenia? Nic podobnego. Odmowa honorowania obowiązków prawnych, wynikających z obligacji przedwojennych pożyczek, była i jest naruszeniem prawa międzynarodowego, usprawiedliwionym w latach najazdu hitlerowskiego i powojennego kryzysu, ale nie później. Dług nie gaśnie dlatego, że go dłużnik nie płaci w umówionej wysokości, lub wierzyciel nie chce przyjąć mniej niż umówiono. Obligacje posiadaczy, którzy nie przyjmą oferty tymczasowego porozumienia nie będą brać udziału w zapowiedzianym planie ich spłaty, ale nadal pozostają ważnym międzynarodowym zobowiązaniem PRL. Oczywiście dochodzenie takiego długu trwa długo i jest mozolne. Droga, przepisana prawem międzynarodowym, jest dyplomatyczna interwencja przez Departament Stanu po wyczerpaniu drogi prawnej w PRL.

Powstaje naturalne pytanie jaka byłaby sytuacja posiadacza obligacji, który przyjął ofertę tymczasowego porozumienia i zainkasował odsetki w niej przewidziane, lecz później nie przyjął następnej oferty definitywnego załatwienia sprawy po zapoznaniu się z jej treścią? Sytuacje takie mogą zdarzyć się co do tych posiadaczy obligacji, którzy przyjęli ofertę tymczasowego porozumienia przed zapoznaniem się z ofertą PRL, zawierającą plan definitywnego załatwienia sprawy, a następnie rozczarowali się po zapoznaniu z nim. A zdarzyć się to może tym łatwiej, że ofertę tymczasowego porozumienia można przyjmować, choć oferta definitywnego załatwienia sprawy nie jest jeszcze ogłoszona.

Należy przyjąć, moim zdaniem, że ważność przyjęcia oferty tymczasowego porozumienia zależy od późniejszego przyjęcia oferty definitywnego załatwienia sprawy. Nieprzyjęcie tej ostatniej unieważniałoby pierwszą. W istocie bowiem PRL składa w tej samej sprawie dwie kolejne oferty, z których pierwsza

zmierza do osiągnięcia tylko tymczasowego porozumienia, nie mającego samoistnej racji bytu. Między oboma ofertami istnieje z konieczności logicznej ścisły związek. W konsekwencji posiadacz obligacji, który nie przyjął następnie oferty definitywnego załatwienia sprawy, nie byłby związany tymczasowym porozumieniem, nawet jeśli zainkasował odsetki zachęty za rok 1973/74 w wysokości półtora procent.

### *Przyjmowanie oferty i rejestracja obligacji*

*Czas i sposób przyjmowania oferty tymczasowego porozumienia.* Jak wspominałem w innym związku, czas do przyjęcia tej oferty upływa z dniem 30 czerwca 1975 roku. Mogą ją przyjmować posiadacze obligacji, należących do jednego z rodzajów, które są wymienione w ofercie. Posiadacze obligacji innych pożyczek są wykluczeni. Uprawnieni do przyjęcia oferty mogą to uczynić przez złożenie lub przesłanie pocztą obligacji do biura właściwej instytucji finansowej, wyznaczonej dla każdego rodzaju obligacji w ogłoszeniu prasowym. Przyjęcie następuje, gdy właściwa instytucja finansowa otrzyma obligację. Niezwłocznie też przyłoży na niej pieczęć następującej treści:

Oferta tymczasowego porozumienia z 1973 roku została przyjęta dla tej obligacji. Pierwszą ratę odsetek zapłacono przy przyjęciu oferty, a jeden kupon ostemplowano datą 1 lipca 1975 roku jako dniem płatności następnej raty odsetek. Posiadacz tej obligacji zgadza się na wszystkie postanowienia wspomnianej oferty.

Składając obligację we właściwej instytucji finansowej lub przysyłając ją pocztą, posiadacz jej winien podać dokładnie swoje imię, nazwisko i adres.

*Rejestracja obligacji.* Przyłożenie pieczęci przyjęcia na zgłoszonych obligacjach podzieli je w obrębie każdego z ich rodzajów na dwie nowe kategorie. Jedynie ostemplowane obligacje będą mogły uczestniczyć w przyszłym porozumieniu co do ich spłaty. W ten sposób nastąpi rejestracja wysokości kapitału nominalnego i zaległych odsetek, które będą przedmiotem zapowiedzianej oferty PRL co do ustalenia nowej wysokości kapitału każdej obligacji.

### *Pożyczki i gwarancje wyłączone z oferty*

Należało oczekiwać, że rokowania co do spłaty przedwojennych pożyczek zagranicznych obejmą wszystkie istniejące na terenie Stanów Zjednoczonych dolarowe zobowiązania, za które Rzeczpospolita Polska była odpowiedzialna od 1919 do 1939 roku bezpośrednio lub z tytułu finansowych gwarancji. Nie sposób robić różnice między różnymi rodzajami nie spłaconych długów po



upływie prawie trzydziestu pięciu lat od dnia przerwania ich obsługi, a jeszcze dłuższego okresu czasu od ich zaciągnięcia. Zniknęły nawet różnice między obligacjami emitowanymi a gwarantowanymi przez Rząd Polski. Stało się to wskutek zmian ustrojowych oraz nacjonalizacji przemysłu i handlu, dokonanych po wojnie. W obliczu prawa międzynarodowego PRL, gwarantka jako sukcesorka Rzeczypospolitej Polskiej, stała się także w wielu wypadkach główną dłużniczką z mocy własnych zmian ustrojowych. Również przyrzeczenie załatwienia sprawy nie spłaconych obligacji dolarowych, zawarte w nocy PRL z 16 lipca 1960 roku, nie wyłącza żadnego długu.

Jednakże ogłoszona oferta tymczasowego porozumienia nie obejmuje wszystkich dolarowych zobowiązań Państwa, uznanych i ogłoszonych przez przedwojenną Komisję Kontroli Długów Państwa na dzień 1 kwietnia 1938 roku. Pominięte zostały następujące długi i gwarancje:

| Tytuł zagranicznego długu  | Wykorzystana suma |
|--|-------------------|
| Zadłużenie Skarbu Państwa z tytułu 4 % bonów Skarbu Państwa wydanych firmie Standard Car Finance Corporation ..... | \$ 5.669.036,98   |
| Zobowiązania dłużne wystawione z tytułu pomocy finansowej instytucjom kredytowym .....                             | \$ 400.000,00     |
| <i>Gwarancje za zobowiązania z tytułu emisji papierów wartościowych</i>  |                   |
| za obligacje komunalne Banku Gospodarstwa Krajowego ..   | \$ 7.824.000,00   |
| za listy zastawne T-wa Kredyt. Przem. Polskiego w W-wie  | \$ 657.350,00     |
| <i>Gwarancje bezpośrednie Skarbu Państwa</i>   |                   |
| Zjednoczone Zakłady Włówiennicze K. Scheiblera i L. Grohmana w Łodzi .....   | \$ 816.312,00     |
| Poznańskie Ziemstwo Kredytowe .....  | \$ 575.000,00     |
| Państwowy Fundusz Drogowy .....  | \$ 189.586,60     |

Oczywiście sumy te nie obejmują zaległych odsetek.

#### Pożyczki i gwarancje objęte ofertą

Przedwojenne zadłużenie objęte ofertą jest uderzająco nie wielkie. Wynosi mniej niż jedną trzecią jego emisyjnej wysokości. Faktycznie jeszcze mniej. Powszechnie wiadomo, że wiele obligacji zaginęło lub uległo zniszczeniu w ciągu ubiegłych 35 lat, zarówno na obszarze Polski jak i Stanów Zjednoczonych.

Dwie były przyczyny redukcji zadłużenia w okresie przed wojną. Przede wszystkim punktualne płacenie rat amortyzacyjnych i odsetek do czasu wprowadzenia w 1936 roku zakazu wywozu dewiz za granicę w konsekwencji światowego kryzysu gospodarczego. Nadzwyczajną zaś przyczyną była konwersja pożyczek objętych ofertą, znajdujących się na obszarze Polski, na

wewnętrzną pożyczkę w złotych polskich. Zmniejszyła ona zadłużenie dolarowe o \$45.984.000 na dzień 1 kwietnia 1938, tj. na miesiąc przed upływem ostatecznego terminu konwersji, zamieniając obligacje dolarowe pożyczek objętych ofertą na obligacje wewnętrznej pożyczki w złotych. Suma ta stanowiła około 25 % całego zadłużenia dolarowego Rzeczypospolitej Polskiej do instytucji prywatnych.

Stan zadłużenia na dzień 1 kwietnia 1938 roku z tytułu obligacji, objętych ofertą, podaje poniższa tabela. Zmiany do dnia wybuchu wojny były nieznaczne. Tabela nie obejmuje oczywiście faktycznej redukcji zadłużenia wskutek zniszczenia czy zaginięcia obligacji.

Po konwersji z 1938 roku wszystkie te pożyczki przynosiły 4½ % rocznie. Zaległe więc odsetki za prawie 35 lat wynoszą nieco ponad 150 % kapitału każdej obligacji.

| Nazwa długu   | Pierwotna wysokość | Stan na dzień 1 kwietnia 1938 |
|---|--------------------|-------------------------------|
| Pożyczka dolarowa z 1920 r. ....                            | 19.574.000         | 13.287.800                    |
| Pożyczka Dillona z 1925 r. ....                             | 35.000.000         | 8.662.500                     |
| Pożyczka stabilizacyjna z 1927 r.                           | 64.000.000         | 14.887.200                    |
| Bony skarbowe na odsetki dla pożyczki stabilizacyjnej ..... | 196.600            | 196.600                       |
| Bony skarbowe na odsetki dla innych pożyczek dolarowych ..  | 3.093.700          | 3.093.700                     |
| Pożyczka m. st. Warszawy z 1928 r.                          | 10.000.000         | 3.642.300                     |
| Pożyczka Województwa Śląskiego z 1928 r. ....               | 11.200.00          | 3.365.700                     |
| Pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego w Warszawie . | 1.850.000          | 657.350                       |

Ofertą tymczasowego porozumienia objęte są również 7 % obligacje Banku Gospodarstwa Krajowego z 1928 roku, opatrzone datą 1930 roku i oznaczone jako seria II P.Z. (1).

Józef GIDYŃSKI



## Sprawy (nie tylko) wydawnicze

### Komiksowy galimatias

Wiele lat nie było z komiksami kłopotu. Nawet pisało się toto po angielsku — *comics* — żeby każdy wiedział, że to amerykańskie obrzydlistwo. Jeszcze w roku 1962 NRD'owska „Neue Meyers Enzyklopädie” powtarzała za Wielką Sowiecką jednoznaczną anatęmę: obrazki z dymkami to produkt

„zachodnio-europejskich, a szczególnie amerykańskich monopolistycznych przedsiębiorstw kapitalistycznych i prasy; początkowo prezentowały one jedynie prymitywne historyjki przygodowe, ale od drugiej wojny światowej nastawione są na propagandę sadystycznych gwałtów i zbrodni, pornografii, militarystyki i nienawiści do obozu socjalistycznego. *Comics*'y stały się przyczyną wielu zbrodni, popełnionych przez młodzież krajów kapitalistycznych. W NRD *comics*'y są zakazane”.

Niewiele jednak wody w Wiśle i Sprewie upłynęło — i przeszczeptiony na teren NRD kpt. Kloss święci triumfy. W Polsce wśród licznych jubileuszów nie zapomniano o pięcioleciu pierwszego autentycznego komiksu, wzorowanego na najbardziej obrzydliwej sztampie komercyjnej Zachodu: w roku 1968 wydawnictwo „Sport i Turystyka”, produkująca od kilkunastu lat komiksy po szwedzku jako dyskretny eksport usług drukarskich, wydrukowało w 150.000 egzemplarzach pierwszy zeszyt opiewający bohaterstwo porucznika Milicji Obywatelskiej Żbika.

Przemilczany dyplomatycznie w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, nieuznawany do dziś przez Doroszewskiego (Słownik poprawnej polszczyzny, 1973), zdobył sobie komiks należne miejsce w najnowszych encyklopediach. Encyklopedia Wiedzy o Książce (1971) jeszcze z niezyczliwym zastrzeżeniem („...zazwyczaj na niskim poziomie artystycznym...”), ale już Leksykon PWN (1973) ma dla komiksu tylko dobre słowo: „Publikacja rozrywkowa... o charakterze sensacyjnym lub humorystycznym (czasem przeróbka dzieła literackiego)”.

Największy zamęt ideologiczny spowodowały ostatnio niewin-

ne obrazki z dymkiem w Jugosławii. Historia to pouczająca, bo komiksy w Jugosławii stanowiły w okresie stalinowskiej nagonki jeden z niezbitych dowodów amerykańskiej kolonizacji kulturalnej tego kraju, zaprzędania Zachodowi.

Nigdy nie byłem entuzjastą komiksów, ale nie miałem wątpliwości, że o ich wartości kulturalnej stanowi nie przewaga obrazka nad dymkiem, ale poziom artystyczny rysunku i tekstu, zamysł autora, problem, konflikt psychologiczny, czy społeczny. Chyba nie tylko na mojej półce znakomite tomiki Effela („Stworzenie świata” i in.) zajmują miejsce wśród książek, do których chętnie wracam. Ale dopiero ostatnie lata zbliżyły mnie do warsztatu badawczego komiksów i innej literatury sensacyjnej, od-pustowej, czy jak ją tam zwać. Cóż za nieustający potok mądrych (lub nie mądrych) rozpraw naukowych, materiałów konferencji i narad na obu półkulach!

Wśród tuzina publikacji natrafiłem ostatnio na niezwykłą bibliografię. Biblioteka Narodowa Jugosławii wydała pełne zestawienie komiksów i powieści „popularnych” w zeszytach („rotostampa”) drukowanych w Jugosławii w latach 1971-1972. Nigdy nierejestrowane w bibliografii druków, nieuwzględnione w statystyce produkcji wydawniczej, broszurki te zalewały rynek księgarski tego kraju. Rocznie wydawano do 1972 ok. 1000 broszurek rocznie w 70 seriach w łącznym nakładzie 40 milionów egzemplarzy! Dla porównania: Szwecja przy absolutnym zaspokojeniu popytu sprzedaje ok. 5 milionów egzemplarzy tej „literatury” rocznie. A już te rozmiary produkcji budzą gwałtowny sprzeciw szwedzkich działaczy kulturalnych i pedagogów. W wielu broszurkach i artykułach wzywa się — bez większego skutku — do wypierania co szkodliwszych serii przez wartościową literaturę.

W Jugosławii łączny nakład tych zeszytów nie zaliczonych do statystyki druków jest tylko o 25 procent niższy od nakładu całej rejestrowanej produkcji wydawniczej. „Pełnocenne” książki dla dzieci i młodzieży oraz literatura piękna dla dorosłych — drukowana jest w mniejszej liczbie egzemplarzy niż komiksy. Nakład przeciętny komiksów wynosi — 40.000, nakład książek pozostałych — średnio 6.000 egzemplarzy.

Opracowanie bibliografii tej nowoczesnej „literatury odpustowej” w Jugosławii związane było z głośną dyskusją pedagogów tego kraju w roku 1971 na temat szkodliwego wpływu komiksów na młodzież szkolną. W połowie roku 1972 zarządono kontr-akcję: wydawcy tej „literatury” zagrożeni zostali specjalnym 30 %-ym „śund-podatkiem” (czytaj: szund) od obrotu. Powstał odpowiedni aparat biurokratyczny: komisja do zwalczania „śundu” z licznymi podkomisjami ekspertów oceniała każdą podejrzaną serię i decydowała o opodatkowaniu.

Postawione poza prawem, zaszczone komiksy bliskie były całkowitej zagłady, kiedy nagle zgromił inkwizytorów sam... Tito. W czasie spotkania z czołowymi wydawcami w marcu 1973 roku W czasie spotkania z czołowymi wydawcami w marcu 1973 roku zażądał on zbadania metodami naukowymi na czym polega atrakcyjność literatury sensacyjnej i w ogóle „popularnej”. Jeśli, przy



kurczeniu się „normalnego” rynku księgarskiego, 40 milionów zeszytów — i to stosunkowo bardzo drogie — znajduje nabywców, to nie wolno ich administracyjnie pozbawiać tej lektury.

A więc stanowisko zbliżone do postulatów zachodnich — zakazy tylko w przypadkach krańcowych, mądre wypieranie „literatury” bezwartościowej przez stworzenie jeszcze bardziej od niej interesującej alternatywy, cennej artystycznie i kulturalnie. Ale jak to zrobić?

Ciekawe, że obrona choćby takiej formy literatury dla mas („lepiej, żeby czytali choćby to, jeśli nie mają czytać nic”) w Jugosławii zbiegła się z ogólnym procesem dogmatyzacji ideologicznej i umacniania „kierowniczej roli partii”. Nie od dziś w trudnych sytuacjach politycznych obowiązuje zasada: *panem et circenses*. A masowa literatura sensacyjna i sentymentalna uznana została w krajach komunistycznych już chyba powszechnie nie tylko za jedną z najtańszych form *circenses*, ale również za niezwykle skuteczną transmisję propagandową, docierającą jak żadna inna do dzieci i młodzieży.

Wyniki interwencji prezydenta — i rujnującego wydawców podatku — ogłosili Jugosłowianie dopiero niedawno: spośród 70 serii zeszytowych 55 uległo likwidacji, jedna seria ukazuje się nadal w niezmienionej postaci i tylko za tę jedną wydawca zgodził się opłacać haracz podatkowy. Pozostałe 14 serii komiksów i „Co tydzień powieść” uzyskało zwolnienie od podatku pod warunkiem zmiany programu wydawniczego. Opierają się one teraz na tekstach literackich, niektóre drukują „skrócone” wersje powieści klasycznych. Po usunięciu „opisów przyrody” i innych „dłużyzn” jedna z serii rozpoczęła druk skrótu „Quo vadis?”.

Ale wróćmy do pięciolecia komiksów w kraju. W ciągu ubiegłego roku ukazało się kilkanaście artykułów na ten temat. Dyskusja to znamienna: przeciwnicy komiksów i literatury brukowej zbywają sprawę lekceważącym machnięciem ręki; jakby się zmówili — nie podają żadnych argumentów. Typowe jest (por. *Kultura* nr 6/1973) kilkuwierszowe potępienie komiksów przez redakcję *Polityki* (nr 2/1973). „Jest się czego wstydić!” — wykrzykuje redaktor — i w kilka miesięcy później drukuje obronę i to całej grafomańsko-kiczowej produkcji komiksów i sensacyjnych serii zeszytowych. Obrony tej podjęła się Wanda Falkowska (*Polityka*, 16. 6. 1973). Porucznik Żbik jest — jej zdaniem — ukochanym bohaterem i wzorem dla młodocianych czytelników, gdyż uosabia Milicję Obywatelską. Otrzymuje on dziesiątki tysięcy listów, na które pilnie odpowiada Komenda Główna, wyjaśniając że por. Żbik jest zbyt zajęty, by sam mógł korespondować ze swoimi entuzjastami. Powstały setki natchnionych przez dzielnego porucznika brygad młodzieżowych współpracy z Milicją — oczywiście w ramach dziecięcych możliwości: tu popilnują niebezpiecznego przejścia przez jezdnę, tam przestrzegają nieostrożnych przed zbyt cienkim lodem na jeziorze, gdzie indziej piszą Kochanej Milicji o dostrzeżonych w otoczeniu nieprawościach. Niewinne to, a pozytywne igraszki — czym skorupka za młodu nasiąk-

nie... Rączki p. Falkowskiej składają się w wyrazie niemego zachwyty. Cóż, nie wymagamy za wiele, sędzę, że jest to jej pierwsza recenzja literacka. P. Falkowska jest, jak wiadomo, sprawozdawcą sądowym...

Ale pomówmy o literaturze popularnej poważnie. Jest rzeczą w Polsce wstydliwą przyznanie, że książki czyta systematycznie niewielka stosunkowo grupa około miliona ludzi — 3 % ludności, 5 % potencjalnych czytelników (por. *Kultura* nr 6/1973). Tych pozostałych podkarmia się skąpo i podle różnymi sensacyjnymi powieściami w odcinkach, grafomanią „Sensacji XX Wieku”, „Żółtych tygrysów” i innych wydawnictw zeszytowych, a w ostatnich latach — komiksami z socjalistycznymi James-Bondami.

Pamiętam dramatyczną konfrontację z powszechnym analfabetyzmem pod koniec wojny i w latach 1945-1947. Komisje poborowe alarmowały — ogromna większość rekrutów nie umiała czytać, bezradne sylabizowanie należało do chlubnych wyjątków. Wtedy wydawnictwo wojskowe i „Czytelnik” Jerzego Borejszy rozpoczęło druk serii książek łatwych, interesujących, krótkich i wartościowych, drukowanych dużą czcionką („Biblioteka Żołnierza” i „Biblioteka Nowego Czytelnika”). Jakieśmy za to dostali cięgi! Likwidacja obu serii, podobnie jak obwieszczenie (uroczyście!) o rzekomej likwidacji analfabetyzmu miało posłużyć jako kwiatek już nie tyle dla ozdoby, ile dla całkowitego przesłonięcia kożucha, zaprzeczeniu jego istnienia. A przecież w Szwecji o najkożucha, zaprzeczeniu jego istnienia. A przecież w Szwecji o najwyższej w świecie kulturze czytania i rozwiniętym czytelnictwie (20 % ludności systematycznie czyta książki) drukuje się stale specjalne serie interesujących łatwych książek dla wtórnych analfabetów i ludzi niedowidzących!

W Polsce lat ostatnich sporo jest badań nad obecnym stanem czytelnictwa. Te, które zostały przeprowadzone rzetelnie, bez z góry przyjętego optymistycznego wyniku, dobrze służą sprawie rozpoznania potrzeb kulturalnych społeczeństwa. Ukazały się prace o czytelnictwie robotników i oficerów, chorych w szpitalach i mieszkańców małych miasteczek, studentów politechnik i wydziałów humanistycznych. Piętrzą się dane o zakupach bibliotecznych i wypożyczeniach, o strukturze zasobów bibliotecznych i stopniu ich wykorzystania.

Spór toczy się o to, jak zachęcić do czytania potencjalnych czytelników, którzy po opuszczeniu szkoły stracili wszelki kontakt z książką. Czy rolę tę odegrać może tylko lektura najłatwiejsza, czy też jej brak skusi tych potencjalnych czytelników do lektury wartościowej, trudniejszej? Pomijając literaturę popularną, a tylko przyjmując dwa stopnie utrudnienia w czytaniu powieści, zbadał Bogusław Sułkowski („Powieść i czytelnicy”, 1972) strukturę wykształcenia czytelników, których ulubionym pisarzem jest Kraszewski i tych, którzy opowiedzieli się za Camus'em. Pierwszą grupę stanowią niemal wyłącznie ludzie nie posiadający średniego wykształcenia. „Camusowska” elita składa się z maturzystów, studentów, ludzi z wyższym wykształceniem, którym



nawet nie wypada się przyznać, że „jeszcze” czytają Kraszewskiego, że staromodna „Chata za wsią” może ich „jeszcze” wzruszać.

A przecież właśnie wzruszenie, sentymentalizm, nieskomplikowane białoczarne sylwetki bohaterów, żywa akcja stawiają powieści Kraszewskiego w rzędzie najpoczytniejszych książek w Polsce Ludowej. Ukazały się one w 406 wydaniach i 11,5 mln. egzemplarzy — tylu prawie co powieści Sienkiewicza (341 wydań w 12,5 mln. egz.) i Prusa (333 wydania w 11,6 mln. egz.). Zupełnie inny jest rząd nakładu 14 wydań Camus'a (323.000 egz.), nawet w porównaniu z popularnymi powieściami tłumaczonymi (np. 96 wydań powieści Londona w nakładzie 3,3 mln. egz.).

Liczby te wskazują na różnice ilościowe różnych kręgów czytelniczych. Cóż dopiero mówić o całej ludności. Z badań nad czytelnictwem w bibliotekach miejskich wynika, że robotnicy stanowią zaledwie 3% odwiedzających, chociaż poziom wykształcenia klasy robotniczej ulega stałej poprawie i w młodym pokoleniu zbliża się do poziomu krajów zachodnich. W 1970 roku 31% robotników przemysłowych miało wykształcenie więcej niż podstawowe, a wśród nowoprzyjętych do pracy, a więc głównie wśród ludzi młodych, odsetek ten „jest z reguły o połowę wyższy” (K. Zagórski, *Przegląd Związkowy*, 7-8/1973). Spis ludności z roku 1970 ujawnia nadal milion analfabetów, 100.000 młodzieży (18-24 lata) i 680.000 ludzi w wieku średnim (24-40 lat) nie ma ukończonej szkoły podstawowej. A do tego rosnące spożycie alkoholu i pijaństwo, niepokojący wzrost przestępczości wśród młodzieży...

Ale tu już zdecydowanie wychodzę poza ramy mojej rubryki. Więc czy należy przy tym układać czytelnictwa w Polsce rozdzierać szaty nad rzekomym upadkiem kultury? Nic podobnego — jedyne co jest konieczne, to przeciwdziałanie wszelkim formom „potemkinowskich wsi”, fasadowości i nacjonalistycznemu młóceniu frazesów. Rzetelni działacze kulturalni — a jest ich w kraju legion — na wsi i w mieście — w szkołach, bibliotekach, wydawnictwach, księgarniach, klubach i domach kultury — znają doskonale prawdę o uwarstwieniu kulturalnym społeczeństwa. Lepiej czy gorzej, z reguły w konflikcie z dogmatycznymi „ideologami” różnych szczebli hierarchii partyjnej i państwowej, zabiegają oni o rozwój polskiej kultury, o jej rzeczywiste upowszechnienie.

Taka jest niewątpliwie również intencja obrony literatury popularnej — nawet literatury sensacyjnej i sentymentalnej, nawet komiksów — przez rzeczywistych znawców problemu. Obrona, ale połączona z krytyką formy i treści, nie godząca się z zalewem sżmiry w zeszytach. Obrona, ale przeciwna płytkości przemian kulturalnych, które utrzymują izolację różnych kręgów społeczeństwa, podwyższają progi między kulturą wsi i miasta, „kulturą” „góraluczycinieżał” pod budką z piwem, piosenki opolskiej i kulturą Filharmonii Narodowej, sub-kulturą „czytelników” komiksów o por. Żbiku i kulturą miłośników poezji Różewicza.

Taką obronę literatury sensacyjnej podjęła na przykład pedagog doc. Krystyna Kuliczowska (*Nowe Książki*, nr 6, 1973). Z wywiadu z nią i z sąsiadujących recenzji można się wiele dowiedzieć nie tylko o tłumaczonych, ale również o polskich „autentycznych” westernach, „kryminałach” angielskiego typu, oraz o wszelkich innych lepszych i gorszych lekturach „wstrząsowych” dla dzieci i młodzieży.

Okazuje się, że już wolno w Polsce pisać pozytywnie o „utrwalonych konwencjach, stanowiących warunek 'pierwszego porozumienia' autora z niewyrobionym czytelnikiem. W tej konwencji literatury popularnej musi się pojawiać bohater zawsze pozytywny i niezwykły, wyraźna hierarchia wartości moralnych, spiętrzenie nieprawdopodobnych sytuacji”. „Dzieci lubią się bać — pisze autorka — i odrobina dreszczyka na pewno im nie zaszkodzi pod warunkiem, że nie będzie to mnożenie upiornych scen po to, by je naprawdę przerażać”. „Dziecko bardzo szybko zauważa, że trupy w westernie giną śmiercią rekwizytów teatralnych”. No i jeszcze Goethe przywołany na świadka — rozczytywał się podobno w dzieciństwie w literaturze odpustowej.

Stefan Żółkiewski (również w *Polityce*) głosi nadejście ery kultury obrazkowej. Nie forma, ale treść komiksów musi ulec zmianie. Miliony widzów przyszłości, oglądających nie tylko programy emitowane, ale również „własne”, przechowywane w kasetach, oddalac się będą coraz bardziej od tradycyjnych form czytelniczości. Żółkiewski przewiduje, że nawet lektury szkolne — na przykład „Treny” Kochanowskiego — będą w przyszłości wydawane w atrakcyjnej dla młodzieży formie komiksów.

Dość o komiksach — i to na długo. Sądzę, że tej garści informacji starczy, by czytelnik podzielił moją opinię — nie tylko w różnych państwach komunistycznych, ale nawet w granicach kraju, w zasięgu tej samej cenzury, tej samej polityki kulturalnej — galimatias komiksowy trwa. Pięknoduchy sobie, fabrykanci milicyjnych „jamesbond'ów” sobie. A tzw. czytelnik masowy, ten który traktuje czytanie książek jedynie jako rozrywkę? Ten czytelnik — nawet dorosły — chętnie przeczyta „coś lekkiego” z dreszczykiem. Byle mu tylko nie wmawiać, że rekwizyty teatralne — to ludzie prawdziwi, byle tylko go zanadto nie bujać, nie przerażać i nie agitować za niesłuszną sprawą.

Adam BROMBERG

Uppsala, 29 listopada 1973.







lub były z nią sprzeczne, zostały pomijane i ignorowane. Poza tym ekstrapolacje tendencji rozwoju różnych czynników społecznych czy gospodarczych są metodą wielce wątpliwą.

Druga linia rozumowania, zresztą znacznie silniej działająca na opinie szerokich sfer społecznych, starała się wykazać że tezy maltuzjanizmu (czy pokrewnego mu ricardizmu) są po prostu pseudo-naukowym uzasadnianiem tendencji anty-społecznych, tj. ochrony przywilejów drobnych grup klasy rządzącej oraz hamowania postępu i poprawy stopy życiowej szerokiej warstw ludności i szerszych jeszcze rzesz ludów „niecywilizowanych”, bo i tak „dla wszystkich nie wystarczy”. Taka m.in. była postawa i argumentacja Marksa, który wraz z wieloma grupami różnorodnych postępowo-demokratycznych ruchów społecznych, należał do zdecydowanych przeciwników „teorii Malthusa”.

Przewidywane przez wyznawców maltuzjanizmu katastrofy ekonomiczne i społeczne nie nastąpiły. Błędy rozumowania protagonistów tego ruchu — na ogół biorąc bynajmniej nie lekko-myślnych ani tendencyjnych, choć na pewno nadmiernie ulegających prywatnym, podświadomym czynnikom „eschatologicznym” — potrafimy dziś wykazać i wyjaśnić bez trudu. W grę wchodzi tu w pierwszym rzędzie niedocenianie możliwości technicznych, oraz postępu naukowo-technologicznego przede wszystkim w rolnictwie, ale również w przemyśle żywnościowym i transporcie. Poza tym, w zakresie ekonomicznym, nieuzasadnione przekonanie o kompletnej znajomości rzeczywistego stanu rzeczy w zakresie zasobów materiałowych. Dziś rozumiemy że maltuzjaniści nie wiedzieli nic o istnieniu i potencjalnych możliwościach takich, niezwykle ważnych dziś, materiałów, jak produkty kopalnych węglowodorów, ropy naftowej, gazu ziemnego, aluminium (nie mówiąc już o niklu, kobaltcie, magnezie i innych ważnych dziś w technice metalach), jak również nie mieli danych aby przewidzieć, że bliski już wtedy rozwój technologii chemicznej przyniesie nawozy sztuczne i materiały plastikowe.

Przypominanie dziejów teorii maltuzjańskiej nie byłoby może uzasadnione, gdyby nie fakt że, zastanowienie się nad tą koncepcją może rzucić sporo światła na zagadnienie nowoczesnych prognoz eschatologicznych.

Przewidywania Malthusa skonstruowane zostały — mówiąc dzisiejszymi terminami futurologicznymi — przez przyjęcie pewnych parametrów, oraz funkcjonalnych stosunków między nimi zachodzących, oraz obliczenie ilościowych wyników z równań w ten sposób zbudowanych. Takimi parametrami są tu: wielkość przyrostu zaludnienia, zapasy terenów nadających się do uprawy rolnej, zasoby dóbr naturalnych (jak żelazo, węgiel, drewno itp.) tempo ich konsumowania, wielkość zasobów kapitałowych i zdolności inwestycyjne, szybkość rozwoju środków przetwórczych przemysłu. Dane faktyczne, określające te parametry były wtedy, w znacznym zakresie, po prostu ocenami. Znajomość funkcjonalnych stosunków zachodzących między tymi czynnikami była jeszcze mniej pewna, w dużym stopniu sprowa-

działa się do zgadywania popartego raczej obserwacjami indywidualnych przykładów niż (nieistniejącymi) danymi statystyk. Obliczenia były także raczej szacunkami, gdyż podejmowanie uciążliwych rachunków, wymagających wielogodzinnych nudnych wysiłków nie stanowiło pojętej perspektywy dla społeczników i filozofów.

Dziś, w 175 lat po Malthusie sytuacja, przynajmniej w zakresie kalkulacji, przedstawia się znacznie prościej. Wystarczy za programować odpowiedni komputer, aby wielotygodniowa praca całej rzeszy rachmistrzów została wykonana w ciągu paru godzin. Niemniej, dopiero w 1970 roku Jay W. Forrester z MIT (*Massachusetts Institute of Technology*) spróbował przeprowadzić obliczenie przebiegu procesu gospodarczo-społecznego na całym świecie, przedłużając wyniki na lata do roku 2100. Skonstruował on program komputerowy zawierający 12 zasadniczych i 31 dodatkowych zmiennych (tj. „parametrów”) i około setki równań matematycznych, wyrażających funkcjonalne związki między tymi zmiennymi. Stanowi to tzw. model „World 2”. Wyniki obliczeń i wnioski zostały zawarte w książce „World Dynamics” („Dynamika Świata”, 1971). W następnym roku Dennis L. Meadows (oraz Donella H. Meadows, Jorgen Ronders i William W. Behrens III), traktując model Forreстера jako prototyp, starali się udoskonalić jego wnioski powiększając dwukrotnie liczbę równań matematycznych (i prawie trzykrotnie liczbę równań matematycznych). Tak powstał model „World 3”, którego wyniki komputacji zostały przedstawione w książce „The Limits to Growth” („Granice Rozwoju”, 1972). Szczegółowy, techniczny opis tego modelu zawarty jest w oddzielnej publikacji „The Dynamics of Growth in a Finite World” („Dynamika Rozwoju w Świecie Ograniczonym”, 1973).

W obu tych modelach wyliczenia wstecz, do początku bieżącego stulecia są na ogół dość zgodne z historyczną rzeczywistością. Według modelu Forreстера zaludnienie świata będzie wzrastać do roku 2020, przekraczając liczbę 5 miliardów, po czym znacznie opadać, przede wszystkim z powodu załamania się gospodarki, spowodowanej wyczerpaniem się zasobów bogactw naturalnych, niedostatku żywności i skalania (zanieczyszczenia środowiska). Wobec niejednorodności gospodarczo-społecznej świata ogólna katastrofa będzie na poszczególnych terenach poprzedzana wybuchami wojen, epidemii i rozruchów. Te ostatnie jako wynik fizycznego i psychicznego przeludnienia.

Model Meadowsa przewiduje wzrost zaludnienia aż do poziomu 13-14 miliardów w XXI stuleciu, a katastrofalne załamanie się gospodarki przed końcem XXI stulecia. W tym wypadku katastrofę spowoduje załamanie się podstaw kapitałowych gospodarki wobec niedającego się opanować wzrostu kosztów inwestycyjnych przemysłu, wywołanych wyczerpywaniem się zasobów naturalnych. Inaczej mówiąc siły ludzkie staną się niedostateczne, aby wyprodukować niezbędne środki utrzymania — z żywnością, transportem i budownictwem na czele. Autorzy modelu



podkreślają jednak że wobec konieczności zastosowania znacznych uproszczeń we wzorach matematycznych modelu „dokładniejsze daty wydarzeń nie są możliwe do określenia”. Ponadto, co jest jeszcze bardziej istotne, Meadows stwierdza, że z danych faktycznych, koniecznych do wyznaczenia zasadniczych parametrów, posiadamy zaledwie około 0,1% w formie cyfr obiektywnych. Pozostałe dane są szacunkowe, oceniane na podstawie założeń, które „w danej sytuacji wydają się najbardziej uzasadnione”.

Oba te modele stały się podstawą szerokich i namiętnych dyskusji w stopniu nie mniejszym niż ogień broszura Malthusa. Ale z punktu widzenia naukowego modele te spotkały się z poważnym krytycyzmem, nawet na terenie MIT. W Anglii oba modele poddane były obszernej analizie przez Zespół badania polityki nauki przy uniwersytecie w Sussex (*Science Policy Research Unit*). Wyniki, w postaci 14 rozpraw (różnych autorów) zredagowali H. S. D. Cole, Christopher Freeman, Marie Jahoda i K. L. R. Pavitt w książce „Thinking About the Future” („Myślenie o Przyszłości”, 1973), którą poprzedził przedmowa prof. Asa Briggs (Wice-Kanclerz Uniwersytetu Sussex), podkreślając że autorzy rozpraw formułują swe krytyczne wnioski nie po to, aby zdobywać punkty w turnieju dyskusyjnym, ale żeby przyczynić się do wszechstronniejszego oświetlenia wysoce skomplikowanego problemu. Nie wątpi on, że autorzy modeli futurologicznych będą je przerabiać, poprawiać i uzupełniać nie mniej gorliwie niż to czynił Malthus ze swymi tezami.

Jedną z owocnych metod analizowania modelu „World 2” i „World 3” było ponowne przeliczanie ich na komputerach z wprowadzeniem zmian do indywidualnych wartości zmiennych. Pozwala to wykryć jakie parametry w jakim stopniu wpływają na pojawienie się katastrofy „załamania”. Ponieważ modele są, oczywiście, nieliniowe, wobec tego znaczenie i wpływ stosunków między parametrami są różnorodne. Stosunki, które w pewnych okolicznościach mogą mieć drugorzędne znaczenie — w innych stają się decydujące. I na odwrót. Na przykład żaden z parametrów skalania środowiska nie okazał się istotny, gdyż katastrofa załamania się całego systemu następuje wcześniej, zanim skalanie zdoła osiągnąć poziom niebezpieczny. Jeżeli cały zespół parametrów i stosunków pod-systemu skalania w ogóle usunąć z modelu to ogólne wyniki nie ulegają znacznijszym zmianom. Z drugiej jednak strony, jeżeli parametry zasobów materiałowych określimy bardziej optymistycznie, niż to czynią autorzy modeli „World 2” i „World 3”, to termin katastrofy zostaje nieco odsunięty w czasie, ale teraz skalanie środowiska staje się czynnikiem krytycznym.

Stosunkowo niewielka stronniczość w ocenie wielkości parametrów lub stosunków występująca systematycznie przy wielu zmiennych wywołuje znacznie większy skutek w ostatecznych wynikach niż duża nawet przesada w ocenie wielkości jakiegoś indywidualnego parametru. Przy czym naturalnie jedne para-

metry są bardziej inne mniej wrażliwe na nieścisłość oceny.

Błędem jest przyjęcie milcząco założenia, że zasadnicze parametry systemu są w początkowej chwili obliczeń niezależne. W rzeczywistości parametry te są wielokrotnie ze sobą powiązane, co wpływa na różnorodność sprzężenia zwrotne przy wyliczeniach. Jeżeli te sprzężenia zwrotne nie zostają poprawnie założone w modelu, to tendencje rozwojowe stają się w obliczeniach zniekształcone, w niektórych przypadkach bardzo poważnie, jak to wykazują nierealistyczne, lub nawet absurdalne przebiegi krzywych obliczonych np. dla czynnika „żywność na głowę ludności” około roku 1900, czy też „krzywe zaludnienia” w okresie 1900-1904.

Dane obliczeniowe modeli dają wyniki dość zgodne z danymi statystycznymi (*nota-bene* w znacznej części tylko szacunkowymi wobec braku danych faktycznych) dla większości obliczonych krzywych (tj. tendencji rozwojowych) dla okresu 1900-1970. Jeżeli jednak ten sam model przeliczyć wstecz dalej, aż do roku 1850 i przeprowadzić kalkulacje od tego terminu, to model zapowiada katastrofę załamania się dynamiki świata na lata około 1970 roku z wstępnym, przejściowym załamaniem się w okresie 1880 roku.

Przyjmując bieżące oszacowania zasobów kopalni w znanych i prawdopodobnych złożach, oraz zakładając że tempo konsumpcji tych, nieodnawialnych minerałów nie będzie znacznie wzrastać, model „World 3” określa że zasoby te wystarczą na 250 lat, naturalnie przy szybko wzrastających kosztach produkcji i inwestycji wobec stopniowego wyczerpywania się bogatszych rud i eksploataowania rud coraz uboższych. Te koszty eksploatacji, które rychło przekroczą zdolności inwestycyjne kapitałów, szybciej doprowadzą do katastrofy niż wyczerpywanie się zasobów. Toteż nawet gdyby realne zasoby okazały się dwukrotnie większe, to nie zapobiegnie to katastrofalnemu załamaniu się gospodarki.

Otóż nie ulega wątpliwości, że oceny modelu „World 3” są zbyt pesymistyczne. Nie biorą one pod uwagę rozwoju technologii (powtarzając w tym błąd Malthusa) która może pozwalać ekonomicznie wykorzystanie coraz uboższych rud oraz na sięganie do nowych pokładów, tymczasem nie dających się wykorzystać. Wszystkie złoża brane pod uwagę przez autorów omawianych modeli znajdują się w warstwie nie grubszej niż 3-4 km, podczas gdy grubość kory ziemskiej wynosi od 40 do 65 km (większa grubość jest pod masami lądowymi, mniejsza pod oceanami). Oceny modeli nie obejmują też zapasów minerałów i metali zawartych w wodzie morskiej i osadach na dnie oceanów, a zapasy te wielokrotnie przewyższają wszystkie zasoby kopalniane łącznie z tymi, które już zostały wyeksploatowane. Dziś z zapasów tych nie umiemy jeszcze prawie wcale korzystać — to prawda, ale setki laboratoriów pracujące nad tymi zagadnieniami mogą nie pozostać bez pozytywnych rezultatów.



Jeżeli przyjmie się model Meadowsa z dodatkowym założeniem, że postęp w technologii materiałowej (tj. nowe odkrycia zasobów naturalnych, oraz wzrost regeneracji materiałów odpadkowych) wyniesie, poczynając od roku 1970 tylko 2% rocznie (czyli nawet nieco mniej niż wynosił w okresie 1969-1972), a szybkość wzrostu zanieczyszczenia środowiska będzie zredukowana choćby tylko o 1% rocznie, to załamania się gospodarcze zostaje odsunięte w nieskończoność.

Parametr zaludnienia, a właściwie przyrostu ludności jest zagadnieniem które staje się coraz szerzej i coraz energiczniej omawiane i dyskutowane społecznie mimo ogromnych wpływów emocjonalnych jakie są tu zawarte, oraz różnorodnych wpływów czynników politycznych, psychologicznych i religijnych. Rozwiązanie tego zagadnienia zależy prawie wyłącznie od tych czynników, nie zaś od trudności technicznych. W każdym jednak razie wpływ tej zmiennej na dynamikę modeli świata jest — wbrew pozorom — stosunkowo niewielki. Niezahamowany przyrost ludności doprowadzi do pogorszenia się standardu życia, ale przedludnienie nie doprowadzi do katastrofy załamania się dynamiki globu. Czynnikiem przedludnienia jest bowiem w pewnym sensie procesem samoregulacji. Po przekroczeniu pewnego poziomu przedludnienie wywołuje skutki fizyczne i psychiczne, które w mniej lub więcej drastycznych formach redukują przyrost i powiększają śmiertelność.

Skalanie środowisk ekologicznych wytwarza najszybciej odczuwane skutki pogarszania się warunków i standardów życia. Toteż temat ten skłonny jest wzbudzać najostrzejszą gorączkę dyskusyjną. Stał się on podstawą działalności trzech grup społecznych mniej lub więcej wyraźnie skryzjalizowanych dokoła zespołów propagandowo-naciskowych, znanych jako „ekolodzy”, „środowiskowcy” (tj. *environmentalists*) i „anty-technologięści” (czy nawet *anti-science*). W pewnym zakresie akcje w tymże kierunku prowadzą liczne inne organizacje, jak Towarzystwa Ochrony Przyrody, Zjednoczenia Anty-hałasowe (*Anti-Noise Society*), Stowarzyszenia Przyjaciół Dzikiej Natury (*Wild Life Association*) oraz wiele innych organizacji i grup naturalistów.

Zjawisko skalania i skażenia środowiska ekologicznego jest bardzo dawne, ale sam termin ekologii jest zupełnie nowej daty. Dopiero przed pięćdziesięciu laty skryzjalizowała się taka dyscyplina naukowa, która przybrała nazwę Oekologia. Był to tylko peryferyczny dział biologii roślin, dotyczący ich przystosowania się do zmieniających się warunków środowiskowych. Nie było nigdzie ani katedry uniwersyteckiej poświęconej tym badaniom, ani specjalnych czasopism naukowych. Przedwojenny Wielki Słownik języka polskiego (tzw. „Warszawski”) w ogóle nie zna jeszcze takiego pojęcia i wyrazu. Dziś ekologia zmeżniała i obejmuje sprawy nie tylko roślin, ale wszystkich istot żywych, od bakterii po człowieka, posiada tuziny pism naukowych w najważniejszych językach świata, katedry uniwersyteckie i instytuty naukowe, a nawet, tu i ówdzie Ministerstwa administracji pań-

stwowej (np. w Wielkiej Brytanii), a przynajmniej wydziały specjalnie zagadnieniom środowiska (*Environment*) poświęcone.

Skalanie środowiska jest słusznym tematem zainteresowania i zniecierpliwienia najszerszych sfer społeczeństwa. Choć bowiem parametr ten należy do mniej istotnych w przewidywanej i przepowiadanej katastrofie to jest to równocześnie czynnik i najdotkliwszych przykrości i najłatwiejszy do zahamowania jeżeli nie usunięcia. A najłatwiejszy w tym sensie, że do jego zwalczania mogą być najzupełniej skutecznie użyte znane i wypróbowane już metody technologiczne. Nie potrzeba żadnych nowych odkryć i wynalazków. Jest to sprawa „tylko” dwóch czynników — wysiłku gospodarczego (koszt) i politycznego (nawet międzynarodowego).

Wyniki analizy modeli „World 2” i „World 3” wykazują że, teoretycznie biorąc, ta metoda przewidywania przyszłości jest słuszną, uzasadnioną i zapewne konieczną niemniej niż prognozy meteorologiczne. W praktyce trudności powstają z nadmiernych luk w znajomości parametrów.

Konstruowanie matematycznych modeli systemów dynamicznych, dla obliczania skutków (w żargonie technicznym: „dla komputerowania prognoz futurologicznych”) jest metodą właściwą i wysoce obiecującą, ale wymaga ona udoskonalień przede wszystkim w gromadzeniu dokładnych danych faktycznych (statystyk) w bardzo wielu zakresach, w których dotychczas zadowalaliśmy się przybliżonymi ocenami i szacunkami. Te mogą prowadzić do wyników szkodliwie pesymistycznych. Szkodliwie, gdyż w tym zakresie pesymizm nie jest synonimem ostrożności. Wręcz przeciwnie, prowadzić może z jednej strony do anarchicznych ekscesów, a z drugiej — do zniechęcenia i apatii.

Indywidualnie człowiek może starać się przeciwdziałać apatii chwytając się wiary w „życie pozagrobowe” — ludzkość jako całość, nie ma podobnej ucieczki psychologicznej dla swego „ducha”. Fantazje „naukowe” („Scjentyfikacje”) o kolonizacji planet na innych systemach słonecznych dalekie są od osiągnięcia dostatecznej mocy „fideistycznej”.

Stanowi zasadniczą różnicę dla jednostki, czy diagnoza specjalisty zapowiada mu termin zgonu w ciągu siedmiu dni, czy w ciągu siedmiu lat, zalecając wysiłek poprawienia takich czy innych okoliczności. Tak samo dla społeczeństw ludzkich stanowi istotną różnicę, czy katastrofa zagłady zapowiedziana jest w ciągu najbliższych dwóch pokoleń, czy dwustu, z zaleceniem podjęcia wysiłków poprawy pewnych warunków.

Wiemy, oczywiście, że ostatecznie świat nie uniknie zagłady, a jej najdalszym terminem będzie okres, kiedy wielkość energii promieniowanej przez słońce i otrzymywanej przez ziemię spadnie poniżej krytycznego (jakiego?) poziomu. Ale ten termin jest raczej odległy.

Jerzy P. HORZELSKI



## Książki

### «Gołos iz chora»

Abram Terc to pseudonim rosyjskiego krytyka i historyka literatury, Andrieja Donatowicza Siniawskiego (ur. 1925); we wczesnych latach 60-ych na Zachodzie ukazał się szereg utworów *Terca* — po raz pierwszy w „Bibliotece Kultury”: Nr 46 — *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny*; Nr 68 — *Opowieści fantastyczne* (i wydanie po rosyjsku *Fantastičeskie powiesti*, Nr 70); Nr 91 — *Lubimow*, a potem w licznych przekładach. Utwory te, napisane w konwencji surrealistycznej groteski, były kpina z urzędowej sacharyny literackiej i krzywym zwierciadłem sowieckiej codzienności.

Po rozszyfrowaniu pseudonimu przez „policję myślową” Siniawski został wraz ze swym przyjacielem J. M. Daniłem (Nikołajem Arzakiem) aresztowany (8 września 1965) i skazany na 7 lat *łagiera strogogo reżima* za „oczernianie ustroju, pornografię i zdradę tajemnic państwowych”. Proces Siniawskiego i Daniela był pierwszym procesem politycznym w Związku Sowieckim, na którym oskarżeni nie uznali się za winnych i obstawali przy swym prawie do swobody wypowiedzi artystycznej. Szczegóły tego procesu i opis oddźwięku, jaki wywołał, znaleźć można w „Dokumentach” *Sąd idzie*, „Biblioteka Kultury”, nr 127.

Siniawski spędził w łagrach na północy prawie 6 lat; zwolniono go w czerwcu 1971. Po uwolnieniu Siniawski rozpoczął starania o zezwolenie na emigrację ze Związku Sowieckiego i w 1973 przybył wraz z rodziną do Francji. Obecnie jest wykładowcą na Uniwersytecie w Paryżu.

W czasie swego uwięzienia Siniawski mimo warunków obozowych kontynuował pracę pisarską. Jedyne nie budzące podejrzeń formą były listy do żony; ilość ich była wprawdzie reglamentowana (2 na miesiąc), ale długość dowolna. Siniawski wysyłał do żony 15-20-to kartkowe listy, wypełnione rozważaniami o sztuce, życiu i literaturze, wplatając w to obserwacje nad łażerniczym folklorem. W ten sposób nazbierało się ponad 1500

stron surowego materiału, z którego powstały trzy książki: „Przechadzki z Puszkinem”, „W cieniu Gogola” i opublikowany niedawno (po rosyjsku) „Głos z chóru” (*Gołos iz chora*, Stenvalley Press, London 1973, 339 str.). Ta ostatnia książka jest czymś pośrednim między dziennikiem a zbiorem aforyzmów; urywki rozważań mieszają się tu z migawkami obozowymi, strzępami rozmów współwięźniów, komicznymi powiedzonkami, etc.

Siniawski przebywał w trzech obozach: od marca 1966 do stycznia 1967 w małym obozie o sielskiej nazwie „Sosnowka”, w którym odsiadawali niekończące się wyroki więźniowie „religijni”, w większości już starcy; następnie — do czerwca 1969 — w centralnym obozie mordwińskim Jawas (*nomen omen*: „ja was...”) o mieszanym składzie: obok kończących 25-letnie wyroki kolaborantów wojennych siedzieli tu dysydenci spośród inteligencji i przestępcy kryminalni; resztę odsiedział Siniawski w odległym łagrze nieopodal osady Baraszewo.

„Głos z chóru” należy do tego typu utworów, które trudno „recenzować” w przyjętym znaczeniu tego słowa. Ponieważ jest to mozaika, wybrałem z niej garstkę kamyczków, licząc na to że przekażą one — w części przynajmniej — barwę oryginału.

M. BRONSKI

Będę mówił po prostu, bo życie jest krótkie.

W łagrze człowiek się konserwuje. Ci, którzy trafili tu w młodym wieku, do późnej starości zachowują w rysach i ruchach coś szczeniakowatego. Po przyjeździe zdiwiłem się młodzieńczym wyrazem twarzy wielu więźniów z długimi wyrokami. Podobno mniej trosk. Albo wpływ abstynencji seksualnej. Raczej działa tu jednak ogólny klimat psycho-fizyczny — izolacja od powszechnego, ogólnoludzkiego biegu życia. Tak jak właściwości ziemskiego czasu nie stosują się do Marsa. Zupełnie odmienny układ współrzędnych. W jakimś stopniu odnosi się to i do łagrów. Rzeczywiście „nie starzejem”, a czy to lepiej czy gorzej — trudno powiedzieć. Niewątpliwie domaga się tego jako kompensacji sama natura. Ona wie lepiej.

Trzydzieści lat przeleciało, jak w bajce...  
(Pospolity zwrot, który po raz pierwszy usłyszałem budząc się na górnej pryczy w łagrze, i pomyślałem — jak trafnie, jak dobrze: jak w bajce!)

Siedzi skazany na 25 lat i regularnie czytuje pismo „Zdrowie”.

Arkuszy papieru — jak krata, przez którą wyglądam.

Wylizał łyżkę jak pies i schował do kieszeni. Ja też wylizałem i też schowałem.

Tatuaze:



Na piersi (na ramieniu) stereotypowy napis — „Nie ma szczęścia w życiu”,  
 Na brzuchu — „Jeszcze nie najedzony”,  
 Na nogach — „Zmęczone”,  
 Na członku — „Drań”,  
 Schemat człowieka.  
 Ale niekiedy — dla uzupełnienia — na rzepkach kolan tatuują kwiaty.

... I wskutek wielkich mrozów psy wyły prawie ludzkim głosem.

Śnieg i dlatego miły, że pada bez dźwięku. Jak światło.

Niespodziewane pytanie:

— Andriej, a co myślisz na temat smoków?

— ?!

— Gdzie one się podziały?

... Opowiadali, jak zarzynano prosiaka i jak ten, z nożem w sercu, wyszedł z szopy, rozejrzał się i wszedł z powrotem — zdechnąć. W zupełnym milczeniu. Cała scena bez jednego dźwięku. Tylko pod oknem gospodyni do żony rzeźnika — szeptem:

— Nogi mi dygoczą. Dawaj przeklinać się, jak najgłośniej!...  
 A mnie przysłyszał się w tym miejscu — lot Walkirii.

Ona ma dom w Rostowie i niepijącego męża.

Z przeszłości. Gdzieś na Syberii zwalniają komisynie paragraf 58-my. Z okolicznych wsi zjechały kobiety, czekają pod wartownią — zaferować się na żony, znaleźć mężów. Znaną kurewkę podoficer przegonił:

— Tu nie dla takich!

Atmosfera ważnego targu. Skromnie, statecznie, żadnych żarcików czy śmieszek, ze zrozumieniem doniosłości kroku. 58-my ma reputację, że daj Boże. Dobry towar. Może który zostanie. Koloryt, jeśli można porównywać, Rusi Kijowskiej. Nadzieja.

Przed rozstrzelaniem albo ucieczką myślą, że ocaleją, że kula przejdzie bokiem. Na wylot. Mówił: tacy nie wierzą w śmierć, tylko w drzwi: że otworzą się w ostatnim momencie — nie umrą, tylko zostaną zbawieni.

(A jednak prosił, żeby nie strzelać w twarz: strzał w twarz to śmierć ostateczna, bez wyjścia; twarz — wyjście duszy?)

Może ta chwila nadnaturalnego napięcia, w której „widzą wszystko”, zwalnia zamknięcie jak klucz i otwierają się drzwi — dokładnie na miarę, na kształt ciała — przez które człowiek, nie zdążywszy umrzeć uchodzi...  
 Ja — to drzwi.

(Inny wypadek, odwrotny: przed egzekucją oslepił się — żeby nie widzieć śmierci, schować się jak pod stosem odzieży; albo ten chłopak, który gdy go wywlekali, uczepił się nogi takiego jak i on skazańca: — Szot, kochany, nie daj! — Ten później opowiedział...)

Ciekawie jest myśleć na poziomie minimum — gdy nie ma niczego, ani niezbędnych książek, ani sił, ani gdzie zasięgnąć informacji. Kilka

linijek, jeden obrazek, jedna fraza muzyczna — i człowiek pograża się w tym całkowicie, zapomina o sobie.

Śniło mi się, że dwóch chce mnie zarzącać. Z jednej strony i z drugiej. Schować się nie ma gdzie. No to ja — odfrunąłem!

We śnie otrzymujemy — nie umiem znaleźć innego, stosowniejszego słowa — przekonanie. Przekonanie, że trzeba żyć dalej.

W więzieniu przed śledztwem miała widzenie. We śnie pojawili się Nikita Męczennik i Joan Wojownik:

— Raiso, czy pamiętasz słowo „nie wiem”?!  
 —

Wysłuchał całego wyjaśnienia Apokalipsy — i o bestii, i o smoku, i co znaczy słowo sześćset sześćdziesiąt sześć (kto mądry, niech zliczy) — słuchał uważnie, dwie godziny, nie przerywał. Potem wstał, przeciągnął się, obszedł mój stołek dokoła i powiedział rozmarzony:  
 — Ech, żebym cię tak dostał w ręce dwa lata temu, pasy bym z ciebie darł!...

I rzekł Pan: „Słuchaj, Mój ludu, nie wychodź z baraku...” A tam już karabiny maszynowe...

Ukrop Pomidorowicz  
 Asfalt Betonowicz

Biedny Estończyk. Dostawszy się do łagru przyjął rosyjskie przekleństwa za normę językową. W szpitalu staruszek się skonfundował.

— No, jak zdrowko?

— Ch...wo, doktorze.

Ja jeszcze płakać wtedy po rosyjsku nie umiałem.

Sędzia pyta: dlaczego świadek zeznaje na człowieka, że to on strzelał, jak świadek sam nie widział, i w ogóle świadka tam wtedy nie było?

Staruszka:

— Bo myślałam, że mi rentę dadzą.

Jak spędziłem wczorajszy dzień? Niebo było bardzo gwiaździste. Z pracy wróciłem w nocy i w głowach pryczy powiesiłem czysty ręcznik. Jakbym się odświętnie ubrał. Czasem od takiego drobiazgu zależy wszystko. Ten ręcznik to prawie wysprzątane do polysku mieszkanie.

21 kwietnia 1968. Wielkanoc.

O Hitlerze:

— Zgubił go stosunek do ludzi. Zgubił do szczętu. Nasz nie lubi, jak po mordzie.

Żydy się śnią?!



(Popularny żart na temat jęków lub krzyków przez sen. Żydy przychodzą nocą dusić i męczyć śpiącego, który, jak należy się domyślać, brał udział w ich likwidacji. Rzecz jasna, wtedy rozwaląc ich to nie był grzech, ale teraz oni — ot, śnią się...)

...Spojrzał na kotka i powiedział tak sobie, przed siebie:

— Trzeba go zabić.

Bez złości, spokojnie, tak jak się mówi — czas na śniadanie, albo: nie zawadziłoby się ogolić.

Żywcem nie brał nikogo. Ale podkraǳszy się ku uciekinierom — nocą, w lesie, przy ognisku — nie strzelał nigdy od razu, tylko brał na cel i oczekiwiał minutkę, dwie:

— Niech pożyją, pomarzą...

Jak kończyli Spartaka. Poszło na niego trzech, z łomami, uprzednio rozpalonymi do czerwoności, w rękawicach. Zwyczajnie nożem nie dałoby się. Spartak zaczął chwycić za łomy i poparzył ręce. Wtedy go utłukli.

— Jego koniec był dosyć osobliwy.

O Puszkynie opowiadają, że kiedy raz siedział z jednym kolegą przy ognisku, podszedł do nich z pistoletem kapral i zaczął gonić na robotę. Koleżka coś odszczeknął. Gówniarz strzelił i zabił.

— Ach, ty gadzie — powiada Puszkini i tak jak siedział maca za sobą jakiegoś kijka czy siekiery, ale niczego nie namacał, więc wstaje powoli i podchodzi do tego bydłaka. — Szmaciarzu!

A w kąćku ust ma jeszcze papierosa.

— Nie zbliżaj się — zabiję! — wrzeszczy gówniarz, celuje i cofa się, blady jak ta ściana i ręce mu latają.

— Ducha zabraknie! — powiada Puszkini i podchodzi tuż-tuż.

I wyjąwszy z ust niedopałek zgasił go kapralowi na czole. Potem się odwrócił i spokojnie sobie poszedł. A tamten nie strzelił.

Na zapytanie o chrześcijaństwo, o Ewangelię — z urażoną miną:

— A czemu apostołowie nie byli Ukraińcami?!

No i tak żeśmy siedzieli, śmiali się, on wyszedł...

(Samobójca)

Metafora — wspomnienie po złotym wieku, kiedy wszystko było wszystkim. Szczątek metamorfoz.

Przyczyną zaniku czasu są też listy, które idą tak wolno, że żyje się równocześnie miesiąc wstecz i miesiąc wprzód. Wstecz — wtedy, gdy ty pisałeś, wprzód — gdy dojdzie mój list. „Dzisiejszy dzień” odbiera się bardzo ogólnikowo, w nieostrej oprawie pory roku — gdzieś w środku lata czy też bliżej ku zimie.

Człowiek uwięziony najlepiej odpowiada pojęciu człowieka w ogóle. Jest

to, rzecz można, człowiek przyrodniczy, całkowicie naturalny. Z tej prostej przyczyny, że w więzieniu jest wypreparowany, osobny. Ze tam za kratą jest — wolność...

...I nie wyrwę się na wolność — popić kumysu!

Konający, na tydzień przed śmiercią ukradł innemu konającemu okulary.

I tak nadszedł miękki, podstępny luty.

31 stycznia 1971.

Marzec okazał się trudniejszy od lutego i trzeba doczekać do kwietnia, by pozbyć się tej zimy, która zaczęła się niemal we wrześniu i nadal trwa. [...]

Kwiecień się zdaje łagodny i pełen bzów. I wydaje się, że kwiecień już blisko, a w żaden sposób dobrać do niego nie można. Marzec przeszkadza. 20 marca 1971.

7 czerwca. We śnie śpiewałem. Rano przy wyjściu do pracy — zostańcie.

— Pół godziny na zebranie rzeczy.

Cela. Rewidują. Cztery skrzynki. Trzech. Starszy konwoju:

— Dokąd cię wiozą?

— Nie wiem.

Wieźli, jak się okazało — na wolność.

Jednak sześć lat — to dobrze. To ma wagę.

A oni idą, idą w tej chwili. I póki żyję, póki wszyscy żyjemy — będą szli i szli...

9 czerwca 1971.

Abram TERC

(Wybór i przekład: M. Bronski)

## Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewicz Zielińska na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie i książek nadesłanych autorce do recenzji\*.

Literatura piękna (poezja)

1. SŁONIMSKI, Antoni: *138 wierszy*. (Warszawa, 1973), Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 254.

\* Adres obecny: Quinta das Romazeiras, Feijó, Portugal.



Bardzo trafni: zestawiony wybór wierszy, przemieszanych chronologicznie, obrazujących ciekawie i przekornie zmiany w warsztacie poetyckim Słonimskiego. Zmiany — i wierność. Bo młodzieńcze „Credo” z wyszukanyymi rytmami à la Beniowski: *klinga/wikinga/flaminga* nie kłóci się bynajmniej z polemicznym apelem „W obronie wiersza” z niedawnej warszawskiej kampanii:

„Gdy modny bełkot snobistycznej blagi  
Krytyk zaciemnia kadzidlany dymem,  
Doszło do tego, że aktem odwagi  
Jest wiersz napisać z rytmem, sensem, rymem”.

W wyborze znalazły się wiersze, w których (jak u Lechonia) doszukać się można wpływów Or-Ota (np. końcowy „Zegar”, zapewne świadomie orotowo staromiejski) czy Konopnickiej („Ogród Saski”). Góruje jednak autentyczny Słonimski z „Alarmu” i świeżo ułaskawionego przez cenzurę „Sądu nad Don Kichotem”.

2. RATAJCZAK, Józef: *Ballada dziadowska*. (Warszawa, 1973), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 8°, str. 104 (2).

Nowy tom wierszy. Wymownie charakteryzują go następujące fragmenty:

„Nauczony ugody za wszelką cenę,  
o honorze nie mówiąc, bo wyszedł z mody,  
jakże mam buntu uczyć, gdy wbito mi w skórę  
posłuch dla słów z pieczęcią, co już za mnie wiedzą,  
planując moje kroki, kreśląc mi sumienie”. (\*\*\*)

„Gdy bywa za co umrzeć, jest po co żyć,  
za co umierać, na frontach bagien  
ktoś walczy o żabi skrzek równie dzielnie  
jak za ojczyznę. Do krwi przygryzłem wargę.  
Bo również za to można poleć,  
po bohatersku, w stawie pełnym rzęsy,  
skłuszając ku swojej chwale pęcherze nieba  
nisko rechocząc. Bez śmierci — do życia niezdolne”.

(„Walka o śmierć”)

„Stawa się wyczerpała, już nie jest naszym udziałem,  
wybrano ją przed nami do dna,  
do ostatniego laurowego listka;  
dla nas chwije się gałąź,  
pod którą nikt nie przystanie, w snach  
wydęte policzki żagli, gdzie ład nieznanym to przystań  
odkryta już przed stuleciem, schodzona jak liść na jesień.

Brak zgonów wielkich, narodzin, jest wiatr, co echo wciąż niesie” (\*\*\*)

Literatura piękna (utwory powieściowe)

3. REDLIŃSKI, Edward: *Konopielka*. (Warszawa, 1973), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 230 (1).

Gdy (dawno temu) ukazała się powieść Jerzego Pietrkiewicza pt. „The knotted cord” a następnie (po latach) „The painted bird” Jerzego Kosińskiego, kwestionowano powszechnie rzekomą przesadę w opisach zwyczajów, poglądów i zabobonów, które już w dwudziestolecu należały do dnia wczorajszego. Tym tłumaczy się zdumienie ogarniające czytelnika „Konopielki”, powieści Redlińskiego, w której finale kosa (*sic!*) triumfuje nad sierpem a rówieśnik autora, 30-letni Kazik Bartoszewicz nie tylko nie umie czytać i jak lew broni się przed elementarzem, ale nawet nie jest całkiem pewny swego nazwiska. Powieść jest dziełem wysoce utalentowanego pisarza, dotąd znanego z reportaży wiejskich; ten szczegół biografii autora, pochodzącego w dodatku z opisywanych okolic Białegostoku, nakazuje wiarę w aktualność realiów „Konopielki”. W rudymenarnym skrócie powieść można określić mianem „produkcyjniaka”, ale uczciwość nakazuje przyznać, że analogiczne kuracje szkieletem należały do żelaznego repertuaru pozytywistów. *Novum*, nie- wątpliwie ożywiające powieść stanowią *erotica*, bardzo zgręcznie podane w wersji alkowianej i plenerowej; fakt, że wiąże się z osobą dzielnej nauczycielki wiejskiej przekreśla nasuwające się pod pióro porównania z „Siłaczką”.

Najmocniejszą stroną powieści jest niezwykle umiejętne operowanie gwara i idiomami związane z poczuciem humoru, w którym pozorne żarty nabierają tragicznego wydźwięku.

Powieść Redlińskiego stała się *best-seller*-em krajowym. Jeszcze jeden dowód, że zastosowanie gwary jako tworzywa powieści może ale nie musi odstraszać czytelników.

#### Historia i teoria literatury

4. KRZYŻANOWSKI, Julian: *Sztuka słowa. Rzecz o zjawiskach literackich*. Warszawa, 1972 Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 8°, str. 296. (W serii: Panorama sztuki).

Właściwie podręcznik stylistyki. Talent popularyzatorski autora sprawia, że jest to książka niezmiernie czytelna, a choć erudycji pełna, dająca przyjemność leniwej przechadzki po wielkich szlakach i bezdrożach piśmiennictwa polskiego. Autor omawia kolejno zagadnienia literatury jako „słowa utrwalonego” (nie tylko pismem), języka artystycznego, rytmiki, granicy między poezją a prozą rytmiczną, semantyki języka artystycznego, definicji liryki i epiki, tematów dzieł literackich itp.

Prof. Krzyżanowski przemycza przy okazji poglądy, które mogą być punktem wyjścia gorących polemik literackich. Tak np. pisząc o „szruncaniu” z piedestałów pisarzy, którym wczoraj stawało się pomniki” cytując, jako przykłady, nie tylko „detronizację” Krasieńskiego ale i Towiańskiego, którego sprawa jest, jak pisze, „o tyle interesująca, że pozwala przypuszczać, iż podobny los spotka jego wielbiciela, Mickiewicza. Obawę tę nasuwa okoliczność, iż poświęcona mu ogromna monografia pióra J. Kleinera urywa się w chwili, w której kończy się twórczość genialnego poety, i nie próbuje przedstawić dalszych, tragicznych losów niefortunnego, zagubionego w życiu emigracyjnym polityka”.

#### Historia literatury francuskiej

5. ŁOJEK, Jerzy: *Wiek Markiza de Sade*. Szkice z historii obyczajów i literatury we Francji XVIII wieku. Lublin, 1972, Wydawnictwo Lubelskie, 8°, str. 443, ilustr.

Na tom składają się rozdziały: „Crébillon młodszy i jego współcześni, czyli libertynizm uśmiechnięty”; — „Rétif de la Bretonne, czyli potępienie libertynizmu”; „Markiz de Sade, czyli natura ludzka zamaskowana”.



Drugą połowę XVIII wieku ochrzczono pochopnie szumnym mianem wieku Oświecenia. W najlepszym razie określa ono jeden tylko nurt, encyklopedyczny, pomijając i niejako wykluczając jego odwrotność — nurt mistyczny (Swedenborg), torujący drogę romantyzmu. Trzeci nurt „libertyński” pozostawiono zbieraczom *obscoenów*. Dziś jest on przedmiotem intensywnego odbrązowiania, a literatura poświęcona Sade'owi idzie w setki pozycji. Tym właśnie trzecim nurtem zajął się autor „Dziejów pięknej Bitynki” w uczonej księdze wydanej *of all places* w Lublinie!

Bohaterami opracowania Łojka są trzej pisarze dla nurtu libertyńskiego niejako sztandarowi. Wydobywa się ich obecnie z zapomnienia i wydaje na użytek małuczki. Swoista rehabilitacja, przesuująca de Sade'a do pierwszej dziesiątki wielkich pisarzy francuskich, znajduje w książce Łojka wszechstronne oświetlenie i, w wysokim stopniu, uzasadnienie.

Łojek zaimponował przed kilku laty znajomością dziejów obyczajów w Polsce stanisławowskiej, ukazując pełnię ówczesnego stylu życia a nie tylko zrzęcznie zestawione anegdoty, jak to czynił przed nim np. Stan. Wasylewski. Tu, na terenie francuskim, porusza się równie swobodnie, co zadziwia tym bardziej, że przebrnąć musiał przez setki tomów lektury trudno dostępnej i mozolnej a z wykształcenia jest historykiem w ścisłym czy tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Tegie pióro, bogate słownictwo, celność dowcipu, umiejętność zrzęczniego podania *pointe'y* (z pozostawieniem czytelnikowi przyjemności dośpiwania sobie reszty) — oto zalety tego niezmiernie obiecującego autora. U omawianych obecnie pisarzy nie szuka pornograficznych sensacji czy sadyzmu w potocznym sensie tego terminu. Ustawia ich dzieła i losy na tle epoki, która tego rodzaju piśmiennictwa potrzebowała i wchłaniała równie chciwie jak pisma Rousseau'a czy Voltaire'a. Umiejętnie interpretuje tragiczne w gruncie rzeczy biografie „libertynów”, w których pobyty w celach więziennych wypełniają długie i zasadnicze rozdziały życia. Markiz de Sade nie był w tym zakresie wyjątkiem.

Jeśli nawet pewne cytaty są zbyt rozwlekłe a powtórzenia zbędne, całość pozostawia wrażenie opracowania sumiennego, dającego znacznie więcej niż kompilację. Książka znikła błyskawicznie z półek księgarskich, choć lektura przyniosła zapewne zawód poszukiwaczom pornograficznych wzruszeń.

### Życiorysy

6. KARCZEWSKA-MARKIEWICZ, Zofia: *Panna lodowata*. Poznań, 1973, Wydawnictwo Poznańskie, 8°, str. 125 (1), ilustr.

„Negatywną” bohaterką książki jest Izabela z Czartoryskich Działyńska, córka księcia Adama. Przeciwstawia jej autorka bohatera „pozytywnego” w osobie męża, Jana Działyńskiego, który istotnie działalnością swą zapisał piękną kartę historii Wielkopolski. Biografia dedykowana jest Stan. Włodarskiemu, nauczycielowi z Pleszewa, rozpoczynającemu działalność pod okiem Jana Działyńskiego, dziadkowi autorki, której dzieciństwo splotło w cieniu „potężnej i wyniosłej bryły gołuchowskiego zamku”, „elementu obcego w pejzażu wielkopolskim”.

Z osobą Izabeli Działyńskiej związana jest przebudowa zamku i początki umieszczonego tam muzeum. Autorka sądzi, iż „ujawniła fakty obalające legendę twórczyni muzeum gołuchowskiego”, dowodząc, iż nie dzieliła z mężem zapałów patriotycznych, myślała i czuła po francusku, a zbiory zgromadzone w Hotelu Lambert przewiozła do Wielkopolski w ramach ewakuacji z zatrutego Komuny Paryża. Hipoteza ta budzi poważne zastrzeżenia, bo równie dobrze można przypuścić, iż „lepsza wdowa niż żona”, przebudowując zamek i umieszczając w nim zbiory wypełniała testament męża. Skoro, jak słusznie przypomina autorka, jedno tylko wazy greckie, umiejętnie wyszu-

kane przez Jana Działyńskiego, więcej są warte od Zamku, nie było wielkim grzechem Izy Działyńskiej, iż starała się dać im oprawę w murach Zamku przebudowywanego pod okiem dziś kwestionowanego, ale wówczas w pełni sławy Viollet-le-Duc'a.

W tekście książki występują jawne sprzeczności interpretacyjne: gani się np. Działyńską za sprowadzanie i forytowanie architektów i majstrów francuskich (choć chlubi się XVI-XVII-wiecznymi Włochami w analogicznych rolach), by na dalszych stronach przytoczyć nazwiska rzemieślników polskich, kształconych za granicą przez Działyńską a następnie zatrudnionych przy odbudowie Zamku. Autorka zdaje się nie doceniać poziomu kultury artystycznej i pasji zbierackiej Działyńskiej, o czym świadczy np. lapi-tarium i metody zakupu dzieł sztuki przy pomocy sieci ekspertów z najlepszych antykwaratów europejskich.

Spadek pozostawiony narodowi przez Jana i Izabelę Działyńskich jest tak poważnym wkładem do dziejów kultury polskiej, iż — jeśli nawet Jan Działyński przewyższał żonę — „panna lodowata” z określenia Zygmunta Krasńskiego — nie zasłużyła na „obalenie legendy”. A może życzyła sobie tego cenzura?

(Erratum: „portret króla Stanisława Augusta z żoną Konstancją Czartoryską” zakupiony przez Jana Działyńskiego był niewątpliwie portretem ojca króla, kasztelana krakowskiego, także Stanisława).

## Nadesłane nowości wydawnicze

- MIREWICZ (Jerzy, Ks. T.J.). *Myśli nieśmiałe*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Księży Jezuici, Londyn, 1973).
- MORAWSKI (Stefan). *O przedmiocie i metodzie estetyki*. Str. 220 i 4 nlb. (Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa, 1973, cena zł. 50).
- KORNIŁOWICZÓWNA (Maria). *Onegdak — Opowieść o Henryku Sienkiewiczzu i ludziach mu bliskich*. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1973, cena zł. 40).
- AZUELA (Mariano). *Gniew*. Przełożył Florian Śmieja. Str. 116 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1973, cena zł. 10).
- OKĘCKA-BROMKOWA (Maryna). *Sekretarzyk babuni*. Wydanie drugie. Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1973, cena zł. 25).
- MORAWSKI (Stefan). *Sztuka ława i sztuka trudna*. (Szkie wstępnej problematyki). Str. 111-146. (Nadbitka z *O współczesnej kulturze literackiej II*, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1973).
- MORAWSKI (Stefan). *Ankieta o formistach polskich* (opracowanie i wnioski). Str. 299-335. (Nadbitka z *Rocznika Historii Sztuki*, t. IX).
- MORAWSKI (Stefan). *Il Marxisimo e l'Estetica*. Przedmowa Giuseppe Prestipino. Str. 521 i 3 nlb. (Wyd. Editori Riuniti, Roma, 1973, cena Lire 3.200).
- Gierek's Poland*. Opracowanie Adama Bromke i Johna W. Strong'a przy współpracy z Canadian Slavonic Papers, Str. 219 i 9 nlb. (Wyd. Praeger Publishers, New York, Washington, London, 1973).



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

14-11-73

W Moskwie został podpisany kontrakt na dostawę sowieckich maszyn i urządzeń dla budującej się w PRL huty Katowice. Kontrakt przewiduje dostawę urządzeń i wyposażenia dla wydziału przygotowania rud, do działu wielkich pieców, dalej wyposażenie stalowni tlenowo-konwertorowej, wreszcie ma być dostarczona nowoczesna walcownia-zgniatacz o zdolności produkcyjnej 5 milionów ton rocznie. Łącznie dostawy wyniosą ponad 40 tysięcy ton maszyn i urządzeń.

15-11-73

Szwedzko-polskie konsorcjum projektuje budowę w Gdańsku rafinerii, której koszt ma wynieść 2 miliardy koron. Rafineria ma być oddana do użytku w 1978 roku, a jej wydajność ma wynosić 10 milionów ton nafty rocznie. Połowa produkcji ma być eksportowana do Szwecji. ■ W Krakowie odbyła się aukcja antykwareczna starodruków i książek. Najwyższą cenę uzyskała „Złota Księga Szlachty Polskiej” Żychlińskiego, którą zakupiono za 85 tysięcy złotych (cena wywoławcza 35.000 zł.). 10 tomów „Herbarza” Niesieckiego sprzedano za 53.000 zł. (cena wywoławcza 18.000 zł.).

23-11-73

Ministrem Żeglugi PRL został mianowany Kazimierz Olszewski, na miejsce odwołanego Jerzego Szopy. K. Olszowski nadal będzie pełnił obowiązki wiceprezesa Rady Ministrów. Ministrem Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego mianowano Tadeusza Skwirzyńskiego, przewodniczącego Prezydium WRN w Bydgoszczy. Poprzedni minister tego resortu, Jerzy Popko, został mianowany prezesem Najwyższej Izby Kontroli na miejsce Feliksa Pisuli, który przeszedł na emeryturę. ■ W Warszawie odbyła się narada kierowników ruchu wydawniczego w krajach socjalistycznych. Z okazji zbliżającej się 30-tej rocznicy zakończenia wojny delegacja polska zaproponowała utworzenie „Biblioteki Zwycięstwa” we wszystkich krajach socjalistycznych. W 1975 roku ma odbyć się w Moskwie wielka wystawa „Książka w służbie pokoju i postępu”.

25-11-73

Trybuna Ludu donosi, że w 1973 roku górnictwo PRL dostarczy 156,5 milionów ton węgla kamiennego, tj. 5,8 milionów ton więcej niż w roku ubiegłym. Na rok 1974 przewiduje się wydobycie 162 milionów ton. ■ Biuro Polityczne KC PZPR zaaprobowало projekt Kodeksu Pracy, przygotowany przez rząd i Związki Zawodowe. Jak wiadomo Kodeks ten wywołał poważne zastrzeżenia wśród robotników i był zdjęty z porządku dziennego VII Kongresu Związku Zawodowych, który się odbył w Warszawie w listopadzie 1972 roku. ■ Wydawnictwo MON w PRL ogłosiło ogólnopolski konkurs literacki na powieść, lub tom opowiadań „o tematyce współczesnej, obejmującej problemy socjalistycznego kształtowania naszej rzeczywistości, patriotyzmu i wychowania obywatelskiego w ogólnym aspekcie obronności kraju, a przede wszystkim poświęconych ludowemu wojsku polskiemu, służbie żołnierskiej, jedności armii z narodem i jej udziałowi w życiu kraju”. Nagrody wynoszą od 10.000 do 50.000 zł. ■ Nowym wiceministrem Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych został mianowany inż. Stanisław Pluciński, dotychczasowy dyrektor naczelny Zjednoczenia Przedsiębiorstw Robót Elektrycznych. Ponadto wiceministrem Przemysłu Ciężkiego został mianowany Józef Błaszczak, naczelny dyrektor Huty im. Lenina.

27-11-73

W Warszawie zmarł, w wieku 71 lat, Krzysztof Bieńkowski. Przed wojną był on prokuratorem Sądu Najwyższego i kierował Departamentem Ustawodawczym w Ministerstwie Sprawiedliwości. Po wojnie był adwokatem.

30-11-73

Do PRL przybył nowy ambasador Francji Louis Dauge. Był on ostatnio ambasadorem Francji w Kambodży.

6-12-73

Prof. Jerzy Kuryłowicz, najwybitniejszy polski językoznawca, otrzymał w Liège (Belgia) doktorat *honoris causa*.

9-12-73

W PRL odbyły się wybory do Rad Narodowych. Wzięło w nich udział 97,7 % uprawnionych do głosowania. Ogółem wybrano 135.000 radnych różnych szczebli. ■ Ks. prałat dr Józef Marek został mianowany przez papieża biskupem-sufraganem we Wrocławiu.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

15-11-73

W Castellina in Chianti (Włochy) została otwarta wystawa polskiej malarki Ireny Zadarnowskiej.

19-11-73

W Londynie zmarł, w wieku lat 80, Fryderyk Goldschlag, lekarz i publicysta.

21-11-73

W Jerozolimie zmarł, w wieku 76 lat, ks. Prałat Stefan Pietruszka-Jabłonowski, rektor polskiej wspólnoty chrześcijańskiej w Izraelu. Ksiądz Pietruszka przebywał w Palestynie od 33 lat.

25-11-73

W Londynie odbył się zjazd z okazji 50-letniej rocznicy pierwszej promocji Szkoły Podchorążych Piechoty RP. Uroczystość została zorganizowana przez zarząd koła S.P.P.

29-11-73

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało w gmachu Biblioteki Polskiej obchód 200-iej rocznicy powstania Komisji Edukacji Narodowej w Polsce. Jednocześnie została otwarta wystawa „Komisja Edukacji Narodowej w Polsce”.

1-12-73

Paryską nagrodę *Prix Medicis Etranger* 1973 otrzymał Milan Kundera za książkę „La vie est ailleurs”. Kundera, który liczy 44 lata i był zaangażowany w „Wiośnie praskiej” w 1968 roku, przebywa w Czechosłowacji. ■ W Hôtel Drouot w Paryżu odbyła się sprzedaż (po raz trzeci) obrazów Mieczysława i Stanisława Eleszkiewicza. ■ W wykazie prac doktoranckich we Francji w roku 1970 znalazły się następujące polonica: Alain Fourgier „Planification spatiale en Pologne” (Paris), Jean Myciński „Ladislas IV



Vasa et les Cosaques" (Lille), Joseph Florkowski „La Théologie de la foi chez Bultmann" (Strasbourg). Z krajów wschodnio-europejskich znaleźliśmy tylko pracę Ivo Vlček'a „La France et les pays tchèques de 1871 à 1914" (Strasbourg). ■ We Francji ukazała się książka Marii Winowskiej pt. „Le scandale de la Croix: vie de Marie-Therèse Noblet". ■ W Londynie zmarł nagle gen. dr Ludwik Ząbkowski, b. dowódca grupy artylerii 2-go Korpusu. Był on czynnym działaczem na emigracji. ■ Znany pisarz Andrzej Checiuk otrzymał od rządu australijskiego roczne stypendium tworzące w wysokości 6.000 Dol.A. ■ Do sekretariatu międzynarodowego *Amnesty International* w Londynie wpłynęło oświadczenie podpisane przez 11-tu moskiewskich intelektualistów informujące o stworzeniu sowieckiej sekcji *Amnesty International*. Do oświadczenia był dołączony statut sekcji.

### 5-12-73

Rosyjski „kpt. Czechowicz". *Izwestia* podają że uciekł do ZSSR, via Budapeszt, współpracownik Radia Liberty w Monachium, Jurij Marin. Jego „rewelacje" mają być nadawane przez telewizję moskiewską. Marin przed 8-miu laty zbiegł ze statku sowieckiego w Stanach Zjednoczonych, a później został zatrudniony w Radio Liberty jako speaker i tłumacz. Jurij Marin w 1951 roku ukończył Wojskowy Instytut Języków Obcych Min. Obrony ZSSR. ■ Do Paryża ma przybyć znany sowiecki literat i piosenkarz, Aleksandr Galicz. ■ Prostujemy nieścisłą informację zamieszczoną w *Kulturze* Nr 12/315 w rubryce „Wydarzenia miesiąca" (Z ostatniej chwili. Mianowicie Paweł Litwinow jest synem a nie wnukiem Maksyma Litwinowa.

### 7-12-73

W wyniku ostatniej wizyty ministra Spraw Zagranicznych PRL, Olszowskiego, w Bonn doszło do porozumienia w sprawie emigracji obywateli polskich pochodzenia niemieckiego do NRF. Warszawa zobowiązała się udzielić 50.000 wiz w 1974 roku. Zachodniemiecki Czerwony Krzyż jest w posiadaniu 240 tysięcy podań o emigrację. Zgoda Warszawy jest związana z przyznaniem Polsce kredytów niskoprocentowanych „nie związanych". Nie podano żadnych szczegółów ani co do wysokości kredytu, ani co do oprocentowania.

### 8-12-73

Księgarnia Polska w Paryżu zorganizowała doroczny kiermasz książkowy. W czasie kiermaszu podpisywali książki: Stefan Kisielewski oraz Zofia Romanowiczowa. Kiermasz został połączony z wystawą poloników francuskich.

### 10-12-73

Organizacja *Amnesty International* zorganizowała w Paryżu kolokwium poświęcone waleczym torturami. *Amnesty International* ogłosiła w Londynie szczegółowy raport ilustrujący umiędzynarodowienie stosowania tortur. ■ Radio szwedzkie podało, że Związek Sowiecki eksportuje ostatnio poważne ilości ropy naftowej do Holandii. Wiadomość ta była potwierdzona przez Achmeda Zaki Jamani w czasie jego pobytu w Nowym Jorku. Również Dow Chemical, jedno z wielkich towarzystw chemicznych amerykańskich, potwierdziło, że ich ośrodek petrochemiczny około Rotterdamu jest zaopatrywany w duży procent przez Związek Sowiecki. Te wiadomości spotkały się z zaprzeczeniem agencji Tass.

### 11-12-73

Izba Reprezentantów USA odrzuciła wniosek o przyznanie Związkowi Sowiec-

kiemu klauzuli największego uprzywilejowania, dopóki prezydent Nixon nie będzie mógł zagwarantować, że Związek Sowiecki i kraje demokracji ludowych zliberalizują swoją politykę emigracyjną. Wniosek przeszedł większością 319 głosów przeciw 80. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 79 lat, gen. Antoni Szymański.

### 14-12-73

W Paryżu powstał polski ośrodek dyskusyjno-odczytowy „Centre du Dialogue", stworzony przez wydawnictwo Editions du Dialogue. Ośrodek został zainaugurowany odczytem Stefana Kisielewskiego pt. „Polska między Wschodem a Zachodem".

### 15-12-73

Reorganizacja Duszpasterstwa Polskiego na emigracji: Stworzono Misję Polską na wszystkie kraje Beneluxu, tzn. Belgię, Holandię i Luksemburg. Siecią Misji jest Bruksela, a rektorem — dotychczasowy rektor Misji w Belgii — ks. Henryk Repka, OMI. ■ Moskwa wycofała akredytację korespondentowi radia szwedzkiego w Moskwie, Olle Stenholmowi. Powodem respondentowi radia szwedzkiego w A. Sacharowem w lipcu 1973 roku Za wyjątkiem wywiad przeprowadzony z A. Sacharowem w lipcu 1973 roku Za wyjątkiem wywiad ten Stenholm otrzymał Grand Prix dziennikarzy szwedzkich. ■ Rezydentem *Orla Białego* w Londynie został Stanisław Zadrozny, do niedawna dyrektorem *Orla Białego* w Londynie został Stanisław Zadrozny, do niedawna dyrektorem sekcji Polskiej Radia Wolna Europa. ■ Komandor na współpracownik sekcji Polskiej Radia Wolna Europa. ■ Komandor B. Wroński, dyrektor Instytutu im. Gen. W. Sikorskiego w Londynie, przeszedł na emeryturę. Jego stanowisko chwilowo nie będzie obsadzone. Stroną administracyjną Instytutu zajmie się płk A. Łubkowski (75 lat). Jednocześnie przeszła na emeryturę zastępcza bibliotekarka Instytutu, p. Róża Matlachowska. ■ W niezależnej Grupie Społecznej w Londynie, której prezesem jest Kazimierz Sabbat, nastąpił rozłam. Na czele grupy „secesyjnej" stanęli Stefan Soboniewski i Zygmunt Szadkowski — czołowi działacze SPK.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

15. 11. 1973 roku w Waszyngtonie zespół teatralny uniwersytetu w Georgetown wystawił sztukę Sławomira Mrożka „Wacław". Miejscowy *The Polish-American Arts Association* zakupił dwa z dziewięciu przedstawień i rozreklamował imprezę wśród Polonii. Ta doskonała inicjatywa zasługuje na naśladowanie. ■ 15. 12. 73. Fundacja im. Alfreda Jurzykowskiego w śladownictwo. ■ 15. 12. 73. Nagrody które otrzymali: z zakresu Nowym Jorku przyznała w 1973 roku nagrody które otrzymali: z zakresu *medycyny* — George B. Jerzy Glass, M.D. (USA), Walenty Hartwig, M.D. (Polska), Alfred Siciński, M.D. (Polska); z zakresu *nauk ścisłych* — prof. Stanisław Mazur (Polska), prof. Władysław Orlicz (Polska), prof. Władysław Opęchowski (Kanada), prof. Tadeusz Urbański (Polska); z zakresu *filozofii* — dr Izdora Dąbska (Polska); z zakresu *historii* — Adam i Lidia Ciołko (Polska), ks. prałat prof. Walerian szowie (Anglia), prof. Witold Kula (Polska), ks. prałat prof. Walerian Meysztożewicz (Włochy); z *teorii i historii literatury* — prof. Stefania Skwarczyńska (Polska); z *zakresu socjologii* — prof. Stanisław Andreski (Anglia); z *literatury*: Marian Czuchnowski (Anglia), Stefan Kisielewski (Polska), Stefan Korboński (USA), Andrzej Kuśniewicz (Polska), Karol Węska (Polska), Stanisław Skrowaczewski (USA); z *dziagolski* (Brazylia); z *zakresu muzyki* — Stanisław Skrowaczewski (USA); z *zakresu Teatru* — Kazimierz Dejmek (Polska); z *osiągnięcia kulturalne* — Maria Wienych: Stanisław Szukalski (USA); z *zakresu sztuk plastycznych* — prof. Władysław Chojnacki (Polska), Alodia Kaman-Hilchen (Polska), prof. Władysław Chojnacki (Polska); oraz *tłumacze* — dr Valentin Debeljak (Argentyna) i dr Karel Krejci (Czechosłowacja). ■ Jan Tabor z Pittsburga







dzie wyrządzonej polskiej kulturze wskutek ich emigracji. Trzeba tu wyjaśnić jedną ważną sprawę. Nauki ścisłe — w tym przyrodnicze i dyscypliny praktyczne — są bardziej międzynarodowe niż nauki humanistyczne. Trudno mówić o polskiej matematyce, polskiej chemii, medycynie czy inżynierii, że posiadają szczególne cechy narodowe. Są polskie — przez wkład Polaków. Wiem o powojennej warszawskiej szkole matematycznej i jej tradycjach, które są w jakimś stopniu kontynuacją przedwojennej warszawskiej i lwowskiej szkoły filozoficznej. Używam tu zwrotu „kontynuacja”, bo jeśli chodzi o matematykę, to należy odróżniać matematyków, w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, od naukowców, którzy zajmowali się jej podstawami, co wkraçało w dziedzinę analizy pojęcia prawdy, wielowartościowości systemów logicznych i metodologii nauk dedukcyjnych. W metodologii nauk jako dyscyplinie na pograniczu „filozofii”, rozumianej w jak najliberalniejszym sensie, można — choć nie bez trudu — dopatrzeć się jakichś właściwości charakterystycznych dla narodu i jego kultury. Natomiast nie można ich odnaleźć w matematyce tradycyjnej. O ile więc nauki ścisłe są obecnie chyba całkowicie kosmopolityczne, o tyle w naukach humanistycznych nie podobna specyfiki narodowej kwestionować. Jeśli zaś mowa o kulturze w ogóle, to w szczególności literatura i muzyka zachowują swój unikalny charakter, związany z losem i charakterem narodu. Z tego powodu, pisząc o szkodach, które przyniósł Polsce exodus Polaków żydowskiego pochodzenia, podkreśliłem w szczególności te — które wyrządzono polskiej literaturze.

Pozostaje ostatnia sprawa, poruszona w liście p. Webera, sprawa tych, których zmuszono do opuszczenia Polski i którzy nigdy u zmięrczu swojego życia nie odnajdą ojczyzny ani w Danii, ani w Szwecji, ani w Izraelu. Wiem, że położenie ich jest godne współczucia. W tym wypadku okoliczności towarzyszące ich wyjazdowi z Kraju, schodzą na drugi plan. Pozostaje sam fakt starego człowieka w obcym środowisku. Ale w tej samej, sytuacji i w okolicznościach tragiczniejszych znalazło się wielu niemłodych ludzi, którym warunki polityczne zamknęły drogę do ojczyzny po II wojnie światowej.

Wydaje mi się, że należy zachować właściwe proporcje w traktowaniu wszystkich zjawisk tego typu. Między innymi w ocenie ludzkich krzywd.

Z poważaniem,

Zbigniew BYRSKI

Londyn, listopad 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Kilka uwag w związku z „Dwugłosem o Dankowiczu” J. Czapskiego i A. Vincenza w numerze 11/314 *Kultury*. Skłania mnie do nich fakt, że problemem „polskiego antysemityzmu” zajmuję się od — chyba — swych lat dziecięcych. Od chwili gdy jako dziecko widziałem, jak moi rówieśnicy, dzieci sąsiadów zbili do krwi innego naszego rówieśnika, syna handlarza żelastwem. Dużo krwi widziałem na wojnie, ale tamtej krwi dziecka nigdy nie zapomnę. Potem w latach uniwersyteckich świadkiem podobnych bestialstw byłem niemal codziennie. I drugi fakt — że znam osobiście Henryka Dankowicza, autora *Nieprzezroczyściej klepsydry* i kilku innych niemniej interesujących książek.

Nie chcę pisać o przejawach antysemityzmu w Polsce w tym liście. Pisano o tym dużo — jakkolwiek wciąż jeszcze za mało — na to by oczyścić duszę polską z tego grzechu. Antysemityzm krzywdził nie tylko Żydów w Polsce, krzywdził — Polskę. Wytworzył nam fatalną opinię na Zachodzie

i odsuwał od pracy dla Polski tysiące głów i rąk. Ten obłęd antysemicki był jakąś formą samobójczą — w pewnym sensie — manią samozniszczenia narodowego, mimo że uprawiany był — głównie — przez patentowanych „narodowców”.

Chcę tylko słów kilka powiedzieć o Żydach z Polski, mieszkających w Izraelu, gdzie kilkakrotnie byłem i odwiedzałem przyjaciół. Ogromna ich większość to właściwie żarliwi Polacy. Nawet ci, którzy z wielką i zrozumiałą goryczą wspominają pogromy i getta ławkowe. W ich domach jest pełno — całe półki — książek polskich, wydawanych w kraju i na emigracji. Ich dzieci, nawet wnuki mówią po polsku — i oczywiście po hebrajsku. A wielu z nich, bardzo wielu, niestety, doświadczyło osobiście różnych szykan z racji swego pochodzenia — zarówno w Polsce wolnej jak i obecnej ujarzmionej.

I mimo to — jak Dankowicz — o Polsce mówią z sentymentem, często głosem wzruszonym, niekiedy ze łzami w oku. Są przy tym — jak Dankowicz — wzorowi obywatelami Izraela.

Oczywiście są i tacy, którzy nas nienawidzą — ale w tej nienawiści jest więcej żalu za ich odrzuconą przez Polaków miłość do Polski, niż innych emocji. Usłyszałem nawet taki głos, że „Polacy to gorsi antysemici od hitlerowców”. Ale głos ten był zakrzyczany z oburzeniem, nawet powiedziałbym furją, przez innych obecnych.

Prawdę wyznam: ten polski patriotyzm Żydów polskich w Izraelu był dla mnie niespodzianką i jest — zagadką. Czy zagadkę tę należy tłumaczyć jakąś magiczną atrakcyjnością naszej kultury, czy naszego — mimo antysemityzmu — charakteru narodowego? Może to właśnie? Powiedział mi kiedyś Osadczuk, pisarz i działacz ukraiński: „Prześladowaliście nas, ale nie wiem dlaczego ja was lubię i nic na to poradzić nie mogę”. Pomyśleć: o ile więcej moglibyśmy być lubieni i szanowani, gdyby nie ten nieszczęsny antysemityzm.

Kiedy mowa o książkach, przedstawiających te nieszczęsne animozje polsko-żydowskie to chciałbym zwrócić uwagę na wstrząsające opowiadanie Anny Winczakiewiczowej w zbiorze pt. „Przesyłam”.

Janusz KOWALEWSKI

Houston, USA, 14 października 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze *Kultury* przeczytałem artykuł Pana Mieroszewskiego o Polskiej *Westpolitik* i przetarłem ze zdumienia oczy.

Pan Mieroszewski Ameryki widocznie nie zna. Nie widzi, że Polonia Amerykańska to społeczność bardzo niehomogeniczna. Ze względu na liczebność reprezentację, Polonię reprezentują głównie stare organizacje. Wśród nich *Ostpolitik* prezydenta Nixona jest dość popularna. Amerykanie polskiego pochodzenia, jeśli są republikanami popierają tę politykę, bo robi ją ich prezydent, jeśli zaś są liberałami-demokratami to popierają ją, bo ją zbliżenie amerykańsko-sowieckie było jednym z głównych celów polityki liberalnej. Pan Mieroszewski zdaje się dawać znak równości między europejskim i amerykańskim liberalizmem. Tymczasem amerykański liberalizm jest bliższy rosyjskiemu nihilizmowi z końca ubiegłego wieku i z europejskim liberalizmem ma mało co wspólnego. Sołżenicyn z dalekiej Moskwy rozumie amerykański liberalizm lepiej niż Pan Mieroszewski z Londynu.

Wszystko to bym zostawił w spokoju, gdyby Pan Mieroszewski nie wszedł na moje podwórko. Brak polskich politycznych demonstracji przeciwko *Ostpolitik* Nixona tłumaczy on tym, że się trzymamy „klamki pańskiej”. Cytuję:



„Polacy przywykli wierzyć, że pensje, emerytury, stanowiska uniwersyteckie — zależne są od łaski rządu i prezydenta i boją się, że choćby najbardziej pokojowe i cywilizowane demonstracje przeciwko oficjalnej polityce mogłyby ich pozbawić dachu nad głową i środków utrzymania”.

Popatrzmy na tutejsze życie akademickie. Przede wszystkim nie ma uniwersytetów federalnych. Są stanowe, prywatne i organizacji religijnych. Uniwersytety stanowe podlegają gubernatorom tylko pośrednio i republikańscy gubernatorowie są w mniejszości. Prawie połowa stanowych gubernatorów to liberałowie-demokraci, ulubieńcy Pana Mieroszewskiego. Gdyby jakikolwiek gubernator chciał nam nakazać czy zakazać, jak mamy działać politycznie to by został wyśmiany. Ponadto jego uniwersytety znalazłyby się na czarnej liście *Association of University Professors*.

Znaczna większość z nas ma *tenure* (nieusuwalność z wyjątkiem za zgodą sądu kolegów w wypadkach braku kompetencji i *moral turpitude*). Sądzą koledzy więc rzadko wydaje się wyrok o niekompetencji a *moral turpitude* nie ma dziś określonej definicji. Dawniej uwiedzenie studentki było tak kwalifikowane. Czym dziś jest *moral turpitude* — nie wiadomo.

Mianowanie, podwyżka czy promocja nie zależą od widzi mi się naszych administracji. Departamenty głosują wpierw, a co najważniejsze istnieje rynek na nasze usługi, gdzie ocenia się nas według ilości i jakości naszych publikacji, naszych zdolności administracyjnych i jakości naszych wykładów. Co do ingerencji politycznych, to znam jedną, ale winną była nie administracja a koledzy. Zdarzyło się to mojej Alma Mater, M.I.T. Przewodniczący Wydziału Ekonomii w M.I.T. publicznie podał przyczyny dla których nie przyjęto z powrotem profesora Rostowa. Podobno jego kwalifikacje były niższe od reszty. Ci co znali Rostowa zdawali sobie sprawę, że to nie o kwalifikacje chodziło a o grzechy polityczne. Rostow był doradcą politycznym prezydenta Johnsona i tego nie mogli mu wybaczyć jego dawniejsi koledzy w M.I.T. Zresztą ta polityczna szykana nie zaszkodziła Rostowowi. Dostał stanowisko w Szkole Administracji Publicznej imienia Johnsona przy Uniwersytecie Teksasu w Austin, Teksas — przypuszczalnie bez straty finansowej

Ostatecznie, podobno, grozi nam utrata pensji, lub prawa do niej. Pensja raz przyznana jest naszą własnością i możemy tego prawa bronić w sądach. Prawa pensyjne czasem nabywa się już w pierwszym roku nauczania, ale zazwyczaj w 2-5 latach stają się one naszą własnością (*become vested*) i wtedy nie można ich odebrać. Nawet ich administracja w większości wypadków nie należy do instytucji, w której uczymy, a do naszych własnych organizacji zawodowych: T.I.A.A. i C.R.E.F.

Pytam się, jak można się trzymać „pańskiej klamki”, gdy nie ma żadnej klamki?

Z poważaniem,

Dr Marian KRZYŻANIAK

Rzym, 23 listopada 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Obszerne wspomnienie Kazimierza Okulicza w listopadowym numerze *Kultury* o śp. Tadeuszu Święcickim podane jest na szerokim tle wydarzeń schyłku okresu niewoli i odbudowy państwa polskiego. W tym względzie jest cennym przyczynkiem do najnowszej historii Polski i szkoda, że zakradły się do niego pewne błędy. Jako jeden z nielicznych już świadków i uczestników ówczesnych wydarzeń, związany z warszawskim środowiskiem

politycznym i dziennikarskim, pragnę je sprostować, myśląc o tych młodych czytelnikach, którzy poszukiwać będą o ówczesnych wydarzeniach obiektywnej i ściszej prawdy.

Należałem jako członek założyciel do twórców Centralnego Komitetu Narodowego przez cały czas jego istnienia od I zjazdu w dniu 18 grudnia 1915 roku do ostatniego w dniu 18 lutego 1917, na którym został on faktycznie zlikwidowany i przez cały ten okres byłem członkiem jego organu kierującego. Otóż stwierdzam: że Tadeusz Święcicki nie był sekretarzem generalnym tego Komitetu. Funkcję tę pełnił początkowo adw. Wacław Dunin, a po jego ustąpieniu na wiosnę 1916 roku Medard Downarowicz. Święcicki był natomiast bardzo czynny w pracach Komitetu, zwłaszcza w jego biurze prasowym, którym kierował Tadeusz Szpotański.

Okulicz podaje błędnie tytuły pism, w których wówczas pracował Święcicki. Przypisuję to temu, że był on słabo związany z warszawskim środowiskiem, gdyż o ile mi wiadomo zetknął się z nim bliżej dopiero w okresie kilkumiesięcznego w nim pobytu na przełomie 1919/1920 jako uchodźca z Wilna, od chwili jego okupacji przez armię czerwoną, aż do wyzwolenia przez „bunt” Żeligowskiego.

Nieście jest twierdzenie, że w okresie działalności C.K.N. pod koniec wojny powstał „legalny dziennik *Gazeta Nowa*”, w której Święcicki obejmował sekretariat redakcji. Nie było takiego pisma w ówczesnej Warszawie. Nie było takiego pisma w Warszawie, który Okulicz ma na myśli, nazywał się *Nowa Gazeta* i nie był wcale pismem nowym. Nie jestem w stanie podać dokładnych danych co do jego powstania, ale tego jestem pewny, że był on wersją wychodzącego od dłuższego już czasu, bodaj od końca XIX wieku, dziennika, będącego organem polsko-żydowskich kół liberalnych pod tytułem *Gazeta Handlowa*. Wydawcą i redaktorem pisma był utalentowany dziennikarz i publicysta, bodajże adwokat przysięgły z zawodu. Stanisław Kempner. W okresie tzw. wolnościowym (1905) zaangażował się on w akcję polityczną po stronie postępowej demokracji i dla tego celu przed wyborami do I Dumy zmienił tytuł pisma na *Nową Gazetę*.

Mylna jest również informacja o nowej zmianie tytułu na *Gazetę Polską*. Istotnie *Nowa Gazeta* zmieniła jeszcze raz swą nazwę na „*Naród*”. O ile pamięć mnie nie myli, nastąpiło to nie od 1 stycznia 1919, jak pisze Okulicz, ale co najmniej kilka miesięcy wcześniej, jeszcze za „rządów” Rady Regencyjnej tj. podczas okupacji.

Po odzyskaniu niepodległości *Naród* staje się obok socjalistycznego *Robotnika* głównym organem rządu Moraczewskiego. Przystaje wychodzić nie „po niespełna roku”, ale dopiero po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku.

Właściwa *Gazeta Polska* — jedyna w okresie 20-lecia — to już późniejsza kreacja. Powstała ona dopiero w 1929 roku, po uporządkowaniu przez BBWR sytuacji na odcinku prasowo-wydawniczym przez zlikwidowanie dwóch z kolei pism codziennych, występujących w charakterze organów obozu pomajowego tj. najpierw *Głosu Prawdy* a następnie *Epoki*.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

Karol POPIEL

#### PRZYPISEK AUTORA WSPOMNIENIA:

W związku z listem Karola Popiela, który twierdzi, że do mego wspomnienia o Tadeuszu Święcickim „zakradły się pewne błędy”, mogę tylko dodać, że wszystkie dane osobiste o nim, jak również fakty związane z jego działalnością, zaczerpnąłem z oficjalnych *curriculum vitae* i not biograficz-



nych w języku francuskim sporządzonych w latach II wojny światowej dla aktów Oddziału paryskiego Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT) w Paryżu oraz Sekcji Polskiej „Radiodiffusion Française”. Daty i nazwy obydwu tych źródeł zgadzały się ze sobą, a w jednym z nich podane były również numery *Carte de Déporté Résistant*, *Carte du Combattant* oraz *Carte du Combattant Volontaire de la Résistance*.

Rzecz oczywista, że te dokumenty były sporządzane lub dyktowane przez samego Świąćickiego we Francji i, jako takie, były mnie dostarczone do użytkowania za wiedzą jego rodziny.

Zauważyłem tylko jeden błąd własny. Mianowicie, według tych *curriculum vitae*, Świąćicki był nie sekretarzem generalnym CKN, lecz zastępcą sekretarza. Tamże podano zgodnie, że był sekretarzem redakcji legalnego dziennika *Gazeta nowa* i nielegalnego tygodnika *Rząd i wojsko*, oraz że od 1 stycznia 1919, po przemianowaniu *Gazety nowej* na *Gazetę polską*, został jej politycznym i parlamentarnym redaktorem. (O „Narodzie” nie było tam nawet wzmianki).

Musiałem tym dokumentom dać pierwszeństwo przed swoją, lub innych osób, pamięcią o czasach sprzed 50 lat, kiedy to — jak trafnie zauważa Popiel — nie przebywałem stale w Warszawie. A sprawdzać autentyczności tych tytułów, podanych w dokumentach, nie było czasu, ani możliwości, gdyż jak wiadomo, komplety gazet polskich z lat I wojny światowej i dwudziestolecia w specjalnym gmachu *British Museum* w Londynie zostały podczas II wojny światowej zniszczone przez bomby niemieckie i pożary.

Kazimierz OKULICZ

Londyn, grudzień 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Kazimierz Okulicz w swym znakomitym eseju o Tadeuszu Świąćickim pisze m.in.:

... „Zdemobilizowany (Świąćicki) w lutym 1921 przerzuca się do Poznania, gdzie powstaje dziennik *Przegląd Poranny*, pierwszy organ obozu Piłsudskiego w tym mieście. Razem z Wiesławem Wohnoutem redaguje Świąćicki to pismo, przeorując”... itd.

Otóż, to nie jest ściśle. W roku 1921 liczyłem zaledwie 19 lat i wprawdzie byłem już także „zdemobilizowanym żołnierzem” ale dopiero studentem pierwszego roku filozofii na U.J., i jeszcze nie dziennikarzem. Nie „redagowałem” też ze Świąćickim *Przeglądu Porannego*, ale wydrukowałem w nim swój pierwszy w życiu artykuł polityczny, określony przez Świąćickiego jako — „światoburczy”... Ta zachęta ze strony Świąćickiego, którego znałem z okresu młodzieńczych prac wojskowych i politycznych w latach 1918-1920, i którego bardzo wysoko ceniłem, pokierowała być może moim dalszym losem: gdy w parę lat później Świąćicki objął w Krakowie redakcję tygodnika *Nowości Ilustrowane*, zostałem jego współpracownikiem i w ten sposób (pracując jednocześnie w redakcji *Naprzodu*) wpragnałem się w kierat dziennikarski — na całe życie.

Z Poznaniem zetknąłem się ponownie i na dłużej, dopiero w roku 1925, gdy byłem tam redaktorem krótkotrwałego dziennika *Głos Poznański*, będącego w pewnym sensie kontynuacją dawno już nie ukazującego się *Przeglądu Porannego*. Ale to już inna historia.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Wiesław WOHNOUT

Santa Barbara, 6 grudnia 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Nr. 10 *Kultury* z października 1973 roku został zamieszczony list p. K. Łukomskiego w którym przedstawia on w różowych barwach działalność Kongresu Polonii Amerykańskiej i skarży się, iż ta działalność bywa przedstawiana „w krzywym zwierciadle” w Kronice Miesiąca paryskiej *Kultury*. P. K. Łukomski pod swoim nazwiskiem podaje, że jest wiceprezesem Zarządu Głównego Kongresu Polonii Amerykańskiej i członkiem Komisji Doradczej przy Komitecie Budowy Pomnika Kopernika (w Chicago), dając w ten sposób do zrozumienia, że wyraża zinstytucjonowaną opinię. W związku z tym zachodzi potrzeba ustalenia kto właściwie przegląda się „w krzywym zwierciadle”.

P. Łukomski nie zaprzecza wszystkiemu co o KPA pisze *Kultura*. Przyznaje, że KPA „nigdy nie był i nie jest dzisiaj organizacją materialnie zasobną” ale pociesza nas, że „wpływy (KPA) przerastają znacznie jego konto bankowe”.

W swoim zaraniu KPA był instytucją zamożną, czego p. Łukomski może nie pamiętać. Dzięki ofiarności całej Polonii, KPA zebrał wówczas ponad 700 tysięcy dolarów, ale pieniądze te rozeszły się w sposób dla Polonii niewidoczny. Nikt nie złożył publicznego rozliczenia. Z górą 10 lat temu KPA zaapelował do Polonii o fundusze na budowę pomnika K. Pułaskiego w Chicago. Zebrano na ten cel 15 tys. dolarów a pomnika nie ma; pieniędzy też nie ma. Paryska *Kultura* dwukrotnie pisała o tym, zapytując co się stało z funduszem zebrany na pomnik, którego nie ma, ale nikt z KPA nie raczył odpowiedzieć. A przecież to jest grosz publiczny. Więc po kilku takich doświadczeniach społeczność polonijna zniechęciła się do ofiar na KPA. I p. Łukomski ma rację, że dzisiaj KPA nie jest materialnie zasobny.

Na pocieszenie jednak pisze p. Łukomski, Kongres Polonii potrafił zebrać potrzebne fundusze i wystawił w Chicago, w 1973 roku piękny pomnik Kopernika.

Otóż prawdą jest, że prezes KPA, adw. A. Mazewski, starał się o to aby w Chicago stanął pomnik Kopernika i miał nadzieję, że Polonia ofiaruje na ten cel potrzebne fundusze. Ale ofiarność zawiodła. Honor KPA uratował jeden człowiek, dr Aleksander Rytel, prezes Zw. Lekarzy Polskich w Ameryce, który sam zebrał ok. 75 % funduszy, co zdecydowało o tym, że jednak pomnik stanął. KPA był raczej figurantem, czy *firmantem* tej całej imprezy. Dr A. Rytel pojechał do Polski, gdzie zawarł korzystną umowę z Komitetem Obchodów Kopernikowskich, która ustaliła, iż pomnik (replika dzieła Thornwaldsena) zostanie wykonany w Polsce za sumę 30.000 dolarów, że Komitet ofiaruje przy tym bezpłatnie cokolwiek z granitu i bezpłatny transport z Polski do Chicago. Według kosztorysów firm zagranicznych, ogólny koszt wystawienia pomnika Kopernika miał wynosić około 130.000 dolarów. Prasa w Polsce pisała, że pomnik ufundował Kraj, KPA przypisuje to Polonii, a prawda jest po środku.

W moim przekonaniu akcja zbiórki na pomnik Kopernika całkowicie potwierdziła opinię, jaką wyraziłem kilka miesięcy temu na łamach *Kultury*, że Polonia nie ma przywództwa, a ci co uważają siebie za przywódców Polonii nie mają kontaktu z masami. Ta zbiórka na pomnik, była swojego rodzaju sondażem opinii polonijnej o KPA. Kiedy KPA przez kilka miesięcy nawoływał zdołał zebrać tylko kilka tysięcy dolarów, w tym samym czasie jeden człowiek dr A. Rytel organizuje telewizyjną zbiórkę przy pomocy dwóch polonijnych stacji TV, p. R. Lewandowskiego i p. M. Przemyskiego, która w ciągu 2 godzin daje zgłoszenia na ponad 30 tys. dolarów.

Wyjaśnijmy rzecz do końca. Czy mogłyby p. Łukomski nam powiedzieć ilu przywódców polonijnych dało własny grosz na budowę tego pomnika?



Wiem z miarodajnego źródła, że bardzo niewiele, i że były to rzeczywiście tylko grosze. W oficjalnym programie uroczystości odsłonięcia pomnika zamieszczona została lista większych ofiarodawców. Nie ma na niej ani jednego czołowego przywódcy, choć są wśród nich ludzie bardzo zamożni. Twierdzenie to mógłby p. Łukomski zakwestionować, wykazując że są tam przynajmniej dwaj poważni ofiarodawcy, których należy zaliczyć do elity przywództwa polonijnego. Jeden figuruje z dotacją 5 tys. dol. a drugi 2.500 dol. Tak, to prawda. Tylko zachodzi pytanie ile razy można te same pieniądze dawać na różne cele? Przypuszczam, że to moje pytanie może być niezrozumiałe dla Czytelnika spoza USA. Należy ono do tajników życia polonijnego. Wyjaśnijmy ten problem bezosobowo, jako, że podobne fakty nie należą do wielkich rzadkości. Powiedzmy, że powstaje jakiś projekt natury społecznej, np. plan budowy polskiego Domu Kultury, teatru czy ośrodka rekreacyjnego. Inicjatywa wygląda zachęcająco, tylko kto ma dać na te cele fundusze? Oczywiście Polonia.

W takich okolicznościach znajduje się paru ambitnych łaknących sławy pomniejszych działaczy polonijnych, którzy rozgłaszają poprzez pisma polonijne, że „rozumiejąc doniosłość planów” ofiarowują na dany cel większe sumy z własnych funduszy (np. 5.000 czy 2.500 dol.) i wzywają Polonię do pójścia w ich ślady. Oczywiście pisze się wiele o nich w naszej prasie i gdy dochodzi do założenia komórki organizacyjnej, która ma się zająć realizacją jakiegoś projektu, prawie automatycznie prezesura i główne stanowiska w zarządzie (i wszelkie honory społecznika z tym związane) przypadają tym pierwszym dużym ofiarodawcom. Przykład dużej ofiarności czasem coś pomaga i zawsze — zależnie od reklamy — coś się zbierze od ludzi dobrej woli chętnych wspomagać dobre dzieło.

I co dalej? A no, zazwyczaj, nie ma dalszego ciągu. Założyciele dochodzą do wniosku, że projekt był piękny, tylko ofiarności Polonii nie dopisała. Fundusze zebrane rozeszły na wstępne wydatki organizacyjne (pensyjka, sekretariat, wyjazdy czy bankiet itp.). I gdy zbliża się moment krytyczny, wówczas zasiadający w zarządzie pierwsi, główni ofiarodawcy zaczynają myśleć jak uratować swoje daniny, wobec zbliżającego się fiaska imprezy. Wycofać, po tylu reklamach i pochwałach nie można. Więc postanawia się, aby te same pieniądze przekazać znów na jakiś inny cel społeczny (pokrewny albo i nie). I historia zaczyna się od początku. Znów prasa polonijna pisze i chwali wielką ofiarności, znów te same pieniądze otwierają komuś drogę do nowej prezesury, do zaszczytnych wyróżnień itp. Nikt nie ustalił tego, ile razy można te same pieniądze ofiarowywać na różne cele.

Tyle o prywatnej ofiarności niektórych osób ze świecznika polonijnego.

A jakie motywy rządzą ofiarnością z funduszy społecznych organizacji. Mielśmy tego przykłady przy okazji budowy pomnika Kopernika. Ponieważ duże organizacje społeczno-ubezpieczeniowe, stanowiące trzon KPA, nie kwapły się z daniną na budowę pomnika, przeto Zarząd Komitetu Budowy Pomnika Kopernika postanowił, na wniosek swego prezesa, aby zaproszenia na Trybunę Honorową wysyłać tylko tym którzy ofiarowali większe sumy. Okazało się wówczas, że nie ma zaproszenia np. dla skarbnika Zarządu Głównego KPA, który jest prezesem Zj. Polskiego Rz.-Katolickiego — jednej z największych organizacji polonijnych. W przededniu więc odsłonięcia pomnika organizacja ta posłała swoją daninę, aby jej prezes mógł zasiąść na Trybunie Honorowej. Zj. P. Rz.-Katolickie jest organizacją poważną i jej prezes cieszy się poważaniem, ale podobne praktyki (nie należące do rzadkości w życiu polonijnym) mogą sprawiać wrażenie, że ofiarodawcom więcej zależy na osobistych zaszczytach niż na celu, który popierają. Redaktorzy pism polonijnych skarżą się, że pominięcie czyjegoś nazwiska w sprawozdaniu z obchodu lub bankietu powoduje falę protestów i skarg zanoszonych aż do prezesa KPA. Jakby stała się wielka krzywda społeczna...

Uporawszy się ze stroną finansową, przejdźmy do organizacyjnego wkładu pracy KPA mającej związek z budową pomnika. K. Łukomski napisał, że jest członkiem Komisji Doradczej przy Komitecie Budowy Pomnika. Komisję tę powołał KPA. I cóż doradziła ona Komitetowi Budowy?

Były dwa projekty wykorzystania uroczystości kopernikowskich w Chicago — tej niby stolicy całej Polonii w USA. Komitet Budowy Pomnika był zdania, że obchody trzeba tak zorganizować, aby zainteresować całe społeczeństwo amerykańskie z naukowcami na czele, aby jak najwięcej Amerykanów różnego pochodzenia etnicznego dowiedziało się o polskości Kopernika (wbrew propagandzie niemieckiej tu kolportowanej), by jego dorobek naukowy był znany za wkład Polski do kultury świata cywilizowanego. I był drugi projekt Komisji Doradczej, do której należał p. K. Łukomski, jako wiceprezes Zarządu Głównego KPA, aby z obchodów kopernikowskich zrobić typową imprezę polonijną, dla Polonii. Oczywiście z bankietem, z udziałem kardynała i biskupa polskiego pochodzenia, co zwiększa frekwencję i może dać dochód dla KPA. Niestety ten drugi projekt został narzucony Komitetowi Budowy Pomnika. Nixon nie przyjął zaproszenia na odsłonięcie pomnika i nikogo z Waszyngtonu nie wydelegował. Gubernator posłał swojego zastępcę a amerykańskich naukowców zliczyłbym na palcach obu rąk. Na bankiecie była sama tylko Polonia. Mówiło się dużo o zasługach obecnej kardynała Króla, o biskupach, a Kopernik pamiętkowe programy z bankietu teresowań mistrzów ceremonii. Rozdawano pamiątkowe programy z bankietu z wielkim zdjęciem kardynała Króla i małą wzmianką o Koperniku. Jakby nie można było zorganizować odrębnego obchodu dla Kardynała, aby jego osoba nie zaćmić kopernikowskiego obchodu. Oczywiście nie ze złej woli, tylko z kalkulacji, że kler polonijny poprze bankiet ku czci kardynała Króla i tym samym przyniesie dochód dla KPA. Natomiast wobec imprezy kopernikowskiej może być obojętny. Ale w ten sposób zmarnowano okazję popularyzacji polskości Kopernika wśród Amerykanów. Lepiej aby w uroczystościach i na bankiecie kopernikowskim było np. 500 amerykańskich uczonych z Chicago (lub z innych miast również), niż kilka tysięcy samych Polaków. Komitet Doradczy KPA, myśląc głównie o dochodach z bankietu dla siebie, pomniejszył tylko znaczenie obchodów kopernikowskich na terenie USA.

Pisze wreszcie p. K. Łukomski, że wpływy KPA „przerastają znacznie jego konto bankowe”. Jako dowód przytacza, że KPA złożył memoriał w Departamencie Stanu „z postulatami odnośnie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej”. I zaraz po tym dodaje: „Można oczywiście z dużym sceptycyzmem oceniać skuteczność tego typu interwencji”. Zgadzałem z p. Łukomskim, że pisanie memoriałów i antyszambrowanie w kancelariach dyplomatycznych to żaden dowód znaczenia KPA w życiu amerykańskim. To po co na to się powoływać?

Twierdzi p. Łukomski, że interwencja KPA spowodowała przychylną decyzję rządu USA w sprawie kredytowych dostaw dla Polski sprzętu inwestycyjnego. Chciałbym poznać choć jedną wypowiedź amerykańską, która przychylnie w tym zasługę KPA. Przeciwnie, cała prasa amerykańska i pisywałyby w tym zasługę KPA. Przeciwnie, cała prasa amerykańska i wszyscy politycy amerykańscy twierdzą zgodnie, że stosunki gospodarcze z krajami Bloku Wschodniego są nierozdzielnie częścią polityki amerykańskiej wobec Rosji. Wątpię by KPA miał jakikolwiek wpływ na układ sunków między tymi dwoma mocarstwami.

Czytamy dalej (w krzywym zwierciadle p. K. Łukomskiego) o głośnej interwencji KPA w Federalnej Komisji Komunikacyjnej, która kontroluje m.in. programy T.V. w USA. Był to słuszny protest przeciwko tzw. *Polish jokes* czyli dowcipom ośmieszającym Polaków amerykańskich, które rozchodzą się za pomocą TV po całej Ameryce. Niewielki musi być autorytet KPA, skoro Komisja ta odrzuciła z lekkim sercem protest Kongresu. Ja bym się martwił, a nie chwalił z takiego załatwienia sprawy.



Nie są to odległe czasy, kiedy prezes KPA A. Mazewski pisał, iż znaczna część wydziałów stanowych KPA nawet nie odpowiada na korespondencję Zarządu Głównego, kiedy tygodnik *Polonia* pisał, że w stanowych władzach KPA figurują „martwe dusze”, ludzie piastujący urzędy i nie biorący żadnego udziału nawet w skromnych pracach KPA. Jeśli do tych opinii dodamy, że 90% szacowanej liczebności Polonii nie należy do żadnej organizacji polonijnej, że udział w pracy społecznej biorą tylko nieliczni (mniej niż 1%) to chciałbym dowiedzieć się jakim cudem może wzrastać autorytet KPA w życiu amerykańskim, skoro w samej Polonii jego rola i znaczenie stale maleją. Jest tylko jedno wytłumaczenie tej zagadki — trzeba spoglądać na działalność KPA przez krzywe zwierciadło samouwielbienia jak to uczynił p. K. Łukomski w swoim liście do Redakcji *Kultury*.

Edward PUACZ

## ZAPROSZENIE DO SUBSKRYPCJI

na tom pt. ROZMOWY Z TOBĄ

Wydawnictwo „Oficyna Poetów i Malarzy” w Londynie ogłasza subskrypcję na nową książkę ZBIGNIEWA GRABOWSKIEGO pt. „ROZMOWY Z TOBĄ”. Jest to „godzina myśli” autora, który w roku 1973 obchodzi 50-lecie swojej pracy pisarskiej. Książka, która jest serią rozmów z żoną autora, Klarą Evans, rozważa takie tematy, jak: Bóg, religia, sztuka, piękno, szczęście i miłość.

Cena książki w przedpłacie wynosi £ 2.50 lub \$ 7.

Zamówienia należy przysłać do „Oficyny Poetów i Malarzy”:

POETS' AND PAINTERS' PRESS,  
146 BRIDGE ARCH,  
SUTTON WALK,  
LONDON, SE1 8 XU,  
W. BRYTANIA.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Dépôt Légal: 1<sup>er</sup> Trimestre 1974.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA  | Egz. poj.    | Prenumerata   |               |
|---|--------------|---------------|---------------|
|   |              | 1/2-roczna    | roczna        |
| AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria .....  | R. 1,20      | R. 7,50       | R. 14,50      |
| ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25 .....  | F. 9,00      | F. 50,00      | F. 95,00      |
| AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013 .....   | \$ A 1,50    | \$ A. 9,00    | \$ A. 17,50   |
| AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....   | —            | Sch.A. 250,00 | Sch.A. 450,00 |
| BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23 .....  | F.B. 90,00   | F. B. 500,00  | F. B. 950,00  |
| BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, rue Guira 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523 .....   | \$ US 2,00   | \$ US. 11,00  | \$ US 20,00   |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....   | F. 9,00      | F. 48,00      | F 90,00       |
| HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....  | Flo. h. 6,00 | Fl. h. 35,00  | F. h. 65,00   |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491 .....   | \$ Can. 2,00 | \$ Can. 11,00 | \$ Can. 20,00 |
| NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..   | DM. 6,00     | DM 35,00      | DM 65,00      |
| NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....  | F 9,00       | F. 50,00      | F. 95,00      |
| SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..   | F. . 8,00    | F. S. 40,00   | F. S. 75,00   |
| SZWECJA: Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 ..   | K. S. 9,00   | K. S. 50,00   | K. S. 95,00   |
| U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Sas-Babczynski, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik. 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ..... | \$ US 2,00   | \$ US 11,00   | \$ US 20,00   |
| W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.  | £ 0,75       | £ 4,00        | £ 7,75        |
| WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241 .....   | L. It. 1200  | L. It. 6000   | L. It. 11000  |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50;  
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



## Nowości wydawnicze

**TOM 236**

### **PRZECIW NIEWOLNICTWU**

Str. 64.

Cena F. 10,00.



Wznowienia fotograficzne

**TOMY 237 i 238**

### **CMENTARZE NASTĘPNY DO RAJU**

Str. 258.

Cena F. 25,00.

i

### **OPOWIADANIA**

Str. 192.

Cena F. 22,00.



**TOM 239 — WITOLD GOMBROWICZ**

### **VARIA**

Ostatni X-ty TOM „DZIEŁ ZEBRANYCH”  
zawiera całą przedwojenną twórczość K. Gombrowicza  
wraz z dużą powieścią pt. OPĘTANI

Str. 544.

Cena F. 50,00.



**TOM 240 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI**

### **ZASYPIE WSZYSTKO, ZAWIEJE...**

Powieść  
o losach polskich Kresów pod koniec  
2-giej wojny światowej

Str. 484.

Cena F. 45,00.